



**ROBERT
LUDLUM**

otwiera tajne archiwa

ZEMSTA ŁAZARZA

ROBERT LUDLUM & PATRICK LARKIN

ROBERT LUDLUM

otwiera tajne archiwa

ZEMSTA ŁAZARZA

ROBERT LUDLUM & PATRICK LARKIN

Przekład JAN KRASKO

Tytuł oryginału The Lazarus Vendetta

Prolog

Sobota, 25 września, Dolina rzeki Tuli, Zimbabwe

Zgasły ostatnie promienie słońca i wysoko na ciemnym niebie zamigotały tysiące bladych gwiazd. Krajobraz był surowy, niemal martwy, a ziemia jałowa, nawet według skromnych standardów obowiązujących w tym targanym konfliktami kraju. Elektryczne światło należało tu do rzadkości, a zapadłe wsie południowego Matabele łączyło ze światem zaledwie kilka bitych dróg.

W mroku rozblęły nagle dwa reflektory, omiatając światłem artretyczne gałęzie karłowatych drzew, kępy kolczastych zarośli i nieliczne połacie wątlej trawy. Zgrzytając biegami, krętą, zrytą koleinami drogą jechała zdezelowana toyota. O jej brudną, zakurzoną przednią szybę rozbiły się chmury zwabionych migotliwym światłem owadów.

– Merde! – zaklął pod nosem Gilles Ferrand, zmagając się z kierownicą.

Ze zmarszczonym czołem pochylił się do przodu, próbując zobaczyć coś w skłębionej chmurze pyłu i owadów. Grube okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Oderwał rękę od kierownicy, żeby je poprawić, i znowu zaklął, bo samochód omal nie wypadł z drogi.

– Trzeba było wcześniej wyjechać – mruknął, zerkając na siedzącą obok szczupłą, siwowłosą kobietę. – Na tych wertepach można się zabić nawet za dnia, a nocą to prawdziwy koszmar. – Potarł gęstą brodę. – Wszystko przez ten cholerny samolot. Gdyby się nie spóźnił...

Susan Kendall wzruszyła ramionami.

– Gilles, gdybyśmy mieli mniej szczęścia, już dawno zatrulibyśmy się rtęcią. Musieliśmy odebrać ziarno i nowe narzędzia, to wszystko. Nie zapominaj, że służysz Matce, a służąc Matce, trzeba pogodzić się z niewygodami.

Ferrand aż się skrzywił, po raz tysięczny przeklinając tę sztywną, nadętą babę, która ciągle go pouczała. Oboje byli starymi weteranami, doświadczonymi działaczami ogólnoświatowego Ruchu Łazarza, który postawił sobie za cel uratowanie Ziemi przed obłąkaną zachłannością nieokiełznanego kapitalizmu, i Susan nie musiała traktować go jak uczeniaka.

Z ciemności wychynął znajomy skalny występ przy drodze i Francuz głośno westchnął.

Co za ulga. Cel ich podróży, maleńka wioska, którą zaadaptowali do swoich potrzeb przed trzema miesiącami, był już niedaleko. Nie pamiętał nawet, jak się tak naprawdę nazywała, bo od razu przechrzcili ją na Kusasa, co w dialekcie ndebele oznaczało „Jutrzenka”. Nazwa była bardzo adekwatna, tak przynajmniej uważali. Mieszkańcy wioski wyrazili na nią zgodę, zgodzili się również powrócić do naturalnych, ekologicznych metod uprawy roli i przyjęli ich pomoc.

Zarówno on, jak i Susan głęboko wierzyli, że ich praca przyczyni się do odrodzenia organicznego rolnictwa w całej Afryce, rolnictwa wolnego od toksycznych pestycydów, nawozów sztucznych i

genetycznie zmodyfikowanych upraw, tak popularnych na Zachodzie. Susan była przekonana, że zaufanie tutejszej starszyny zdobyła swymi żarliwymi przemowami i apelami. Natomiast cyniczny Ferrand podejrzewał, że znacznie bardziej przyczyniły się do tego hojne dotacje w gotówce. Cóż, cel uświęca środki – nie tylko on tak uważał.

Skręcił, zjechali z głównej drogi i ruszyli powoli w kierunku małego skupiska kolorowych chat, krytych blachą szop, rozpadających się zagród i chlewików. Otoczona płachetkami pól Kusasa leżała w cienistej dolinie u podnóża usłanych głazami wzgórz, na skraju wysokiego buszu. Ferrand zatrzymał samochód i krótko zatrąbił klaksonem.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie.

Francuz wyłączył silnik. Chciał zgasić i reflektory, ale nie zrobił tego. Znieruchomiał za kierownicą i wyężył słuch. Psy. Wyły wiejskie psy. Poczul, że jeżą mu się włosy na karku.

Susan zmarszczyła czoło.

– Gdzie oni są?

– Nie wiem. – Ferrand ostrożnie wysiadł. Już dawno powinien otoczyć ich tłum podekscytowanych kobiet, mężczyzn i dzieci uśmiechających się radośnie na widok pękających worków z ziarnem, nowiuteńkich szpadli, grabi i motyk na pace samochodu. Tymczasem między ciemnymi chatami panował całkowity bezruch. – Halo!?! – zawołał. – Jest tam kto? – Przeszedł

na ndebele, chociaż znał w tym dialekcie ledwie kilka słów. – Litshone Njani. Dobry wieczór.

Psy zawyły jeszcze głośniejsze. Zawyły i zaczęły ujadać.

Ferrand zadrżał. Nachylił się i wetknął głowę do szoferki.

– Coś jest nie tak – powiedział. – Dzwon do naszych. Tak na wszelki wypadek. Szybko.

Susan drgnęła. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, kiwnęła głową, wysiadła i włączyła telefon satelitarny, który zawsze zabierali ze sobą w teren. Dzięki niemu mogli utrzymywać łączność z kwaterą w Paryżu, chociaż najczęściej używali go do przekazywania zdjęć i aktualnych doniesień, które następnie zamieszczano na stronie internetowej Ruchu Łazarza.

Ferrand obserwował ją w milczeniu. Susan często doprowadzała go do pasji, ale musiał

przyznać, że była odważna, może nawet odważniejsza od niego. Westchnął, sięgnął pod fotel po latarkę, a po chwili namysłu wziął też cyfrowy aparat fotograficzny.

– Co ty robisz? – spytała Susan, wystukując kierunkowy do Paryża.

– Pójdę się rozejrzeć – odparł sztywno i niepewnie.

– Dobrze, ale zaczekaj najpierw, aż się połączę. – Przytknęła telefon do ucha, zmarszczyła brwi i

zaciśnęła cienkie usta. – Nic z tego, już wyszli. Nikt nie odbiera.

Ferrand zerknął na zegarek. Różnica czasu była niewielka, zaledwie godzinna, ale zaczął się weekend. Musieli sobie radzić sami.

– Spróbuj przez Internet – rzucił.

Susan bez słowa kiwnęła głową.

Ferrand nogi miał jak z ołowiu i z trudem zrobił pierwszy krok. Wyprostował się, włączył latarkę i ruszył w kierunku chat. Szedł powoli, zataczając ręką szeroki łuk, by przebić się przez ciemność. Pięć kroków, sześć... Przed nogami przemknęła mu jaszczurka. Gilles struchlał, cicho zaklął i poszedł dalej.

Zlany potem mimo nocnego chłodu, dotarł wreszcie do niewielkiego placyku pośrodku wsi. Była tu studnia, gdzie o zmierzchu lubili przychodzić i młodzi, i starzy, żeby postać, posiedzieć, poplotkować czy się pobawić. Powiódł latarką po twardej, spalonej słońcem ziemi i...

zamarł.

Mieszkańcy Kusasa nie ucieszą się już z ziarna i narzędzi, które im przywieźli. Nie staną na czele ruchu odrodzenia afrykańskiego rolnictwa. Mieszkańcy Kusasa nie żyli. Umarli.

Wszyscy.

Przerażony Ferrand nie mógł zrobić ani kroku. Nie wierzył własnym oczom.

Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział trupy, sterty trupów mężczyzn, kobiet i dzieci. Ciała były w większości nienaruszone, chociaż nienaturalnie skurczone i zdeformowane, jakby ci ludzie umierali w potwornych męczarniach. Niektóre zwłoki były upiornie zapadnięte, jakby coś wyjadło je od środka. Z kilku pozostały jedynie pokryte krwawymi ochłapami kości w kałuży oślizgłej, krzepnącej już brei. Nad placikiem unosiły się chmury wielkich, czarnych much, leniwie uczujących na ludzkich szczątkach. Stojący przy studni pies trącał pyskiem makabrycznie wykrzywione ciało małego chłopca, na próżno zachęcając go do zabawy.

Ferrand z trudem przełknął ślinę, czując, że zaraz zwymiotuje. Trzęsącymi się rękami położył latarkę na ziemi, zdjął z ramienia aparat i zaczął robić zdjęcia. Ktoś musiał

udokumentować tę potworną zbrodnię. Ktoś musiał opowiedzieć światu o masakrze niewinnych ludzi – ludzi, których jedynym przestępstwem było to, że stanęli po stronie Ruchu Łazarza.

Na usłanym głazami wzgórzu leżało czterech mężczyzn w pustynnych mundurach polowych i kuloodpornych kamizelkach. Dzięki lornetkom noktowizyjnym mieli stamtąd doskonały widok na wioskę, a dzięki czułym mikrofonom słyszeli każde wypowiedziane na placyku słowo.

Jeden z mężczyzn, olbrzym o kasztanowych włosach i jasnozielonych oczach, wykrzywił

usta w lekkim uśmiechu.

– Dobra. – Nachylił się nad ekranem monitora, który pokazywał makabryczne zdjęcia ładujące się powoli na stronę internetową Ruchu Łazarza, zdjęcia, które zrobił przed chwilą Gilles Ferrand. Przyglądał się im uważnie przez kilka sekund, wreszcie kiwnął głową. –

Wystarczy. Przerwij łączność.

Palce technika zatańczyły na klawiaturze laptopa, wysyłając serię zakodowanych poleceń do wiszącego nad nimi satelity. Cyfrowe obrazy z Kusasa zamarły, zamigotały i zniknęły.

Zielonooki olbrzym zerknął na leżących obok niego mężczyzn. Obaj byli uzbrojeni w przystosowane do tajnych operacji karabiny snajperskie typu PSG-1 Heckler & Koch.

– Zabijcie ich.

Podniósł do oczu lornetkę i poprawił ostrość. Brodaty Francuz i szczupła Amerykanka gapili się z niedowierzaniem na telefon satelitarny.

– Cel namierzony – szepnął jeden ze snajperów i łagodnym ruchem palca pociągnął za spust. Pocisk kaliber 7.62 milimetra trafił w sam środek czoła.

Gilles Ferrand szarpnięty do tyłu, uderzył o drzwi toyoty i osunął się na ziemię, pozostawiając na nich wymieszaną z mózgiem krew. – Cel zneutralizowany.

Drugi snajper wypalił chwilę później. Jego kula trafiła w kark Susan Kendall – kobieta upadła bezwładnie obok swojego kolegi.

Zielonooki olbrzym wstał. Ze wzgórza schodzili już jego ludzie w maskach i szczelnych kombinezonach, niosąc sprzęt i niezbędne urządzenia badawcze. Zielonooki poprawił mikrofon i zameldował:

– Tu Prima. Pierwsza faza operacji zakończona. Przystępujemy do pobierania próbek, ich analizy i oceny. – Spojrzał na martwych działaczy Ruchu Łazarza. – Zgodnie z rozkazem, zainicjowaliśmy również operację „Iskra”.

Część I

Wtorek, 12 października, Santa Fe, Nowy Meksyk

Pułkownik Jonathan Smith zjechał z Old Agua Fria Road i skręcił w stronę głównej bramy. W szyby samochodu bił tak silny blask, że musiał zmrużyć oczy. Ośnieżone szczyty gór Sangre de Cristo kąpały się w promieniach słońca tak ostrego, że spływało z nich jak rozżarzona lawa na strome zbocza pokryte dywanem złotolistych osik, strzelistych świerków, sosen i dębów.

Natomiast bylica, pinie i jałowce rosnące u podnóża gór i otaczające instytut zwartym murem w kolorze piasku wciąż tonęły w cieniu.

Niektórzy demonstranci – większość z nich biwakowała tuż przy drodze – wysunęli się z namiotów, żeby popatrzeć na jego samochód. Trzech czy czterech wstało i zaczęło wymachiwać odręcznie namalowanymi plakatami i tabliczkami na długich kijach: **PRECZ**

Z NAUKĄ KTÓRA ZABIJA! „NIE” NANOTECHNOLOGII! ŁAZARZ NASZYM

PRZYWÓDCĄ! Ale pozostali siedzieli w namiotach, nie chcąc wychodzić na październikowy chłód. Santa Fe leży na wysokości dwóch tysięcy stu metrów i noce bywały tu mroźne.

Smith trochę im współczuł. Zimno doskwierało nawet jemu, a przecież jechał

samochodem, miał włączone ogrzewanie i był w krótkiej, skórzanej kurtce i zaprasowanych w kant luźnych spodniach.

Ubrany w szary mundur strażnik podniósł rękę. Jon zahamował, opuścił boczną szybę i podał mu służbową legitymację. Czterdzieści kilka lat, wystające kości policzkowe, gładko zaczesane ciemne włosy – na zdjęciu wyglądał jak wyniosły hiszpański kawaler. Ale zdjęcie było tylko zdjęciem, gdyż całą tę wyniosłość burzył w naturze wesoły błysk w jego ciemnoniebieskich oczach.

– Dzień dobry, panie pułkowniku – powiedział Frank Diaz, były żołnierz, sierżant sztabowy wojsk powietrznodesantowych. Zerknął na zdjęcie, po czym zajrzał do samochodu, żeby sprawdzić, czy Smith jest sam. Jego prawa ręka spoczywała na kaburze pistoletu, w której tkwiła włoska beretta kaliber 9 milimetrów. Kabura była rozpięta, żeby w razie potrzeby mógł

szybciej dobyć broni.

Smith uniósł brew. Środki bezpieczeństwa w Instytucie Tellera były zazwyczaj mniej surowe, a już na pewno nie dorównywały tym w ściśle tajnych laboratoriach nuklearnych pod Los Alamos. Ale cóż, za trzy dni miał tu przyjechać Samuel Adams Castilla, prezydent Stanów Zjednoczonych, i właśnie dlatego zorganizowano ten wielki wiec. Ci w namiotach przy drodze byli jedynie skromną forpoczta olbrzymiej fali demonstrantów, którzy mieli ściągnąć tu z całego świata. Wskazał kciukiem za siebie.

– Dają wam w kość?

– Jak dotąd nie. – Diaz wzruszył ramionami. – Ale cały czas mamy ich na oku. Nasi trzęsą portkami. FBI mówi, że jadą tu największe oszołomy, ci, co to mają frajdę, jak coś się fajczy albo jak lecały szyby w oknach.

Smith zmarszczył brwi. Masowe protesty zawsze przyciągały wszelkiego rodzaju anarchistów lubiących przemoc i bezsensowne zniszczenie. Przekonały się o tym Genua, Seattle, Cancun oraz kilkanaście innych miast na całym świecie, których ulice zmieniły się w pole bitwy między zamaskowanymi demonstrantami a policją.

Zamyślony zasalutował Diazowi i skręcił na parking. Perspektywa mimowolnego uczestnictwa w zamieszkach nie bardzo mu odpowiadała. Zwłaszcza że przyjechał tu na coś w rodzaju wakacji.

Wróć, poprawka, pomyślał z krzywym uśmiechem. Na coś w rodzaju wakacji połączonych z pracą. Był lekarzem wojskowym oraz naukowcem specjalizującym się w biologii molekularnej i większość czasu spędzał w USAMRIID, Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych w Fort Detrick w stanie Maryland. Do Instytutu Tellera oddelegowano go jedynie tymczasowo.

Jako przedstawiciel Wydziału Nauki i Technologii Departamentu Obrony USA miał

obserwować przebieg prac w tutejszych laboratoriach. Między badaczami i naukowcami na całym świecie trwała zażarta rywalizacja na polu praktycznych – przy tym bardzo dochodowych

– rozwiązań i zastosowań nanotechnologicznych. Niektórzy z tych naukowców, najlepsi z najlepszych, pracowali właśnie tu, w Instytucie Technologii Zaawansowanych imienia Tellera.

Trzy laboratoria, trzy zespoły badawcze: Harcourt Biosciences, Nomura PharmaTech i ci z Tellera – Departament Obrony wykupił mu najdroższą lożę, z której mógł obserwować postęp prac nad najnowocześniejszymi i najbardziej obiecującymi technologiami.

W sumie była to jego działka. „Nanotechnologia” jest określeniem niesłychanie pojemnym. Najprościej mówiąc, oznacza konstruowanie niewyobrażalnie małych urządzeń.

Nanometr to miliardowa część metra, część równa wielkości dziesięciu atomów. Przedmiot o średnicy dziesięciu nanometrów byłby dziesięć tysięcy razy mniejszy od średnicy ludzkiego włosa. Tak więc nanotechnologia jest inżynierią na poziomie molekularnym, inżynierią posiłkującą się fizyką kwantową, chemią, biologią i superszybkimi obliczeniami matematycznymi.

Popularni autorzy science fiction odmalowywali w swoich książkach wspaniałe obrazy niewyobrażalnie małych nanorobotów, które wędrując po zakamarkach ludzkiego ciała, regenerowały je i leczyły. Inni kazali czytelnikom wyobrazić sobie jednostki pamięci, które, choć milion razy mniejsze od najmniejszego kryształka soli, są w stanie zmagazynować i przechować całą ludzką wiedzę. Jednostki pamięci albo drobinki pyłu, a w rzeczywistości superwydajne odkurzacze, które unosząc się bezszelestnie w zanieczyszczonej atmosferze, pracowicie wysysają z niej wszystkie toksyny.

Smith spędził w instytucie kilka tygodni i widział tam wystarczająco dużo, by stwierdzić, że niektóre

z tych na pozór nierealnych, a raczej nierzeczywistych pomysłów, graniczą już z rzeczywistością. Z trudem zaparkował między dwiema potężnymi terenówkami. Miały oszronione szyby, co oznaczało, że ich właściciele pracowali w laboratorium przez całą noc.

Kiwnął głową. Tak trzymać, panowie, tak trzymać. Ci faceci dokonywali prawdziwych cudów, a wszystko to tylko dzięki mocnej, czarnej kawie, wodzie sodowej z kofeiną i słodkim batonikom z automatu.

Wysiadł, zapiął kurtkę, wziął głęboki oddech i poczuł słaby zapach ogniska i marihuany dochodzący tu wraz z wiatrem z obozowiska demonstrantów. Od międzystanówki numer 25

ciągnął nieprzerwany sznur miniwanów, furgonetek, wynajętych autokarów i samochodów z silnikami na gaz i prąd. Jon zmarszczył czoło. Nadciągały zapowiedziane tłumy.

Niestety, działaczy i fanatyków Ruchu Łazarza zgromadzonych i gromadzących się za ogrodzeniem instytutu przerażała ciemna strona nanotechnologii, jej potencjalnie niebezpieczne zastosowania. Grozą napawała ich myśl o maszynach tak małych, że mogłyby spenetrować ludzką komórkę, jednocześnie tak potężnych, że byłyby w stanie zmienić strukturę atomu.

Skrajnie radykalni liberałowie przestrzegali przed niewidzialnymi „szpiegowskimi molekułami”, unoszącymi się we wszystkich publicznych i prywatnych miejscach. Obłąkani zwolennicy teorii spiskowych zapętlali internetowe czaty plotkami o miniaturowych maszynach do zabijania.

Jeszcze inni twierdzili, że zbiegłe nanoroboty zaczną się bez końca powielać i mnożyć niczym czarodziejskie miotły z Ucznia czarnoksiężnika, by wreszcie pożreć Ziemię i wszystko, co na niej istnieje.

Jon wzruszył ramionami. Tym wszystkim zwariowanym hiperbolom mogły stawić czoło tylko namacalne rezultaty. Wiedział, że gdy ludzie przyjrzą się dokładnie korzyściom i dobroczynnym skutkom zastosowań nanotechnologii, irracjonalny strach powinien minąć. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę wejścia, ciekaw, jakich to cudów dokonali nocą pracujący w instytucie naukowcy.

Dwieście metrów za płotem, na kolorowym indiańskim kocu w cieniu rozłożystego jałowca siedział po turecku Malachi MacNamara. Siedział zupełnie nieruchomo, jak posąg, choć oczy miał szeroko otwarte. Obozujący w pobliżu zwolennicy Ruchu Łazarza byli przekonani, że ten szczupły, niebieskooki, mocno ogorzały Kanadyjczyk medytuje, gromadząc duchową i fizyczną energię i sposobiąc się w ten sposób do czekającej ich walki. Jako biolog i były pracownik ochrony lasów w Kolumbii Brytyjskiej zdobył ich podziw żarliwymi wystąpieniami, w których domagał się „natychmiastowego działania” i realizacji wytyczonych przez ruch celów.

– Ziemia umiera – mówił posepnie. – Pęka i tonie w powodzi trujących pestycydów, gazów i odpadków. Nauka jej nie uratuje. Nie uratuje jej technologia. Nauka i technologia to jej wrogowie, prawdziwe źródło potwornej zarazy, która nas trawi. Musimy działać. Teraz. Nie potem, tylko teraz,

natychmiast, kiedy jest jeszcze czas...

Ukrył lekki uśmiech na wspomnienie tych wszystkich okrzyków, tych twarzy rozpromienionych jego słowami. Był bardziej utalentowanym oratorem i kaznodzieją, niż przypuszczał.

Siedział i uważnie obserwował okolicę. Starannie wybrał to miejsce. Widział stąd wielki, ciemnozielony namiot, centrum dowodzenia tych z ruchu. W namiocie roiło się od międzynarodowych działaczy, którzy pracowali przy podłączonych do sieci komputerach, rejestrowali nowo przybyłych, robili transparenty i dopracowywali scenariusz wiecu. Centra koordynacyjne innych grup zrzeszonych w koalicji TechStock, takich jak Klub Sierra, Przede Wszystkim Ziemia i tym podobnych, były rozrzucone po całym obozowisku, lecz on wiedział, że znalazł się dokładnie tam, gdzie trzeba. Przybył tu w odpowiednim czasie i wybrał odpowiednie miejsce.

Główną siłą napędową wiecu był oczywiście Ruch Łazarza. Przedstawiciele pozostałych organizacji, tych antytechnologicznych czy związanych z ochroną środowiska, przyjechali tu tylko w akcie rozpacz, żeby powstrzymać szybko spadającą liczbę członków i podreperować swój stale malejący prestiż. Przyciągnięci jasnością wizji Łazarza, odwagą, z jaką występował

przeciwko najpotężniejszym korporacjom i rządowi, nawet najbardziej zaangażowani działacze porzucali rodzime organizacje i wstępowali do jego ruchu. Nawet wiadomość o potwornej masakrze w Zimbabwie podziałała na nich jak hasło do boju. Zdjęcia z Kusasa przedstawiano jako jednoznaczny dowód na to, że „kapitalistyczni władcy globalistycznych korporacji” oraz ich marionetkowe rządy drżą ze strachu przed Ruchem Łazarza i jego przesłaniem.

Kanadyjczyk przetarł zrytą zmarszczkami twarz, drgnął i znieruchomiał.

W stronę ciemnozielonego namiotu szło kilku młodych, rosnących mężczyzn. Przedzierali się przez tłum, niosąc na ramieniu długie, płócienne torby. Każdy z nich poruszał się zwinnym krokiem czujnego drapieżnika.

Dotarli do namiotu i jeden po drugim zniknęli w środku.

– Proszę, proszę – wymamrotał MacNamara. Zabłyśły mu oczy. – Ciekawe. Bardzo ciekawe...

Biały Dom, Waszyngton D.C.

Elegancki, osiemnastowieczny zegar na jednej z łukowatych ścian Gabinetu Owального wybił dwunastą. Na zewnątrz padało. Niebo było ciemnoszare i po szybach wysokich okien wychodzących na południowy trawnik spływały krople deszczu. Bez względu na to, co pokazywał kalendarz, do stolicy zawiąły już pierwsze zwiastuny zimy.

Prezydent Samuel Adams Castilla przeglądał ściśle tajny raport o zagrożeniach, który przekazali mu przed chwilą szefowie połączonej komisji do spraw wywiadu. Pokręcił głową i błysnęły tytanowe oprawki jego okularów. Pociemniała mu twarz. Spojrzał na drugą stronę dużego, sosnowego stołu, który służył mu za biurko. Miał niebezpiecznie spokojny głos.

– Poprawcie mnie, jeśli źle zrozumiałem. Proponujecie, żebym odwołał moje wystąpienie w Instytucie Tellera? Mówicie poważnie? Na trzy dni przed terminem?

– Tak, panie prezydencie – odparł chłodno David Hanson, nowo powołany dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. – Mówiąc krótko i otwarcie, ryzyko związane z wyjazdem do Santa Fe jest w tej chwili zbyt duże.

Gdy tylko skończył mówić, zawtórował mu Robert Zeller, tymczasowy dyrektor Federalnego Biura Śledczego.

Ale Castilla ledwie na niego zerknął, całą uwagę skupiając na Hansonie. Szef CIA był

twardszy, bardziej bezwzględny i onieśmielający, chociaż zamiast zionącego ogniem zwolennika tajnych akcji i podstępnych operacji rodem z filmów płaszcza i szpady, bardziej przypominał

boksera wagi koguciej albo dobrodusznego profesora z lat pięćdziesiątych, takiego w obowiązkowej muszce.

Jego kontrpartner, Bob Zeller z FBI, był człowiekiem bardzo porządnym, ale w waszyngtońskim morzu politycznych intryg, głębokim i srogo kipiącym, czuł się fatalnie.

Wysoki i barczysty, dobrze wyglądał w telewizji, ale niepotrzebnie przeniesiono go tu z Atlanty, gdzie był adwokatem. Zupełnie niepotrzebnie, nawet jeśli miało to być przeniesienie tymczasowe, dopóki personel Białego Domu nie znajdzie odpowiedniego – i stałego – kandydata.

Ale cóż, Zeller, były futbolista – grał w reprezentacji marynarki wojennej – i prokurator federalny z wieloletnim stażem, znał przynajmniej swoje słabe strony. Podczas narad i spotkań prawie nigdy się nie odzywał i zwykle popierał tego, kto miał największe wpływy.

Hanson to zupełnie inna sprawa. Na wszelkiego rodzaju podchodach, intrygach i na polityce nacisku znał się aż za dobrze. Przez wiele lat był szefem wydziału operacyjnego CIA i zdążył wypracować sobie silne poparcie wśród członków komisji do spraw wywiadu zarówno w Izbie Reprezentantów,

jak i w senacie. Wielu wpływowych kongresmanów i senatorów uważało, że umie chodzić po wodzie. Dawało mu to szerokie pole manewru, pole tak duże, że potrafił nawet stanąć okoniem wobec prezydenta, który niedawno awansował go na to stanowisko.

Castilla postukał palcem w plik papierów.

– W tym dokumencie jest dużo spekulacji. Choćby to. Zacytuję: „Przechwycone przez wywiad dane, ogólnikowe, choć bardzo znaczące, wskazują, że przedstawiciele radykalnych ugrupowań, obecni wśród demonstrantów w Santa Fe, planują czynną napaść albo na Instytut Tellera, albo na samego prezydenta”. Koniec cytatu. – Zdjął okulary i spojrzał na nich. – Może pan przetłumaczyć to na angielski, Davidzie?

– Natrafiamy na coraz więcej niepokojących sygnałów zarówno z Internetu, jak i z nasłuchu rozmów telefonicznych, panie prezydencie – odparł Hanson. – Coraz częściej powtarzają się wśród nich wzmianki o wiecu w Santa Fe. Mówi się o „wielkiej imprezie” albo o „imprezie u Tellera”. Moi ludzie słyszeli je również za oceanem. Zresztą nie tylko moi, ci z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego też. FBI coraz częściej przechwytuje identyczne teksty tutaj, w kraju. Prawda, Bob?

Zeller z powagą skinął głową.

– A więc to zaniepokoiło waszych analityków? – rzucił obojętnie Castilla; słowa dyrektora CIA nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. – To, że ludzie piszą do siebie e-

maile na temat wiecu protestacyjnego w Santa Fe? Boże święty! – prychnął. – „Wielką imprezą” będzie każdy wiec, który przyciągnie do Santa Fe trzydzieści, czterdzieści tysięcy ludzi! Nowy Meksyk to moje podwórko, a bardzo wątpię, czy na moich wystąpieniach pojawiła się tam choćby połowa z tych marnych trzydziestu tysięcy.

– Kiedy mówią tak ci z Klubu Sierra czy Federacji Wilderness, zupełnie mnie to nie martwi – odparł spokojnie Hanson. – Ale nawet najprostsze słowa mogą mieć zupełnie inne znaczenie w ustach osobników i grup naprawdę groźnych. Słowa te są wtedy śmiertelnie niebezpieczne.

– Mówi pan o członkach tych... jak im tam... „radykalnych ugrupowań”?

– Tak, panie prezydencie.

– I kim oni są?

– Większość jest w ten czy inny sposób powiązana z Ruchem Łazarza – odrzekł ostrożnie Hanson.

Castilla zmarszczył brwi.

– To stara śpiewka, Davidzie. Bardzo stara.

Hanson wzruszył ramionami.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie prezydencie. Ale prawda nie staje się mniej prawdziwa tylko

dlatego, że jest trudna do przełknięcia. Ostatnie doniesienia naszego wywiadu wskazują, że Ruch Łazarza jako całość jest niezwykle niepokojącym zjawiskiem. Szybko się rozwija, jest jak rak, i to, co było kiedyś względnie pokojową organizacją polityczno–ekologiczną, gwałtownie przekształca się w coś tajnego, skrytego, niebezpiecznego, a nawet niezmiernie groźnego. –

Popatrzył na leżące na biurku dokumenty. – Wiem, że czytał pan raporty inwigilacyjne i wyciągi z nasłuchu. Zna pan nasze analizy.

Castilla powoli skinął głową. FBI, CIA oraz pozostałe agencje federalne nieustannie obserwowały zarówno ugrupowania, jak i poszczególnych osobników. Wraz z rozkwitem światowego terroryzmu, z coraz większą dostępnością do technologii umożliwiającej stworzenie broni chemicznej, biologicznej i nuklearnej, nikt w Waszyngtonie nie chciał ryzykować, że zaskoczy ich nierozpoznany uprzednio nieprzyjaciel.

– W takim razie pozwoli pan, że powiem prosto z mostu – kontynuował Hanson. –

Naszym zdaniem Ruch Łazarza postanowił osiągnąć swe cele, stosując przemoc i terroryzm. Ich retoryka jest coraz bardziej agresywna, paranoidalna i pełna nienawiści do tych, których uważają za swoich wrogów. – Podsunął prezydentowi kolejny dokument. – To tylko przykład.

Castilla założył okulary, wziął kartkę, zerknął na nią bez słowa i z odrazą wykrzywił usta.

Był to wydruk ze strony internetowej Ruchu Łazarza przedstawiający makabryczne zdjęcia poskręcanych, potwornie okaleczonych zwłok. Nagłówek krzyczał: RZEŹ W KUSASA.

Zamieszczony poniżej tekst przypisywał tę potworną zbrodnię finansowanym przez korporacje

„szwadronom śmierci” lub „uzbrojonym przez amerykański rząd najemnikom”. Autor twierdził, że jest to część tajnego rządowego planu, który ma zniweczyć wysiłki ruchu zmierzające do odrodzenia ekologicznego rolnictwa w Afryce i utrzymać amerykański monopol na produkcję pestycydów i genetycznie zmodyfikowanej żywności. Artykuł kończył się wezwaniem do masowego wystąpienia przeciwko tym, którzy „chcą zniszczyć Ziemię i wszystkich tych, którzy ją kochają”.

Castilla rzucił wydruk na stół.

– Co za bzdury.

– Prawda? – Hanson schował kartkę do teczki. – Jednak bzdury te przynoszą niezwykle skuteczny efekt, przynajmniej wśród tych, do których są adresowane.

– Wysłaliście do Kusasa ekipę, żeby zbadać, co się tam właściwie stało?

Dyrektor CIA pokręcił głową.

– Byłoby to niezwykle trudne, panie prezydencie. Bez pozwolenia nie przychylnego nam rządu musielibyśmy zorganizować tajną operację, ale nawet gdybyśmy ją zorganizowali, wątpię, czy udałoby się nam cokolwiek znaleźć. W Zimbabwe wrze jak w kotle. Tych wieśniaków mógł

zamordować dosłownie każdy, od rządu poczynając, na pospolitych bandytach kończąc.

– Szlag by to – mruknął Castilla. – A gdyby nas tam złapano, gdyby okazało się, że weszliśmy bez pozwolenia, wszyscy pomyśleliby, że ta masakra to nasze dzieło, że próbujemy tylko zatrzeć ślady.

– Właśnie – zgodził się z nim Hanson. – Ale bez względu na to, co tam się stało, jedno nie ulega wątpliwości: przywódcy Ruchu Łazarza, wykorzystują tę zbrodnię do radykalizowania nastrojów wśród swoich zwolenników, żeby przygotować ich do bezpośredniej i czynnej napaści na nas i naszych sojuszników.

– Cholera jasna, nie chciałbym, żeby do tego doszło – warknął Castilla i pochylił się do przodu. – Nie zapominajcie panowie, że znałem wielu założycieli tego ruchu. Byli wśród nich uznani i powszechnie szanowani ekolodzy, naukowcy, pisarze, a nawet dwóch polityków. Chcieli ocalić Ziemię, przywrócić ją do życia. Nie zgadzałem się z większością ich poglądów, ale byli to dobrzy ludzie. Uczciwi. Prawi.

– Tak, dziewięciu założycieli Ruchu Łazarza... – odparł cicho Hanson. – Tylko gdzie oni teraz są, panie prezydencie? Sześciu nie żyje. Zmarli albo z przyczyn naturalnych, albo zginęli w wypadkach: w bardzo podejrzanym i, dla niektórych, bardzo wygodnym wypadkach.

Pozostałych trzech przepadło bez śladu. – Zmrużył oczy i lekko przekrzywił głowę. – Był wśród nich Jinjiro Nomura.

– Tak – odparł bezbarwnym głosem Castilla.

Spojrzał na jedno ze zdjęć na biurku. Zrobione w Nowym Meksyku – był wtedy gubernatorem i pełnił swoją pierwszą kadencję – przedstawiało go w chwili wymiany ceremonialnych ukłonów ze starszym Japończykiem. Jinjiro Nomura był wybitnym parlamentarzystą. Ich przyjaźń, zapoczątkowana wspólnym zamiłowaniem do słodowej whisky i do szczerej, bezpośredniej rozmowy, przetrwała wiele lat i utrzymała się nawet wtedy, gdy zrezygnowawszy z polityki, Jinjiro poświęcił się bardziej radykalnym działaniom na rzecz ochrony środowiska naturalnego.

Przed rokiem zniknął w drodze na sponsorowany przez ruch wiec w Tajlandii. Jego syn Hideo, prezes i dyrektor naczelny Nomura PharmaTech, błagał go o pomoc. Castilla zareagował

błyskawicznie i przez wiele tygodni grupa specjalna CIA, złożona z najlepiej wyszkolonych agentów terenowych, przeczesywała ulice i zaułki Bangkoku. Do poszukiwań starego przyjaciela zaangażował nawet Agencję Bezpieczeństwa Narodowego i jej supertajne satelity szpiegowskie.

Na próżno. Operacja zakończyła się całkowitym fiaskiem. Nikt nie zażądał okupu. Nie znaleziono ciała. Nie znaleziono absolutnie niczego. Ostatni z założycieli Ruchu Łazarza zniknął

bez śladu.

Zdjęcie na biurku przypominało mu, że nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie jest wszechwładny.

Westchnął i skupił wzrok na swoich podwładnych, którzy siedzieli ponuro naprzeciw niego.

– Rozumiem – powiedział. – Przywódcy, których znałem i którym ufałem, albo nie żyją, albo zniknęli z powierzchni ziemi.

– Otóż to, panie prezydencie.

– Co ponownie każe nam zadać sobie pytanie, kto kieruje tym ruchem teraz. Przejdźmy zatem do kwestii śledztwa, Davidzie. Po zniknięciu Jinjiro powołał pan międzywydziałową grupę specjalną, która miała ich inwigilować i której utworzenie osobiście zatwierdziłem, mimo licznych wątpliwości. Jak wygląda obecnie sytuacja? Czy posunęliście się do przodu?

Zidentyfikowaliście ich aktualnych przywódców?

– Nie, panie prezydencie – przyznał niechętnie Hanson. – Mimo wielomiesięcznej pracy postęp jest niewielki. – Bezradnie rozłożył ręce. – Jesteśmy niemal stuprocentowo pewni, że najwyższą władzę sprawuje w tym ruchu ktoś o pseudonimie Łazarz, ale niestety nie znamy jego nazwiska, nie wiemy, jak wygląda ani gdzie przebywa.

– Bardzo mnie pan pocieszył – rzucił szorstko Castilla. – Byłoby lepiej, gdyby przestał

pan mówić o tym, czego nie wiecie, i skupił się na tym, co zdołaliście ustalić. – Spojrzał mu prosto w oczy. – Szybciej byśmy skończyli.

Hanson uśmiechnął się służbiście, ale oczy miał wciąż zimne i nieruchome.

– Zaangażowaliśmy do tego olbrzymie środki, panie prezydencie, zarówno ludzkie, jak i techniczne, podobnie jak MI-6, francuska DGSE i wiele innych zachodnioeuropejskich agencji wywiadowczych. Rzecz w tym, że aby uniknąć inwigilacji, mniej więcej od roku Ruch Łazarza celowo przekształca swoje struktury organizacyjne.

– To znaczy?

– Te struktury to szereg bezpiecznych, hermetycznie zamkniętych koncentrycznych kręgów – wyjaśnił Hanson. – Większość członków ruchu należy do kręgu zewnętrznego.

Działają zupełnie otwarcie: organizują spotkania, wiece i demonstracje, publikują biuletyny, uczestniczą w sponsorowanych przez ruch projektach, pracują w rozsianych po całym świecie placówkach. Ale każdy następny krąg jest coraz mniejszy, szczelniejszy i tajniejszy. Działający w nich ludzie znają nazwiska tylko kilku najbliższych współpracowników i prawie nigdy nie spotykają się z nimi osobiście. Polecenia wydawane są niemal wyłącznie przez Internet, zaszyfowaną pocztą elektroniczną albo wiadomościami, które zamieszczają na swoich witrynach.

– Innymi słowy, to klasyczna struktura komórkowa – podsumował Castilla. – Rozkazy płyną z góry na dół, ale ci z kręgów zewnętrznych mają utrudniony dostęp do kręgu centralnego.

– Właśnie – przyznał Hanson. – Tę samą strukturę organizacyjną od lat stosują najgroźniejsze

ugrupowania terrorystyczne. Al-Kaida. Islamski dżihad. Włoskie Czerwone Brygady. Japońska Czerwona Armia. Żeby wymienić tylko kilka z nich.

– I nie udało się wam spenetrować tych wewnętrznych kręgów? – spytał Castilla.

Dyrektor CIA pokręcił głową.

– Nie, panie prezydencie. Ani nam, ani Anglikom, ani Francuzom, ani nikomu innemu.

Próbowaliśmy, ale bez skutku. I jednego po drugim, straciliśmy naszych najlepszych informatorów w ich szeregach. Niektórzy zrezygnowali. Inni zostali usunięci z organizacji. Kilku po prostu znikło. Prawdopodobnie nie żyją.

Castilla zmarszczył czoło.

– Ci też zniknęli? To jakiś nałóg czy co?

– Właśnie, panie prezydencie, coraz ich więcej – odparł szef CIA i słowa te zawisły w powietrzu jak miecz.

Kwadrans później Hanson opuścił Biały Dom i schodami południowego portyku zszedł

do czekającej na niego czarnej limuzyny. Usiadł na tylnym siedzeniu i gdy agent Secret Service zamknął drzwi, włączył interkom.

– Do Langley – rzucił i oparł głowę o skórzany zagłówek.

Gdy limuzyna skręciła w Siedemnastą ulicę i lekko przyspieszyła, spojrzął na siedzącego naprzeciwko krępego mężczyznę o kwadratowej szczęce.

– Jesteś dziś bardzo milczący – rzucił.

– Płacisz mi za chwytnie i zabijanie terrorystów, a nie za lizanie tyłka – odparł Hal Burke.

W oczach Hansona rozbłysły wesołe ogniki. Rozbłysły i szybko zgasły. Burke, starszy oficer wydziału antyterrorystycznego Agencji, kierował obecnie grupą specjalną do spraw inwigilacji Ruchu Łazarza. Dwadzieścia lat tajnej pracy w terenie wycisnęło na nim trwałe piętno w postaci blizny od kuli po prawej stronie szyi i cynicznego poglądu na naturę ludzką – poglądu w pełni podzielanego przez Hansona.

– No i jak poszło tym razem? – spytał. – Mieliśmy fart?

– Nie.

– Niech to szlag. – Burke spojrzął posepnie na zalaną deszczem szybę. – Kit dostanie szału.

Hanson kiwnął głową. Kit, Katherine Pierson, zajmowała takie samo stanowisko jak Burke, tyle że w

FBI. Ściśle ze sobą współpracowali, przygotowując raport o zagrożeniach, który wraz z Zellerem wręczył przed chwilą prezydentowi.

– Castilla każe nam wzmocnić działania, ale pod żadnym pozorem nie odwoła wizyty w Santa Fe. Chyba że przedstawimy mu konkretne dowody realnego zagrożenia.

Burke odwrócił się od okna. Miał zaciśnięte usta.

– Po prostu nie chce, żeby ci z „Washington Post”, „New York Timesa” i z „Foksa” nazwali go tchórzem.

– Ty byś chciał?

– Nie.

– W takim razie masz dwadzieścia cztery godziny. Ty i Kit musicie wykopać coś konkretnego, coś, z czym będę mógł pojechać do Białego Domu. W przeciwnym razie prezydent poleci do Santa Fe i stanie twarzą w twarz z demonstrantami. Wiesz, jaki jest.

– Uparty jak sto sukinsynów – mruknął Burke.

– Otóż to.

– Dobra. – Burke wzruszył ramionami. – Jak chce, to niech jedzie. Mam tylko nadzieję, że tym razem go nie zabiją.

3

Instytut Technologii Zaawansowanych imienia Teltera

Wbiegł na niskie, szerokie schody i pokonując po dwa stopnie naraz, popędził na górę.

Bieganie po schodach było teraz jedynym ćwiczeniem fizycznym, na jakie mógł sobie pozwolić.

Przesiadywał w laboratorium całymi dniami, bywało, że i nocami, co skutecznie burzyło porządek dnia, do jakiego przywykł.

Pierwsze piętro. Przystanął i z satysfakcją stwierdził, że oddech i tętno ma zupełnie normalne. Na ramionach poczuł miłe ciepło. Słońce. Wpadało przez okienka na klatce schodowej. Zerknął na zegarek. Za pięć minut musiał być w laboratorium. Szef zespołu badawczego Harcourt Biosciences obiecał mu jakiś pokaz. „Wyjątkowy, naprawdę superspecjalny” – tak powiedział.

Panujący na dole szum – gwar głosów, dzwonienie telefonów, stukot komputerowych klawiszy – tu, na górze, ustępował miejsca katedralnej wprost ciszy. Biura, bary szybkiej obsługi, sala komputerowa, sale wypoczynkowe i biblioteka naukowa – wszystko to mieściło się na parterze. Piętro było zarezerwowane wyłącznie dla laboratoriów, w których pracowali członkowie poszczególnych zespołów badawczych. Podobnie jak zespoły z Instytutu Teltera i z Nomura PharmaTech, ekipa z Harcourt pracowała w północnym skrzydle gmachu.

Skręcił w prawo, w długi korytarz biegnący wzdłuż całego budynku w kształcie litery I.

Ciemnobrązowy parkiet, ściany w kolorze złamanej bieli – kolorystyczny ideał. W regularnie rozmieszczonych nischach, płytkich, łukowato zwieńczonych niszach, wisiały portrety słynnych naukowców, Fermiego, Newtona, Feynmana, Drexlera, Einsteina i innych, dzieła zamówione przez instytut u miejscowych malarzy. W wysokich, ceramicznych wazach między niszami pyszniły się jaskrawożółta łoboda i pasowe astry. Gdyby nie wielkość gmachu, można by pomyśleć, że to korytarz bogatej, meksykańskiej willi.

Staął przed drzwiami do laboratorium Harcourta i przesunął kartę w czytniku. Czerwone światełko zgasło, a gdy zapaliło się zielone, kliknął elektroniczny zamek. Takie karty przydzielano jedynie nielicznym, gdyż umożliwiały wstęp do wszystkich, najtajniejszych nawet pomieszczeń. Rywalizujący ze sobą naukowcy i technicy nie mieli prawa wkraczać na terytorium przeciwnika i chociaż do tych, którzy przedarli się przez ściśle wytyczone granice, oczywiście nie strzelano, natychmiast fundowano im bilet powrotny do domu. Ochrona własności intelektualnej była najważniejsza i władze instytutu bardzo tej zasady przestrzegały.

Przekroczył próg i znalazł się w zupełnie innym świecie. Wypolerowane na błysk drewno, cegła i spękana glina bogatego meksykańskiego domu ustępowały tu miejsca lśniącemu metalowi i twardym materiałom kompozytowym XXI wieku, a eleganckie oświetlenie, zarówno naturalne, jak i sztuczne, silnemu światłu jarzeniówek pod sufitem, wyposażonych w bakterioobójcze lampy ultrafioletowe. Koszulę i włosy musnął mu lekki wiatr: we wszystkich pomieszczeniach laboratoryjnych panowało podwyższone ciśnienie, żeby z korytarzy, a więc z miejsc ogólnodostępnych, nie przedostały się tu lotne zanieczyszczenia. Przez niezwykle wydajne filtry cząstkowe UPLA sączyło się dokładnie

oczyszczone powietrze o stałej wilgotności i temperaturze.

Laboratorium Harcourta składało się z kilku sąsiadujących ze sobą pomieszczeń o coraz to wyższych i bardziej rygorystycznie przestrzeganych normach sterylności. Na ich zewnętrznym kręgu mieściło się coś w rodzaju biura, ciasno zastawionego biurkami i komputerowymi stacjami roboczymi, zawalonego stosami podręczników, stertami wydruków oraz katalogów z osprzętem chemicznym. Żaluzje w wysokim do sufitu panoramicznym oknie we wschodniej ścianie były opuszczone, zasłaniając imponujący widok na góry Sangre de Cristo.

Nieco głębiej, a więc za biurem, znajdowała się strefa kontroli i przygotowywania próbek.

Stały tam czarne stoły laboratoryjne, komputerowe konsole, dwa masywne elektronowe mikroskopy tunelowe oraz inny sprzęt, niezbędny do projektowania i nadzorowania procesów produkcyjnych w skali nano.

Miejszem najświętszym ze świąt był tu krąg wewnętrzny, widoczny jedynie przez szczelne okna obserwacyjne w przeciwległej ścianie. W komorze tej stały błyszczące zbiorniki z nierdzewnej stali, ruchome platformy z pompami, zaworami i bateriami czujników, pionowo zamontowane kolumny talerzowe z filtrami osmозowymi, licytowe cylindry z żelami oczyszczającymi, a wszystko to było połączone w całość zwojami przezroczystych rur, rurek i przewodów.

Smith wiedział, że można tam wejść jedynie przez szereg hermetycznych śluz i przebieralni. Każdy naukowiec czy technik pracujący w komorze produkcyjnej musiał mieć na sobie całkowicie sterylny kombinezon, rękawice, buty oraz hełm z wypornościowym aparatem oddechowym. Jon wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu. Gdyby obozujący za bramą zwolennicy Ruchu Łazarza zobaczyli kogoś w tym stroju – rodem z opowieści o Obcych – jeszcze bardziej utwierdziliby się w swoich najgorszych obawach, że roi się tu od obłąkanych naukowców igrających ze śmiertelnymi truciznami.

Tymczasem było zupełnie na odwrót. W świecie nanotechnologii to właśnie ludzie stanowili źródło zanieczyszczenia i wszelkiego zagrożenia. Mikroskopijny płatek martwego naskórka, pojedynczy mieszek włosowy czy odrobina wilgoci wydalona ustami podczas rozmowy – nie wspominając już o zwykłym kichnięciu! – mogły poczynić niewyobrażalne spustoszenie w skali nano, doprowadzając do wycieku olejów, kwasów, alkaloidów i enzymów, które natychmiast zatrąłyby cały proces produkcyjny. Ludzie byli również nosicielami licznych bakterii, szybko rozrastających się i rozprzestrzeniających organizmów, które momentalnie zniszczyłyby wszystkie pożywki hodowlane i pozatykały filtry – mogłyby nawet zaatakować sam nanoprodukt.

Na szczęście większość prac wykonywano zdalnie, spoza przylegającego do komory pomieszczenia pobierania

próbek

i kontroli.

Dzięki automatycznym manipulatorom,

komputerowo sterowanym ruchomym platformom z osprzętem oraz wielu innym udogodnieniom technicznym ludzie rzadko kiedy musieli wchodzić do „czystych pomieszczeń”. Ten niezwykle poziom laboratoryjnej automatyzacji był jedną z najcenniejszych innowacji, jakie kiedykolwiek tu wprowadzono, ponieważ umożliwiał naukowcom i technikom swobodę ruchów, jaka w innych ośrodkach badawczych była nie do pomyślenia.

Pokonawszy labirynt biurek, skręcił w lewo, w stronę stanowiska roboczego doktora Philipa Brinkera, kierownika projektu Harcourt Biosciences. Wysoki, blady, chudy jak szczapa naukowiec siedział tyłem do drzwi i był tak pochłonięty studiowaniem obrazu z mikroskopu elektronowego, że nie usłyszał, jak Jon cicho podszedł.

Jego niski, ciemnoskóry asystent, doktor Ravi Parikh, okazał większą czujność.

Gwałtownie podniósł głowę i już chciał ostrzec szefa, ale szybko zrezygnował i tylko nieśmiało się uśmiechnął, gdy Smith puścił do niego oko i przytknął palec do ust.

– O cholera... – wymamrotał Brinker, wciąż patrząc na ekran monitora. – Są piękne.

Przepiękne. Absolutnie śliczne. Kiedy nasz znajomy szpieg to zobaczy, skłoni się przed nami jak rodowity Japończyk.

Smith nawet nie próbował ukryć uśmiechu. „Szpieg” – Brinker zawsze go tak nazywał.

Było to coś w rodzaju obiegowego żartu na temat jego roli jako obserwatora z ramienia Pentagonu, ale Philip pewnie nawet nie przypuszczał, jak niewiele dzieliło go od prawdy.

Jon był kimś więcej niż zwykłym lekarzem wojskowym i naukowcem. Od czasu do czasu brał udział w operacjach Tajnej Jedyнки, dobrze zakamuflowanej organizacji wywiadowczej, podlegającej bezpośrednio prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Jedyнка pracowała w cieniu, w cieniu tak głębokim, że o jej istnieniu nie wiedział żaden kongresman czy biurokrata z wojskowych służb wywiadowczych. Na szczęście jego pobyt w Instytucie Tellera miał

charakter czysto naukowy.

Jon nachylił się nad Brinkerem i zajrzał mu przez ramię.

– Hm, więc to dlatego mam całować ziemię, po której stąpasz?

Przestraszony Philip aż podskoczył.

– Jezu Chryste! – Błyskawicznie odwrócił się na krześle. – Cholera jasna, zrobisz to jeszcze raz i przysięgam, że wykituję tu na atak serca! Jakbyś się wtedy czuł, hę?

Jon parsknął śmiechem.

– Chyba kiepsko.

– Chyba – mruknął Brinker. – Chyba. – Nagle poweselał. – Ale skoro mimo twoich wysiłków jeszcze żyję, spójrz tylko, co tu z Ravim upichciliśmy. Patrz, nasyc oczy: oto jeszcze nieopatentowany nanofag Brinkera–Parikha, wersja numer 2. Zabija komórki rakowe, niebezpieczne bakterie oraz inne paskudztwa krążące w ciele człowieka. Skuteczność?

Gwarantowana, przynajmniej w większości przypadków.

Smith nachylił się jeszcze bardziej i spojrzał na gigantycznie powiększony czarno–biały obraz na ekranie monitora. Przedstawiał sferyczną skorupę półprzewodnika wypełnioną skomplikowanymi strukturami molekularnymi. Cyferki w rogu ekranu mówiły, że ma przed sobą konstrukcję o średnicy zaledwie dwustu nanometrów.

Wiedział, jaki wytyczyli sobie cel i jaką mają koncepcję ogólną. Brinker, Parikh i pozostali członkowie zespołu Harcourta chcieli stworzyć mikroprzrząd – ten właśnie

„nanofag” – który polując na komórki rakowe oraz bakterie chorobotwórcze w ciele człowieka, namierzałby je i zabijał. Skorupa, którą właśnie oglądał, powinna być wypełniona substancjami biochemicznymi – na przykład fosfatydyloseryną lub innymi współstymulującymi molekułami –

niezbędnymi albo do podstępnego oszukania komórek docelowych – w rezultacie czego popełniłyby samobójstwo – albo do skutecznego ich oznakowania, tak żeby mógł je wyeliminować system immunologiczny człowieka.

Wersja pierwsza, którą przetestowali na zwierzętach, okazała się nieskuteczna, ponieważ zanim nanofagi zdążyły przystąpić do działania, zabił je system odpornościowy organizmu. Od tamtej pory intensywnie wypróbowywali inne konfiguracje molekuł i materiałów, usilnie poszukując kombinacji niewidzialnej dla naturalnego systemu obronnego, ale chociaż upłynęło już wiele miesięcy, ta magiczna formuła wciąż im umykała.

Jon zerknął na Brinkera.

– Wygląda identycznie z tymi z pierwszej wersji – zauważył. – Zmieniliście tu coś?

– Skorupka – odparł naukowiec. – Przyjrzyj się skorupce.

Smith kiwnął głową i delikatnie postukał palcem w klawiaturę pomocniczą komputera, powoli przesuważąc obraz.

– Dobra, mam powłokę. Jest... nierówna. Pokryta cienką warstwą... nie wiem czego. –

Zmarszczył czoło. – Zaraz. Gdzieś już to widziałem, tylko gdzie?

– To pomysł obecnego tu Raviego – powiedział Brinker. – I tak samo jak wszystkie genialne pomysły, jest niezwykle prosty i absurdalnie oczywisty, przynajmniej po fakcie. –

Wzruszył ramionami. – Jest taka wredna bakteria, odporna na leki jak jasna cholera: Staphylococcus aureus. Kojarzysz? Wiesz, w jaki sposób ukrywa się przed systemem odpornościowym?

– Pokrywa swoją błonę komórkową wielocukrami – odrzekł bez wahania Smith.

Ponownie spojrzął na ekran i... – Ożesz ty...

Parikh z zadowoleniem kiwnął głową.

– Są pokryte cukrem. Jak najlepsze lekarstwa.

Jon cichutko zagwizdał.

– Genialne. Absolutnie genialne.

– Z całą skromnością przyznaję ci rację – odrzekł Brinker. Położył rękę na obudowie monitora. – Ten piękny nanofag powinien zrobić swoje. Przynajmniej teoretycznie.

– A praktycznie? – spytał Smith.

Ravi Parikh wskazał inny ekran; ten miał wielkość panoramicznego ekranu telewizyjnego. Widniał na nim podwójnie przeszklony pojemnik, przytwierdzony do stołu laboratoryjnego w sąsiednim pomieszczeniu.

– Zaraz się o tym przekonamy, panie pułkowniku. Pracowaliśmy non stop prawie przez trzydzieści sześć godzin, żeby wyprodukować wystarczającą liczbę nanofagów.

Smith spojrzął na ekran.

Nie budowano ich jednego po drugim. Nie używano do tego celu ani mikroskopijnych szczypczyków, ani subatomowego kleju. Nie. Nanofagi wytwarzano setkami, tysiącami, a nawet bilionami podczas procesów biochemicznych i enzymatycznych, precyzyjnie kontrolowanych przez odczyn pH, temperaturę i ciśnienie. Każdy element nanofagu rozwijał się w innym roztworze chemicznym i w innych warunkach. W jednym zbiorniku formowano podstawową strukturę, zmywano nadmiar pożywki, następnie przenoszono materiał do drugiego, gdzie w kąpeli chemicznej o zupełnie innym składzie narastała kolejna warstwa produktu finalnego.

Proces ten wymagał nieustannego nadzoru i wielkiej precyzji czasowej.

Podeszli do monitora. W szklanym pojemniku znajdowało się dwanaście białych myszek.

Sześć z nich chorowało na sztucznie wywołanego raka i ich ciało pokrywały liczne guzy i narośle. Te zachowywały się ospale, niemal letargicznie. Pozostałe myszki należały do grupy odniesienia i były całkowicie zdrowe: biegały tam i z powrotem, szukając drogi ucieczki. Każdą oznaczono kolorową metką z numerem. Wokół pojemnika stały wideokamery oraz czujniki gotowe nagrać i zarejestrować każdy etap doświadczenia.

Brinker wskazał mały metalowy zbiornik przymocowany do pojemnika.

– Oto nasze maleństwa – powiedział. – Plus minus pięćdziesiąt milionów nanofagów nowej wersji. –

Spojrzał na kręcącego się w pobliżu technika. – Mike, dałeś naszym przyjaciółkom zastrzyk?

– Oczywiście, panie doktorze. Własnoręcznie, dziesięć minut temu. Każda dostała porządną szprycę.

– Nanofagi wprowadzamy w stanie obojętnym – wyjaśnił Brinker. – ATP, ich wewnętrzna bateryjka, jest bardzo czuła, dlatego musimy otoczyć ją specjalną pochewką.

Jon wiedział dlaczego. Molekuła ATP, adenozyntrójfosforan, dostarczała energii procesom metabolicznym. Sęk w tym, że zaczynała ją wyzwalać już w chwili zetknięcia się z cieczą, a przecież wszystkie żywe stworzenia zawierały w większości wodę.

Kiwnął głową.

– Zastrzyk jest rozrusznikiem.

– Otóż to – potwierdził Brinker. – Każda myszka dostaje swoisty sygnał chemiczny. Gdy wykryje go bierny czujnik nanofagu, pochewka się otwiera i otaczający płyn uaktywnia ATP.

Nasz mały przyjaciel momentalnie się ożywia i wyrusza na łów.

– A więc pochewka pełni również funkcję bezpiecznika – zauważył Jon.

– Na wypadek gdyby któryś z nich trafił nie tam, gdzie trzeba. Na przykład do organizmu jednego z was.

– Właśnie. Nie ma sygnału chemicznego, nie ma polowania.

Ale Parikh miał co do tego wątpliwości.

– Istnieje pewne ryzyko – ostrzegł. – Małe, ale istnieje. Należy uwzględnić współczynnik błędów w procesie produkcyjnym. Niektóre nanofagi mogą być wadliwe...

– Ze źle uformowaną pochewką? Z brakującym czujnikiem albo czujnikiem nastrojonym na mylny sygnał? Z nieodpowiednimi substancjami biochemicznymi pod powłoką?

– Coś w tym rodzaju – przyznał Brinker. – Ale odsetek tych wadliwych jest niewielki.

Absurdalnie mały. Prawie równy zeru. – Wzruszył ramionami. – Poza tym nanofagi są zaprogramowane na eliminowanie komórek rakowych i szkodliwych bakterii. Co komu szkodzi, jeśli kilka z nich zabłądzi i przez parę minut będzie wędrowało bez celu po organizmie?

Smith sceptycznie uniósł brew. Czyżby Brinker żartował? Ryzyko małe czy duże, ale podchodził do tego zbyt nonszalancko. Nauka jest sztuką mozolnego dochodzenia do prawdy i bez względu na skalę potencjalnego niebezpieczeństwa nie można było tak po prostu go skreślić.

Brinker zobaczył jego minę i się roześmiał.

– Nie bój się, Jon, jeszcze nie zwariowałem. Przynajmniej nie do końca. Trzymamy je na bardzo krótkiej smyczy. Są dobrze strzeżone i zabezpieczone. Poza tym Ravi ma na mnie oko.

No więc jak? W porządku?

Jon kiwnął głową.

– Chciałem się tylko upewnić. Przypisz to mojej szpiegowskiej naturze.

Brinker posłał mu krótki, krzywy uśmiech i spojrział na techników czuwających przy konsolach i monitorach.

– Wszyscy gotowi?

Jeden po drugim technicy podnieśli do góry kciuk.

– Dobra – rzucił Brinker. Oczy mu błyszczały. – Doświadczenie na żywym organizmie numero uno, nanofagi numero due. Na mój znak: trzy, dwa, jeden... Teraz!

Z metalowego zbiornika dobył się głośny syk.

– Poszły – zameldował jeden z techników, obserwując wskaźnik.

Przez kilka minut nie działo się absolutnie nic. Zdrowe myszki biegały tu i tam tak samo jak przedtem. Chore leżały bezwładnie na dnie pojemnika.

– Cykl ATP zakończony – zameldował w końcu inny technik. – Cykl życia nanofagów też. Koniec doświadczenia.

Brinker z ulgą wypuścił powietrze i triumfalnie spojrział na Smitha.

– I już po wszystkim. Milusie futrzaki. Teraz je uspimy, rozkroimy i sprawdzimy, ile komórek rakowych zdołaliśmy zniszczyć. Głowę daję, że niemal wszystkie.

Ravi Parikh nie odrywał oczu od myszek. Nagle zmarszczył czoło.

– Phil, chyba mamy uciekiniera – powiedział cicho i spokojnie. – Spójrz na obiekt numer 5.

Smith nachylił się nad ekranem. Mysz numer 5 należała do grupy odniesienia i była jedną z tych zdrowych. Ale teraz krążyła błędnie po dnie pojemnika, potykając się o swoje towarzyszki, gwałtownie otwierając i zamykając pyszczek. Nagle przewróciła się na bok, przez kilka sekund wiła w agonii i wreszcie znieruchomiała.

– Cholera jasna – mruknął Brinker, patrząc na nią tępym wzrokiem. – Nie powinno do tego dojść...

Jon zmarszczył czoło i doszedł do wniosku, że trzeba ponownie sprawdzić obowiązujące tu procedury bezpieczeństwa. Oby były tak dokładne, jak twierdzili Brinker i Parikh. I oby to, co przed

chwila zabiło zupełnie zdrową mysz, nigdy nie wydoszło się z laboratorium.

Dochodziła północ.

Niecałe dwa kilometry na zachód na czystym, zimnym niebie lśniła żółtawa luna światła

Santa Fe. Rozmyte światło sączyło się również zza opuszczonych żaluzji w oknach Instytutu Tellera. Zainstalowane na dachu reflektory łukowe rozcinały mrok, rzucając długie, czarne cienie na otaczające budynek trawniki. Mała kępa sosen i jałowców tuż za północnym skrajem ogrodzenia tonęła w aksamitnej ciemności.

Paolo Ponti pełznął przez wysoką, suchą trawę, ostrożnie zagarniając ziemię długimi wyrzutami rąk. Trzymał się cienia. W czarnej bluzie i ciemnych dżinsach był prawie niewidoczny. Miał dwadzieścia cztery lata, był szczupły i atletycznie zbudowany. Pół roku wcześniej, zmęczony studenckim życiem na skromnym stypendium, przyłączył się do Ruchu Łazarza.

W jego szeregach znalazł sens życia i poczucie celu. Nawet nie przypuszczał, że znajdzie w nich również aż tyle stymulujących podniet. Tajna przysięga na wierność Matce Ziemi, zgodnie z którą przyrzekł bronić jej przed wrogami, wydawała mu się początkowo głupia i melodramatyczna. Ale tylko początkowo, gdyż wkrótce potem w pełni zaakceptował doktryny ruchu i zaczął je wyznawać z żarliwością, jaka zadziwiła wszystkich tych, którzy go znali –

a nawet jego samego.

Zerknął przez ramię na rozmytą w mroku sylwetkę kobiety, która podążała za nim.

Audrey Karavites, dwudziestojednoletnia Amerykanka. Poznał ją przed miesiącem w Stuttgarcie.

Skończyła college i rodzice zafundowali jej wycieczkę po Europie. Znudzona muzeami i kościołami, dla kaprysu poszła na wiec. Ten kaprys całkowicie odmienił jej życie: Paolo błyskawicznie ją poderwał, wciągnął najpierw do łóżka, a potem do ruchu.

Odwrócił się i uśmiechnął z zadowoleniem. Audrey nie była piękna, miała jednak czym oddychać i na czym siedzieć. A co ważniejsze, miała również bogatych rodziców, którzy regularnie przysyłali jej kieszonkowe, w dodatku tak duże, że mogli sobie pozwolić na dwa bilety lotnicze do Santa Fe, żeby wziąć udział w wiecu protestacyjnym przeciwko nanotechnologii i zgniłemu amerykańskiemu kapitalizmowi.

Ogrodzenie. Nareszcie. Podczołgał się tak blisko, że czubkami palców musnął zimny metal. Popatrzył przez siatkę. Kaktusy, kępy bylicy i miejscowych roślin, które zasadzono tam, żeby powstrzymać proces erozji gleby, powinny zapewnić dobrą osłonę. Spojrzał na podświetloną tarczę zegarka. Następny patrol powinien przejść tędy dopiero za godzinę.

Świetnie.

Jeszcze raz dotknął siatki, ale tym razem zrobił to zakrzywionymi palcami, żeby sprawdzić jej wytrzymałość. Zadowolony kiwnął głową. Wiedział, że nożyce do cięcia metalu, które miał pod

bluzą, bez trudu się z nią uporają.

Nagle dobiegł go głośny suchy, ostry odgłos przypominający trzask gałęzi pękającej w silnych rękach. Zmarszczył brwi. To na pewno Audrey. Czasami poruszała się z wdziękiem artretycznego nosorożca. Ponownie odwrócił głowę, chcąc skarcić ją gniewnym spojrzeniem.

Zwinięta w kłębek Audrey leżała na boku w wysokiej trawie. Głowę miała przekrzywioną tak nienaturalnie, że aż go zemdliło. Przerażonymi, nieruchomymi, wytrzeszczonymi oczami patrzyła w pustkę. Miała skręcony kark. Nie żyła.

Zaszokowany Paolo usiadł. Początkowo nie mógł zrozumieć, co się stało, nie wierzył

własnym oczom. Otworzył usta do krzyku, lecz w tym samym momencie ktoś zatkał mu je potężną ręką i gwałtownym ruchem odchylił do tyłu głowę. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, był

straszliwy ból, z jakim zimne jak lód ostrze wbiło mu się w odsłonięte gardło.

Wysoki mężczyzna o kasztanowych włosach wyszarpnął nóż i wytarł go w czarną bluzę martwego Włocha. Miał błyszczące, jasnozielone oczy.

Popatrzył na zamordowaną dziewczynę. Jej płócienną torbę przeszukiwało dwóch zamaskowanych, ubranych na czarno mężczyzn.

– No i?

– Tak, jak mówiłeś – szepnął chrapliwie jeden z nich. – Sprzęt do wspinaczki. Puszki świecącej farby w spreju. I porzecz ruchu.

Rozbawiony Prima pokręcił głową.

– Amatorzy.

Drugi mężczyzna przyklęknął tuż obok niego.

– Twoje rozkazy?

Zielonooki olbrzym wzruszył ramionami.

– Oczyszćcie teren. A potem pozbądźcie się ciał. Zostawcie je gdzieś, gdzie na pewno je znajdą.

– Mają je znaleźć jutro czy później? – spytał spokojnie mężczyzna.

Prima błysnął białymi zębami.

– Jutro, najlepiej rano.

Środa, 13 października

Wstępne analizy nie wykazują obecności zanieczyszczeń w pierwszych czterech kąpielach chemicznych. Temperatura i pH też utrzymywały się w założonej normie...

Smith usiadł wygodniej i przeczytał wszystko jeszcze raz. Piekły go oczy. Przez pół nocy wraz z Philem Brinkerem, Ravim Parikhem i pozostałymi członkami zespołu Harcourta przeglądał formuły biochemiczne i procedury produkcyjne nanofagów, lecz na próżno: mimo wysiłków, nie znaleźli błędu, który zepsuł doświadczenie z drugą wersją produktu –

przynajmniej jak dotąd. Wiedział, że Brinker i reszta wciąż ślęczą nad stertami komputerowych wydruków z danymi, że wciąż nad tym pracują. Za niecałe czterdzieści osiem godzin prezydent Stanów Zjednoczonych miał publicznie pochwalić ich za wybitne osiągnięcia, nic więc dziwnego, że odczuwali wielką presję. Ich nowy, „ratujący życie” produkt zabijał zdrowe myszy

– właściciele Harcourta zrobiliby wszystko, żeby media to przemilczały.

– Doktor Smith?

Odwrócił się, z trudem tłumiąc irytację. Do jasnej cholery, kto śmiał mu przeszkadzać?

– Tak?

W drzwiach stał mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, koszuli i blado-czerwonym krawacie. W rękę trzymał skserowaną listę nazwisk.

– Doktor Jonathan Smith?

– Tak, to ja. – Jon usiadł prosto. Zauważył lekkie wybrzuszenie kabury pod marynarką tamtego. Dziwne. Prawo do noszenia broni na terenie instytutu mieli tylko umundurowani strażnicy. – A pan kto?

– Agent specjalny Mark Farrows, US Secret Service.

No to wszystko jasne – stąd broń. Smith odetchnął.

– Czym mogę służyć? Coś się stało?

– Boję się, że będzie pan musiał stąd wyjść. – Farrows uśmiechnął się z rezerwą, przeczuwając następne pytanie. – Nie, nie, nie jest pan aresztowany. Pracuję w wydziale ochrony, przeszukujemy budynek.

No tak. Amerykańskie instytucje naukowe bardzo sobie ceniły prezydenckie wizyty, ponieważ przydawały im prestiżu i z reguły pociągały za sobą wyższe dotacje finansowe z Kongresu. Ale coś

za coś: wizyty te łączyły się z wieloma niedogodnościami, których w żaden sposób nie można było uniknąć. Operacje takie jak ta – przeczesywanie budynku w poszukiwaniu materiałów wybuchowych, bomb, kryjówek dla potencjalnych zamachowców oraz innych niebezpieczeństw – zawsze burzyły porządek dnia, i to dość skutecznie.

Z drugiej strony, było oczywiste, że obowiązkiem agentów Secret Service jest ochrona prezydenta. Bezpieczne przeprowadzenie głowy państwa przez labirynt pełen trujących chemikaliów, gorących kadzi pod monstrualnym ciśnieniem i elektrycznych kabli pod napięciem tak wysokim, że z powodzeniem mogłoby zasilić małe miasto, musiało być prawdziwym koszmarem.

Pracownicy instytutu wiedzieli już o inspekcji – uprzedziło ich kierownictwo – lecz powszechnie zakładano, że agenci zjawią się dopiero nazajutrz, w przeddzień przyjazdu prezydenta. Stale powiększająca się armia demonstrantów za ogrodzeniem musiała pchnąć ich do szybszego działania.

Smith wstał, zdjął z krzesła kurtkę i wyszedł na korytarz. Ciągnął tam sznur naukowców, techników i pracowników administracyjnych, których większość niosła laptopy, żeby popracować gdzieś na uboczu, dopóki agenci nie pozwolą im wrócić do biur i laboratoriów.

– Zapraszamy wszystkich do baru – powiedział grzecznie Farrows, wskazując kierunek. –

To nie potrwa długo. Mamy nadzieję, że najwyżej godzinę.

Dochodziła jedenasta i perspektywa czekania w zatłoczonym barze jakoś mu nie odpowiadała. Siedział tu przez całą noc, wdychając sterylnie oczyszczone powietrze i pijąc stęchlą kawę. Czuł, że jeszcze trochę i zwariuje. Spojrzał na Farrowsa.

– Jeśli nie zrobi to panu różnicy, pójdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Agent położył mu rękę na ramieniu.

– Przykro mi, panie doktorze, ale robi. Mam wyraźne rozkazy. Wszyscy pracownicy instytutu muszą przejść do baru.

Smith otaksował go zimnym spojrzeniem. Bynajmniej nie zamierzał przeszkadzać im w pracy, ale żeby mieli nim aż tak pomiatać? Po jego trupie. Zesztywniał, czekając, aż Farrows zabierze rękę.

– W takim razie pańskie rozkazy mnie nie dotyczą – odparł spokojnie. – Nie jestem pracownikiem Instytutu Tellera. – Otworzył portfel i pokazał mu wojskową legitymację.

Agent zerknął na nią i uniósł brew.

– Pułkownik? Myślałem, że jest pan jednym z tych tu.

– Tak, to też – odparł Jon. – Przysłano mnie z Pentagonu. – Ruchem głowy wskazał listę, którą tamten wciąż trzymał w ręku. – Dziwne, że nie macie tego w papierach.

Farrows wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że ktoś coś schrzanił, pewnie ci z Waszyngtonu. To się zdarza. –

Postukał palcem w maleńką słuchawkę w uchu. – Pozwoli pan, że spytam szefa.

Agenci byli podzieleni na grupy, a każda grupa miała swego dowódcę. Smith kiwnął głową i cierpliwie zaczekał, aż Farrows wyjaśni sytuację z przełożonym.

– Może pan iść – powiedział tamten, skończywszy rozmawiać. – Tylko proszę nie odchodzić za daleko. Te oszołomy od Łazarza są dzisiaj w podłym nastroju.

Jon minął go i wszedł do frontowego holu. Po lewej stronie były schody na piętro, po prawej rząd drzwi do pomieszczeń biurowych. Za wysokim do pasa marmurowym murkiem po drugiej stronie holu mieściło się stanowisko rejestracyjno-informacyjne. Tuż obok były wielkie, drewniane drzwi, główne wejście do instytutu.

Niskie, szerokie schody w kolorze piasku prowadziły na duży podjazd, a u ich stóp parkowały dwie wielkie terenówki z rządowymi tablicami rejestracyjnymi. Tuż za drzwiami stał

ubrany po cywilnemu agent Secret Service, mając oko zarówno na hol, jak i na podjazd. Był

w ciemnych okularach, a na zgięciu łokcia opierał lufę groźnie wyglądającego pistoletu maszynowego MP5 Hecklera & Kocha. Lekko obrócił głowę, otaksował Smitha czujnym spojrzeniem i przeniósł wzrok z powrotem na hol.

Jon przystanął u szczytu schodów i z błogą ulgą wystawił opaloną twarz na ciepłe promienie słońca. Chłód minął wraz z porankiem, a po błękitnym niebie leniwie płynęły białe obłoczki. Był piękny jesienny dzień.

Wziął głęboki oddech, próbując wydalić z organizmu toksyny zmęczenia.

– Łazarz naszym przywódcą! Precz z nanotechnologią! Łazarz naszym przywódcą! Precz z nanotechnologią!

Jon zmarszczył czoło. Wrzaskliwe, rytmiczne skandowanie – złudzenie ciszy i spokoju momentalnie przyszło. Byli o wiele głośniejsi i bardziej gniewni niż poprzedniego dnia. Popatrzył

na tłoczących się przy ogrodzeniu demonstrantów. Przybyło ich, i to wyraźnie. Przed instytutem kłębiło się teraz osiem, może nawet dziesięć tysięcy ludzi.

Z każdym okrzykiem nad tłumem podnosiło się i opadało morze krwawo-czerwonych transparentów. Organizatorzy protestu uwijali się po skleconym naprędcie podeście przed bramą, wykrzykując do mikrofonu hasła i jeszcze bardziej podburzając już i tak wzburzony tłum.

Brama była zamknięta. Stała przed nią grupka mocno zdenerwowanych strażników w szarych mundurach ochrony instytutu. Wzdłuż drogi za ogrodzeniem parkowało kilka radiowozów: dwa czarno-białe, z policji stanowej, i błękitno-białe w złote pasy z urzędu szeryfa hrabstwa Santa Fe.

– Będzie niezły burdel – dał się słyszeć ponury głos od strony drzwi.

Jon zerknął przez ramię. Szedł ku niemu Frank Diaz. Był w grubej kamizelce kuloodpornej. W ręku trzymał hełm, z ramienia zwisał mu trzystrzałowy remington, a z ładownic na pasie sterczały łuski naboju kaliber 12 milimetrów i pociski z gazem łzawiącym.

– Co ich tak nakręciło? – rzucił Smith. – Prezydent i telewizja przyjadą dopiero pojutrze.

Skąd ta wściekłość?

– Dziś w nocy ktoś załatwił dwóch członków ruchu – odparł Diaz. – Policja znalazła ich w pojemniku na śmieci, pod tym centrum handlowym przy Cerrillos Road. Jeden miał

poderżnięte gardło, drugi skręcony kark.

Jon przeciągle zagwizdał.

– O cholera...

– No nie? – Diaz odchrząknął i splunął. – A te oszołomy z megafonami mówią, że to my.

Smith zmrużył oczy.

– No to wszystko jasne.

– Wygląda na to, że chcieli przeciąć siatkę – mówił dalej Diaz. – W akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa, cholera. A myśmy ich nakryli i zaszlachtowali. Co za palanty.

– Taaa... – mruknął z roztargnieniem Smith. Powiódł wzrokiem po ogrodzeniu.

Wydawało się nietknięte. – Co w niczym nie zmienia faktu, że tamtych dwóch nie żyje i że według nich to wy ich zabiliście.

– Panie pułkowniku – odparł gniewnie Diaz. – Gdybym to ja zaciukał tych popieprzonych ekodupków, myśli pan, że byłbym na tyle głupi, żeby wrzucać ich potem do pojemnika na śmieci w centrum handlowym?

Smith pokręcił głową i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Nie, sierżancie, nie przypuszczam.

– No właśnie.

– Ale ktoś to jednak zrobił. Ciekawe kto.

Ravi Parikh nie odrywał oczu od silnie powiększonego obrazu na ekranie monitora.

Sferyczna osłona półprzewodnikowa trzymała parametry, wszystko wyglądało jak trzeba.

Powiększył obraz jeszcze bardziej i przyjrzał się przedniej połowie nanofagu.

– Siatka czujników – mruknął. – Tu też w porządku.

Znużony Brinker kiwnął głową.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent nanofagów nie ma żadnych wad technicznych. –

Przetarł oczy. – A te z wadami nie wykształciły nawet siatki, co oznacza, że przez cały czas były nieaktywne.

Parikh zmarszczył czoło.

– Tym samym niegroźne.

– Przynajmniej dla organizmu nosiciela. – Brinker spojrział posepnie na ekran. – Sęk w tym, że ten, który trafił do organizmu myszy numer 5, po prostu ją zabił. – Stłumił ziewnięcie.

– Jezu, Ravi, to jak szukanie igły w stogu siana.

– Może będziemy mieli szczęście.

– Cóż, trzeba próbować. Zostało nam... czterdzieści siedem godzin i trzydzieści dwie minuty.

Brinker obrócił się z fotelem. Kilka kroków dalej stał szef agentów Secret Service, którzy sprawdzali laboratorium przed wizytą prezydenta. Miał prawie dwa metry wzrostu, sto dziesięć, może sto piętnaście kilo wagi, kasztanowe włosy i jasnozielone oczy. Stał tam i uważnie obserwował dwóch podwładnych, którzy rozmieszczali w laboratorium coś, co nazywał

„czujnikami do wykrywania urządzeń podsłuchowych i materiałów wybuchowych”.

Brinker strzelił palcami, próbując przypomnieć sobie jego nazwisko. Fitzgerald?

O’Connor? Jakieś takie... irlandzkie.

– Panie... Kennedy?

Olbrzym odwrócił głowę.

– O’Neill, panie doktorze. Thomas O’Neill.

– Oczywiście, przepraszam. – Brinker wzruszył ramionami. – Chciałem tylko podziękować, że pozwolił pan nam tu zostać.

O’Neill uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie. Oczy miał zimne jak lód.

– Nie ma za co, panie doktorze. Nie ma za co.

– Łazarz naszym przywódcą! Nie chcemy umierać! Precz z nanotechnologią! Łazarz naszym przywódcą!

Malachi MacNamara stał tuż przed podestem, prawie w samym środku rozszerzonego, rozwrzeszczanego tłumu. Podobnie jak pozostali on też rytmicznie wymachiwał zaciśniętą pięścią. I jak pozostali wrzeszczał ile tchu w piersi. Ale jego jasnoniebieskie oczy nieustannie lustrowały okolice.

Tuż obok przez rzesze demonstrantów przebijali się ochotnicy, rozdając flagi, transparenty i plakaty na długich kijach. Wyciągały się ku nim dziesiątki rąk. MacNamara przepchnął się bliżej i też wyciągnął rękę. Dostał plakat, powiększone zdjęcie Paola Pontiego i Audrey Karavites, zdjęcie, które musiano zrobić niedawno, gdyż oboje stali na nim na tle ośnieżonych szczytów Sangre de Cristo. Nad ich głowami wypisano słowa: ICH

ZAMORDOWANO, ALE ŁAZARZ WCIAŻ ŻYJE!

Skandując wraz z tłumem, MacNamara kiwnął głową. Sprytne, pomyślał zimno. Bardzo sprytne...

Pełen nienawiści ryk z każdą sekundą przybierał na sile.

– Jezu Chryste – mruknął Diaz. – Jak podczas karmienia dzikich bestii w zoo.

Smith zacisnął usta. Żałował, że nie ma pistoletu, ale tylko przez chwilę. Pokręcił głową.

Nie. Gdyby zrobiło się naprawdę nieciekawie, nie uratowałyby mu życia ani beretta, ani piętnaście nabojów kaliber 9 milimetrów w magazynku. Poza tym nie wstąpił do wojska po to, żeby strzelać do bezbronnych cywilów.

Jego uwagę przykuły niebieskie światła migające na drodze dojazdowej do instytutu.

Przebijając się przez zwarty tłum, powoli sunął ku nim konwój samochodów, w tym czarnych terenówek. Nawet z tej odległości widać było, jak demonstranci wygrażają im pięściami. Spojrzał na Diaza.

– Spodziewacie się posiłków?

Sierżant pokręcił głową.

– A skąd. Nie licząc Gwardii Narodowej, ściągnęliśmy tu chyba wszystkie jednostki w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. – Zmrużył oczy. Samochód jadący na czele kolumny właśnie dotarł do bramy. – A to na pewno nie jest gwardia.

Zadzwieczał radionadajnik, rozległ się czyjś chrapliwy głos.

– Panie sierżancie? Tu Battaglia.

– Melduj – warknął Diaz.

– Przyjechało jeszcze więcej federalnych, ale coś tu, kurde, nie gra.

– No?

– Oni mówią, że... że są z Secret Service – wyjąkał strażnik. – Że są tylko oni, że innych tu nie powinno być. Dowodzi nimi agent O’Neill i jak mu powiedziałem, że nie otworzę bramy, chciał mi nogi z dupy powyrywać.

Diaz powoli opuścił nadajnik i zdezorientowany popatrzył na Smitha.

– Dwie grupy agentów Secret Service? Jakim cudem?

Jon zeszywniał. Przeszedł go dreszcz.

– To niemożliwe – odparł.

Poszperał w wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął telefon komórkowy – specjalny model z szyfratorem – i wcisnął przycisk, uruchamiając bezpośrednio połączenie z numerem awaryjnym.

Usłyszał pojedynczy sygnał i spokojny głos Nathaniela Fredericka Kleina, szefa Tajnej Jedyńki.

– Słucham, Jon. Co się stało?

– Możecie wejść do wewnętrznego systemu łączności Secret Service?

Chwila ciszy.

– Tak, możemy.

– To szybko! Muszę natychmiast wiedzieć, gdzie są teraz agenci przydzieleni do zabezpieczenia Instytutu Tellera.

– Zaczekaj.

Smith zerknął na Diaza, który przyglądał mu się z dziwną miną i niedowierzaniem w oczach.

– Frank, czy ci z Secret Service, ci z budynku, znają waszą częstotliwość? – Ruchem głowy wskazał radionadajnik.

– Jasne, tak.

– W takim razie przydałaby mi się jakaś broń – rzucił zimno Jon.

Diaz uniósł brwi.

– Nie ma sprawy. – I podał mu beretkę.

Smith sprawdził magazynek, wetknął go do rękojeści, przybił nasadą dłoni, trzasnął suwadłem, wprowadzając nabój do komory, delikatnie opuścił kurek i przesunął kciukiem skrzydełko bezpiecznika, wszystko to serią szybkich, płynnych ruchów.

Brwi Diaza podjechały jeszcze wyżej.

– Tak myślałem. Może i jest pan lekarzem, ale nie tylko.

Odezwał się Klein.

– Grupa dowodzona przez agenta specjalnego Thomasa O’Neilla jest teraz przed bramą instytutu. Meldują, że strażnicy nie pozwalają im wjechać. – Klein jakby się zawahał. – Jon, co się tam dzieje?

– Teraz nie mam czasu – odparł Smith. – Powiem tylko, że przysłali nam tu konia trojańskiego i że ci przekłęci Grecy są już w mieście.

I rzeczywiście, czasu mieli mniej, niż przypuszczał, gdyż fałszywy agent Secret Service, ten, którego minął w drzwiach, zbiegł schodami na dół i wycelował w nich z automatu.

Jon zareagował szybko i odruchowo: rzucił się w bok i z pistoletem w wyciągniętych przed siebie rękach wylądował u podnóża schodów. Diaz skoczył w przeciwną stronę.

Tamten wahał się przez ułamek sekundy, szukając większego, tym samym pewniejszego celu. Wreszcie wybrał Diaza.

Błąd, pomyślał chłodno Smith. Duży błąd. Przesunął skrzydełko bezpiecznika i pociągnął za spust. Huk i silny odrzut: lufa podskoczyła do góry. Wycelował ponownie i ponownie pociągnął za spust.

Oba pociski trafiły w cel, rozrywając ciało i gruchocząc kości. Niedoszły strzelec runął na ziemię z dwukrotnie przestrzeloną piersią. MP5 zaklekotał na schodach i znieruchomiał w coraz szerszym strumieniu spływającej po nich krwi.

Otworzyły się drzwi samochodu. Jon rzucił okiem na podjazd.

Z parkującej tam czarnej terenówki wysiadał ubrany na ciemno mężczyzna. Ścisnął w rękę sig–sauera, którego lufa celowała prosto w jego głowę.

Smith szarpnął się rozpaczliwie, próbując przesunąć broń w lewo i doskonale wiedząc, że nie zdąży, że jest już za późno: tamten miał go jak na widelcu i już zaciskał palec na spuście.

Diaz wygarnął do niego z remingtona. Strzelił z bardzo bliskiej odległości, dosłownie z dwóch, trzech kroków: pocisk z gazem łzawiącym trafił tamtego w podbródek, urwał mu głowę, odbił się od terenówki i eksplodował w powietrzu. Chmura szarej mgły powoli odpłynęła z wiatrem na wschód, z

dala od budynku.

– Ozesz ty – wymamrotał sierżant. – A miało tylko szczypać w oczy. – Szybko załadował broń ostrą amunicją. – Co teraz, panie pułkowniku?

Smith leżał na brzuchu, spoglądając na szerokie drzwi instytutu i wypatrując kolejnych przeciwników. Ale nie, w holu nic się nie ruszało, przynajmniej chwilowo.

– Osłaniaj mnie.

Diaz kiwnął głową, ukląkł i wymierzył w drzwi.

Jon wczołgał się na schody i szybko dotarł do miejsca, gdzie leżał martwy bandzior, ten, który chciał skasować ich z automatu. W nos uderzył go gorący, metaliczny zapach krwi i smród odchodów. Tylko spokojnie, powtarzał sobie w duchu. Spokojnie. Nie zwracaj na to uwagi.

Najpierw wygraj, potem przyjdzie pora na żal. Zabezpieczył pistolet, wetknął go za pasek spodni na plecach i szybko podniósł ze schodów automat.

Radionadajnik. Tamten miał go na pasku. Dobrze byłoby wiedzieć, co knują, pomyślał

Jon. Odpiął urządzenie i wetknął do ucha małą słuchawkę.

– Delta Jeden? – Czyjś chrapliwy głos. – Delta Dwa? Zgłóście się.

Smith wstrzymał oddech. Oto i wróg. Tylko kim te sukinsyny są? I skąd się tu wzięli?

– Delta Jeden, zgłoś się – powtórzył głos. – Tu Prima. Delta Jeden i Delta Dwa poza siecią. Uwaga, wszystkie sekcje: przechodzimy na CZAW. Na mój znak: trzy, dwa, jeden, już.

Głos ucichł, w słuchawce rozległ się cichy syk. Jon wiedział, co się stało. Zdawszy sobie sprawę, że nieprzyjaciel przechwycił co najmniej jeden z radionadajników, zgodnie z wcześniej ustalonym planem ci w budynku przeszli na CZAW, na częstotliwość awaryjną. Urządzenie było teraz bezużyteczne.

Smith cicho zagwizdał. Bez względu na to, co się tu, u diabła, działo, jedno nie ulegało wątpliwości: on i Diaz mieli do czynienia z bandą zimnych, wyrachowanych zawodowców.

Zielonooki olbrzym o kasztanowych włosach zmarszczył brwi. Owszem, plan misji uwzględniał możliwość wcześniejszego przybycia prawdziwych agentów Secret Service, jednak strata dwóch ludzi obstawiających wejście do instytutu stanowiła dużo poważniejszą komplikację. Podniósł klapę marynarki i cichym, spokojnym głosem powiedział do ukrytego tam mikrofonu:

– Sierra Jeden, tu Prima. Zabezpiecz schody. Szybko. – Spojrzał w lewo. – Długo jeszcze?

Starszy technik, niski, krępy, o słowiańskich rysach twarzy, zerknął na niego znad dużego, metalowego cylindra, do którego właśnie podłączał zapalnik radiowy; cylinder był przytwierdzony do biurka pod wysokim, panoramicznym oknem.

– Dwie minuty. – Wymamrotał coś do mikrofonu i znieruchomiał, wytyżając słuch. –

Nasi meldują, że w pozostałych laboratoriach też już prawie kończą.

– Czy coś się stało?

Zielonooki olbrzym odwrócił się na pięcie. Stał przed nim ten ciemnoskóry Hindus, Ravi Parikh. Jego kolega Brinker wciąż głowił się nad zagadką wadliwego nanofagu, ale on chyba zaczął coś podejrzewać.

Prima uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie, panie doktorze. Proszę wracać do pracy.

Parikh lekko się zawahał.

– Co to jest? – spytał, wskazując pękaty cylinder, przy którym klęczał technik. – Czujnik wykrywający niebezpieczne materiały chemiczne i wybuchowe? Dziwny jakiś...

– Proszę, proszę – odparł Prima. – Bardzo pan spostrzegawczy. – Zrobił krok do przodu i kantem dłoni niemal od niechcienia uderzył go w szyję.

Hindus osunął się bezwładnie na podłogę.

Zaskoczony hałasem Brinker gwałtownie odwrócił głowę i zaszokowany spojrzał na swego kolegę.

– Ravi? Co się...

Zadawszy cios, Prima zgiał rękę, wykonał płynny obrót i z przerażającą siłą kopnął go w pierś. Brinker runął na biurko i stojący na nim monitor. Głowa odskoczyła mu do tyłu, pękły kręgi szyjne. Upadł i znieruchomiał.

Smith kręcił gąłką to w prawo, to w lewo, żeby jak najszybciej przeszukać jak największy zakres częstotliwości. Kręcił i uważnie nasłuchiwał. Nie, nic z tego. Szum eteru, ciche trzaski, cisza. Żadnych głosów. Żadnych rozkazów, które mogliby ewentualnie przechwycić.

Zmarszczył czoło, wyszarpnął słuchawkę z ucha i odłożył nadajnik. Musieli ruszać.

Gdyby zostali tutaj, oddaliby inicjatywę nieprzyjacielowi. Utrata inicjatywy jest niebezpieczna nawet w walce z amatorami – w walce z dobrze wyszkolonymi zawodowcami to prawdziwa katastrofa. Tamci siedzieli teraz w instytucie. Działali spokojnie i metodycznie, knując coś wrednego. Tylko co? Czy to był zamach terrorystyczny? Ryzykowna próba szpiegostwa przemysłowego? Sabotażu? A może chcieli wziąć zakładników?

Pokręcił głową. Nie wiadomo. Przynajmniej na razie. Ale bez względu na to, co teraz robili, on i Diaz musieli ich przycisnąć, i to teraz, zaraz, natychmiast, zanim zdążą zareagować.

Przyklął na jedno kolano, wyciągnął szyję i spojrzał na zacienione wejście do instytutu.

– Dokąd pan idzie? – szepnął Diaz.

– Do środka.

Sierżant wytrzeszczył oczy.

– To szaleństwo! Nie lepiej zaczekać na pomoc? Tam jest ich co najmniej dwudziestu!

Smith zaryzykował i zerknął przez ramię na ogrodzenie i bramę. Tłum zaczynał wymykać się spod kontroli: ludzie coraz mocniej napierali na siatkę i wściekle tłukli pięściami w karoserię terenówek Secret Service. Nie chcąc ich bardziej prowokować, agenci pochowali się w samochodach i pozamykali drzwi, ale nawet gdyby strażnicy otworzyli bramę, żeby ich wpuścić, na teren instytutu wdarłyby się tysiące demonstrantów. Jon cicho zaklął.

– Widzisz? – rzucił. – Kawaleria nie nadciągnie, nie tym razem.

– To okopmy się tutaj. – Diaz wskazał kciukiem parkujące z tyłu terenówki. – Spróbują nimi zwiać. Niech oni przyjdą do nas.

Smith pokręcił głową.

– Zbyt ryzykowne. Po pierwsze, ci faceci mogą być samobójcami, którzy wcale nie mają zamiaru stamtąd wychodzić. Po drugie, wiedzą już, że tu jesteśmy. To zawodowcy. Musieli opracować jakiś plan czy trasę ucieczki. Może będą próbowali zwiać śmigłowcem z tego dużego, płaskiego dachu, może za ogrodzeniem czekają na nich samochody. – Ruchem głowy wskazał

remingtona i swój automat. – Po trzecie, tą bronią nie powstrzymamy zdecydowanego ataku.

Jeśli dobrze go zaplanują i przeprowadzą, przetoczą się po nas jak czołg.

– Kurwa – westchnął Diaz, sprawdzając stan amunicji. – Jak ja tego nie lubię. Mam być bohaterem jak John Wayne? Za mało mi płacą.

Smith odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Mnie też. Ale nie mamy wyboru, więc lepiej zamknijcie się, sierzancie, i do roboty. –

Głośno wypuścił powietrze. – Gotowy?

Posępny, lecz zdeterminowany Diaz pokazał mu podniesiony kciuk.

Z pistoletem maszynowym w ręku Jon puścił się pędem w stronę drzwi. Stężały mu mięśnie brzucha, jakby przeczuwając, że już zaraz, za chwilę, rozedrze je wystrzelony z holu pocisk. Ale nie, na parterze instytutu panowała cisza. Ciężko dysząc, przywarł do rozgrzanej przez słońce ceglanej ściany.

Diaz dołączył do niego sekundę później.

Jon przetoczył się za róg i z okiem przy szczerbince, szybkim, płynnym ruchem omiótł

hol lufą automatu. Nikogo. Wielkie, przestronne pomieszczenie było puste. Mocno pochylony skoczył do przodu, żeby skryć się za marmurowym murkiem recepcji. Zza otwartych drzwi powiał lekki wiatr: leżące na biurku papiery zaszeleściły, zawirowały w powietrzu i leniwie spłynęły na wyłożoną płytkami posadzkę.

Smith ostrożnie wystawił głowę.

– Padnij! – ryknął Diaz.

Kątem oka Jon dostrzegł jakiś cień przesuwany się korytarzem po lewej stronie i rozpląszczył się na podłodze w chwili, gdy tamten otworzył ogień. Strzały padały szybko, raz po raz: pociski grzmociły w murek, rozbryzgując wokoło ostre odłamki marmuru – jeden z nich pozostawił mu na prawej dłoni cienką, krwawą pręgę.

Leżąc wyprostowany, z kolbą automatu wciśniętą w zagłębienie ramienia, Smith odpowiedział kilkoma krótkimi, trzystrzałowymi seriami. Diaz zawtórował mu od drzwi trzema ogłuszającymi wystrzałami z remingtona. Każdy pocisk odłupywał wielkie kawały cegły ze ściany korytarza.

Jon wytoczył się z murku. Tuż nad głową świsnęła mu kula. Niech to szlag! Toczył się coraz szybciej i szybciej, i nagle znieruchomiał. Widok na korytarz? Tym razem był dobry.

Tamten patrzył prosto na niego. Dzielilo ich najwyżej piętnaście metrów, może nawet mniej. Poważny, atletycznie zbudowany mężczyzna: „agent”. Farrows. Klęczał na jednym kolanie, w klasycznej pozycji strzeleckiej, i walił do niego z sig-sauera. Jedna z kul odbiła się rykoszetem od posadzki tuż obok głowy Smitha, siekąc mu policzek odławkami.

Nie zważając na piekący ból, Jon powoli wypuścił powietrze. Muszka, szczerbinka i pierś tamtego –

wszystko w jednej linii. Pociągnął za spust. Automat zaterkotał. Krótko, trzy razy.

Dwa pociski chybiły. Trzeci trafił Farrowsa w twarz i wyrwał mu dziurę w potylicy.

Smith wstał i pobiegł w stronę krętych schodów na piętro. Trzech nie żyje, myślał. Ilu ich jeszcze zostało?

Diaz przeciął hol i przywarł tuż obok niego, powoli omiatając schody lufą remingtona.

– Dokąd teraz? – szepnął.

Dobre pytanie. Wiele zależało od tego, co tamci knuli. Jeśli chcieli wziąć zakładników, większość z nich była na pewno w barze na końcu korytarza, w którym leżał martwy Farrows.

A jeśli tak, to gdyby wpadli tam na oślep, zginęłoby wielu niewinnych ludzi.

Ale nie wiedzieć czemu, Smith wątpił, że chodzi o zakładników. Nie. Jak na coś tak banalnego, operacja była zbyt wyrafinowana, zbyt dokładnie zaplanowana. To, że ludzie ci weszli do instytutu, podając się za agentów Secret Service, za specjalistów, którzy chcą przeczesać budynek w poszukiwaniu bomb i materiałów wybuchowych, świadczyło, że zależało im głównie na swobodnym dostępie do laboratoriów.

Podjął decyzję i wskazał sufit.

Diaz kiwnął głową.

Posuwając się krótkimi skokami, na przemian, ubezpieczając się nawzajem i osłaniając, Smith i strażnik instytutu zaczęli wspinać się schodami na piętro.

– Łazarz żyje! Precz z nanotechnologią! Łazarz żyje! Precz z maszynami śmierci! Łazarz żyje!

Skłębiony, wrzaskliwie skandujący tłum pchnął go prawie na siatkę. MacNamara wykrzywił twarz. Zawsze gardził jawnym demonstrowaniem nieokiełznanych i jakże bezmyślnych emocji – należał do ludzi, którzy o wiele lepiej czują się w dziczy niż wśród tysięcy pobratymców. Jednak wiedział, że w tej sytuacji może tylko ulec i dać się porwać fali tego gigantycznego przypływu. Gdyby stawiał opór, rozszalały tłum powaliłby go na ziemię i stratował.

Co jednak nie oznaczało, że zamierzał odgrywać rolę bezwolnej marionetki.

Krótkimi, silnymi ruchami łokci zadał kilka zjadliwych ciosów w bok trzem napierającym na niego demonstrantom. Ci, wystraszeni przejawem tej wyrachowanej wściekłości, odsunęli się na tyle, że postanowił zaryzykować i zerknąć przez ramię na podest. Podest opustoszał.

MacNamara zmrużył oczy. Podburzywszy ponad dziesięć tysięcy ludzi, doprowadziwszy ich do niekontrolowanej furii, radykałowie z Ruchu Łazarza zniknęli.

Dokąd poszli? Gdzie przepadli?

Szczupły, ogorzały Kanadyjczyk wyciągnął szyję – był na tyle wysoki, że nawet z tej odległości widział skraj tłumu. Dwa samochody Secret Service wycofywały się powoli w kierunku autostrady: powybijane szyby, powgniatane maski i dachy dobitnie świadczyły o wściekłości, z jaką atakowało ich rozszalałe morze ludzi. Żeby nie sprowokować zamieszek na większą

skalę,

wycofywała

się

również

grupka

załęczonych

funkcjonariuszy

z nowomeksykańskiej policji stanowej i biura szeryfa hrabstwa Santa Fe. Znacznie bliżej rozwrzeszczanych demonstrantów były teraz ekipy kilku stacji telewizyjnych, zwabione perspektywą

nakręcenia materiału, który mogłyby sprzedać sieciom krajowym i międzynarodowym.

MacNamara odwrócił się i powiódł wzrokiem po morzu głów w poszukiwaniu tych, których jeszcze niedawno widział na podeście. Ale nie, nic z tego. Wyparowali jak kamfora. No proszę, pomyślał zimno. Robi się coraz ciekawiej. Szczury opuszczające tonący okręt? Czy drapieżniki umykające w knieję, żeby zapolować gdzieś indziej?

Napór tłumu rósł z każdą chwilą, siatka ogrodzenia rozciągała się miejscami i niebezpiecznie wybrzuszała. Krok po kroku, strażnicy instytutu, ci w szarych mundurach, cofali się niepewnie w stronę głównego budynku. Kanadyjczyk kiwnął głową. Nic dziwnego. Tylko głupiec założyłby, że garstka policjantów czy ochroniarzy poradzi sobie z ponad dziesięcioma tysiącami doprowadzonych do ostateczności ludzi, w dodatku na otwartej przestrzeni. Byłoby to czyste samobójstwo, samobójstwo dość żalosne.

Wyteżył wzrok i zeszywniał, dostrzegłszy kilku młodych mężczyzn, którzy z posępną determinacją przebijali się przez las czerwono–zielonych transparentów, plakatów i nienawistnie zaciśniętych pięści. Widział ich poprzedniego dnia przed zielonym namiotem, z długimi płóciennymi torbami na ramieniu.

Tłum skutecznie osłaniał ich przed wzrokiem policji, więc rzuciwszy torby na trawę, wyjęli z nich nożyce do cięcia metalu i oczko po oczku, zaczęli rozcinać siatkę od dołu do góry.

Robili to szybko i wprawnie, tak że już wkrótce kilka fragmentów ogrodzenia runęło na ziemię.

Przez powstałe wyrwy na teren instytutu wdarła się potężna fala napierających zewsząd

demonstrantów, którzy długimi susami pędzili w stronę głównego budynku.

– Łazarz żyje! – wyli. – Łazarz żyje! Łazarz żyje! Precz z nanotechnologią! Precz z maszynami śmierci!

Nie będąc w stanie zrobić nic innego, niebieskooki Kanadyjczyk pobiegł przed siebie, wyjąc wraz z nimi.

Smith skradał się ostrożnie korytarzem, ściskając w rękach gotowy do strzału automat.

Frank Diaz szedł równolegle z nim przy drugiej ścianie.

Dotarli do ciężkich, stalowych drzwi, jednych z wielu na pierwszym piętrze gmachu.

Palila się nad nimi czerwona lampka, a na tabliczce widniał napis: NAUKI BIOLOGICZNE.

WYDZIAŁ GENOMU LUDZKIEGO.

Diaz wskazał drzwi i bezgłośnie poruszył ustami: Wchodzimy?

Jon zdecydowanie pokręcił głową. W instytucie prowadzono kilkanaście wysoko zaawansowanych, niezwykle kosztownych i potencjalnie bezcennych projektów badawczo–

rozwojowych. We dwójkę nie daliby rady sprawdzić wszystkich laboratoriów i biur na piętrze gmachu.

Dlatego postanowił zaryzykować i zdać się na przeczcucie. Wizyta prezydenta miała podkreślić znaczenie badań nanotechnologicznych prowadzonych przez Instytut Harcourta, Nomura PharmaTech oraz przez niezależny zespół badawczy z Instytutu Tellera. Podając się za agentów Secret Service, intruzi zapewnili sobie swobodny dostęp do laboratoriów, w których pracowali naukowcy z tych właśnie ośrodków. Dlatego bez względu na to, co zamierzali, istniało duże prawdopodobieństwo, że przebywali teraz w północnym skrzydle gmachu.

Idąc powoli przed siebie, doszli do rozwidlenia w kształcie litery T na końcu korytarza.

Dokładnie naprzeciwko były prowadzące na dół schody, a zaraz za schodami stalowe drzwi do laboratorium Nomury. Skręcając w prawo, dotarliby do laboratorium niezależnego zespołu z Instytutu Tellera. Gdyby zaś poszli w lewo, znaleźliby się przed drzwiami laboratorium Harcourta, kierowanego przez Phila Brinkera i Ravięgo Parikha.

Smith przystanął. No i? Dokąd teraz?

Nad wejściem do laboratorium Nomury zapaliła się zielona lampka.

– Uważaj! – szepnął i obaj szybko przyklękli.

Otworzyły się drzwi i na korytarz wyszło trzech mężczyzn. Dwóch z nich, jasnowłosa i zupełnie łysa,

było w roboczych kombinezonach: obaj uginali się pod ciężarem skrzynek ze sprzętem na ramieniu. Trzeci mężczyzna, znacznie wyższy i przedwcześnie posiwiasty, był

w ciemnej kurtce i ciemnobrązowych spodniach. W ręku trzymał małe uzi.

Smith zamarł. Serce zabiło mu szybciej. Mogliby skosić ich dwiema krótkimi seriami.

Tak byłoby najprościej i najbezpieczniej, ale gdyby ich zabili, niczego by się nie dowiedzieli.

Bezradnie westchnął. Chociaż to ryzykowne, zamiast trzech milczących trupów znacznie bardziej potrzebował teraz trzech mówiących jeńców.

Wstał i wziął ich na muszkę.

– Rzućcie broń! – warknął. – I łapy do góry!

Kompletnie zaskoczeni mężczyźni znieruchomieli.

– Róbcie, co mówi – dodał spokojnie Diaz, celując w nich z remingtona. – Bo wasz mózg zachłapie te piękne, lśniące drzwi.

Oszołomieni niespodziewanym obrotem sprawy technicy zdjęli z ramion skrzynki, postawili je i podnieśli ręce. Ten wyższy poszedł w ich ślady, chociaż minę miał nietęgą. Pistolet maszynowy zaklekotał na podłodze.

– Podejdźcie bliżej – rozkazał Smith. – Powoli. Jeden po drugim. Ty pierwszy. – Ruchem lufy wskazał siwowłosego. Ten jakby się zawahał.

Chcąc go pospieszyć, Jon wyszedł zza rogu i w tej samej chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch w lewej odnodze korytarza. Obrócił się błyskawicznie z palcem na spuście, ale... nikogo tam nie było. Zamiast kolejnego intruza zobaczył mały, jajowaty przedmiot szybujący łukiem w powietrzu. Poprzecinane głębokimi bruzdami oliwkowe jajo odbiło się od ściany i wtoczyło na środek rozwidlenia. Przez ułamek sekundy Jon nie mógł uwierzyć własnym oczom, lecz zaraz potem górę wzięły lata treningu, sprawdzone w boju odruchy i prymitywny, zwierzęcy strach.

– Granat! – ryknął. Runął na podłogę, zwinął się w kłębek i zasłonił głowę rękami.

Granat eksplodował.

Potężny wybuch poszarpał mu ubranie i odepchnął go kilka metrów dalej. Zafurkotały rozżarzone do białości odłamki. Z wystrzępionych dziur w ścianach posypał się tynk, z roztrzaskanych lamp spadł szklany deszcz.

Ogłuszonemu eksplozją Smithowi dzwoniło w uszach. Niepewnie wyprostował ręce i nogi i powoli usiadł, zdumiony, że nic mu się nie stało. Podniósł leżący tuż obok automat. Na polimerowym łożu lufy i osłonie spustu widniało kilka głębokich rys, ale broń była sprawna.

Powoli odzyskiwał słuch. Doszedł go rozdzierający krzyk. Z korytarza naprzeciwko drzwi do laboratorium Nomury. To ci technicy, ci w kombinezonach. Posiekani dziesiątkami ostrych jak brzytwa odłamków wili się w agonii, rozmazując krew po podłodze. Ten trzeci, siwowłosa, miał więcej szczęścia albo szybszy refleks, bo wyszedł z tego bez szwanku. I właśnie sięgał po broń.

Jon trzykrotnie pociągnął za spust. Mężczyzna upadł na twarz i znieruchomiał.

Smith spojrział w prawo. Diaz... Diaz nie żył. Kamizelka kuloodporna zatrzymała większość odłamków, lecz nie uchroniła go przed tym, który rozorał mu gardło. Jon zaklął cicho, zły, że go w to wciągnął, zły na podły los.

W stronę schodów toczył się kolejny granat. Ale zamiast wybuchnąć, głośno prychnął

i zasyczał, uwalniając wijące się wstęgi czerwonego dymu. W ciągu kilku sekund skrzyżowanie korytarzy przesłoniła gęsta mgła.

Z kolbą automatu przy ramieniu Smith szukał w niej jakichkolwiek oznak ruchu. Gdyby zaczął strzelać na oślep, zdradziłby swoją pozycję. Cel. Musiał wypatrzeć tam jakiś cel.

Z kłębow czerwonej mgły gruchnęły dwie długie serie z pistoletów maszynowych, zasypując korytarz gradem kul. Powleczone miedzianym płaszczem pociski kaliber 9 milimetrów wybijały w ścianach dziury i odbijały się rykoszetem od stalowych drzwi. Pękały z trzaskiem ceramiczne wazy, w powietrzu fruwały poszatkowane na kawałki żółte i fioletowe kwiaty. Smith rozplaszczyl się na podłodze. Nad głową nieustannie świstały mu kule.

Nagle kanonada ustała i w korytarzu zapadła martwa cisza.

Jon wytężył słuch. Czekał. Musiał odczekać chociaż kilka sekund. Wtem zza czerwonej mgły doszedł go odgłos szybkich kroków. Stamtąd, od strony schodów. Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. Tamci się wycofywali. Kanonada z broni maszynowej miała przygwoździć go do podłogi i umożliwić im ucieczkę. Nie tylko miała, ale i umożliwiła. I właśnie to było najgorsze.

Wstał, zanurkował w chmurę gęstego, czerwonego dymu i zmrużył oczy, próbując coś wypatrzeć. Szedł, roztrącając butami brzęczące łuski i miażdżąc kawały tynku. Z mgły wychynął

szczyt schodów.

Jon przykucnął. Gdyby czyhał tam ktoś, kto miał osłaniać ich odwrót, schody byłyby śmiertelną pułapką. Sęk w tym, że nie miał czasu wracać do głównego korytarza: mógł albo zaryzykować, albo zostać tu i trzęsąc się ze strachu, czekać Bóg wie na co.

Z odbezpieczonym automatem ruszył powoli w dół niskich, szerokich schodów. Jeden krok, drugi... Korytarz, z którego przed chwilą wyszedł, zalała fala oślepiającego światła. Schody zachwiały się i gwałtownie zadygotały. Seria potężnych eksplozji rozniosła laboratorium nanotechnologiczne Nomury i laboratorium Instytutu Tellera.

Wiedziony odruchem Smith rzucił się naprzód, na łeb na szyję staczając się ze schodów.

Aby szybciej, aby dalej od żaru i buchających tuż za nim płomieni.

Doktor Ravi Parikh wypląwał powoli z mrocznej otchłani, próbując odzyskać przytomność. Zatrzepotał powiekami. Leżał twarzą do podłogi. Chłodne, brązowe płytki nagle zadrżały, wyrzuciły się i popękały od eksplozji starannie rozmieszczonych ładunków wybuchowych w północnym skrzydle gmachu. Parikh jęknął, z trudem powstrzymując falę bólu i narastających mdłości.

Zlany potem podparł się rękami i ukląkł. Powoli podniósł głowę. Patrzył prosto na panoramiczne okno z widokiem na góry. Żaluzje, zwykle opuszczone, były teraz wysoko podciągnięte.

Tuż obok, przymocowany do blatu biurka pod oknem, leżał metalowy cylinder, ten sam, który niedawno wzbudził w nim niejasne podejrzenia. Na ekranie wbudowanego w niego elektronicznego zegara mrugały cyferki. 10... 9... 8... 7... 6... 5...

I właśnie wtedy pomarańczowo–czerwonymi rozbłyskami eksplodowała seria małych ładunków wybuchowych rozmieszczonych wzdłuż okna. Roztrzaskane szkło rozprysło się momentalnie na tysiące kawałków, które niczym gejzer wystrzeliły na zewnątrz. Nagła zmiana ciśnienia poderwała z biurek kartki i skrawki papieru i wysłała je przez okno.

Oszołomiony, targany nudnościami Parikh patrzył na to nic nierozumiejącym wzrokiem.

Zadrżał i wziął głęboki oddech. Tylko jeden.

3... 2... 1... Cyferki znikły. Kliknął zamontowany w cylindrze zawór. I wtedy z cichym, wężowym sykiem ze zbiornika wytrysnął strumień nanofagów. Sprężone pod silnym ciśnieniem, popłynęły w stronę okna i świata zanim.

Niewidzialna chmura przesuwała się szybko i bezszelestnie. Składała się z miliardów biernych nanofagów czekających na sygnał, który by je ożywił i uaktywnił. Wypychana na zewnątrz ciśnieniem powietrza w laboratorium stopniowo rozpełzła się na wszystkie strony, skierowała w dół i wciąż sunąc przed siebie, opadła na tysiące zwolenników Ruchu Łazarza przerażonych serią ogłuszających wybuchów na piętrze gmachu. Stali tam jak sparaliżowani i z każdym oddechem wciągali do płuc miliony nanofagów. Kolejne miliony trafiały do ich organizmu przez porowate membrany w nosie i miękką tkankę wokół oczu.

Przez kilka sekund pozostawały nieaktywne, krążąc po ciele wraz z krwią i z krwią przenikając przez ścianki komórek. Jednak jeden na każde sto tysięcy nanofagów, większy i bardziej wyrafinowany od swoich towarzyszy, uaktywniał się natychmiast. Dzięki własnemu źródłu zasilania te niezależne twory grasowały po organizmie nosiciela w poszukiwaniu serii biochemicznych sygnatur, które ich czujniki mogłyby rozpoznać. Natrafiwszy na sygnaturę pozytywną, momentalnie uwalniały zakodowany strumień niepowtarzalnych molekuł

sygnałowych, pełniących funkcję kurierów.

Pozostałe nanofagi, te, które krążyły spokojnie po organizmie, miały tylko jeden czujnik –

czujnik potrafiący wykryć obecność kuriera nawet wtedy, gdy otaczało go miliard innych molekuł. Jego twórcy nazwali tę zdolność „rekinim zmysłem”, gdyż, podobnie jak rekin ludojad, kurier był w stanie „wyczuć” najmniejszą kroplę krwi rozpuszczoną w głębinach oceanu.

Porównanie to było trafne i pod innym względem. Każdy nanofag reagował na obecność kuriera dokładnie tak samo, jak żarłacz biały reaguje na świeżą krew w wodzie.

Uwięziony w tłumie demonstrantów wysoki, ogorzały Kanadyjczyk jako pierwszy zrozumiał, co naprawdę im grozi. Tak samo jak pozostali przestał skandować i stał w posępnym milczeniu, patrząc, jak jeden po drugim wybuchają kolejne ładunki. Większość eksplodowała w północnym i zachodnim skrzydle instytutu, wyrzucając w powietrze olbrzymie gejzery szkła, odłamków i płomieni. Jednak Kanadyjczyk słyszał również odgłos wybuchu mniejszych ładunków, które eksplodowały w głębi masywnego budynku.

Stojąca tuż obok niego kobieta w wojskowej kurtce z podwiniętymi rękawami, młoda blondynka o zawziętej twarzy, nagle jęknęła. Upadła na kolana i zaczęła wymiotować, początkowo cicho, po chwili głośno i niepomahowanie. Spojrzał w dół i na jej ramieniu zobaczył

ślady po nakłuciach igłą. Te znajdujące się wyżej były jeszcze świeże, sinawe i zaognione.

Ćpunka, pomyślał ze współczuciem i odrazą. Pewnie przyciągnęła ją do ruchu obietnica emocjonującego dreszczyku i okazja do zrobienia czegoś bardziej znaczącego i ważniejszego niż to, co robiła w swoim szarym, codziennym życiu. Dała sobie w żyłę i przedawkowała.

Kanadyjczyk westchnął i przykląkł, żeby jej pomóc.

I wtedy zobaczył, że jej przerażona twarz i pokłute ramiona pokrywają się siatką czerwonych pęknięć, i wiedział już, że to jest coś nieskończenie bardziej potwornego. Kobieta charczała i jęczała jak ranne zwierzę. Pęknięcia szybko się poszerzały. Zmieniając się błyskawicznie w przezroczysty śluz, zsuwała się z niej skóra.

Przerażony MacNamara widział, jak zalegająca pod nią tkanka łączna – mięśnie, ścięgna i więzadła – też się rozpuszcza. Rozpuściły się jej oczy i wypłynęły z oczodołów, które momentalnie wezbrały krwią. Twarz kobiety była teraz czerwoną maską, pod którą widniała biaława kość.

Oślepią narkomanka rozpaczliwie wyciągnęła przed siebie ręce z zakrzywionymi jak szpony palcami. Z bezkształtnego otworu, który jeszcze przed chwilą był jej ustami, buchnął

strumień zabarwionej na różowo brei. Wstydząc się własnego strachu i ogarniającego go obrzydzenia, MacNamara zrobił krok do tyłu. Ciało kobiety rozpuściło się na palcach i rękach, pozostawiając jedynie luźne, pozbawione spoiwa kości. Kobieta upadła na twarz i leżała u jego stóp, drgając i makabrycznie podskakując. Wojskowa kurtka i dzinsy zapadły się do środka, czarne od krwi i płynów chlustających z rozkładającego się ciała.

MacNamara stał tam i patrzył, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Wyglądało to tak, jakby coś

zjadało ją żywcem od środka. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, lecz w końcu znieruchomiała, a raczej znieruchomiał, gdyż zamiast ludzkich zwłok u jego stóp leżał kopczyk nasiąkniętych śluzem ubrań i kości.

Szybko oprzytomniał. W zwartym tłumie rozbrzmiewał makabryczny chór pełnych udręki jęków, wycia i zawodzenia. Setki demonstrantów chwiała się i zataczało, orząc palcami zżerane od środka ciało.

Przez długą, rozciągniętą w czasie chwilę tysiące zaszokowanych i sparaliżowanych obezwładniającym strachem zwolenników Łazarza, których plaga jeszcze nie dosięgła, stało bez ruchu. Lecz nagle ożyli i rozpierzchli się na wszystkie strony, tratując zmarłych i umierających, uciekając w ślepej panice przed nową zarazą, która wydostała się z rozniesionych wybuchem laboratoriów Instytutu Tellera.

I ponownie MacNamara popędził wraz z nimi, tym razem wsłuchując się w dudnienie krwi w uszach i zastanawiając, ile jeszcze zostało mu życia.

Smith leżał jak kłoda u stóp schodów w północnym skrzydle gmachu. Przez kilka pełnych udręki sekund nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Każda kość, każdy mięsień ciała sprawiały wrażenie zerwanych, pękniętych lub nienaturalnie – i boleśnie – naciągniętych.

Budynek zachwiał się w posadach i zakołysał, wstrząśnięty kolejną potężną eksplozją, i klatkę schodową wypełnił gęsty pył. Spadł grad zerwanego ze ścian tynku; niczym maleńkie pochodnie, w powietrzu zawirowały płonące skrawki papieru.

Pora iść, pomyślał nieprzytomnie. Jeśli tu zostanę, budynek zawali się i mnie przygniecie.

Ostrożnie wstał. Skrzywił się z bólu. Spadł ze schodów na łeb na szyję, koziółkując i objając się o stopnie, mimo to pierwsze pięć metrów zaliczył niemal bez szwanku. Jednak dalsza część karkołomnego upadku była prawdziwym koszmarem.

Rozejrzał się wokoło. Czerwonawy dym z granatu dymnego już się rozwiewał, ale z góry spływał dym znacznie gęściejszy i czarny jak smoła. Na piętrze musiał szaleć pożar. Zerknął na sufit. Głowice zraszaczy były suche jak pieprz, co oznaczało, że jeden z wybuchów uszkodził

system przeciwpożarowy.

Ściągnął usta i zmarszczył czoło. Dałby głowę, że tamci zrobili to celowo. Szpiegostwo przemysłowe? Zwykły sabotaż? Bzdura. To był akt wyrachowanego, bestialskiego terroryzmu.

Pokuśtykał przed siebie i kilka kroków dalej znalazł swój automat. Spadając ze schodów, broń jakimś cudem nie wypaliła, ale trzydziestonabojowy magazynek był wgnieciony i wygięty pod nienaturalnym kątem. Smith wcisnął zaczep i mocno szarpnął. Nic z tego. Magazynek zakleszczył się na amen.

Położył automat na podłodze, sięgnął za pasek i wyjął berettę. Pistolet był nieuszkodzony, ale coś za

coś: bolał go krzyż i wiedział, że jeśli nie ma tam jeszcze potężnego siniaka, na pewno będzie miał go nazajutrz.

Pod warunkiem, że przeżyjesz, pomyślał chłodno.

Ściskając w rękę berettę, ruszył w stronę drzwi, żeby jak najszybciej wyjść ze zniszczonego, płonącego budynku. Bez trudu odkrył, którędy uciekli terroryści. Korytarz był

usłany trupami. Leżały na podłodze, pod ścianami, gdziekolwiek spojrzeł. Większość z tych ludzi znał przynajmniej z widzenia, niektórych zdążył poznać bardzo dobrze, jak choćby Takashiego Ukite, szefa zespołu badawczego z Nomura Pharma-Tech. Zabito go dwoma strzałami w potylicę. Jon z żalem pokręcił głową.

Im dalej szedł, tym większa ogarniała go wściekłość. Parikh, Brinker, Pfaff, Corimond –

tylu oddanych naukowców i poszukiwaczy prawdy. Ich badania mogły przynieść nieocenione korzyści całemu światu. A te sukinsyny zamordowały ich, niwecząc tyle lat pracy? Ot tak, po prostu? Dobra, pomyślał zimno. W takim razie zapłacą za to, i to drogo.

Przyspieszył kroku. Oczy zwęziły mu się do szparek. Gdzieś tam, pewnie już za ogrodzeniem, był ktoś, kogo musiał schwytać albo zabić.

Trupy. Coraz więcej trupów. I coraz gęstszy dym. Gryzł w oczy, palił w gardle. Ze ścian po obu stronach korytarza biło gorąco szalejących za nimi pożarów. Drewniane drzwi zaczynały się już tlić. Przyspieszył jeszcze bardziej, zaczął biec.

Wreszcie dotarł do bocznych drzwi. Były lekko uchylone. Przykląkł i sprawdził, czy tamci nie zastawili jakiejś pułapki, czy ich nie zaminowali. Nie. Pchnął je i wyszedł na zewnątrz.

Wyszedł i ujrzał scenę tak potworną, tak groteskową, że mógłby ją namalować któryś ze średniowiecznych malarzy lubujących się w obrazach piekła i szalejących w nim diabłów.

Tysiące przerażonych demonstrantów pierzchało na wszystkie strony, aby dalej od instytutu, tratując ogródki skalne, bylicę, kwiaty i kaktusy. Niektórzy zataczali się i potykali, wyjąc i rozpaczliwie zawodząc. Jeden po drugim upadali najpierw na kolana, potem na ziemię. Patrzył

na nich ze zgrozą, nie wierząc własnym oczom. Setki ludzi dosłownie się rozpuszczało, zmieniało w czerwonawą maź. Z setek innych pozostała jedynie smętna kupka zaplamionych krwią ubrań i białawych kości.

Przez chwilę walczył z przemożną pokusą, żeby puścić się biegiem przed siebie i uciec jak najdalej. W tym, co widział, było coś tak strasznego, tak nieludzkiego, że wyzwalało prymitywny, zwierzęcy wprost strach, który – tak przynajmniej myślał – już dawno zdusił

w sobie dzięki wyszkoleniu, wewnętrznej dyscyplinie i sile woli. Nikt nie powinien tak umierać.

Nikt nie powinien widzieć, jak jego własne ciało gnije i odchodzi od kości.

Z trudem oderwał wzrok od poskręcanych, zapadniętych zwłok rozrzuconych po terenie instytutu i z pistoletem w ręku popatrzył na pędzący ku ogrodzeniu ogarnięty paniką tłum. Szukał

kogoś, kto mimo tych potworności nie okazywał strachu, kto poruszał się spokojnie i z opanowaniem, i już po chwili zauważył grupę sześciu mężczyzn. Byli dwieście metrów od niego i szli przed siebie równym, zdecydowanym krokiem. Czterech z nich – ci mieli na sobie niebieskie kombinezony – niosło ciężkie skrzynki ze sprzętem. Jon kiwnął głową. To oni, saperzy, którzy zaminowali instytut. Dwaj pozostali, w identycznych, ciemnoszarych garniturach, szli kilka kroków za nimi i byli uzbrojeni w krótkie maszynowe uzi. Ten niższy, mniej więcej jego wzrostu, miał krótko obcięte czarne włosy. Ale w oczy rzucał się ten drugi, potężnie zbudowany, o kasztanowych włosach, co najmniej o głowę wyższy od pozostałych: wydawało się, że nimi dowodzi.

Popędził w ich stronę. Długimi susami gnał przez ogród, omijając żalosne ludzkie szczątki i szybko się do nich zbliżając. Od celu dzieliło go mniej więcej pięćdziesiąt metrów, gdy nagle olbrzym o kasztanowych włosach odwrócił się, żeby po raz ostatni popatrzeć z satysfakcją na zniszczony wybuchami i trawiony pożarem gmach. Odwrócił się i natychmiast go spostrzegł.

– Uwaga! – krzyknął. – Z tyłu! – Stanął do niego przodem i momentalnie otworzył ogień, strzelając krótkimi, urywanymi seriami.

Jon wciąż biegł i u jego stóp wytrysnęły fontanny piachu i drobnych kamyków. Rzucił się na ziemię, przetoczył przez ramię, przykląkł na jedno kolano, podniósł berettę i nie czekając, aż szczerbinka, muszka i cel znajdą się w jednej linii, dwukrotnie pociągnął za spust. Oczywiście chybił, ale tamten musiał się przynajmniej ukryć za kępą bylicy, a to już coś.

Kolejna seria pocisków wyrwała trzy wielkie grudy ziemi tuż za nim. To ten czarnowłosey: strzelał w biegu, próbując zająć go z boku.

Jon zatoczył ręką szeroki łuk, wycelował, wziął poprawkę, powoli wypuścił powietrze i wypalił trzy razy. Pierwsza kula chybiła. Druga i trzecia strzaskały czarnowłosemu rękę i nogę.

Terrorysta zawył z bólu, potknął się i upadł. Ci w kombinezonach rzucili skrzynki ze sprzętem i pobiegli mu pomóc. Ich przywódca natychmiast wychynął zza bylicy i ponownie otworzył ogień.

Smith zaklął. Mało brakowało. Jedna z kul przebiła podszewkę skórzanej kurtki i niemal otarła się o ciało, pozostawiając za sobą długi, gorący ślad.

Jeszcze raz przetoczył się przez ramię, rozpaczliwie próbując zejść z linii strzału. Pociski ryły piach, szatkowały suchy mech i trawę. Wiedząc, że lada chwila może oberwać, kilka razy wypalił, żeby zmusić tamtego do przypadnięcia do ziemi.

Rozpłaszczył się z nosem w piachu, za dużym kamieniem na wpół przesłoniętym kępą wysokiej trawy, czując i słysząc, jak grzmocą w niego pociski.

Kanonadę zagłuszył ryk potężnego silnika. Ostrożnie zerknął za siebie. Przez wyrwę w ogrodzeniu wyjeżdżała czarna terenówka. Skręciła w lewo i wśród pierzchających na boki demonstrantów pełną

parą ruszyła w ich stronę.

Zapisały hamulce. Wóz obrócił się, wpadł w poślizg, wyrównał i znieruchomiał tuż obok tamtych. Chmura wyrzuconego spod kół pyłu zawisała w powietrzu, lecz już po chwili odpłynęła z wiatrem w prawo. Osłonięci masywnym cielskim samochodem terrorysty wrzucili do środka skrzynki ze sprzętem, wepchnęli na tył rannego kolegę i szybko wsiedli. Nie przerywając ognia, ich przywódca zaczął się powoli wycofywać. Robił to z uśmiechem – widać było, że walka sprawia mu wielką przyjemność.

A to sukinsyn. Chłodna wściekłość ustąpiła miejsca gorącej furii i dławiąc instynkt przeżycia, Smith wstał z pistoletem w rękach. Przyjął pozycję strzelecką i starannie wymierzył.

Zaskoczony jego odwagą olbrzym pstryknął skrzydełkiem przełącznika i przeszedł na ogień ciągły. Uzi dziko zaszczekało, zafurkotały pociski.

Ale Smith na nie nie zważał. Całą uwagę skupił na celu. Pięćdziesiąt metrów to odległość na granicy skuteczności beretty, dlatego musiał się dobrze skoncentrować. Muszka pistoletu zadrżała i znieruchomiała na piersi terrorysty.

Pociągnął za spust. Pociągnął dwa razy, jak najszybciej, żeby oddać strzały w jak najkrótszym czasie. Pierwsza kula wybiła dziurę w drzwiach od strony pasażera, zaledwie o kilka centymetrów mijając biodro tamtego. Druga roztrzaskała szybę w bocznym oknie.

Jon zmarszczył czoło: beretta zносиła w lewo. Lekko przesunął lufę i wypalił ponownie.

Pocisk wytrącił tamtemu broń z ręki. Uzi zatoczyło krótki łuk i wylądowało w krzakach, poza jego zasięgiem, a kula odbiła się rykoszetem od karoserii w fontannie iskier.

Wtedy kierowca terenówki nie wytrzymał i wcisnął pedał gazu. Grube opony zabuksowały raz i drugi, wreszcie złapały przyczepność. Samochód gwałtownie ruszył, zarzucił, ostro skręcił i w chmurze pyłu pomknął w kierunku ogrodzenia, pozostawiając przywódcę własnemu losowi.

A on stał przez chwilę z lekko przekrzywioną głową i obojętnie patrzył za odjeżdżającymi kolegami. Porzucony i bezbronny, powinien się choć trochę czuć niepewnie, lecz ku zdumieniu Smitha wzruszył tylko ramionami i z kamiennym wyrazem twarzy stanął przodem do niego.

Trzymając go na muszce, Jon podszedł bliżej.

– Łapy! Podnieś łapy!

Olbrzym nie zareagował. Czekał.

– Ręce! – warknął Smith i podszedł jeszcze bliżej. Dzielilo ich zaledwie piętnaście metrów, odległość, z jakiej mógł wpakować w cel każdą kulę.

Terrorysta milczał. Miał lekko zmrużone jasnozielone oczy. Przypominały ślepie tygrysa, który krążąc w klatce, widzi za prętami człowieka, lecz nie może go dopaść.

– A jeśli nie podniosę? – spytał w końcu. – Co mi zrobisz? Zabijesz mnie?

Głos miał cichy i łagodny, dużo łagodniejszy, niż Smith się spodziewał.

I mówił doskonale po angielsku, bez cienia obcego akcentu. Jon krótko skinął głową.

– Jeśli będę musiał.

– No to wal – odparł tamten i z wdziękiem zwinnego drapieżnika zrobił długi krok w jego stronę, wyjmując zza pazuchy wojskowy nóż.

Smith pociągnął za spust. Pistolet kopnął, trzasnęło suwadło, wypadła łuska. Ale tym razem zamek pozostał w tyle. Jon zaklął. Wystrzelił ostatni z piętnastu naboju w magazynku.

Kula trafiła tamtego w lewy bok i odrzuciła pół kroku do tyłu. Olbrzym spojrzał na dziurę w kurtce; miała czerwoną obwódkę i powoli wypływała z niej krew. Potem wyprostował palce lewej ręki, wprawnym ruchem przerzucił nóż do prawej, wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu i z szyderczym współczuciem pokręcił głową.

– Szkoda. Chybiłeś. Wciąż żyję.

I ruszył ku niemu leniwym krokiem, wykonując ręką faliste, łukowate, niemal hipnotyzujące ruchy. W słońcu błysnęła klinga noża.

Smith cisnął w niego bezużytecznym pistoletem.

Olbrzym zrobił unik i zaatakował. Uderzył z niewiarygodną szybkością, mierząc w gardło.

Jon błyskawicznie odchylił głowę i ciężko dysząc, zrobił krok do tyłu. Ostrze noża śmignęło jakieś dwa, trzy centymetry od jego twarzy.

Ale zielonooki bynajmniej nie zamierzał rezygnować. Zaatakował ponownie, tym razem mierząc niżej.

Smith wykonał szybki półobrót w prawo, zszedł z linii ciosu i kantem dłoni walnął go w nadgarstek. Jakby uderzył w kawał hartowanej stali – niemal sparaliżowało mu rękę. Cofnął

się jeszcze dalej, rozluźniając palce i rozpaczliwie próbując przywrócić krążenie krwi. Chryste, z kim, u diabła, ja walczę?

Lekko pochylony olbrzym ruszył za nim. Uśmiechał się teraz jeszcze szerzej niż przedtem, było widać, że świetnie się bawi. Zamarkował cios w prawo i uderzył pięścią z lewej.

Trafił go w bok i z siłą portowego kafara wypchnął mu z płuc całe powietrze.

Jon zatoczył się do tyłu. Głośno sapnął, zacharczał, walcząc o zachowanie przytomności i utrzymanie się na nogach.

– Szkoda, że ostatniej kuli nie zachowałeś dla siebie – powiedział układnie tamten.

Uniósł nóż. – Miałbyś szybszą i mniej bolesną śmierć.

Smith wciąż się cofał, szukając czegoś, czego mógłby użyć jako broni. Ale wszędzie widział tylko piach i spieczoną glinę. Zaczął wpadać w panikę. Wytrzymaj, powtarzał sobie w duchu. Idź dalej. Jeśli się zatrzymasz, będzie po tobie. Pewnie i tak jesteś już trupem, ale przynajmniej nie zginiesz bez walki.

W oddali zawyły syreny: nadjeżdżała policja. Ale zielonooki olbrzym nie rezygnował

i szedł za nim krok w krok, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu.

Dwieście metrów dalej, na skraju gęstej kępy karłowatych sosen i jałowców, w wysokiej, suchej trawie leżało trzech mężczyzn. Jeden z nich, znacznie wyższy i roślejszy od pozostałych, obserwował przez lornetkę usłany trupami ogród instytutu i potężnego, zielonookiego olbrzyma walczącego ze szczupłym, ciemnowłosym Amerykaninem. Zmarszczył czoło, rozważając opcje.

Tuż obok niego leżał snajper z okiem przy celowniku optycznym dziwnie wyglądającej strzelby.

Trzeciego mężczyznę, łącznościowca, otaczała plątanina kabli i kilka skomplikowanych urządzeń nadawczo–odbiorczych. Ze słuchawek dochodziły podniesione głosy i ciche trzaski.

– Terce – zameldował beznamiętnie. – Władze reagują coraz skuteczniej. Skierowali tu dodatkowe siły policyjne, karetki pogotowia i straż pożarną. Są już blisko.

– Rozumiem. – Terce, mężczyzna z lornetką, wzruszył ramionami. – Prima popełnił godny ubolewania błąd.

– Kierowca też – wymamrotał snajper.

– Kierowca zostanie ukarany. Ale Prima znał założenia misji. Ta bójka jest bez sensu.

Zamiast odejść, kiedy miał okazję, utracił zdolność oceny sytuacji i dał się ponieść żądzy krwi.

Może i zabije tego Amerykanina, ale uciec już nie zdoła. – Podjął decyzję. – Jego wola. Naznacz go.

– Tego drugiego też? – spytał snajper.

– Też.

Snajper kiwnął głową i leciutko poruszył pokrętłem na wieżyczce z boku lunetki.

– Cel namierzony. – Pociągnął za spust. Strzelba cicho kaszlnęła. – Cel naznaczony.

Uchyliwszy się przed kolejnym ciosem noża, Smith zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, wiedząc, że zaczyna brakować mu czasu i pola manewru, że prędzej czy później ten szalenciec go dopadnie.

Lecz nagle zielonooki olbrzym klepnął się z irytacją w szyję, jakby użądliła go osa.

Przystanął, wyprostował rękę, z trwogą popatrzył na dłoń, rozdziawił usta i spojrzał przez ramię w stronę lasu dwieście metrów dalej.

I raptem, ku narastającemu przerażeniu Smitha, zaczął się rozpadać. Dosłownie. Na jego twarzy i rękach wykwitła sieć szybko pogłębiających się i poszerzających pęknięć. W ciągu kilku sekund jego skóra zmieniła się w przezroczysty, zabarwiony na różowo śluz, wypłynęły mu oczy.

Olbrzym zawił w niehumannej agonii i runął na ziemię, krzycząc, skręcając się z bólu i orząc paznokciami własne ciało w bezskutecznej walce z czymś, co pożerało go żywcem od środka.

Jon nie wytrzymał. Zachwiał się, potknął, upadł na kolana i zwymiotował. W tym samym momencie coś świsnęło mu nad głową i zaryło w piach kilkadziesiąt centymetrów dalej. Instykt wziął górę: Smith rzucił się w bok i szybko wczuł się za najbliższy głaz.

Leżący w wysokiej trawie snajper powoli opuścił strzelbę.

– Cel numer 2 poza zasięgiem – zameldował.

– Nieważne – odparł zimno mężczyzna z lornetką. – Jeden mniej, jeden więcej, nie ma różnicy. – Spojrzał na łącznościowca. – Wywołaj centrum. Powiedz im, że druga faza operacji przebiega zgodnie z planem.

– Rozkaz.

– A Prima? – spytał cicho snajper. – Co im powiesz?

Terce siedział przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Znasz legendę o Horacjuszach?

Snajper pokręcił głową.

– Jest bardzo stara, pochodzi sprzed okresu rzymskiego imperium. Trzech braci bliźniaków z patrycjuszowskiego rodu Horacjuszów wysłano na pojedynek z trzema braćmi Kuriacjuszami, żeby rozstrzygnąć spór między Rzymem a miastem Alba Longa. Dwóch Horacjuszów walczyło dzielnie, ale jeden i drugi zginęli. Trzeci zwyciężył, lecz nie pobił wroga mieczem, tylko podstępem i przebiegłością.

Snajper nie odpowiedział.

Terce uśmiechnął się zimno. W jego kasztanowych włosach i uderzająco zielonych oczach igrały promienie słońca.

– Podobnie jak Prima jestem jednym z Horacjuszów. Lecz w przeciwieństwie do niego zamierzam przeżyć i odebrać nagrodę, którą mi obiecano.

Część II

Gmach Hoowera, Waszyngton

Katherine Pierson, zastępca dyrektora naczelnego FBI, stała przy oknie na czwartym piętrze gmachu, z posępną miną patrząc na tonącą w deszczu Pennsylvania Avenue. Na skrzyżowaniu czekało na zielone światło zaledwie kilka samochodów, a szerokim chodnikiem przemykała tylko niewielka grupka turystów pod parasolami. Masowy exodus powracających do domu urzędników miał się rozpocząć dopiero za dwie godziny.

Kusiło ją, żeby chociaż zerknąć na zegarek, lecz nie zrobiła tego. Bierne czekanie nie należało do jej mocnych stron.

Znów spojrzała w okno i w przyciemnionym szkle ujrzała swoje słabe odbicie. Przez chwilę przeglądała się w szybie jak w lustrze, po raz kolejny zadając sobie pytanie, dlaczego te szare oczy, które na nią patrzą, tak często wydają się oczami kogoś obcego. Skończyła już czterdzieści pięć lat, mimo to wciąż miała ładną, gładką skórę, krótkie, ciemnobrązowe włosy i twarz, która podobała się większości mężczyzn.

Nie, żeby mieli okazję mi to powiedzieć, pomyślała oziębłe. Nieudane małżeństwo i bolesny rozwód przekonały ją ostatecznie, że nie należy do kobiet potrafiących jednocześnie romansować i pracować. Nie, na pierwszym miejscu zawsze stawiała dobro kraju i FBI – czasem nawet wbrew woli zwierzchników, którzy bali się je dostrzec.

Wiedziała, że podlegający jej agenci i analitycy nazywają ją Królową Śniegu. Ale miała to gdzieś. Wymagała od siebie znacznie więcej niż od nich. Poza tym lepiej było, że uważali ją za kobietę twardą i pełną rezerwy, niż mieliby ją uważać za nieskuteczną w działaniu słabeuszkę.

W wydziale antyterrorystycznym FBI nie było miejsca dla urzędasów, którzy zamiast myśleć o wrogach kraju, odbijali co rano kartę tylko po to, żeby przesiedzieć za biurkiem siedem godzin, licząc dni do emerytury.

Właśnie, zamiast myśleć o wrogach takich jak choćby Łazarz.

Od kilku miesięcy ona i Hal Burke z CIA ostrzegali przełożonych, że Ruch Łazarza coraz bardziej zagraża żywotnym interesom Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Wszystko wskazywało na to, że zarówno ich retoryka, jak i poczynania stają się coraz agresywniejsze.

Zaproponowali Białemu Domowi plan działania, przedstawili raporty analityków i wszystkie, najmniejsze nawet dowody, jakie tylko zdołali zdobyć.

Mimo to ani prezydent, ani nikt z wyższego szczebla nie podjął radykalnych kroków, żeby zapobiec narastającemu zagrożeniu. David Hanson, dyrektor CIA i bezpośredni przełożony Burke'a, chciał dobrze, ale nawet on w końcu zawiódł. Politycy? Z nimi było jeszcze gorzej.

W Ruchu Łazarza dostrzegali jedynie to, co powierzchowne, maskę, kamuflaż niewinnej organizacji ekologicznej. Tymczasem ona bała się tego, co kryło się głębiej, pod maską, pod kamuflażem.

– Wyobraźcie sobie organizację terrorystyczną w rodzaju al-Kaidy, którą zamiast Arabów kierują Amerykanie, Europejczycy i Azjaci – powtarzała podwładnym. – Ludzie wyglądający dokładnie tak samo jak wy, ja czy wasi mili sąsiedzi. Czy zdołalibyście ich sprofilować i przewidzieć ich działania? Nie.

Owszem, Hanson rozumiał, że Ruch Łazarza jest zdecydowanie niebezpieczny. Rzecz w tym, że chciał walczyć z nim zgodnie z prawem, zgodnie z zatwierdzoną i obowiązującą polityką. W przeciwieństwie do niego ona, Burke i wielu innych na całym świecie wiedziało, że już za późno na honorowy pojedynek. Dlatego postanowili zwalczać ruch agresywnie, podstępnie, wszelkimi dostępnymi środkami.

Zadzwonił telefon. Pierson odwróciła się od okna i czterema pełnymi wdzięku krokami podeszła do biurka. Podniosła słuchawkę już po drugim dzwonku.

– Słucham.

– To ja. – Burke. Czekwała na ten telefon, lecz natychmiast wyczuła, że jej partner z CIA jest dziwnie zdenerwowany. – Linia jest czysta?

Kit pstryknęła przełącznikiem skanera. Podatnicy wyłożyli mnóstwo pieniędzy, żeby FBI mogło sobie zafundować stuprocentowo bezpieczny sprzęt. Zapłonęła zielona lampka. Nie, nikt ich nie podsłuchiwał.

– Czysta.

– To dobrze – rzucił szorstko Burke. W tle słychać było szum ruchu ulicznego; pewnie dzwonił z samochodu. – Kit, coś się stało w Nowym Meksyku. Jest źle. Bardzo źle. Gorzej, niż oczekiwaliśmy. Włącz telewizor. Nadają to na wszystkich kanałach, na okrągło.

Zaskoczona Pierson nachyliła się nad biurkiem. Kilka uderzeń w klawisze klawiatury i ekran komputerowego monitora zmienił się w ekran telewizyjny. Obrazy sprzed Instytutu Tellera, transmisja na żywo. Zaszokowana, przez długą chwilę oglądała je bez słowa. Płonący gmach. Eksplozje. Kłęby czarnego dymu na tle błękitnego nieba. I tysiące przerażonych demonstrantów tratujących się nawzajem w panicznej ucieczce. Zbliżenie. Potworne ujęcie człowieka zmieniającego się w krwawy płynny wosk.

Wzięła płytki, krótki oddech. Spokojnie. Tylko spokojnie. Zacisnęła palce na słuchawce.

– Boże, co się tam stało?

– Jeszcze nie wiemy. Nasi zameldowali, że kiedy demonstranci przedarli się przez ogrodzenie, w gmachu rozpętało się piekło. Pożar, wybuchy, wszystko, co chcesz.

– Ale dlaczego?

– Podobno doszło do wycieku jakichś toksyn z laboratoriów. Jedni mówią, że to nieszczęśliwy wypadek, inni, że sabotaż, tylko nie wiadomo, kim ci sabotażyści są. Większość skłania się ku sabotażowi.

– Ale jeszcze tego nie sprawdziliście, tak? – spytała ostro Pierson. – Nikogo nie aresztowano?

– Jak dotąd nie. Straciłem kontakt ze swoimi ludźmi, ale niedługo powinni się odezwać.

Zaraz tam lecę. Za pół godziny mam specjalny samolot z Andrews. Szef załatwił mi miejsce.

Sfrustrowana Pierson pokręciła głową.

– Nie tak to planowaliśmy, Hal. Myślałam, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Ja też – odparł Burke i oczyma wyobraźni zobaczyła, jak wzrusza ramionami. – Ale na pewnym etapie każdej operacji zawsze coś idzie nie tak. Dobrze o tym wiesz.

Pierson zmarszczyła brwi.

– Ale nie aż tak.

– Fakt – odparł zimno Burke. – Nie aż tak. – Odchrząknął. – Ale teraz musimy grać takimi kartami, jakie nam rozdano. Prawda?

– Tak. – Wyłączyła monitor. Nie chciała na to patrzeć. Nie teraz. Czowała, że te obrazy będą nawiedzać ją w snach.

– Kit?

– Jestem.

– Wiesz, co trzeba zrobić.

Kiwnęła głową i zebrała myśli.

– Wiem. Będę musiała pokierować ekipą dochodzeniową w Santa Fe.

– Przewidujesz problemy? Z Zellerem?

– Nie, raczej nie – odparła powoli, myśląc na głos. – Pewnie skorzysta z okazji i mi to przydzielą. Znam ich, jestem ekspertką. Zeller o tym wie. Przynajmniej jedno będzie jasne, i to dla wszystkich, od Białego Domu poczynając, na agentach terenowych kończąc: tę... ten koszmar trzeba powiązać z Ruchem Łazarza

– Dobra. Tymczasem ja będę naciskał na tych z Toksyny.

– Dobrze to przemyślałeś? Nie lepiej ich z tego wyłączyć?

– Za późno – odparł obojętnie Burke. – Machina poszła w ruch. Albo popłyniemy z falą, albo pójdziemy na dno.

Biały Dom

Członkowie prezydenckiego komitetu do spraw bezpieczeństwa narodowego, którzy zebrali się w Pokoju Sytuacyjnym, byli w ponurym, przygnębiającym nastroju. I nic dziwnego, cholera, pomyślał Castilla. Nic dziwnego. Pierwsze doniesienia z Santa Fe były porażające.

Każde następne zwałało z nóg.

Zerknął na najbliższy zegar. Było dużo później, niż myślał. W tym małym, ciasnym, podziemnym pomieszczeniu, w tym sztucznym świetle, czas płynął raz wolniej, raz szybciej.

Odkąd Fred Klein powiadomił go o tej potwornej katastrofie, minęło już kilka godzin. Pokręcił głową i z niedowierzaniem powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– Chcecie mi powiedzieć, że wciąż nie znamy dokładnej liczby ofiar, ani w samym gmachu, ani wśród demonstrantów?

– Tak, panie prezydencie – potwierdził dyrektor FBI Bob Zeller, żałośnie skulony na krześle. – Ustaliliśmy tylko, że zginęła ponad połowa pracujących tam naukowców i techników.

Większość prawdopodobnie nie żyje. Gmach wciąż stoi w ogniu i ekipy poszukiwawczo–ratunkowe nie mogą tam wejść. Jeśli chodzi o liczbę ofiar wśród demonstrantów...

– Bardzo możliwe, że nigdy jej nie poznamy – wpadła mu w słowo Emily Powell–Hill, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Sam pan widział. Z tych ludzi pozostało tak niewiele, że identyfikacja szczątków może potrwać wiele miesięcy.

– Ci z telewizji mówią, że zginęło co najmniej dwa tysiące – wtrącił Charles Ouray, prezydencki szef sztabu. – Twierdzą, że ta liczba może wzrosnąć nawet do trzech, czterech tysięcy.

– Tak? – warknął Castilla. – Na jakiej podstawie? Wróżą z fusów czy co?

– Powołują się na wypowiedzi rzeczników ruchu – odparł cicho Ouray. – Media nabierają do nich coraz większego zaufania. Opinia publiczna też. Ruch Łazarza cieszy się u nich większym zaufaniem niż my.

Castilla kiwnął głową. Co prawda, to prawda. Dzięki łączom satelitarnym pierwsze obrazy z Santa Fe popłynęły na żywo. Nadawano je praktycznie non stop i dziesiątki milionów Amerykanów oraz setki milionów ludzi na całym świecie widziało je na własne oczy. Po pewnym czasie szefowie większych stacji telewizyjnych wprowadzili cenzurę, starannie zamazując co drastyczniejsze i plastyczniejsze sceny, zwłaszcza te przedstawiające przerażonych zwolenników Ruchu Łazarza pożeranych żywcem od środka. Ale było już za późno. Stało się.

Skutek? Potwierdzone zostały wszystkie najbardziej fantastyczne i najbardziej sensacyjne teorie spiskowe działaczy Ruchu Łazarza na temat niebezpieczeństw związanych z nanotechnologią i kierownictwo ruchu miało teraz mocne podstawy do jeszcze bardziej złowieszczych i paranoidalnych spekulacji, które pojawiały się już na ich stronach internetowych i na przeróżnych forach dyskusyjnych. Według nich w Instytucie Tellera prowadzono tajne prace badawcze nad nową amerykańską bronią nanotechnologiczną, czego dowodem miały być zdjęcia z Zimbabwe przedstawiające ludzkie zwłoki z Kusasa, zmasakrowane podobnie jak te z Santa Fe.

Autorzy tych teorii utrzymywali, że „określone frakcje w amerykańskim rządzie” kazały wymordować mieszkańców tej cichej, spokojnej wioski tylko po to, żeby przetestować nową broń.

Castilla spochmurniał jeszcze bardziej. Zdawał sobie sprawę, że w masowej histerii, którą rozpętały wydarzenia w Instytucie Tellera, nikt nie posłucha rzeczowych wyjaśnień nawet największych i najślynniejszych naukowców. Albo uspokajających zapewnień polityków takich jak on. Wielu naciskanych przez wyborców kongresmanów domagało się już wprowadzenia natychmiastowego zakazu badań nanotechnologicznych. Poza tym, Bóg jeden wiedział, ile państw – a zwłaszcza ich rządów – kupi obłąkane twierdzenia Ruchu Łazarza, że Ameryka prowadzi badania nad nową tajną bronią.

Spojrzał na siedzącego na końcu stołu Hansona.

– Ma pan coś do dodania, Davidzie?

Dyrektor CIA wzruszył ramionami.

– Poza spostrzeżeniem, że to, co się stało w Instytucie Tellera, jest niemal na pewno aktem terroryzmu? Nie, panie prezydencie, nie mam.

– Czy nie jest to aby lekki falstart? – spytała chłodno Emily Powell–Hill. Była generałem brygady i nie pałała sympatią do Hansona, zresztą z wzajemnością. Uważała, że problemy bezpieczeństwa narodowego są dla niego pretekstem do stosowania zbyt ekstremalnych rozwiązań.

Prywatnie Castilla się z nią zgadzał. Jednak prawda – czasami bardzo niewygodna – była taka, że pozornie szalone spekulacje i przewidywania Hansona często okazywały się celne, a kierowane przez niego operacje zwykle kończyły się sukcesem. W tym przypadku jego opinia całkowicie pokrywała się z tym, co usłyszał od szefa Tajnej Jedyńki Freda Kleina.

– Pytasz, czy nie wyprzedzam faktów? – odparł Hanson, patrząc na nią znad szylkretowych okularów.
– Tak, oczywiście, jak najbardziej. Ale myślę, że nie powinniśmy tracić czasu na rozważanie innych teorii. Chyba że naprawdę wierzysz, że ludzie, którzy wdarli się do Instytutu Tellera, nie mieli nic wspólnego z bombami, które eksplodowały niecałą godzinę później. Szczerze mówiąc, byłoby to trochę naiwne.

Emily Powell–Hill gwałtownie poczerwieniała.

Zanosilo się na kłótnię, więc Castilla postanowił interweniować.

– Założmy, że ma pan rację, Davidzie – powiedział. – Założmy, że to akt terroryzmu.

Pytanie: kim ci terroryści są?

– Członkami Ruchu Łazarza, panie prezydencie – odparł bez ogródek Hanson. –

Z oczywistych powodów, które przedstawiliśmy w naszym raporcie o zagrożeniach. Pamięta pan, zastanawialiśmy się, czym miała być ta „wielka impreza” w Santa Fe. – Wzruszył ramionami. –

Teraz już wiemy.

– Poważnie sugerujesz, że przywódcy Ruchu Łazarza doprowadzili do śmierci ponad dwóch tysięcy własnych zwolenników? – spytał sceptycznie Ouray.

– Celowo? – Hanson pokręcił głową. – Nie, nie wiem. Dowiemy się tego dopiero wtedy, gdy ustalimy, co ich zabiło. Ale jestem przekonany, że w samym ataku maczali palce ich działacze.

– Skąd ta pewność? – spytał Castilla.

– Proszę zwrócić uwagę na perfekcyjnie zgraną sekwencję wydarzeń, panie prezydencie.

– Hanson zaczął to tłumaczyć z dokładnością profesora, który punkt po punkcie przedstawia tępych studentom swoją ulubioną teorię. – Po pierwsze: kto zorganizował wiec przed Instytutem Tellera? Ruch Łazarza. Po drugie: dlaczego strażnicy z ochrony wewnętrznej przebywali poza budynkiem, gdy do instytutu przyjechali fałszywi agenci Secret Service, i przebywając poza nim, nie mogli stawić im czoła? Dlatego, że musieli obstarwić gmach w obawie przed agresywnymi poczynaniami uczestników tego samego wiecu. Po trzecie: kto uniemożliwił prawdziwym agentom Secret Service wejście do instytutu? Ci sami demonstranci. Wreszcie po czwarte: dlaczego ani szeryf, ani policja nie zdołali pochwycić terrorystów, gdy ci opuścili budynek?

Ponieważ próbowali opanować narastający przed nim chaos.

Niemal wbrew własnej woli Castilla kiwnął głową. Argumentacja Hansona nie była niepodważalna, lecz bardzo przekonująca.

– Panie prezydencie – zaprotestował stanowczo Ouray. – To są niepotwierdzone zarzuty, nie możemy ogłosić ich publicznie. Popęnilibyśmy samobójstwo, prasa by nas ukrzyżowała.

– Charlie ma rację, panie prezydencie. – Emily Powell–Hill łypnęła spod oka na dyrektora CIA. – Oskarżając ich o terroryzm, poszlibyśmy na rękę zwolennikom najbardziej obłąkanych teorii spiskowych na całym świecie. Nie możemy dawać im pola do popisu. Nie w tej sytuacji.

Wokół stołu konferencyjnego w Pokoju Sytuacyjnym zapadła posępna cisza.

– Jedno jest pewne – odezwał się chłodno David Hanson. – Ponad dwa tysiące ludzi zginęło na oczach milionów widzów męczeńską śmiercią i Ruch Łazarza już teraz czerpie z tego wymierne korzyści. Na ich listach w Internecie pojawiły się nazwiska setek tysięcy nowych członków z całego

świata. Miliony innych złożyło przez Internet dotację na ich publiczne konto bankowe.

Dyrektor CIA popatrzył na prezydenta.

– Rozumiem pańską niechęć do podejmowania działań przeciwko Ruchowi Łazarza bez konkretnych dowodów. Wiem, że chodzi o ewentualne następstwa polityczne. I mam szczerą nadzieję, że FBI znajdzie w Instytucie Tellera coś, co tych dowodów dostarczy. Ale moim obowiązkiem jest ostrzec pana, że jakiegokolwiek opóźnienie może mieć straszne konsekwencje dla bezpieczeństwa kraju. Z każdym dniem tamci będą silniejsi. A my słabsi.

Ruchome centrum dowodzenia Ruchu Łazarza

Siedział samotnie w małym, lecz elegancko urządzonej pokoju. Przez opuszczone żaluzje nie widać było ani skrawka świata zewnętrznego. Na ekranie stojącego przed nim monitora migotały obrazy masakry przed Instytutem Tellera w Santa Fe.

Z zadowoleniem kiwnął głową. Plany, które tak starannie i cierpliwie przygotowywał

przez kilka długich lat, nareszcie zaczynały przynosić owoce. Najtrudniejszym, najboleśniejszym i najbardziej ryzykownym etapem prac była selekcja i pozbycie się poprzednich przywódców ruchu. Bardzo pomogli mu w tym niewiarygodnie silni, znakomicie wyszkoleni i okrutni Horacjusze.

Na jego twarzy zagościł na chwilę wyraz żalu. Tak, szczerze żałował, że musiał

wyeliminować tylu ludzi, których kiedyś podziwiał – ludzi, których jedyną winą było to, że nie widzieli konieczności zastosowania surowszych metod do zrealizowania wspólnych marzeń.

Wzruszył ramionami. Ale cóż. Pomijając wyrzuty sumienia, rozwój wydarzeń jednoznacznie wskazywał na to, że miał rację, że jego wizja była zaprawdę prorocza. W ciągu ostatniego roku osiągnęli pod jego niepodzielnym przywództwem dużo więcej niż przez kilkanaście lat przestrzegania prawa i polityki ustępstw. Powrót do ekologicznie czystego świata wymagał

odważnych, zdecydowanych działań, a nie monotonicznych przemówień i nudnych, nieśmiałych protestów.

Ostatecznie, jak wskazywała sama nazwa ruchu, dzięki nim świat miał zmartwychwstać.

Cichutko zapiszczał komputer, sygnalizując nadejście kolejnego zaszyfrowanego meldunku z centrum. Przeczytał go dokładnie w ciszy i skupieniu. Śmierć Primy była pewną niedogodnością, jednak skutki ataku na Instytut Tellera i rzeź demonstrantów przyniosły mu tak wielką korzyść, że wzięły górę nad stratą jednego z Horacjuszów. Zwiedzione podsuniętymi przez niego informacjami, potwierdzającymi ich najgorsze obawy, władze CIA, FBI i pozostałych agencji wywiadowczych wpadły w pułapkę. Ci biedni głupcy uwierzyli, że masowa rzeź zwolenników ruchu przed Instytutem Tellera była następstwem jakiegoś strasznego błędu, tymczasem on to wszystko dokładnie zaplanował. Wina władz nie podlegała wątpliwości i zamierzał to obrócić przeciwko nim.

Uśmiechnął się zimno. Jednym śmiertelnie celnym uderzeniem doprowadził do tego, że ani Stany

Zjednoczone, ani Europa nie były teraz w stanie podjąć żadnych zdecydowanych kroków względem ruchu. Wykorzystał ich siłę przeciwko nim samym, tak jak postąpiłby każdy mistrz jujitsu. Chociaż wrogowie jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy, u steru władzy stał

teraz on, Łazarz. A jakikolwiek kontratak z ich strony jeszcze bardziej by go umocnił, jednocześnie ich osłabiając.

Nadeszła pora na kolejną fazę operacji: dotychczasowi sojusznicy, wierni i lojalni, musieli zacząć skakać sobie do gardła. Już teraz świat spoglądał podejrzliwie na potęgę wojskową i naukową Ameryki i na knowania Waszyngtonu. Wystarczy tylko odpowiednio pokierować mediami i wkrótce wszyscy uwierzą, że Stany Zjednoczone, to największe i właściwie jedyne supermocarstwo, bawi się klockami wszelkiego stworzenia, budując nową tajną broń – a wszystko to dla zaspokojenia swoich okrutnych, egoistycznych celów. Świat podzieli się na jego zwolenników i przeciwników. A naciskane przez społeczeństwo rządy zaczną obracać się przeciwko USA.

Zamieszanie, chaos, zamęt, jaki wtedy wybuchnie, będzie działać na jego korzyść. Dzięki temu ruch zyska na czasie, a on będzie mógł ukończyć swoje wielkie dzieło, które na zawsze odmieni oblicze Ziemi.

Nad pustynną wyżyną wokół Santa Fe szybko zapadał zmierzch. Mające na północnym zachodzie najwyższe szczyty gór Jemez lśniły szkarłatem w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Nizina na wschodzie tonęła już w gęstniejącym mroku. Na południe od miasta, w wystrzępionych ruinach Instytutu Tellera, wciąż tańczyły pomarańczowe, czerwone i żółte jęzory ognia, migocząc upiornie wśród połamanych mebli i belek, wśród zniszczonego, rozrzuconego przez eksplozję sprzętu i trupów tych, którzy nie zdążyli wydostać się z pułapki.

W chłodnym wieczornym powietrzu wisiał gryzący odór spalenizny i chemikaliów.

Na miejsce katastrofy przybyło kilkanaście wozów straży pożarnej, ale teren wokół

instytutu był otoczony szczelnym kordonem i policja z Gwardią Narodową zatrzymała je przed ogrodzeniem. Nie było już nadziei na znalezienie żywych we wciąż płonącym budynku, dlatego nikt nie chciał narażać się na kontakt z czymś, co zabiło tylu członków Ruchu Łazarza.

Smith stał sztywno na skraju kordonu, patrząc na objęty pożarem gmach. Miał pochylone ramiona, zapadnięte policzki i mocno podkrążone oczy. Podobnie jak wielu żołnierzy, po szybkiej, pełnej napięcia akcji zawsze ogarniała go dziwna melancholia. Ale tym razem było znacznie gorzej. Nie przywykł przegrywać. On i Frank Diaz zabili lub ranili co najmniej połowę terrorystów, którzy zaatakowali instytut, jednak nie zdołali zapobiec eksplozji podłożonych przez nich bomb. Nie mógł też zapomnieć widoku tysięcy ludzi, którzy na jego oczach zmienili się w kałuże krwawego szlamu i kupki kości. W kieszeni zawibrował telefon. Wyjął go i przytknął

do ucha.

– Smith.

– Muszę mieć dokładny raport, pułkowniku – zaczął Klein. – Prezydent jest jeszcze na naradzie zespołu do spraw bezpieczeństwa narodowego, ale wkrótce ma do mnie zadzwonić.

Przekazałem mu już wstępny raport, ale na pewno spyta o szczegóły. Mów, co widziałeś i co się tam, twoim zdaniem, stało.

Jon zamknął oczy. Nagle ogarnęło go straszliwe znużenie.

– Rozumiem – mruknął głucho.

– Jesteś ranny? – W głosie szefa Tajnej Jedyńki zabrzmiała nuta zatroskania i niepokoju.

– Nic nie mówiłeś, więc założyłem, że...

Smith pokręcił głową. Wszystkie sińce i nadwreżone mięśnie zapiekły go jakby przypalone żywym ogniem.

– Nie, to nic poważnego – odparł, krzywiąc się z bólu. – Kilka skaleczeń i zadrapań.

– Rozumiem. – Klein musiał mieć co do tego jakieś wątpliwości, bo na chwilę zamilkł. –

Chcesz przez to powiedzieć, że już nie krwawisz?

– Fred, nic mi nie jest, naprawdę – powtórzył lekko zirytowany Jon. – Nie zapominaj, że jestem lekarzem.

– No dobrze – powiedział ostrożnie Klein. – A więc zaczynajmy. Po pierwsze, czy nadal jesteś przekonany, że to robota zawodowców?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Byli naprawdę dobrzy. Doskonale znali procedury Secret Service, mieli mocne dokumenty, identyczną z tamtymi broń, wszystko.

Gdyby prawdziwi agenci nie przyjechali wcześniej, nikt by niczego nie zauważył.

– Do chwili wybuchu bomb.

– Właśnie – mruknął posępnie Smith.

– I do śmierci pierwszych demonstrantów. Panuje powszechna opinia, że po tych wybuchach z laboratoriów wyciekło coś zabójczo groźnego, albo toksyczna substancja chemiczna, albo, co bardziej prawdopodobne, coś, co wytwarzali tam ci specje od nanotechnologii. Oddelegowano cię do nadzoru. Jak myślisz, co się tam stało?

Smith zmarszczył brwi. Myślał o tym, odkąd ustała strzelanina i umilkły potworne krzyki umierających. Co mogło zabić tylu ludzi tak szybko i w tak makabryczny sposób? Westchnął.

– Tylko jedno laboratorium pracowało nad czymś, co miało bezpośredni związek z ludzkimi tkankami i organami.

– Które?

– Harcourta. – Mówiąc szybko i treściwie, Jon opowiedział o drugiej wersji nanofagów Brinkera i Parikha i o doświadczeniu, podczas którego zdechła zdrowa mysz. – Jedna z bomb wybuchła u nich – dodał. – Phil i Ravi zaginęli. Prawdopodobnie nie żyją.

– W takim razie to jest to – skonkludował z ulgą Klein. – Bomby podłożono celowo. Ale śmierć tych ludzi była niezamierzona. Zginęli w wyniku wypadku...

– Nie, odpada – przerwał mu stanowczo Smith.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, komórki tej myszy nie uległy dekompozycji i natychmiastowemu rozkładowi. W przeciwieństwie do tego, co widziałem u tych, którzy umierali przed instytutem.

– Może te nanofagi działają inaczej na ludzi, inaczej na myszy? – spekulował ostrożnie Klein.

– Mało prawdopodobne. Na myszach eksperymentuje się głównie z powodu ich biologicznego podobieństwa do ludzi. – Jon potarł czoło. – Fred, bez dalszych badań nie dam za to głowy, ale mam przeczucie, że to nie nano fagi z laboratorium Harcourta ich zabiły.

Klein długo się nie odzywał.

– Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? – spytał wreszcie.

– Tak – odparł niechętnie Smith. – Jeśli mam rację, to zabiło ich coś, co terroryści celowo tam podłożyli, żeby z zimną krwią wymordować tysiące zwolenników i działaczy Ruchu Łazarza. A to nie ma sensu. – Ponownie zamknął oczy i zachwiał się, czując, że zaczyna ulegać zmęczeniu, z którym dotąd tak skutecznie walczył.

– Jon?

Smith z trudem rozwarł powieki.

– Tak?

– Jesteś ranny czy nie, musisz być kompletnie wykończony. Jak to tam teraz wygląda?

Mimo obezwładniającego znużenia Smith uśmiechnął się gorzko.

– Kiepsko – odparł – jak w więzieniu. Złożyłem już zeznania, ale federalni zatrzymali wszystkich, którzy byli w budynku, przeżyli i są jeszcze na nogach. Czekają na przyjazd z Waszyngtonu ich wicedyrektora. A ona nie zjawi się wcześniej niż dopiero jutro rano.

– Nic dziwnego – mruknął Klein. – Tak czy inaczej, czarno to widzę. Zobaczę, co się da zrobić. Zaczekaj.

Jon popatrzył w ciemność, na uzbrojonych w karabiny żołnierzy w panterkach, w kevlarowych hełmach i kamizelkach kuloodpornych, którzy patrolowali teren między nim i płonącym gmachem instytutu. Gwardia Narodowa wystawiła całą kompanię, żeby uszczelnić kordon: otrzymali rozkaz strzelania do każdego, kto spróbuje się przez niego przedrzeć.

Z tego, co słyszał, żołnierze mieli też dużo roboty w samym Santa Fe, ponieważ musieli pilnować gmachów rządowych i kierować wzmożonym ruchem na autostradzie i głównych drogach dojazdowych. Jeden z miejscowych szeryfów powiedział mu, że w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia tysiące mieszkańców miasta ewakuowało się do Albuquerque, a nawet wysoko w góry wokół Taos.

Tymczasem policja miała pełne ręce roboty z tymi, którzy przeżyli masakrę. Wielu z nich uciekło, ale kilkuset demonstrantów wciąż krążyło bez celu po ulicach Santa Fe. Nikt nie wiedział, czy są w szoku, czy szykują kolejną awanturę.

– Załatwione – odezwał się Klein. – Masz pozwolenie na opuszczenie strefy zagrożenia i powrót do hotelu. Radiowóz powinien już czekać.

Smith odetchnął z ulgą. Rozumiał, dlaczego federalni chcieli zabezpieczyć teren i zatrzymać świadków. Ale nie uśmiechała mu się perspektywa spędzenia długiej, zimnej nocy na pryczy w namiocie Czerwonego Krzyża czy na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu. I jak wielokrotnie przedtem przemknęło mu przez myśl, jakim cudem Fred – człowiek, który zawsze działał w głębokim cieniu – mógł tak szybko i skutecznie pociągnąć za sznurki, nie zdradzając, kim naprawdę jest. Ale cóż. Szybko przestał się nad tym zastanawiać. Najważniejsze, że Fred był piekielnie skuteczny.

Dwadzieścia minut później pędzili już na północ autostradą numer 84 przecinającą centrum Santa Fe. Na południe, w kierunku skrzyżowania z międzystanówką numer 25, główną drogą dojazdową do Albuquerque, wciąż sunął powoli długi sznur samochodów, pickupów, furgonetek i terenówek. Sytuacja była oczywista: wielu mieszkańców Santa Fe i okolic nie uwierzyło, że niebezpieczeństwo ogranicza się tylko do względnie małej strefy wokół instytutu.

Jon zmarszczył brwi. Nie, nikt nie miał prawa krytykować ich za to, że bali się śmierci.

Od lat zapewniano ich, że doświadczenia nanotechnologiczne są absolutnie bezpieczne, aż tu nagle włączyli telewizory i zobaczyli przerażonych demonstrantów pożeranych żywcem przez maszyny tak małe, że nie można ich ani dostrzec, ani nawet usłyszeć.

Radiowóz skręcił w Paseo de Peralta, szeroką aleję biegnącą wokół starówki.

Skrzyżowanie po prawej stronie blokował samochód Gwardii Narodowej. Inne wozy, wojskowe i policyjne, stały niemal na wszystkich ulicach prowadzących do śródmieścia.

Pokiwał głową. Odpowiedzialne za ład i porządek władze robiły, co tylko możliwe.

Gdyby wybrać okolicę najbardziej narażoną na rabunek i szaber, na pewno byłaby nią starówka.

W Santa Fe roilo się od pięknych muzeów, galerii, sklepów i domów, lecz sercem i duszą miasta zawsze było to miejsce: labirynt wąskich, jednokierunkowych uliczek otaczających piękny, wysadzany drzewami rynek i liczący sobie cztery wieki Pałac Gubernatorów.

Drwiąc ze sterylnych, ultranowoczesnych planów i z siatki prostopadłych do siebie ulic, tutejsze uliczki ciągnęły się wzdłuż starych, krętych szlaków handlowych Santa Fe i Pecos. Wiele ze stojących przy nich domów było architektonicznym melanzem starego i nowego stylu, hiszpańskiego i Pueblo: miały gliniane ściany, płaskie dachy, małe, głęboko osadzone okna i długie wystające belki stropowe. Inne zaś, jak na przykład gmach sądu federalnego, zbudowano z czerwonej cegły i ozdobiono wąskimi, białymi kolumnami w stylu terytorialnym, datującym się na rok 1846 i okres wojny meksykańsko-amerykańskiej. Niemal cała historia, sztuka i architektura, dzięki którym Santa Fe było miastem tak swoistym i niepowtarzalnym, skupiały się właśnie tu, na tej dość małej starówce.

Ulice były ciemne i opustoszałe, a przecież okolice rynku zawsze tętniły życiem: roiły się od turystów robiących zdjęcia i oglądających towary na stoiskach miejscowych rzemieślników i artystów, od Indian i Meksykanów, którzy siedząc na zadaszonym chodniku przed pałacem, sprzedawali charakterystyczną ceramikę i biżuterię ze srebra i szylkretu. Wszystko wskazywało na to, że jeszcze przez wiele dni rynek będzie straszyl upiorną pustką.

Smith mieszkał pięć ulic dalej, w hotelu Fort Marcy. Gdy oddelegowano go do Instytutu Tellera jako obserwatora i gdy przyjechał tu pierwszy raz, rozbawiło go, że Pentagon zarezerwował mu pokój w hotelu o wojskowej nazwie. Jednak szybko okazało się, że w Fort Marcy nie ma nic wojskowego czy spartańskiego. Był to kompleks hotelowy składający się z osiemdziesięciu pokoi w parterowych i jednopiętrowych bungalowach zbudowanych na łagodnym zboczu wzgórza z widokiem na miasto i pobliskie góry. Wszystkie pokoje były ciche, wygodne i elegancko umeblowane w stylu łączącym nowoczesność z południowo-zachodnią tradycją.

Radiowóz zatrzymał się przed wejściem. Jon podziękował policjantowi i pokuśtykał do bungalowu na skraju kępy rozłożystych drzew w zacisznym, starannie utrzymanym ogrodzie.

Okna prawie wszystkich sąsiednich bungalowów były ciemne. Podejrzewał, że większość gości już dawno wyjechała i na złamanie karku popędziła do domu.

Poszperał w portfelu, wyjął magnetyczny klucz i wszedł do środka. Gdy zamknął za sobą drzwi, poczuł, że po raz pierwszy od wielu godzin zaczyna się trochę odprężyć. Ostrożnie zdjął

podziurawioną kulami skórzaną kurtkę i poczłapał do łazienki. Ochlapał twarz zimną wodą i spojrzał w lustro.

Oczy miał zmęczone, udręczone i smutne.

Odwrócił głowę.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z głodu zajrzał do lodówki, ale zawinięte w folię resztki z hotelowej restauracji nie wyglądały zbyt apetycznie. Wziął zimne piwo Tecate, otworzył je i postawił na stole w jadalni.

Patrzył na nie i patrzył, wreszcie pociągnął długi łyk i usiadł, gapiąc się w okno. Ale zamiast panoramy miasta, widział jedynie koszmarne obrazy sprzed instytutu, które przesuwały mu się przed oczyma jak niekończący się film.

Malachi MacNamara przystanął w drzwiach kościoła Cristo Rey i stał tam przez chwilę, spoglądając w mrok. Grube, masywne ściany, sufit, pod sufitem okna i sączące się z nich blade światło księżyca. Na wprost szeroka nawa główna, na jej końcu ołtarz, a na ołtarzu rederos, trzy wielkie kamienne płyty, pokryte płaskorzeźbami kwiatów, świętych i aniołów. Tu i ówdzie w ławkach siedziały grupki pochylonych, znużonych mężczyzn i kobiet. Niektórzy płakali. Inni, wciąż wstrząśnięci widokiem potworności mijającego dnia, patrzyli tępo w pustkę.

Powoli wszedł do środka, nie rzucając się w oczy, usiadł w ławce przy drzwiach, wyteżył wzrok i słuch. Czuł, że tych, których ścigał, tu nie ma, lecz chciał się upewnić. Potem zamierzał odwiedzić kolejny kościół. Bolały go nogi. Od kilku godzin wędrował krętymi uliczkami starówki, tropiąc osobników, których namierzył przed instytutem i którzy stamtąd uciekli w tłumie innych ocalałych z rzezi demonstrantów. Samochodem byłoby dużo wygodniej, to oczywiste. Ale samochód zupełnie do niego nie pasował i piekielnie rzucał się w oczy. Ten, którym przyjechał do Nowego Meksyku, jeszcze przez jakiś czas musiał pozostać w ukryciu.

Spiesznie podeszła do niego kobieta o miłej, przyjaznej twarzy. Pewnie jedna z parafianek, które otworzyły kościół, żeby udzielić schronienia tym w potrzebie. A jednak nie wszyscy mieszkańcy miasta uciekli w góry. Miała zatroskane oczy.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytała. – Był pan tam?

– Byłem – odrzekł ponuro.

Dotknęła jego ręki.

– Tak mi przykro. To potworne. Bałam się, chociaż oglądałam to tylko w telewizji. Nie wyobrażam sobie, co czuli ci, którzy... – Zamilkła. Rozszerzyły się jej oczy.

Nagle zdał sobie sprawę, że to przez niego, że ma zimną, przerażającą twarz. Horror, jakiego był świadkiem, jeszcze go nie opuścił. Z trudem odpędził od siebie koszmarnie obrazy.

Westchnął.

– Przepraszam – powiedział cicho i łagodnie. – Nie chciałem pani przestraszyć.

– Czy stracił pan... – Kobieta zawahała się i urwała. – Szuka pan kogoś? Kogoś konkretnego?

– Tak, kolegów. – Szybko ich opisał.

Wysłuchała go uważnie, lecz gdy skończył, pokręciła głową.

– Boję się, że nikogo takiego tu nie widziałam. – Westchnęła. – Ale niech pan spróbuje w Upaya, w

tej buddyjskiej świątyni przy Cerro Gordo Road na wzgórzach. Mnisi też udzielają schronienia tym, którzy... Jeśli pan chce, wytłumaczę, jak tam dojść.

MacNamara potarł czoło.

– Bardzo pani dziękuję. – Ciężko wstał. Zanim utniesz sobie drzemkę, pomyślał posępnie, czeka cię jeszcze długi marsz. Długi i chyba bezsensowny. Tamci już dawno gdzieś się zaszyli.

Kobieta spojrzała na jego zdarte, zakurzone buty.

– Albo pana podwiozę – zaproponowała z wahaniem. – Pewnie jest pan od rana na nogach, musi pan być zmęczony.

Malachi MacNamara uśmiechnął się – pierwszy raz tego dnia.

– Tak – odrzekł cicho. – Ledwo stoję. Dlatego chętnie skorzystam z propozycji.

Pod SaohFe

Siedziba tajnej grupy operacyjnej Toksyna mieściła się u podnóża gór Sangre de Cristo, niedaleko drogi do ośrodka narciarskiego Santa Fe. Wąski, leśny trakt wijący się między złocistymi osikami, miedzianymi dębami i strzelistymi świerkami, był przegrodzony łańcuchem z dużą tablicą WSTĘP WZBRONIONY.

Zjechawszy z głównej szosy, Hal Burke opuścił szybę chryslera leBarona, którego wynajął natychmiast po wylądowaniu na międzynarodowym lotnisku w Albuquerque, zwolnił i się zatrzymał. Siedział nieruchomo z rękami na kierownicy, czekając.

Nagle spod rozłożystych drzew wychyła sylwetka człowieka i rozmyte światło reflektorów padło na jego pociągłą, kanciastą i podejrzliwą twarz. Dłoń nieznajomego spoczywała na rękojeści sterczącego z kabury pistoletu.

– To prywatna droga – rzucił.

– Wiem – odparł Burke. – Ale ja jestem prywatnym obywatelem. Toksyna. To moje nazwisko.

Usłyszawszy umówione hasło, wartownik podszedł bliżej. Poświecił mu w twarz małą latarką, potem zerknął na tylne siedzenie, żeby sprawdzić, czy Burke jest sam.

– Dokumenty poproszę.

Burke powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podał mu służbową legitymację.

Wartownik uważnie przyjrzał się zdjęciu, kiwnął głową, zwrócił mu legitymację i opuścił łańcuch.

– Proszę. Już na pana czekają.

Dom stał kilkaset metrów dalej. Duży, w alpejskim stylu, miał stromy dach, żeby łatwiej zsuwał się z niego śnieg. W tym rejonie Sangre de Cristo spadało go zimą ponad dwa i pół metra, a zima zaczynała się tu już pod koniec października. W wyższych partiach gór opady były dwa razy większe.

Zaparkował na spękany betonowym parkingu przy schodach. Zza szczelnie zaciągniętych zasłon w oknach sączyło się żółtawe światło. Otaczający dom las był cichy i nieruchomy.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył wysiąść; strażnik musiał ich uprzedzić. W progu stanął mężczyzna o kasztanowych włosach i jasnozielonych oczach.

– Szybko pan przyjechał.

Burke kiwnął głową i zmrużył oczy. Który to? – pomyślał, czując się trochę nieswojo.

Horacjusze nie byli braćmi, jednak wyglądali identycznie, podobno dzięki licznym operacjom plastycznym. Byli też świetnie wyszkoleni, nieprawdopodobnie silni i zwinni, i mieli za sobą lata intensywnego, wyrafinowanego treningu. Uległszy namowom. Burke mianował ich dowódcami trzech sekcji operacyjnych, chociaż ilekroć widział któregoś z nich, nie mógł stłumić uczucia strachu i podziwu. Nie mógł też ich rozróżnić.

– To ty, Prima? – rzucił. – Miałem powody, by się spieszyć.

Zielonooki olbrzym pokręcił głową.

– Terce. Niestety, Prima nie żyje.

– Nie żyje? – powtórzył ostro Burke. – Co się stało?

– Zginął podczas akcji – odparł spokojnie Terce i odsunął się na bok, robiąc mu przejście.

Wyłożone wykładziną schody na piętro, korytarz, boazeria na ścianach, kamienne płyty na podłodze. Zza otwartych drzwi w głębi domu padała smuga światła. – Przyjechał pan w samą porę. Pomoże nam pan rozstrzygnąć związany z tym problem.

Wyszli na dużą, przeszkloną werandę biegnącą wzdłuż krótszej ściany domu. Lekko spadzista podłoga, metalowy rowek ściekowy i stojaki – narciarnia i suszarnia, gdzie zimą zostawiano ciężkie buty, narty i rakiety śnieżne. Wyglądało na to, że teraz urządzono tu prowizoryczny areszt.

Na taborecie stojącym dokładnie nad rowkiem ściekowym pośrodku werandy siedział

drobny mężczyzna o pochylonych ramionach. Był zakneblowany, miał oliwkową cerę, starannie przycięte wąsy, związane z tyłu ręce i wytrzeszczone z przerażenia ciemnobrązowe oczy. Stopy przywiązano mu sznurem do nóg taboretu.

Burke spojrzał na Terce'a i pytająco uniósł brew.

– Nasz przyjaciel Antonio był kierowcą podczas akcji przed instytutem – wyjaśnił

olbrzym. – Niestety, w ostatniej fazie operacji wpadł w panikę. Zostawił Primę swojemu losowi.

– I musieliście go wyeliminować? – spytał Burke. – Żeby go nie schwytali?

– Niezupełnie. Prima został... zjedzony od środka, że się tak wyrażę. – Terce ze smutkiem pokręcił głową. – Nie wiedzieliśmy, że eksplozja ładunków wybuchowych wywoła jakąś zarazę.

Powinien był pan nas ostrzec. Mam głęboką nadzieję, że to było tylko niezamierzone przeoczenie.

Burke zmarszczył brwi. Czyżby Terce mu groził?

– Nikt nie wiedział, że te przeklęte nano coś tam są takie groźne – odparł szybko. –

Dokładnie przejrzałem tajne raporty z laboratoriów Harcourta, Nomury i Tellera: absolutnie nic na to nie wskazywało!

Terce przyglądał mu się przez długą chwilę. Wreszcie kiwnął głową.

– Dobrze. Wierzę panu. Na razie. – Wzruszył ramionami. – Ale misja się mimo to powiodła. Zamiast osłabnąć, Ruch Łazarza zyska teraz na sile. Czy zważywszy na nowe okoliczności, chce pan kontynuować? Czy też mamy zwinąć manatki i odejść, dopóki jest czas?

Burke nachmurzył czoło. Za daleko zabrnął. Nie. O wiele ważniejszą sprawą było zniszczenie tego przeklętego ruchu, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, trzeba iść dalej. Co z waszą przykrywką? Jesteście gotowi?

– Tak.

– Dobrze – rzucił beznamiętnie Burke. – Jest szansa, że uda nam się przypisać tę masakrę Łazarzowi. Zaczynajcie. Jeszcze dzisiaj.

– Wedle rozkazu – odparł cicho Terce. Wskazał zakneblowanego mężczyznę. – Ale przedtem musimy rozstrzygnąć problem kary. Co z nim zrobić? Co pan proponuje?

Burke spojrzał mu w oczy.

– Czy to nie oczywiste? Pękł raz, pęknie znowu. Nie stać nas na to. I tak już ryzykujemy.

Wykończcie go i ukryjcie ciało gdzieś, gdzie go nie znajdą.

Kierowca głucho jęknął. Opadły mu ramiona. Terce kiwnął głową.

– Pańskie rozumowanie jest nienaganne – rzekł z rozbawieniem w zielonych oczach. –

Ale ponieważ to pan wydał wyrok, pan powinien go też wykonać. – I rękojęścią do przodu podał mu długi, wojskowy nóż.

Sprawdza mnie, pomyślał gniewnie Burke. Chce zobaczyć, jak daleko jestem w stanie się posunąć, czy splamię ręce krwią. Cóż. Dowodzenie tajną grupą najemników nie było łatwe, poza tym i tak miał już na sumieniu wiele innych morderstw, starannie ukrytych przed wzrokiem przykutych do biurka zwierzników. Tłumiąc odrazę, zdjął kurtkę i powiesił ją na stojaku do nart. Podwinął rękawy koszuli i wziął nóż.

Bez wahania stanął za kierowcą, gwałtownie odchylił mu głowę do tyłu i szybkim, silnym ruchem przeciągnął ostrzem po jego gardle. Trysnęła krew, szkarłatna w jaskrawym świetle jarzeniówek.

Kierowca dziko wierzgnął nogami i szarpnął krępującymi go sznurami. Zwalił się z taboretu na betonową podłogę i długo leżał w drgawkach, konając w kałuży krwi.

– Zadowolony? – warknął Burke. – Może jeszcze wykopać mu grób?

– Nie, to nie będzie konieczne – odrzekł cicho Terce, wskazując grubą belę materiału w kącie werandy. – Wykopaliśmy już grób dla biednego Joachima. Mogą leżeć w jednym.

Dopiero wtedy Burke zdał sobie sprawę, że patrzy na zawiniętego w brezent trupa.

– Raniono go, gdy wycofywaliśmy się z instytutu – wyjaśnił Terce. – W ramię i w nogę.

Rany nie były groźne, ale musielibyśmy odwieźć go do szpitala. Zrobiłem, co było konieczne.

Burke powoli kiwnął głową. Dla rannego, który nie mógł utrzymać się na nogach, Terce i jego towarzysze nigdy by aż tak nie zaryzykowali. Zabiliby każdego, kto zagroziłby ich misji.

Nawet swojego.

Czwartek, 14 października, Biały Dom

Minęła północ i grube, czerwono–żółte indiańskie zasłony w oknach były już szczelnie zaciągnięte. Nikt spoza Białego Domu nie musiał wiedzieć, że prezydent Stanów Zjednoczonych wciąż pracuje. Nikt nie musiał też wiedzieć, z kim się o tej porze spotyka.

Sam Castilla siedział w koszuli przy dużym, sosnowym stole, czytając plik naprędce spisanych dekretów. Dokumenty leżały w kręgu światła ciężkiej, mosiężnej lampy w rogu stołu.

Prezydent notował coś od czasu do czasu na marginesie lub wykreślał źle sformułowane fragmenty zdań.

Wreszcie szybkim pociągnięciem pióra złożył na dole kilka podpisów; poprawione i przepisane na czysto kopie dla archiwum mógł podpisać później. Teraz najważniejsze było to, żeby koła rządowej maszyny zaczęły obracać się szybciej. Podniósł wzrok.

Charles Ouray, jego szef sztabu, i Emily Powell–Hill, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, na wpół leżeli w wielkich, skórzanych fotelach przed biurkiem. Lecieli z nóg, gdyż od wielu godzin nieustannie krążyli między Białym Domem a departamentami, które miały przygotować dokumenty do podpisu. Negocjacje z ich szefami, z których każdy miał własne zdanie i ulubioną taktykę działania, nie były łatwe.

– Muszę wiedzieć coś jeszcze? – spytał.

Jako pierwszy odezwał się Ouray.

– Dostaliśmy już poranne gazety z Europy – powiedział i kąciaki ust powędrowały mu do dołu.

– Niech zgadnę – odparł kwaśno Castilla. – Wałą w nas jak w bęben.

Emily Powell–Hill skinęła głową. Na jej twarzy malowało się przygnębienie.

– Tak, większość tygodników. Francuskich, niemieckich, włoskich, brytyjskich, hiszpańskich i pozostałych. Zgodnie uważają, że bez względu na to, co zaszło w instytucie, za masakrę przed nim odpowiadamy my.

– Czyżby? Na jakiej podstawie?

– Głównie spekulują, strzelają na oślep – powiedział cicho Ouray. – Twierdzą, że prowadzimy badania nad nową tajną bronią nanotechnologiczną i że w instytucie doszło do wypadku. Na pierwszej stronie sensacyjne doniesienia, na ostatniej nasze oficjalne dementi.

– W co oni grają? – prychnął Castilla. – Robią za rzeczników tego Łazarza czy jak?

– Nie, są tylko praktyczni – odparła bez ogródek Emily Powell–Hill. – W tych historyjkach jest wszystko to, co Europejczycy tak uwielbiają: wielka, zła i głupia Ameryka rozprawia się brutalnie z grupą szczerych, prawych, miłujących Ziemię działaczy. I jak się pan zapewne domyśla, ich autorzy wyciągają przy okazji wszystkie błędy, jakie popełniliśmy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

– Ewentualne konsekwencje? – rzucił Castilla.

– Nieciekawe – odparła Powell–Hill. – Niektórzy z naszych „przyjaciół” w Paryżu i Berlinie z przyjemnością dźgną nas nożem w plecy, to nic nowego. Ale nawet ze sprawdzonymi sprzymierzeńcami trzeba będzie rozegrać to bardzo ostrożnie. Sojusz z jedynym w świecie supermocarstwem zawsze był ryzykowny i niezbyt popularny i wiele z tych rządów się teraz chwieje. Wystarczy, że wyborcy zmienią zdanie, i polecą głowy.

– Emily ma rację, panie prezydencie – powiedział Ouray. – Rozmawiałem z Departamentem Stanu. Są zaniepokojeni pytaniami z Europy, a nawet z Japonii, które docierają do nich nieoficjalnymi kanałami. Nasi partnerzy chcą zapewnień, że to wszystko nieprawda i, co ważniejsze, żądają konkretnych dowodów.

– Na naszą niewinność? – Sfrustrowany Castilla pokręcił głową. – Niełatwo będzie je zdobyć.

– To prawda – odrzekła Emily Powell–Hill – ale musimy zrobić co w naszej mocy.

W przeciwnym razie nasze sojusze się rozpadną i Europa jeszcze bardziej się od nas oddali.

Po wyjściu doradców Castilla długo siedział przy stole, zastanawiając się, jak uspokoić elity polityczne i opinię publiczną Europy. Pociemniała mu twarz. Niestety, nie miał zbyt wielkiego wyboru. Bez względu na to, ile laboratoriów rządowych i baz wojskowych udostępniłby międzynarodowym inspektorom, nie zdołałby całkowicie opanować podsycanej przez Internet hysterii. Zwariowane plotki, obciążające wyolbrzymienia, sfalszowane zdjęcia i bezczelne kłamstwa rozchodziły się z prędkością światła, o wiele szybciej niż poparte dowodami wyjaśnienia.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?

Do gabinetu zajrzała panna Pike, osobista sekretarka.

– Panie prezydencie, przed chwilą dzwonili z Secret Service. Jest już pan Nomura. Zaraz go przyprowadzą.

– Mam nadzieję, że dyskretnie.

Przez jej zwykle zasadniczą, poważną twarz przemknął cień uśmiechu.

– Weszli przez kuchnię, panie prezydencie. Myślę, że to wystarczy.

Castilla zachichotał.

– Powinno. Cóż, miejmy nadzieję, że nie grasuje tam żaden dziennikarz z nocnej zmiany.

– Wstał, poprawił krawat i włożył marynarkę. Hideo Nomura wszedł do Białego Domu tylnymi drzwiami, mijając po drodze pojemniki z kuchennymi odpadkami: ponieważ nijak nie przypominało to imponującej ceremonii, z jaką amerykański prezydent zwykle przyjmował

gości, mógł przynajmniej powitać go w garniturze.

Panna Pike otworzyła szerzej drzwi i dwie minuty później w progu stanął prezes Nomura PharmaTech. Castilla uśmiechnął się szeroko i wyszedł mu na spotkanie. Wymienili krótkie, układne japońskie ukłony, a potem uścisnęli sobie ręce.

Castilla wskazał mu dużą, skórzaną sofę pośrodku pokoju.

– Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał, Hideo – zagaił. – Podobno przyleciał pan prosto z Europy.

Namura uśmiechnął się taktownie.

– To żaden kłopot, panie prezydencie. Nasza firma ma szybki samolot i jako prezes mogę z niego korzystać. I to raczej ja powinienem podziękować panu. Gdyby pańscy ludzie się ze mną nie skontaktowali, musiałbym prosić pana o spotkanie.

– W związku z tą katastrofą w Instytucie Tellera?

Młody Japończyk skinął głową i błysnął czarnymi oczami.

– Nieprędko zapomnimy o tym okrutnym akcie terroryzmu.

Castilla rozumiał jego gniew. Laboratorium Nomura PharmaTech w Instytucie Tellera zostało całkowicie zniszczone i jego mieszcząca się w Tokio międzynarodowa firma poniosła olbrzymie straty: prawie sto milionów dolarów, nie licząc kosztów wieloletnich badań i nie wspominając już o tym, że zginęli tam ludzie. Piętnastu, a według innych źródeł, osiemnastu naukowców i wysoko wykwalifikowanych techników uznano za zaginionych. Prawdopodobnie nie żyli.

– Znajdziemy i ukarzymy wszystkich odpowiedzialnych za ten bezprecedensowy atak –

zapewnił go Castilla. – Wydałem polecenie, żeby nasze siły policyjne i agencje wywiadowcze uznały tę sprawę za priorytetową.

– Bardzo to doceniam, panie prezydencie – odrzekł cicho Nomura. – Chociaż niewiele mogę, przyjechałem, żeby zaoferować panu pomoc. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście nie w pościgu za terrorystami. Moja firma nie ma w tym doświadczenia. Ale moglibyśmy wesprzeć was inaczej.

Castilla uniósł brew.

– Tak?

– Jak pan wie, utrzymujemy dość liczny kontyngent medyczny, coś w rodzaju sił

szybkiego reagowania. Nasz samolot mógłby przylecieć tu w ciągu kilku godzin.

Castilla kiwnął głową. Nomura PharmaTech wydawała olbrzymie kwoty na dobroczynną działalność medyczną na całym świecie. Jego stary przyjaciel Jinjiro rozpoczął ją jeszcze w latach sześćdziesiątych, zaraz po założeniu firmy. Gdy przeszedł na emeryturę i zajął się polityką, pałeczkę po nim przejął syn, Hideo. Zasiłał finansowo niemal każdy rodzaj działalności medycznej, od szczepień i programu walki z malarią w Afryce poczynając, na szeroko zakrojonych projektach sanitarnych na Bliskim Wschodzie i w Azji kończąc. Jednak uwagę prasy i opinii publicznej najbardziej przykuł jego program pomocy ofiarom klęsk żywiołowych.

PharmaTech dysponowała flotyllą rosyjskich transportowców, anów-124 condor. Jeszcze większe od gigantycznych C-5 Amerykańskich Sił Powietrznych, mogły przewieźć do stu pięćdziesięciu ton ładunku. Ich bazą główną były Azory, skąd – z polowymi salami operacyjnymi i laboratoriami diagnostycznymi na pokładzie – udawały się wszędzie tam, gdzie potrzebowano natychmiastowej pomocy lekarskiej. Firma szczyciła się tym, że w ciągu dwudziestu czterech godzin jest w stanie dostarczyć w pełni wyposażony szpital do każdego zakątka kuli ziemskiej, w którym wystąpiły silne trzęsienie ziemi, powódź, uderzył tajfun, wybuchły epidemia czy wielki pożar.

– To bardzo szczodra propozycja, Hideo – odparł powoli Castilla. – Ale boję się, że nikt z tych ludzi nie przeżył. Wszyscy zginęli. Pański personel medyczny nie miałby kogo leczyć.

– Moglibyśmy pomóc w inny sposób – zasugerował delikatnie Nomura. – Mamy dwa polowe laboratoria DNA. Może przydałyby się podczas smutnego obowiązku identyfikowania...

– Zwłok – dokończył za niego Castilla. Też o tym myślał. FEMA, Federalna Agencja do spraw Klęsk Żywiołowych, oceniała, że zidentyfikowanie wszystkich szczątków ludzkich z ruin Instytutu Tellera potrwa wiele miesięcy, dlatego bez względu na ewentualne komplikacje, prawne i polityczne, warto było spróbować wszystkiego, co mogłoby ten smutny, powolny proces przyspieszyć. Kiwnął głową.

– Ma pan rację, Hideo. Tu przyda się każda pomoc. – Westchnął. – Jest późno, lecę z nóg; te dwa dni to był prawdziwy koszmar.

Mam ochotę na drinka. Napije się pan?

– Z przyjemnością – odrzekł Nomura. – Dziękuję.

Castilla podszedł do barku przy drzwiach do prywatnego gabinetu; nieco wcześniej panna Pike ustawiła tam szklanki i alkohole. Wziął jedną z butelek. Była pełna bursztynowego trunku.

– Może być szkocka? Dwudziestoletnia Caol Ila, słodowa z Islay. Jedna z ulubionych whisky pańskiego ojca.

Nomura spuścił oczy, najwyraźniej zażenowany emocjami, jakie wzbudziła w nim ta wzmianka. Pochylił głowę w szybkim ukłonie.

– To dla mnie zaszczyt.

Rozlewając whisky, Castilla przyglądał mu się kątem oka, dostrzegając zmiany, jakie zaszły w nim, odkąd widzieli się ostatni raz. Chociaż Hideo dobiegał już pięćdziesiątki, jego krótko ostrzyżone włosy wciąż były kruczoczarne. Był wysoki nawet jak na Japończyka z jego pokolenia, tak wysoki, że bez trudu mógł spojrzeć prosto w oczy niemal każdemu Europejczykowi czy Amerykaninowi. Miał silnie zarysowaną linię szczęk i ledwo widoczne kurze łapki w kącikach oczu i ust. Z daleka mógłby uchodzić za mężczyznę dziesięć czy nawet piętnaście lat młodszego. Dopiero z bliska na jego twarzy widać było piętno czasu, tłumionego smutku i gniewu.

Podał mu szklanekę, usiadł i pociągnął łyk, rozkoszując się słodkavo-słonawym, dymnym smakiem trunku i jego dębowym zapachem. Zauważył, że Hideo spróbował whisky bez większej przyjemności. Cóż, pomyślał. Syn to nie ojciec.

– Zaprosiłem pana z innego powodu – powiedział, żeby przerwać niezręczną ciszę. –

Chociaż łączy się to pośrednio z tragedią w instytucie. – Starannie dobierał słowa. – Muszę spytać pana o Jinjiro i o... Łazarza.

Nomura lekko się wyprostował.

– O mojego ojca? O ruch? Rozumiem. – Odstawił szklanekę. Była prawie pełna. –

Oczywiście. Odpowiem na każde pytanie.

– Był pan przeciwny jego zaangażowaniu w działalność Ruchu Łazarza, prawda? – spytał

Castilla, zdając sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie.

Japończyk skinął głową.

– Tak. – Spojrzał mu prosto w oczy. – Mój ojciec i ja nie byliśmy wrogami. Nigdy też nie ukrywałem przed nim moich poglądów.

– Jakich?

– Takich, że cele Ruchu Łazarza, są bardzo wzniosłe, a nawet szlachetne – odrzekł cicho Nomura. – Któż by nie chciał, żeby Ziemia była czysta i wolna od skażeń i żeby zapanował na niej pokój? Tylko jak to zrobić? – Wzruszył ramionami. – To, co proponowało kierownictwo ruchu, było w najlepszym razie nierealistyczne. A w najgorszym obłąkane. Świat balansuje na ostrzu noża: po jednej stronie masowy głód i barbarzyństwo, po drugiej utopia. Równowagę utrzymuje tylko dzięki technice i technologii. Zapomnimy o zaawansowanych technologiach, tak jak proponują to działacze ruchu, i nasza planeta pogrąży się w koszmarze śmieci i zniszczenia.

W koszmarze, z którego może się już nigdy nie obudzić.

Castilla kiwnął głową. Poglądy Nomury były zbieżne z jego przemyśleniami.

– Co mówił na to Jinjiro?

– Ojciec początkowo się ze mną zgadzał, przynajmniej częściowo. Ale uważał, że postęp techniczny jest za szybki. Niepokoiły go klonowanie, inżynieria genetyczna i nanotechnologia.

Bał się, że szybki rozwój tych nauk da niedoskonałym ludziom zbyt wiele władzy zarówno nad samymi sobą, jak i nad naturą. Mimo to, zakładając Ruch Łazarza, miał nadzieję wykorzystać go tylko do spowolnienia postępu naukowego, a nie do jego zatrzymania.

– Ale potem to się zmieniło.

Nomura nachmurzył czoło.

– Tak. – Podniósł szklankę, patrzył na nią przez chwilę i ponownie odstawił ją na stolik. –

To ruch go odmienił. Ojciec robił się coraz bardziej radykalny, coraz napastliwszy w słowach...

Castilla milczał, uważnie słuchając.

– Gdy przywódcy ruchu zaczęli umierać i znikać, pogrążył się w depresji – mówił dalej Nomura. – Nachodziły go coraz mroczniejsze myśli. Twierdził, że ktoś ich atakuje, że ktoś potajemnie rozpętał przeciwko nim wojnę.

– Wojnę? – powtórzył szorstko Castilla. – Ale kto?

– Wielkie korporacje – odparł cicho Nomura. – Rządy niektórych państw. Agencje wywiadowcze. Nawet pańska CIA.

– Boże święty...

Japończyk ze smutkiem skinął głową.

– Myślałem wtedy, że te paranoidalne obawy wskazują na pogarszający się stan jego zdrowia psychicznego. Prosiłem go, żeby poszedł do lekarza. Nie chciał. Jego wypowiedzi stały się jeszcze gwałtowniejsze, jeszcze bardziej... szalone. A potem zniknął w drodze do Tajlandii. –

Sposepniał. – Bez jednego słowa, bez najmniejszego śladu. Nie wiem, czy go uprowadzono, czy przepadł z własnej woli. Nie wiem nawet, czy żyje.

Podniósł wzrok.

– Ale teraz, gdy zobaczyłem, jak przed Instytutem Tellera giną pokojowo nastawieni demonstranci, zaczęło mnie martwić coś innego. – Zniżył głos. – Ojciec mówił o tajnej wojnie, o tym, że ktoś ich podstępnie atakuje, i wtedy go wyśmiałem. A jeśli miał rację?

Po wyjściu Nomury Castilla zapukał do drzwi swego prywatnego gabinetu i wszedł do środka.

W słabo oświetlonym pokoju, na krześle tuż obok drzwi siedział blady mężczyzna w wygniecionym ciemnoszarym garniturze. Miał bystre, inteligentne oczy i druciane okulary na długim nosie.

– Witaj, Sam – powiedział.

– Słyszałeś? – spytał Castilla.

Fred Klein, szef Tajnej Jedyńki, kiwnął głową.

– Prawie wszystko. – Postukał palcem w plik dokumentów. – I przeczytałem stenogram z wczorajszego posiedzenia Krajowej Rady Bezpieczeństwa.

– No i? – rzucił prezydent. – Co o tym myślisz?

Klein usiadł wygodniej i zastanawiając się nad odpowiedzią, przeczesał ręką szybko rzedniejące włosy. Wydawało się, że ich linia z każdym rokiem przesuwa się dwa, trzy centymetry do góry. Była to cena, jaką płacił za stres związany z organizowaniem najtajniejszych operacji rządowych i ich kierowaniem.

– Hanson nie jest głupcem – odparł w końcu. – Znasz przebieg jego kariery równie dobrze jak ja. Ma nosa, jest bystry i ambitny na tyle, żeby pójść tam, gdzie nos ten go zawiedzie.

– Wiem. Cholera, właśnie dlatego posadziłem go na stołku dyrektora CIA; dodam, że wbrew częstym i głośnym protestom Emily. Ale teraz chcę usłyszeć twoją opinię na temat jego ostatnich spekulacji: myślisz, że ta masakra w Santa Fe to robota Łazarza?

Klein wzruszył ramionami.

– To, co mówi Hanson, trzyma się kupy. Ale to już wiesz.

– Tak, to wiem. – Castilla opadł ciężko na krzesło przy kominku. – Ale jak teoria CIA ma się do tego, czego dowiedziałeś się od Smitha?

– Nijak – odparł Klein. – Pułkownik nie ma żadnych wątpliwości: ci terroryści byli zawodowcami, doskonale wyszkolonymi, świetnie wyposażonymi, obeznanymi z terenem i procedurami Secret Service. – Odruchowo sięgnął do starej, wrzoscowej fajki w kieszeni i niechętnie cofnął rękę; w Białym Domu obowiązywał całkowity zakaz palenia tytoniu. –

Szczerze mówiąc, nie pasuje to do tego, co o nich wiemy, choć wiemy niewiele...

– Mów, mów.

– Ale z drugiej strony nie jest to zupełnie niemożliwe. Ruch Łazarza ma pieniądze. Może kogoś wynajęli. Dobrze wyszkolonych zawodowców, byłych żołnierzy oddziałów specjalnych i różnych najemników jest dzisiaj pełno. Agenci Stazi z byłej NRD, agenci KGB, żołnierze Specnazu, komandosi z państw dawnego Układu Warszawskiego, z Bałkanów, z Bliskiego Wschodu...

Klein wzruszył ramionami.

– Ale jeśli wierzyć Smithowi, prawdziwą zagwozdką jest to, że ta masakra nie była skutkiem prowadzonych w instytucie eksperymentów nanotechnologicznych. Jeśli pułkownik ma rację, teorię Hansona i wszystkie inne logicznie uzasadnione teorie można wyrzucić na śmietnik.

Prezydent długo patrzył na wygasły kominek. Wreszcie pokręcił głową i mruknął:

– Trochę to za wygodne, Fred, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę słowa Nomury. Nie podoba mi się, że CIA i FBI skupiają się na jednej konkretnej teorii, wykluczając inne.

– Rozumiem – odrzekł Klein i postukał palcem w dokumenty na kolanach. – Przyznaję, że mam te same wątpliwości. Największym grzechem analityków jest wbijanie młotkiem kwadratowych faktów w okrągłe dziury tylko po to, żeby pasowały do takiej czy innej hipotezy.

I kiedy to czytam, wyraźnie słyszę, jak twoi chłopcy walą tym młotkiem, że hej.

Castilla westchnął.

– No właśnie. – Popatrzył na Kleina. – Zespół A i zespół B. Wiesz co to?

Klein posłał mu krzywy uśmiech i jednak sięgnął po fajkę.

– Lepiej, żebym wiedział. Ostatecznie gdyby nie to, między innymi, po co mielibyśmy zakładać Tajną Jedynekę? – Wzruszył ramionami. – W 1976 roku George Bush senior, ówczesny szef CIA, a później jeden z twoich znamienitych poprzedników, doszedł do wniosku, że nie zadowolają go wewnętrzne analizy posunięć sowieckich służb wywiadowczych. Dlatego powołał

niezależną grupę ekspertów, grupę B złożoną z naukowców, emerytowanych generałów i sowietologów, którzy mieli pracować nad tymi samymi zagadnieniami co grupa A, integralny wydział CIA.

– Właśnie – mruknął Castilla. – No właśnie. Fred, chcę, żebyś powołał taką samą grupę: zespół całkowicie niezależny od CIA i od FBI, który zbada sprawę tej masakry. Nie wchodzi im w drogę, chyba że będziesz musiał: chcę, żeby ktoś, komu całkowicie ufam, sprawdził kształt faktów, które Hanson z takim namaszczeniem wbija w okrągłe dziury.

Klein powoli kiwnął głową.

– Da się to zrobić. – Myślał przez chwilę, stukając niezapaloną fajką w kolano. Wreszcie podniósł wzrok. – Oczywiście kandydatem jest pułkownik Smith. Jest na miejscu wydarzeń i zna się na nanotechnologii.

– Dobrze – odrzekł Castilla. – Wprowadź go w sytuację. Zrób listę wszystkich niezbędnych upoważnień i z samego rana przyślij mi ją do podpisu.

Wzgórza Cerrillos, na południowy zachód od Santa Fe

Stara, zdezelowana honda civic jechała na południe drogą numer 57, ciągnąc za sobą długą, gęstą smugę pyłu. W promieniu wielu kilometrów okolica tonęła w aksamitnym mroku.

Jedynie srebrzysty księżyc i gwiazdy rzucały słabe światło na wystrzępione wzgórza, strome parowy i doliny wyschniętych strumieni na wschód od wyboistej żwirówki. W ciasnym, zaśmieconym samochodzie nad kierownicą pochylał się Andrew Costanzo. Od czasu do czasu bezgłośnie poruszał ustami i zerkał na licznik, próbując ustalić, ile kilometrów przejechał od skrzyżowania z międzystanówką numer 25. Wskazówki, jakie otrzymał, były dokładne.

Niewielu z tych, którzy go znali, rozpoznałoby dziwny wyraz ożywienia i lęku, który gościł na jego bladej, nalanej twarzy.

W normalnych okolicznościach Costanzo był zwykle sfrustrowany i pełen nagromadzonych przez lata uraz. Miał czterdzieści jeden lat, był gruby, nieżonaty i już dawno temu ugrzązł w społeczeństwie, które nie doceniało ani jego intelektu, ani ideałów. Ciężko pracował, żeby zrobić doktorat z prawa środowiskowego i amerykańskiego konsumeryzmu.

Doktorat, który powinien był otworzyć mu drzwi do akademickich elit. Przez wiele lat marzył o pracy w Waszyngtonie, najlepiej w jakiejś grupie konsultingowej, gdzie mógłby samodzielnie tworzyć projekty najniezbędniejszych reform społecznych i ekologicznych. Zamiast tego był tylko zwykłym urzędasem i na pół etatu pracował w księgarni, chociaż praca ta podcinała mu skrzydła i nie zapewniała ani żadnych perspektyw, ani nawet pieniędzy na opłacenie czynszu za nędzny, rozlatujący się ranczerski dom w jednej z najuboższych dzielnic Albuquerque.

Ale Costanzo miał jeszcze inne zajęcie, potajemne, sekretne – zajęcie, które nadało nowy sens jego parszywemu życiu. Nerwowo oblizwał usta. Zaproszenie do wewnętrznych kręgów ruchu było wielkim zaszczytem, lecz łączyło się z poważnym ryzykiem. To, co zobaczył w telewizji, jeszcze bardziej go w tym przekonaniu umocniło. Bo przecież gdyby zwierzchnicy nie wydali surowego rozkazu i nie kazali mu zostać w domu, on też pojechałby na wiec przed Instytutem Tellera. I pewnie by już nie żył jak tysiące tych, których tak bezlitośnie zmasakrowały te zabójcze nanomaszyny.

Ponownie zakipiał stłumioną wściekłością, zapominając o codziennych drobnych urazach, które z taką lubością w sobie podsyczał. Zaciśnął ręce na kierownicy. Samochód gwałtownie skręcił w prawo i omal nie zjechał na grząskie, gęsto porośnięte krzewami pobocze.

Zlany potem Costanzo odetchnął. Uważaj, co robisz, warknął w duchu. W odpowiednim czasie Łazarz zemści się na wrogach.

Ponownie spojrzął na licznik. Przejechał kolejny kilometr. Miejsce spotkania było już blisko.

Zwolnił i spojrział w boczną szybę. Jest! Nareszcie!

Odruchowo włączył kierunkowskaz, skręcił i ostrożnie wjechał w paszczę małego kanionu wijącego się między wzgórzami. Opony zachrząściły na żwirze naniesionym przez nagłe powodzie. Na prawie nagich, stromych zboczach rosły jedynie krzaki i kępy karłowatych drzew.

Kilkaset metrów dalej kanion skręcał na północ. Odchodziły od niego wąskie, kręte jary i parowy. Drzew było tu więcej, bo wyrastały spomiędzy wygładzonych przez wodę głazów i niskich kopców żwiru. Po jednej i drugiej stronie w niebo strzelały wysokie skalne ściany, złożone z naprzemiennych warstw żółtobrazowego piaskowca i czerwonego mułowca.

Costanzo wyłączył silnik. Wokoło panowała pełna napięcia cisza. Przyjechał za wcześnie? Czy za późno? Rozkaz wyraźnie podkreślał, że ma przyjechać punktualnie, że to bardzo ważne. Przeciągnął rękawem koszuli po czole, wycierając krople potu, który piekł go w zapadnięte, przekrwione oczy.

Niezdarnie wysiadł, ciągnąc za sobą małą walizkę, i stanął przy samochodzie, nie wiedząc, co robić.

Z ujścia jednego z odchodzących od kanionu parowów wytrysnęła nagle smuga oślepiającego światła. Zaskoczony Costanzo odwrócił się w tamtą stronę i przesłonił ręką oczy, ale zobaczył tylko zarys dużego samochodu i czegoś, co można było wziąć za sylwetki dwóch czy trzech mężczyzn.

– Postaw walizkę – rozkazał ktoś przez megafon. – I odejdz od samochodu. Trzymaj ręce w górze.

Roztrzęsiony Costanzo postawił walizkę i czując, że robi mu się niedobrze, sztywnym krokiem odszedł na bok. Przystanął i podniósł ręce otwartymi dłońmi w stronę światła.

– Kim jesteś? – wychrypiał żałośnie.

– FBI, panie Costanzo – odparł tamten już bez megafonu.

– Przecież nie zrobiłem nic złego! Nie złamałem prawa! – krzyknął Costanzo piskliwym, załamującym się głosem, zdradzając, jak bardzo się boi.

Boże, co za wstyd.

– Nie? Pomaganie członkom organizacji terrorystycznej jest przestępstwem, Andrew.

Bardzo poważnym przestępstwem. Nie wiedział pan o tym?

Costanzo ponownie oblizwał usta. Serce waliło mu jak oszalałe. Plamy potu pod pachami koszuli robiły się coraz większe.

– Trzy tygodnie temu mężczyzna o pańskim wyglądzie zamówił dwa fordysy excursion w dwóch różnych salonach samochodowych w Albuquerque. Dwa czarne wozy terenowe.

Zapłacił gotówką. Gotówką, Andrew, prawie sto tysięcy dolarów. Może mi pan wyjaśnić, skąd ktoś taki jak pan miał tyle pieniędzy?

– To nie ja – zaprotestował Costanzo.

– Zidentyfikują pana sprzedawcy, Andrew. Nie wiedział pan, że mają obowiązek meldować o wszystkich transakcjach gotówkowych powyżej dziesięciu tysięcy dolarów?

Costanzo rozdziawił usta. Odebrało mu mowę. Zapomniałem, pomyślał tępo. Na śmierć zapomniałem. Wymóg zgłaszania takich transakcji oficjalnie miał służyć walce z handlem narkotykami, ale tak naprawdę był potrzebny rządowi do monitorowania i dławienia ewentualnych protestów społecznych. W towarzyszącym misji podnieceniu zupełnie o tym zapomniał. Jak mógł być aż tak ślepy? I tak głupi! Ugięły mu się kolana.

Jedna z niewyraźnych sylwetek drgnęła i podeszła bliżej, przybierając kształt niezwykle wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny.

– Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, panie Costanzo – powiedział cierpliwie. – Wrobili pana.

Costanzo ani drgnął. Nogi wrosły mu w ziemię. To prawda, pomyślał ponuro. Zdradzili mnie. Ale czemu ja się dziwię? Przecież było tak przez całe życie, najpierw w domu, potem w szkole, a teraz znowu.

– Mogę rozpoznać człowieka, który dał mi pieniądze – wybełkotał rozpaczliwie. – Mam dobrą pamięć do twarzy...

Kula kaliber 9 milimetrów trafiła go między oczy, przebiła mózg i wyszła potylicą.

Wciąż trzymając w ręku zaopatrzonego w tłumik pistolet, Terce popatrzył na martwego grubasa.

– Wiem, panie Costanzo – powiedział. – W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

Uciekał. Biegł ile sił w nogach, bo groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiedział

tylko tyle i nie pamiętał już dlaczego. Tuż obok biegli inni i wśród ich przerażających krzyków słyszał przenikliwe brzęczenie. Zerknął przez ramię i zobaczył olbrzymi rój owadów, które szybko ich doganiały. Przyspieszył. Serce waliło mu w rytm kroków.

Brzęczenie przybierało na sile, było coraz bardziej natarczywe i złowieszcze. Nagle coś zatrzepotało mu na szyi, więc rozpaczliwym gestem spróbował to strząsnąć. Nie zdołał, bo przywarło do palców. Popatrzył na nie, zdjęty trwogą. Duża, żółta osa.

I nagle, na jego oczach osa zaczęła się przekształcać, zmieniać swój wygląd i budowę wewnętrzną, by stać się stworzeniem z tytanu i stali – stworzeniem wyposażonym w ostre jak igła świdry i piły o diamentowych ostrzach. Robot powoli odwrócił trójkątną głowę i spojrzał na niego wygłodniałymi, fasetowymi oczami. A on stał jak zahipnotyzowany i z narastającym przerażeniem patrzył, jak świdry i piły nagle ożywają, jak zaczynają wgryzać się w ciało...

Obudził się gwałtownie, ciężko dysząc, usiadł na łóżku i odruchowo sięgnął pod poduszkę po pistolet. Bezwładnie opuścił rękę. To sen, pomyślał nerwowo. To tylko sen.

Ze stolika dobiegało ciche brzęczenie. Komórka. Położył ją tam przed zaśnięciem.

Bładoczerwone cyferki na elektronicznym zegarku mówiły, że jest trzecia nad ranem. Szybko odebrał telefon.

– Tak? Co się stało?

– Przepraszam, że pana budzę, pułkowniku. – Klein powiedział to tak, jakby wcale nie było mu przykro. – Ale zdarzyło się coś, co powinien pan zobaczyć. I czego powinien pan posłuchać.

– Tak? – Smith spuścił nogi na podłogę.

– Nasz tajemniczy Łazarz nareszcie wystąpił bez maski. Przynajmniej na to wygląda.

Jon cicho zagwizdał. Ciekawe. Bardzo ciekawe. Z tego, co wyczytał w raportach, nikt z CIA, FBI czy innych zachodnich agencji wywiadowczych nie wiedział, kto jest przywódcą ruchu.

– Wystąpił osobiście?

– Tak – odrzekł Klein. – Nie. Łatwiej będzie, jeśli to sobie obejrzysz. Masz pod ręką laptop?

– Chwileczkę. – Smith odłożył telefon i zapalił światło. Komputer wciąż był w walizce przy szafie. Szybko wyjął go, przeniósł na łóżko, podłączył modem do gniazdka w ścianie i pstryknął włącznikiem. Laptop cicho zamruczał, kliknął i ożył. Jon wstukał kod bezpieczeństwa i hasło, bez którego nie wszedłby do sieci Tajnej Jedyńki. Podniósł telefon. – Już.

– Zaczekaj. Ładujemy pliki.

Zapłonął ekran. Ukazała się na nim chaotyczna mieszanina kształtów i barw, lecz już po chwili zniknęła, ustępując miejsca surowej, przystojnej twarzy mężczyzny w średnim wieku.

Mężczyzna patrzył prosto w kamerę.

Smith nachylił się nad komputerem. Twarz była dziwnie znajoma. Każda jej część –

kędzierzawe, brązowe włosy, delikatnie przyprószone siwizną na skroniach, niebieskie oczy, klasyczny, prosty nos i mocno zarysowany, przecięty bruzdą podbródek – emanowała niezwykłą siłą, mądrością, inteligencją i poczuciem w pełni kontrolowanej władzy.

– Jestem Łazarzem – zaczął spokojnie. – Mówię w imieniu naszego ruchu, w imieniu Ziemi i całej ludzkości. Mówię w imieniu tych, którzy umarli, i tych, którzy się jeszcze nie narodzili. Chcę powiedzieć prawdę ludziom skorumpowanym i przekupnym...

Dźwięcznym, doskonale modulowanym głosem wygłosił krótką, robiącą wrażenie przemowę. Wezwał w niej do sprawiedliwości dla tych, którzy zginęli przed Instytutem Tellera.

Domagał

się

wprowadzenia

natychmiastowego

zakazu

badania

i doświadczeń

nanotechnologicznych. Prosił członków ruchu, żeby zrobili wszystko, co tylko możliwe, żeby ocalić świat przed niebezpieczeństwami, jakimi grozi ta dziedzina nauki.

– Nasz ruch – mówił z powagą w głosie – przymierze ludzi wszystkich narodowości i ras, ostrzega przed nimi od wielu lat. Ostrzeżenia te ignorowano i wyszydzano, a protesty uciszano.

Ale wczoraj świat poznał prawdę i jest to prawda straszliwa...

Skończył i na ekran laptopa powróciło neutralne tło.

– Piekielnie skuteczna propaganda – rzucił Jon.

– Owszem – zgodził się z nim Klein. – Nagranie, które przed chwilą widziałeś, trafiło do wszystkich większych stacji telewizyjnych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ściągnęła je dwie godziny temu z satelity. Od tamtej pory analizują je wszystkie agencje w Waszyngtonie.

– Może niech tego nie puszczają? – myślał na głos Smith. – Nie dałoby się ich jakoś powstrzymać?

– Tych z telewizji? – prychnął Klein. – Po wczorajszym? Gdzie pan żyje, pułkowniku?

Będą to nadawać na okrągło, od rana do wieczora, przez cały dzień, może nawet dłużej.

Jon kiwnął głową. Puścić na antenę przemówienie przywódcy Ruchu Łazarza, zwłaszcza że dotąd otaczała go aura tajemnicy: takiej okazji nie przepuściłby żaden zdrowy na umyśle dziennikarz.

– Czy ABN może namierzyć źródło transmisji?

– Pracują nad tym, ale to niełatwe. Nagranie poszło na satelitę w formie spakowanego, mocno wypełnionego i zakodowanego pliku, który doczepiono do innego, zupełnie neutralnego sygnału. W komputerze satelity plik rozpakował się, rozkodował i został przekazany na ziemię, do Nowego Jorku, do Chicago, wszędzie.

– Ciekawe – powiedział powoli Smith. – Czy to nie dziwne, że organizacja, która tak stanowczo występuje przeciwko zaawansowanym technologiom, użyła tak wyrafinowanego sposobu?

– Owszem – odparł Klein. – Ale wiemy już, że do łączności wewnętrznej od dawna wykorzystują komputery i Internet. Dlatego nie powinniśmy być zaskoczeni, że tę samą metodę wykorzystali i teraz. – Westchnął. – Nawet jeśli tym z ABN uda się namierzyć źródło transmisji, podejrzewam, że będzie to jakaś mała, niezależna stacja telewizyjna, która otrzymała to nagranie na DVD od anonimowego nadawcy. Wraz z pokaźnym czekiem, rzecz jasna.

– Przynajmniej wiemy już, jak ten człowiek wygląda – powiedział Smith. – Teraz wystarczy dopasować twarz do nazwiska, przepuścić te zdjęcia przez wszystkie bazy danych, nasze i naszych sojuszników. Ktoś musi coś na niego mieć...

– Zanadto się pan pośpieszył, pułkowniku – przerwał mu Klein. – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyciła nie tylko to nagranie. Spójrz na ekran.

Na ekranie laptopa ukazała się twarz starszego Azjaty, mężczyzny o siwych włosach, gładkim, wysokim czole, ciemnych oczach i niemal ponadczasowym spojrzeniu. Przypominała twarz mędrca ze starego obrazu, twarz człowieka o niewyczerpanej wiedzy. Mężczyzna mówił

po japońsku. Na dole ekranu przesuwał się pasek z angielskim tłumaczeniem.

– Jestem Łazarzem. Mówię w imieniu naszego ruchu, w imieniu Ziemi i całej ludzkości...

Potem ukazała się twarz starszego Afrykańczyka, emanująca doświadczeniem i potęgą prastarego króla czy szamana. Przemawiał w suahili, głośno i wyraźnie, powtarzając te same słowa i przekazując to samo przesłanie. Gdy skończył, zastąpił go przystojny Europejczyk w średnim wieku mówiący doskonale po francusku.

Parada Łazarzy: różne języki, lecz te same słowa, to samo przesłanie, ta sama bijąca z nich moc – osłupiały Smith słuchał ich w głuchej ciszy. Gdy ekran zamigotał i poszarzał, Jon cicho zagwizdał.

– Kurczę, niesamowita sztuczka! – rzucił do słuchawki. – A więc to przemówienie dotrze do trzech czwartych mieszkańców ziemi? Przemówienie wygłoszone przez ludzi, którzy wyglądają podobnie jak oni i mówią ich językiem?

– Wygląda na to, że taki mają plan – odparł Klein. – Ale to jeszcze nie koniec. Ci ludzie są dużo sprytniejsi. Przyjrzyj się pierwszemu Łazarzowi.

Na ekranie laptopa pojawiło się jego zdjęcie. Zamigotało i znieruchomiło. Jon zmrużył oczy. Cholera, dlaczego ta twarz wydawała się taka znajoma?

– Patrzę, Fred, ale czego mam szukać?

– To nie jest prawdziwa twarz, pułkowniku – wyjaśnił bezbarwnym głosem Klein. –

Żadna z nich nie jest prawdziwa.

Smith uniósł brew.

– Nie? To co to jest?

– Grafika komputerowa, mieszanina sztucznie wygenerowanych pikseli. Części twarzy setek, może nawet tysięcy ludzi poskładane w jedno. Głosy też są generowane komputerowo.

– A więc nie można ich zidentyfikować – zrozumiał Jon. – No to ładnie. Wciąż nie wiemy, czy przewodzi nimi jeden człowiek, czy stu.

– Właśnie. Jest jeszcze coś. Przejrzałem raporty analityków z CIA. Są przekonani, że te obrazy zostały zmyślnie spreparowane, żeby ludzie z kultur, do których są adresowane, dostrzegli w nich pewien archetyp, wyidealizowaną postać, którą dana kultura ceni i poważa.

To by wyjaśniało, dlaczego tak przychylnie odebrałem to pierwsze przemówienie, pomyślał Jon. Ten Łazarz był zachodnią wersją wyidealizowanego starożytnego bohatera czy króla.

– Dobrzy – mruknął ponuro. – Cholernie dobrzy.

– W rzeczy samej, Jon.

– Jestem coraz bardziej przekonany, że CIA i FBI mają rację, chcąc przypisać im tę wczorajszą masakrę.

– Możliwe. Ale to, że potrafią tak dobrze się kamuflować i prowadzić tak skuteczną propagandę, nie znaczy jeszcze, że mają terrorystyczne zamiary. Niech pan zachowa otwarty umysł, pułkowniku. I pamięta, że Tajna Jedyńka jest od tej pory grupą B. Masz być adwokatem diabła, Jon. Masz sprawdzić, czy tamci czegoś nie przeoczyli tylko dlatego, że nie pasowało to do ich teorii.

– Nie martw się, Fred – uspokoił go Smith. – Pogrzebię, poszperam i powęszę.

– Tylko dyskretnie.

– Dyskrecja to moje drugie imię – odrzekł z lekkim uśmiechem Smith.

– Naprawdę? – rzucił szorstko Klein. – Nigdy bym nie przypuszczał. – I nagle złagodniał. – Powodzenia. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, informacji, przepustki, wsparcia, czegokolwiek, czekam w pogotowiu.

Wciąż z uśmiechem na twarzy Smith odłożył telefon, wyłączył komputer i zaczął przygotowywać się do długiego, ciężkiego dnia.

Emeryville, Kalifornia

Emeryville, niegdyś senne miasteczko pełne rozlatujących się magazynów, pokrytych rdzą warsztatów mechanicznych i pracowni artystów, nagle rozkwitło, by stać się jednym z głównych

ośrodków

biotechnologicznych

w Zatoce.

Międzynarodowe

koncerny

farmakologiczne, raczkujące w inżynierii genetycznej firmy–nowicjuszeki oraz przedsiębiorstwa kapitałowe poszukujące nowych inwestycji, takich jak nanotechnologia, wszystkie rywalizowały ze sobą o miejsce na siedzibę czy laboratorium przy ruchliwej drodze między stanówce 80 między Berkeley i Oakland. Czynniki, podatki i koszty utrzymania były tu horrendalne, jednak inwestorom bardziej zależało na bliskości najślynniejszych amerykańskich uniwersytetów, dużych lotnisk i –

co być może najważniejsze – na imponujących widokach San Francisco, Zatoki i Złotych Wrót.

Ośrodek badawczy Telos Corporation zajmował całe piętro jednego z wieżowców ze stali i szkła na wschód od Bay Bridge. Ponieważ interesował ją nie tyle rozgłos, ile czerpanie jak największych zysków z wielomilionowych inwestycji w sprzęt, materiały i personel, korporacja nie rzuciła się nikomu w oczy. Jej siedziby nie ozdobił kosztowny, krzykliwy znak firmowy. Nie zapraszano tam ani wycieczek szkolnych, ani polityków, ani dziennikarzy. Głównego wejścia pilnował tylko jeden strażnik z biura ochrony Pacific Corporation. Tej nocy służbę pełnił Paul Yiu.

Siedział za marmurową ladą stanowiska ochrony i czytał tani kryminał. Przerzucał kartkę po kartce i gdy przerzucił kolejną, stwierdził, że autor uśmiercił już trzeciego podejrzanego, którego on wytypował na mordercę. Ziewnął i się przeciągnął. Chociaż już dawno minęła północ, miał przed sobą jeszcze dwie godziny służby. Poruszył się niezdarnie w obrotowym fotelu, poprawił rękojeść pistoletu w kaburze i wrócił do lektury. Powoli opadły mu powieki.

Obudziło go ciche pukanie do szklanych drzwi. Podniósł głowę, myśląc, że to znowu jeden z tych na wpół obłąkanych bezdomnych włóczęgów, którzy wędrując z Berkeley, trafiali tu czasami przez pomyłkę. Ale nie, zamiast włóczęgi, zobaczył drobną, rudowłosą kobietę o zmartwionej twarzy. Znad Zatoki nadciągnęła gęsta, zimna mgła i w obcisłej, niebieskiej spódniczce, białej bluzce i eleganckim, czarnym płaszczu kobieta robiła wrażenie przemarzniętej.

Wstał z fotela, poprawił brązową koszulę i krawat i podszedł do drzwi. Na jego widok kobieta uśmiechnęła się z ulgą i pociągnęła za klamkę. Drzwi zagrzechotały, lecz nie ustąpiły.

– Przykro mi – powiedział Yiu. – W nocy nikogo nie wpuszczamy.

Kobieta zmarkotniała.

– Bardzo pana proszę, chcę tylko zadzwonić po pomoc drogową – powiedziała żałośnie. –

Zepsuł mi się samochód i wysiadła bateria w komórce!

Yiu podrapał się w głowę. Przepisy były całkowicie jasne: po godzinach pracy nie miał

prawa tu wejść nikt nieupoważniony. Z drugiej jednak strony, gdyby odegrał rolę samarytanina i wpuścił tę zrozpaczoną kobietę, żaden z przełożonych nigdy by się o tym nie dowiedział. Co mi tam, pomyślał. Dobry uczynek na dobry tydzień. Poza tym kobieta była ładniutka i ruda, dokładnie taka, jakie lubił.

Wyjął z kieszeni kartę magnetyczną i przeciągnął ją przez czytnik. Zabrzęczało, kliknął zamek. Z zapraszającym uśmiechem Yiu pociągnął za ciężką klamkę.

– Proszę. Telefon jest...

Coś trafiło go w oczy i otwarte usta. Oślepiiony i bezbronny, zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu. Zanim zdążył sięgnąć po pistolet, drzwi otworzyły się na oścież i powaliły go na śliską podłogę. Do holu wpadło kilku mężczyzn. Chwycili go, wykręcili do tyłu ręce i skuli kajdankami. Ktoś narzucił mu kaptur na głowę.

– Pamiętaj: Łazarz żyje! – syknęła mu do ucha kobieta.

Zanim uwolnił go zmiennik, po napastnikach nie było już śladu. Uciekli, lecz laboratorium Telos było całkowicie zniszczone – roztrzaskane szkło, przepalone mikroskopy elektronowe, poprzebijane zbiorniki i porozlewane odczynniki chemiczne. Na wszystkich ścianach, drzwiach i oknach widniały wypisane sprejem slogany Ruchu Łazarza, co nie pozostawiało żadnych wątpliwości, kim byli nocni goście.

Zurych, Szwajcaria

Blade, jesienne słońce, które było w połowie swej codziennej wędrówki po niebie, oświetlało tysiące demonstrantów stłoczonych na stromym, wysadzonym drzewami wzgórzu z widokiem na starówkę i Limmat. Demonstranci blokowali wszystkie ulice wokół bliźniaczych kampusów Szwajcarskiego Federalnego Instytutu Technologii i uniwersytetu. Nad tłumem powiewały jasnoczerwone i zielone szturmówki Ruchu Łazarza, spośród których sterczały setki długich kijów z transparentami domagającymi się zakazu badań nanotechnologicznych w Szwajcarii.

Kilka ulic dalej stali policjanci z oddziałów prewencyjnych, którzy obserwowali protestujących z pałkami i przezroczystymi pleksiglasowymi tarczami w ręku. Tuż obok parkowały opancerzone cysterny z armatkami wodnymi i wyrzutniami gazu łzawiącego. Ale policja nie spieszyła się z interwencją.

Doktor Karl Friederich Kaspar, kierownik jednego z obleganych przez tłum laboratoriów, stał tuż za policyjną blokadą, niedaleko stacji naziemnej kolejki linowej, którą zbudowano tu przed ponad stu laty dla potrzeb instytutu i uniwersytetu. Kaspar ponownie zerknął na zegarek, zacisnął zęby i kipiąc gniewem, podszedł do najbliższego oficera.

– Dlaczego nie interweniujecie? – spytał. – Bez pozwolenia władz miasta ta demonstracja jest nielegalna. Dlaczego jej nie rozpędzicie?

Policjant wzruszył ramionami.

– Wykonuję rozkazy, panie dyrektorze. Inne jak dotąd nie nadeszły.

– To jakiś absurd! – syknął oburzony naukowiec. – Mój personel chce wracać do pracy.

Prowadzimy wartościowe i bardzo kosztowne eksperymenty.

– Co za pech – odparł ostrożnie policjant.

– Pech? – warknął Kaspar. – To nie pech, tylko hańba! – Przeszył go spojrzeniem. –

Jeszcze trochę i pomyślę, że sympatyzuje pan z tymi nieoświeconymi tumanami!

Policjantowi nawet nie drgnęła powieka.

– Jeśli sugeruje pan, że należę do Ruchu Łazarza, to się pan myli – odparł spokojnie. –

Ale widziałem, co się stało w Ameryce. Nie chcę, żeby do takiej samej katastrofy doszło w Zurychu.

Kasparowi poczerwieniały policzki.

– Przecież to niemożliwe! – wykrzyknął. – Zupełnie niemożliwe! Nasze badania nie mają nic wspólnego z tym, co Amerykanie i Japończycy robili w Instytucie Tellera! Nie ma żadnego porównania!

– To świetnie – odrzekł policjant i z ironicznym uśmiechem podał mu megafon. –

Może jeśli powie pan to demonstrantom, zrozumieją swój błąd i rozejdą się do domów?

Kaspar zaniemówił, zdumiony ignorancją i bezczelnością policjanta, takiego samego jak on zresztą urzędnika państwowego.

Nowy Meksyk, międzynarodowe lotnisko w Albuquerque

Olbrzymi an-124 condor przeleciał z rykiem nad radiolatarnią, zszedł niżej i ciężko opadł

na pas numer 8. Pilot odwrócił ciąg, przeraźliwie zawył cztery zawieszony na wspornikach silniki. Maszyna potoczyła się po prawie czterokilometrowym pasie, wytracając prędkość i ścigając swój wydłużający się cień. Kilka sekund później minęła umocnienia i hangary, w których parkowały myśliwce F-16 ze 150. Skrzydła Powietrznej Gwardii Narodowej. Zaraz potem, wciąż zwalniając, minęła rząd zamaskowanych schronów przeciwlotniczych, w których podczas zimnej wojny przechowywano strategiczne i taktyczne pociski nuklearne.

Na zachodnim krańcu pasa gigantyczny antonow skręcił w kierunku portu towarowego i znieruchomiał z rykiem obok małego odrzutowego samolotu pasażerskiego. Przeraźliwy gwizd silników powoli ucichł. Reporterzy i dziennikarze, którzy przyjechali na lotnisko, żeby uwiecznić przylot należącej do PharmaTech maszyny, wyglądali przy niej jak karzełki.

Osiemnastometrowa rampa rozładunkowa otworzyła się z jękiem i ciężko opadła na poplamiony olejem i paliwem beton. Osłaniając oczy przed blaskiem słońca, zeszło nią dwóch członków załogi w lotniczych kombinezonach. Stanęli z boku i ruchami rąk zaczęli kierować konwojem pojazdów wyjeżdżających z przepastnego brzucha maszyny. Zgodnie z obietnicą Hideo Nomury do Ameryki przetransportowano połowe laboratorium DNA.

Sam Nomura stał wśród dziennikarzy, patrząc, jak załoga pomocnicza i technicy szybko i spokojnie przygotowują sprzęt do krótkiej podróży do Santa Fe. Ich sprawność bardzo go cieszyła.

Uznawszy, że reporterzy nakręcili już wystarczającą ilość materiału, gestem ręki poprosił

ich o uwagę. Zanim z powrotem skierowali kamery i mikrofony na niego, upłynęło trochę czasu.

Nomura cierpliwie czekał, aż będą gotowi.

– Panie i panowie, chciałbym ogłosić ważną decyzję – zaczął. – Podjąłem ją z ciężkim sercem, ale uważam, że nie ma sensowniejszej, zwłaszcza w świetle straszliwej tragedii, której byliśmy świadkami. – Dla większego efektu dramatycznego zrobił krótką pauzę. – Poczynając od dnia dzisiejszego, Nomura PharmaTech zawiesza program badań nanotechnologicznych zarówno w naszych ośrodkach tutaj, jak i w finansowanych przez nas ośrodkach na całym świecie. Do naszych fabryk i centrów badawczych zaprosimy międzynarodowych obserwatorów, którzy potwierdzą, że wszelkie prace na tym polu zostały wstrzymane.

Podekscytowani nieoczekiwanym oświadczeniem dziennikarze zasypali go gradem pytań, on zaś grzecznie odczekał, aż ustanie gwar rozgorączkowanych głosów, po czym odpowiedział

na te najbardziej dla niego wygodne.

– Czy skłoniły mnie do tego żądania Ruchu Łazarza? – Pokręcił głową. – Absolutnie nie.

Chociaż szanuję ich ideały i motywy działania, nie podzielam ich stronnich poglądów na temat nauki i techniki. Decyzja o tymczasowym wstrzymaniu badań jest podyktowana zwykłym rozsądkiem. Dopóki nie poznamy dokładnych przyczyn tragedii w Instytucie Tellera, narażanie innych miast na ryzyko byłoby głupotą.

– A konkurencja? – spytał bez ogródek jeden z dziennikarzy. – Wasi rywale, korporacje, uniwersytety i rządy państw zachodnich, zainwestowali w te badania miliardy dolarów. Uważa pan, że powinni pójść pana śladem czy kontynuować prace?

Nomura posłał mu chłodny uśmiech.

– Nie ośmielę się dyktować innym, jakie mają podjąć kroki. To kwestia osądu naukowego lub też – to chyba trafniejsze określenie – sumienia. Ja mogę jedynie zapewnić, że Nomura PharmaTech nigdy nie przedkładała i nie przedłoży potencjalnych zysków nad ludzkie życie.

Boston, Massachusetts

James Severin, rosły, potężnie zbudowany dyrektor naczelny Harcourt Biosciences, oglądał końcówkę wywiadu, którego Hideo Nomura udzielił CNN.

– A to przebiegły sukinsyn – wymamrotał z wściekłością i niechętnym podziwem.

Gniewnie zamrugał i poprawił grube okulary w czarnych oprawkach. – Dobrze wie, że jego zespół jest na szarym końcu, że jest tak daleko, że nie ma szans nas dogonić!

Jego doradca, mężczyzna równie wysoki jak on, lecz jakieś czterdzieści pięć kilo lżejszy, kiwnął głową.

– Z tego, co wiemy, są co najmniej półtora roku za nami. Ciągłe siedzą w teorii, podczas gdy nasze laboratoria pracują już nad zastosowaniami praktycznymi. PharmaTech tego wyścigu nie wygra.

– Właśnie – mruknął Severin. – Wiemy o tym my, wie o tym nasz przyjaciel Hideo. Ale czy ktoś poza nami domyśli się, co ten cwaniak knuje? Na pewno nie prasa. – Zmarszczył czoło.

– Wstrzymuje projekty, na które wydał fortunę, i wkłada przy tym zbroję szlachetnego białego rycerza! Słodkie, co?

Odepchnął fotel do tyłu, ciężko wstał i spojrzał w zadumie w wielkie, panoramiczne okno.

– Sprytna sztuczka, cholera. Mała sztuczka, a ludzie i politycy już siedzą nam na karku.

Nie dość, że obrywamy za Santa Fe, to teraz jeszcze to. A będzie jeszcze gorzej, rozpęta się piekło.

– Gdybyśmy poszli w ich ślady i przyłączyli się do tego dobrowolnego moratorium, mielibyśmy spokój – zasugerował ostrożnie doradca. – Zawieszenie badań nie musiałoby trwać długo, tylko do

czasu, aż udowodnilibyśmy, że nasze laboratorium w Instytucie Tellera nie miało nic wspólnego z tą tragedią.

– Niedługo? – prychnął Severin. – To znaczy ile? Miesiąc? Rok? Dwa lata? Naprawdę myślisz, że stać nas na utrzymywanie tych wszystkich przemądrzałych naukowców, którzy przez cały ten czas siedzieliby, dłubiąc palcem w nosie? – Przytknął czoło do grubej szyby. Wody bostońskiego portu były zimne i zielonoszare. – Poza tym nie zapominaj, że Kongres i prasa uznałoby, że zawieszając badania, przyznajemy się do winy.

Doradca milczał.

Severin odwrócił się od okna i założył ręce na plecach.

– Nie. Nie przyłączymy się do tej gry. Przetrzymamy to. Wydadź oświadczenie.

Natychmiast. Napisz, że Harcourt Biosciences kategorycznie odrzuca żądania Ruchu Łazarza.

Nie ulegniemy groźbom tej tajnej, ekstremistycznej organizacji. I trzeba ściągnąć tu dziennikarzy. Zorganizuj dla nich kilka specjalnych wycieczek po naszych laboratoriach nanotechnologicznych. Trzeba pokazać ludziom, że nie mamy nic do ukrycia. Że nie mają się czego bać.

Instytut Teller

W niebieskim kasku, grubym kombinezonie ochronnym, rękawicach i w hermetycznej masce z niezależnym układem oddechowym Smith szedł ostrożnie zrujnowanym korytarzem na parterze, obchodząc z daleka wielkie, czarne od sadzy belki zwisające ze zburzonego sufitu, żeby nie rozerwać kombinezonu na gwoździach sterczących z nadpalonego drewna. Nikt nie wiedział, czy nanofagi, które zabiły tysiące demonstrantów, są wciąż aktywne. Nikt też nie próbował

sprawdzić tego na własnej skórze, przynajmniej jak dotąd. Pod grubymi podeszwami butów chrzęściły szkło i grudy tynku.

Wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie jeszcze niedawno mieścił się bar dla pracowników.

To pomieszczenie było prawie nietknięte, chociaż dwie ściany nosiły ślady wybuchu. Ciało zabitych zostały już usunięte i pozostały po nich jedynie kredowe obrysy na popękanej podłodze.

Zespół dochodzeniowy FBI urządził tu salę odpraw i polowe centrum dowodzenia. Na stole pośrodku pokoju stały dwa komputery, chociaż agenci mieli wyraźne trudności z ich obsługą, bo wszyscy byli w grubych rękawicach.

Smith podszedł do mężczyzny w czarnym kasku ochronnym, pochylającego się nad planami instytutu rozłożonymi na ocalałym stole. Na kombinezonie miał identyfikator z nazwiskiem LATIMER C.

– Pan kto? – spytał tamten stłumionym przez maskę głosem.

– Doktor Jonathan Smith, Pentagon. – Jon postukał palcem w kask. Niebieskie były zarezerwowane wyłącznie dla obserwatorów i konsultantów zewnętrznych. – Jestem obserwatorem i w razie konieczności mam rozkaz wam pomóc.

– Agent specjalny Charles Latimer – przedstawił się tamten. Był szczupły, miał jasne włosy i mówił z silnym południowym akcentem. – Pomóc? – powtórzył zaciekawiony. – Niby jak?

– Praktyczną znajomością nanotechnologii – odparł ostrożnie Smith. – I znajomością rozkładu laboratoriów. Przez jakiś czas tu pracowałem. Do wczoraj, do chwili ataku.

Latimer zmrużył oczy.

– A więc jest pan świadkiem, nie obserwatorem.

– Tak, wczoraj i dzisiaj rano byłem świadkiem – przyznał z drwiącym uśmiechem Jon. –

Ale zaraz potem awansowano mnie na niezależnego konsultanta. – Wzruszył ramionami. –

Wiem, że to niezbyt zgodne z przepisami.

– Fakt – odrzekł Latimer. – Uzgodził pan to z moją szefową?

– Wszystkie niezbędne upoważnienia i przepustki powinny już leżeć na jej biurku –

odparł łagodnie Smith. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było zadzieranie z Kit Pierson, wicedyrektorem FBI. Nie znał jej, lecz podejrzewał, że obecność kogoś obcego, kto będzie łąził, węszył i wtrącał się do śledztwa, nie sprawi jej przyjemności.

– Aha, to znaczy, że jeszcze pan z nią nie rozmawiał. – Latimer z niedowierzaniem pokręcił głową i wzruszył ramionami. – No to super. Ale cóż. Wszystko jest tu tak popieprzone, że trudno przestrzegać regulaminów.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim Smith. – Warunki są ciężkie.

– Ciężkie? – powtórzył Latimer z krzywym uśmiechem. – To mało powiedziane.

Wystarczy już, że musimy przebijać się przez te cholerne gruzy. A konieczność osłony przed tymi nanofagami, czy jak im tam, to już zupełny obłęd. – Wskazał swój kombinezon. –

Ograniczony zapas powietrza i przegrzanie: po trzech godzinach musimy to zdjąć. Potem dekontaminacja, a to kolejne pół godziny. Skutek? Ruszamy się jak muchy w smole, a ci z Waszyngtonu wrzeszczą, żeby szybciej i szybciej. Poza tym zbieranie dowodów rzeczowych w tym miejscu to klasyczny paragraf dwadzieścia dwa.

Jon ze współczuciem kiwnął głową.

– Niech zgadnę: możecie je stąd wynieść i zbadać w laboratorium dopiero wtedy, kiedy zostaną odkażone, a jeśli zostaną odkażone, nie będzie już co badać.

– Cudownie, prawda? – rzucił jadownicę Latimer.

– Myślę, że ryzyko nie jest aż tak duże – zauważył Jon. – Większość nanofagów „żyje” tylko w konkretnym środowisku. Wystawienie ich na czynniki atmosferyczne, na temperaturę i ciśnienie przekraczające określone parametry, powinno doprowadzić do ich rozpadu.

Niewykluczone, że nic nam już nie grozi.

– Piękna teoria, panie doktorze – odparł Latimer. – Zgłosi się pan na ochotnika i zrobi tu długi, głęboki wdech?

– Jestem lekarzem, nie szcurem laboratoryjnym – odrzekł z uśmiechem Jon. – Ale jeśli spyta mnie pan o to za dwadzieścia cztery godziny, kto wie, może zaryzykuję.

Spojrzał na leżące na stole plany parteru i pierwszego piętra instytutu. Tu i ówdzie widniały na nim czerwone kółka różnej wielkości. Największe ich skupisko znajdowało się w okolicy laboratoriów nanotechnologicznych w północnym skrzydle, pozostałe były porozrzucane po całym gmachu.

– Miejsca eksplozji? – spytał.

– Tak, te, które do tej pory ustaliliśmy.

Jon przyjrzał się uważnie planom i to, co zobaczył, potwierdziło jego wcześniejsze spostrzeżenie, że terroryści przeprowadzili atak z niesłychaną wprost precyzją. Kilka ładunków wybuchowych zburzyło biuro ochrony, kompletnie niszcząc zapisane i zarchiwizowane filmy z kamer wewnętrznych i zewnętrznych. Wybuch innego ładunku unieszkodliwił system przeciwpożarowy. Eksplozje kolejnych zburzyły centrum komputerowe, niszcząc dosłownie wszystko, od danych osobowych pracowników poczynając, na rachunkach za sprzęt i materiały zamówione przez naukowców kończąc.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że bomby podłożone w laboratoriach nanotechnologicznych miały wyrządzić jak najwięcej szkód, jak choćby te w laboratorium Harcourta i w pracowni zespołu z Instytutu Teller'a. Smith pokiwał głową. Nie ulegało wątpliwości, że ładunki miały zniszczyć jak najwięcej sprzętu, biochemicznych kadzi, zbiorników, chemikaliów i komputerów. Ale coś jeszcze rzucało się w oczy.

Pochylił się nad stołem. Sposób rozmieszczenia ładunków w laboratorium Harcourta. Coś tu nie grało, tylko co? Powiódł palcem po papierze. Nie. Tak podłożone bomby nie mogły wyrządzić dużych szkód. Mogły co najwyżej zniszczyć zabezpieczenia wokół zbiorników z nanofagami, ale tylko same zabezpieczenia, bo zbiorniki pozostałyby nietknięte. Popełnili błąd?

Czy zrobili to celowo?

Zerknął na Latimera, zastanawiając się, czy on też to zauważył, ale agent patrzył w drugą stronę, rozmawiając z kimś przez radiotelefon.

– Rozumiem – rzucił krótko i energicznie. – Rozkaz. Zaraz przekażę. – Wyłączył się i spojrzał na Smitha. – Dyrektor Pierson. Wygląda na to, że w końcu zauważyła pańskie papiery.

Chce pana widzieć w centrum dowodzenia.

– Pewnie natychmiast – domyślił się Smith.

– A nawet wcześniej, jeśli to możliwe – odparł z krzywym uśmiechem Latimer. – I nie powiem, żeby czekało pana ciepłe powitanie.

– Cudownie – rzucił oschle Jon.

– Niech pan uważa, doktorze. Królowa jest świetnym fachowcem, ale nie nazwałbym jej osobą towarzyską. Jeśli uzna, że w jakikolwiek sposób przeszkadza pan w śledztwie, znajdzie w papierach jakąś dziurę i bez wahania w nią pana wrzuci. Nazwie to „aresztowaniem zapobiegawczym” lub „prewencyjnym zatrzymaniem”, ale tak czy inaczej nie będzie tam panu wygodnie. I prędko pan stamtąd nie wyjdzie.

Jon przyjrzał mu się, pewien, że to żart, że Latimer przesadza, tak dla większego efektu.

Ale ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że agent mówi całkiem poważnie. Dom stał na krawędzi zбочa z widokiem na południową część Santa Fe. Miał zacienione patio i z zewnątrz robił

wrażenie klasycznego domu w stylu Pueblo. Ale wystrój wnętrza i meble były bardzo nowoczesne, w błyszczącym chromie, czerni i różnych odcieniach bieli. W rogu płaskiego dachu dyskretnie zamontowano talerz anteny satelitarnej.

Z kilku zachodnich okien widać było trzy kilometry dalej Instytut Tellera. W pokojach za tymi oknami stały baterie sprzętu radiowego, podłączonych do Internetu komputerów, monitorów, odbiorników krótkofalowych, nadajników satelitarnych, kamer wideo i aparatów fotograficznych z potężnymi teleobiektywami oraz obiektywami termograficznymi.

Sprzęt ten obsługiwało sześciu techników, którzy obserwowali wszystko, co działo się za kordonem wokół instytutu. Jeden z nich, młody mężczyzna o oliwkowej cerze i smutnych, brązowych oczach, nucił coś pod nosem, od czasu do czasu poprawiając słuchawki na uszach.

Nagle usiadł prosto.

– Mam sygnał – zameldował spokojnie, po czym wprowadził serię poleceń do komputera.

Na ekranie stojącego przed nim monitora zaczął przewijać się rząd danych, skomplikowana mieszanina liczb, wykresów, zeskanowanych zdjęć i tekstów.

Dowódca zespołu, dużo starszy mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwych włosach, przez kilka chwil wpatrywał się w ekran.

– Dobra robota, Vitor – powiedział z satysfakcją. Spojrzał na pozostałych. – Wywołajcie Terce’a. Zameldujcie, że faza druga dobiega końca. Mamy już stały dostęp do materiałów policyjnych i przesyłamy je do centrum.

Pocąc się w hermetycznym kombinezonie, poddał się surowym rygorom procesu odkażania, który obowiązywał każdego, kto opuszczał otoczony kordonem teren wokół instytutu.

Musiał przejść przez szereg połączonych ze sobą przyczep z wysokociśnieniowymi chemicznymi natryskami, elektrycznie sterowanymi sprejami i próżniowymi pompami ssącymi. Sprzęt ten –

wypożyczony z jednostki wojsk chemicznych wchodzącej w skład Wojsk Obrony Powietrznej i Wewnętrznej – był specjalnie zaprojektowany do usuwania skażeń promieniotwórczych, chemicznych i biologicznych, ale nikt nie wiedział, czy zdoła również usunąć „skażenie” wywołane nanofagami, których się teraz bali wszyscy. Był to jednak najlepszy sprzęt, jaki udało się sprowadzić w tak krótkim czasie, a skoro nikt dotąd nie umarł, Smith miał niemal całkowitą pewność, że albo odkażanie zabija nanofagi, albo przestały one być aktywne. Dzięki temu długiemu, żmudnemu procesowi miał czas, żeby pomyśleć o tym, co widział w instytucie. A to z kolei pozwoliło mu sformułować bardzo paskudną hipotezę, która mogła obalić wszystkie teorie krążące w FBI i CIA.

Skończywszy odkażanie, zdjął ciężki kombinezon, wrzucił go do pojemnika na niebezpieczne materiały, włożył ubranie i odebrał pistolet z rąk wystraszonego kaprała Gwardii Narodowej, który pilnował wejścia. Potem wyszedł na zewnątrz.

Było południe. Od strony porośniętych lasami gór na wschodzie wiał lekki wiatr, teraz nieco

silniejszy niż z rana. Jon wciągnął haust pachnącego sosnami powietrza, żeby oczyścić nos i płuca z ostrego zapachu chemikaliów.

Podszedł do niego wymuskany młody mężczyzna w tradycyjnie skrojonym ciemnoszarym garniturze i z drewnianym wyrazem twarzy, tak cenionym przez świeżych absolwentów Akademii FBI, spytał:

– Doktor Smith?

– Tak, to ja – odrzekł grzecznie Jon.

– Dyrektor Pierson czeka na pana w centrum dowodzenia. Z przyjemnością pana zaprowadzę.

Smith z trudem ukrył drwiący uśmiech. Pani dyrektor, Królowa Śniegu, jak ją nazywano, postanowiła nie ryzykować i bez owijania w bawełnę powiedzieć mu, co FBI myśli o przedstawicielach innych agencji rządowych – w tym przypadku o Pentagonie – którzy mają czelność wejść jej w drogę.

Pamiętając o przestroгах Kleina – „tylko dyskretnie” – bez protestów ruszył za agentem.

Przecięli plac, wokół którego z każdą godziną przybywało przyczep i wojskowych namiotów, połączonych ze sobą siecią światłowodów i kabli elektrycznych. Nad namiotami rozmieszczono anteny satelitarne i przekaźniki. Gdzieś w pobliżu monotonie burczały przenośne generatory.

Wbrew swojej woli Jon był pod wrażeniem. Centrum dowodzenia dorównywało wielkością polowemu dowództwu dywizji, które widział podczas „Pustynnej Burzy”, lecz funkcjonowało znacznie efektywniej. Być może Kit Pierson nie wygrałaby konkursu na miss ciepła i uroku osobistego, jednak nie ulegało wątpliwości, że umie zorganizować operację w terenie i skutecznie nią pokierować.

Jej namiot stał na samym skraju obozowiska i był bardzo skromnie wyposażony. Stół, krzesło, zasilanie do laptopa, telefon z szyfratorem, elektryczna lampa i łóżko polowe – to wszystko.

Łóżko. Zwykła polówka. Smith zerknął na nią i pospiesznie ukrył zaskoczenie. Chryste, ona tak na poważnie?

– Tak, panie doktorze – wycedziła Pierson, zauważywszy nikłe drgnięcie jego powiek. –

Zamierzam tu spać. – Przez jej bladą twarz, która zyskałaby na urodzie, gdyby było w niej choć trochę więcej życia, przemknął cień posępnego uśmiechu. – Warunki są spartańskie, ale przynajmniej prasa nie ma tu wstępu, co jest prawdziwym błogosławieństwem.

Spojrzała przez ramię na młodego agenta, który wciąż stał przy wejściu.

– To wszystko – rzuciła. – Pan pułkownik i ja pogawędzimy w cztery oczy.

Już nie „pan doktor”, tylko „pan pułkownik”, pomyślał Jon. No, to się zaczyna.

Postanowił uprzedzić atak i od razu wyjaśnić powody swojej obecności na terenie instytutu.

– Chcę przede wszystkim powiedzieć, że nie zamierzam wtrącać się do waszego śledztwa.

– Czyżby? – odparła Pierson z lodowatym spojrzeniem. – Wydaje mi się, że to mało prawdopodobne, chyba że byłby pan jakimś turystą wojskowym, choć i wtedy pańska obecność byłaby bardzo niemile widziana.

No to i po wymianie uprzejmości. – Smith zacisnął zęby. Zanosił się nie na dyskusję, tylko na pojedynek.

– Czytała pani moje rozkazy i upoważnienia. Jestem tu po to, żeby obserwować i pomagać.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale nie potrzebuję pomocy ani ze strony Kolegium Szefów Sztabów Połączonych, ani ze strony wywiadu wojskowego, ani ze strony kogokolwiek, kto wystawił panu to upoważnienie – odparowała Pierson. – Szczerze mówiąc, nikt nie może narobić mi większych kłopotów niż tacy jak pan. A ja kłopotów nie potrzebuję.

Jon z trudem zdławił gniew.

– Kłopotów? W jaki sposób miałbym je sprawić?

– Sprawia je pan już samym faktem, że pan tu jest. Może pan tego nie zauważył, ale Internet i wszystkie brukowce aż huczą od plotek, że Instytut Tellera był ośrodkiem, gdzie prowadziliśmy tajne badania nad bronią nanotechnologiczną.

– Bzdura – powiedział z naciskiem Jon.

– Doprawdy?

– Na własne oczy widziałem, co tam robili i jak to robili. Żaden z naukowców nie pracował nad niczym, co mogłoby mieć bezpośredni związek z zastosowaniami wojskowymi.

– I właśnie o to chodzi, pułkowniku – odparła chłodno Pierson. – O to, że pan tam był, że nadzorował pan prowadzone tam prace. Jak pan to wyjaśni?

Smith wzruszył ramionami.

– Zwyczajnie. Jestem lekarzem i biologiem molekularnym. Przywiodły mnie tu zainteresowania czysto medyczne i naukowe.

– Medyczne i naukowe? – odparowała Pierson. – Proszę nie zapominać, że czytałam pańskie zeznania i znam pańskie akta. Jak na zwykłego lekarza za szybko i za dobrze potrafi pan zabijać. O ile wiem, program studiów medycznych nie uwzględnia szkolenia ogniowego i z zakresu walki wręcz, prawda?

Jon milczał, zastanawiając się, co ta baba tak naprawdę o nim wie. Na pewno nie wiedziała, że jest agentem Tajnej Jedyńki, ale mogła wywęszyć, że pracował również dla wywiadu wojskowego. Mogła też wiedzieć, jaką rolę odegrał w operacji, która zapobiegła tragicznym następstwom

programu „Hades”.

– A tak w ogóle – ciągnęła – to zaledwie jeden na trzech mieszkańców tego kraju byłby na tyle inteligentny, żeby zrozumieć i zaakceptować powody pańskiej obecności w instytucie.

Wszyscy pozostali, zwłaszcza ci nawiedzeni, dostrzegliby tylko ten piękny mundur wojskowy, który trzyma pan w szafie. Ten ze srebrnymi liśćmi dębu na naramiennikach.

Dźgnęła go palcem w pierś.

– I właśnie dlatego, pułkowniku, chcę, żeby trzymał się pan z daleka od naszego śledztwa. Jeśli jakiś reporter weźmie pana na celownik, będziemy mieli poważne kłopoty. Ta sprawa i bez tego jest trudna. Nie chcę, żeby doszło tu do kolejnych zamieszek. Nie zamierzam ich prowokować.

– Ani ja – zapewnił ją Smith. – Dlatego staram się nie rzucać nikomu w oczy. – Wskazał

swoje cywilne ubranie, lekką, szarą wiatrówkę, zielone polo i brązowe spodnie. – Jestem tylko doktorem Smithem i z zasady nie rozmawiam z dziennikarzami.

– To za mało – odparła stanowczo Pierson.

– Będzie musiało wystarczyć. – Jon postanowił rozegrać to dyplomatycznie. Była zirytowana, że ktoś obcy wkroczył na jej teren, i musiał ją trochę uspokoić, lecz wcale nie zamierzał rezygnować ze swojej misji. – Proszę posłuchać. Jeśli chce pani poskarżyć się komuś w Waszyngtonie, nic na to nie poradzę, pani wola. Ale ponieważ na razie i tak siedzę pani na karku, dlaczego nie miałyby pani skorzystać z mojej pomocy?

Groźnie zmrużyła oczy i zastanawiał się przez chwilę, czy zaraz nie zastosuje wobec niego „aresztowania zapobiegawczego”, przed którym przestrzegał go agent Latimer. Nagle jednak wzruszyła ramionami, choć tak lekko, że prawie niedostrzegalnie.

– Dobrze, panie doktorze – odparła lodowato. – Na razie będziemy rozgrywać to tak, jak pan chce. Ale gdy tylko dostanę pozwolenie, żeby stąd pana usunąć, natychmiast pan wyjedzie.

Smith kiwnął głową.

– Zgoda.

– Jeśli to już wszystko, na pewno trafi pan do wyjścia. – Zerknęła na zegarek. – Mam dużo pracy.

Jon postanowił przycisnąć ją jeszcze trochę.

– Przedtem muszę zadać pani parę pytań.

– Cóż, skoro pan musi – odparła obojętnie.

– Co pani ludzie myślą o sposobie rozmieszczenia ładunków wybuchowych w laboratorium

Harcourta?

Pierson uniosła starannie wypielęgnowaną brew.

– Proszę dalej. – Uważnie wysłuchała jego teorii, że bomby rozmieszczono w ten sposób, by zburzyć okno i ścianę budynku, a nie po to, żeby zniszczyć pomieszczenie i znajdujący się w nim sprzęt. Gdy skończył, z zimnym rozbawieniem pokręciła głową. – A więc jest pan również ekspertem od materiałów wybuchowych, doktorze?

– Owszem, widziałem, jak się ich używa – przyznał – ale nie, ekspertem nie jestem.

– Załóżmy, że przecucia pana nie mylą. Sugeruje pan, że masakra, do której doszło przed instytutem, była celowa, że terroryści od początku zamierzali wypuścić nanofagi Harcourta, żeby zaatakowały demonstrantów. Co oznaczałoby, że zwolennicy Ruchu Łazarza przyjechali tu, żeby umrzeć i zostać męczennikami, tak?

– Niezupełnie – poprawił ją Smith. – Sugeruję, że ci, którzy to zrobili, chcieli, żebyśmy tak to odebrali. Ale dużo o tym myślałem i nie, to niemożliwe, żeby nanofagi Brinkera i Parikha mogły doprowadzić do tej tragedii. Wykluczone. Absolutnie wykluczone.

Twarz Pierson była jak z kamienia.

– Niemożliwe? Dlaczego? Proszę mi to wyjaśnić.

– Nanofagi z ich laboratorium zawierały substancje biochemiczne, których zadaniem było eliminowanie ściśle określonych komórek rakowych w organizmie nosiciela, a nie atakowanie i zabijanie wszystkich tkanek, jak popadnie. Poza tym proszę pamiętać, że nanofagi te są nieskończenie małe. Do wywołania tak horrendalnych zniszczeń w organizmie jednego człowieka potrzeba ich milionów, a nawet dziesiątek milionów. Jeśli pomnożymy to przez liczbę zabitych demonstrantów, otrzymamy miliardy, może nawet biliony nanofagów. Ze sprzętem, którym dysponowało laboratorium Harcourta, zespół Brinkera nie mógłby ich po prostu wytworzyć. Proszę nie zapominać, że on i Parikh skupiali się całkowicie na projektowaniu i testowaniu czegoś, co miało być medycznym cudem tego stulecia. Masowa produkcja nie wchodziła w grę.

– Może pan to udowodnić? – spytała Pierson, wciąż z kamiennym wyrazem twarzy.

– Bez komputerowych zapisów? – Smith pokręcił głową. – Chyba nie, a jeśli nawet, to nie na tyle przekonująco, żeby wygrać tę sprawę w sądzie. Ale bywałem w tym laboratorium prawie codziennie. Wiem, co widziałem i wiem, czego nie widziałem. – Zamilkł i przyjrzał się jej z ciekawością. Zgodzi się z jego obciążającymi wnioskami czy nie?

Pierson nie odpowiedziała. Jej zaciśnięte usta wyglądały jak cieniutka kreseczka. Szarymi oczami patrzyła gdzieś w dal, poza ciasny namiot.

– Rozumie pani, co to znaczy, prawda? – powiedział z naciskiem. – To znaczy, że terroryści wnieśli do instytutu własne nanofagi. Nanofagi, które od samego początku zaprojektowano tylko po to, żeby zmasakrowały tysiące demonstrantów. Nie mam pojęcia, kim ci ludzie byli, ale na pewno nie należeli

do Ruchu Łazarza. Chyba że Łazarz dysponuje kilkoma własnymi, piekielnie kosztownymi laboratoriami!

Nareszcie na niego spojrzała. Drgał jej mięsień prawego policzka. Zmarszczyła brwi.

– Niewykluczone, że to prawda... jeśli pańskie przypuszczenia są słuszne. – Pokręciła głową. – Jeśli, panie doktorze, jeśli. Na razie nie mam żadnych podstaw, żeby pominąć inne dowody zaangażowania ruchu w tę sprawę.

– Inne? – powtórzył Jon. – To znaczy jakie? Zidentyfikowaliście już tych, których zabiłem z sierżantem Diazem? Ich nazwiska muszą figurować w aktach jakiejś agencji. To byli zawodowcy. Co więcej, zawodowcy z dostępem do procedur taktycznych i operacyjnych Secret Service. Tacy ludzie nie stoją na rogu ulicy, szukając pracy.

Pierson milczała.

– Dobrze, a ich samochody, te wielkie, czarne terenówki? – dążył Smith. – Jedna została na parkingu przed instytutem. Czy wasi ludzie sprawdzili już, do kogo należy?

Pierson posłała mu lodowaty uśmiech.

– Prowadzę śledztwo w zorganizowany sposób, panie pułkowniku. Co znaczy, że nie biegam wokoło, przedwcześnie rozgłaszając fragmenty informacji. Dopóki nie skłonię kogo trzeba, żeby stąd pana wyekspediował, zapraszam na nasze odprawy. Tam pozna pan wszystkie niezbędne fakty, jeśli takowe ustalimy. Cierpliwość jest cnotą, panie pułkowniku. Warto ją pielęgnować.

Gdy wyszedł, stanęła przy biurku, analizując jego obłąkaną teorię. Zarozumiały dupek.

A jeśli miał rację? Jeśli ludzie Burke'a celowo wypuścili z laboratorium własne nanofagi? Tylko skąd mieliby je wziąć? Nie, to niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Śmierć demonstrantów była zupełnie niezamierzona i przypadkowa. I tyle.

A śmierć tych w gmachu instytutu? – spytało sumienie. Co z nimi? Ofiary wojny, odparła zimno Pierson. Bardzo chciała w to wierzyć. Marnując czas na walkę z poczuciem żalu i wyrzutami sumienia, niczego nie zyska. Miała na głowie dużo ważniejsze problemy, jak choćby pułkownik Jonathan Smith. Czowała, że bez względu na to, ile razy będzie go ostrzegała, Smith nie zrezygnuje.

Zmarszczyła czoło. Wszystko zależało od tego, czy zdoła utrzymać niepodzielną i całkowitą kontrolę nad przebiegiem śledztwa. Obecność kogoś takiego jak on, kto wtyka nos w nie swoje sprawy i podważa oficjalne wyniki dochodzenia, była nie do przyjęcia. Co więcej, była niebezpieczna dla niej, dla Burke'a i dla jego operacji.

Ani przez sekundę nie wierzyła, że Smith jest tylko obserwatorem naukowym, oficerem łącznikowym oddelegowanym tu przez Amerykański Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych czy Kolegium Szefów Sztabów Połączonych. Posiadał za dużo niezwykłych umiejętności, był zbyt wszechstronny. Poza tym w jego aktach było za wiele luk. Dla kogo tak naprawdę pracował? Dla wywiadu wojskowego? Dla

kontrwywiadu? A może dla którejś z tajnych agencji rządowych?

Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła siedmiocyfrowy numer.

– Burke.

– To ja – powiedziała. – Mamy problem. Chcę, żebyś dokładnie prześwietlił niejakiego Jonathana Smitha, podpułkownika naszej armii.

– Znam to nazwisko – odparł cierpko Burke. – Nieprzyjemnie mi się kojarzy.

– Nic dziwnego. To ten niby–lekarz, który wytłukł połowę twoich ludzi.

Tajne laboratorium nanotechnologiczne Ruchu Łazarza

Zewnętrzny świat nie miał tu wstępu. Ci, którzy tu przebywali, nie czuli słonego zapachu bliskiego oceanu, nie słyszeli też ryku kołujących na start odrzutowców. We wszystkich pomieszczeniach panowała pierwotna cisza i nieskazitelna czystość.

Nawet technicy i naukowcy, którzy pracowali w zewnętrznych strefach tego olbrzymiego, dobrze zakamuflowanego laboratorium, poruszali się z wielką ostrożnością. Wszyscy w sterylnych kombinezonach, fartuchach lekarskich, maskach chirurgicznych zakrywających nos, usta i policzki, w okularach ochronnych i w poliestrowych kaskach, w których wyglądali jak frankońscy rycerze. Rozmawiali przyciszonym głosem. Zapiski prowadzili tylko w formie elektronicznej. Do „czystych” pomieszczeń nie można było wносить żadnych książek czy dokumentów, ani skrawka papieru: istniało zbyt wielkie ryzyko skażenia lotnymi cząstkami.

Każdy krok w stronę Strefy 10 na wydziale produkcyjnym łączył się z coraz surowszymi wymogami sterylizacyjnymi. Z pomieszczenia do pomieszczenia przechodziło się przez wiele zaopatrzonych w wyrafinowane filtry śluz. Na każdych drzwiach wisiała lista czynności, które należało wykonać przed ich otwarciem, przed każdym czuwał uzbrojony strażnik, który tego pilnował. Wszystko po to, żeby uniknąć skażenia zawartości zbiorników. W początkowej fazie produkcji nanofagi były niezmiernie delikatne i mogła je zabić najmniejsza zmiana ściśle określonych i precyzyjnie kontrolowanych warunków. Nikt też nie miał ochoty doświadczyć skutków działania dojrzałych nanofagów.

Przy stole konferencyjnym w jednym z pomieszczeń zewnętrznych siedziało trzech mężczyzn. Omawiali dane operacyjne i naukowe, które zebrano podczas wydarzeń w Zimbabwie i w Nowym Meksyku. Dwóch było naukowcami, wybitnymi biologami molekularnymi. Trzeci, znacznie od nich wyższy i szerszy w ramionach, posiadał zupełnie inne umiejętności. Był jednym z Horacjuszów i miał na imię Nones.

– Wstępne doniesienia z Santa Fe wskazują, że nanofagi wersji drugiej uaktywniły się w dwudziestu, możliwe nawet, że w trzydziestu procentach zainfekowane – mówił jeden z naukowców. Jego zabezpieczone rękawiczką palce zatańczyły na klawiaturze komputera i na plazmowym monitorze pojawił się wykres. – Jak pan widzi, przekracza to nasze pierwotne założenia. Dlatego twierdzę, że modyfikacja nanofagów wersji pierwszej okazała się skuteczna.

– To prawda – potwierdził jego kolega. – Widać z tego również, że zmodyfikowane nanofagi są dużo stabilniejsze niż te, które przetestowaliśmy w Kusasa, i że mają dużo wyższy współczynnik rozkładu tkanek i kości nosiciela.

– Ale czy możecie podwyższyć współczynnik śmiertelności wśród zainfekowanych? –

spytał ostro Nones. – Znacie wymagania naszego pracodawcy. Są bezwzględne. Broń, która zabija mniej niż jedną trzecią potencjalnych ofiar, im nie sprostą.

Cóż za dobór słów – naukowcy skrzywili się z niesmakiem. Woleli uważać się raczej za chirurgów, którzy przeprowadzają bardzo nieprzyjemną, lecz niezbędną operację. Bezpardonowa wzmianka o tym, że maczają palce w ludobójstwie, nie była ani konieczna, ani miła.

– No więc? – Jasnozielone oczy Nonesa błyszczały za szklami akrylowych okularów ochronnych. Wiedział, jak bardzo nie lubią rozmawiać o zabójczych skutkach swoich badań.

Mieszkali w wieży z kości słoniowej, dlatego od czasu do czasu lubił ich stamtąd zrzucać, żeby upaprali nos w gnoju i błocie. Robił to ot tak, dla zabawy.

– Uważamy, że nanofagi wersji trzeciej będą o wiele skuteczniejsze – odrzekł ten pierwszy. – Czujniki tych, których użyliśmy w Santa Fe, są słabsze i jest ich dużo mniej. Te nowe są zaprogramowane na wychwytywanie dodatkowych sygnatur chemicznych i powinny znacznie zwiększyć liczbę potencjalnych... celów.

Zielonooki olbrzym kiwnął głową.

– Udało nam się również podnieść wydajność wewnętrznego źródła zasilania – dodał ten drugi. – Dzięki temu wzrosnie długość ich życia i zasięg operacyjny.

– A skażenie terenu? – spytał Nones. – Widzieliście, jakie środki bezpieczeństwa podjęli ci przed instytutem?

– Amerykanie przesadzają z ostrożnością – odparł lekceważąco pierwszy naukowiec. –

Nanofagi już dawno przestały być groźne.

– Ich obawy mnie nie obchodzą – rzucił zimno Nones. – Obchodzą mnie za to wymagania naszego pracodawcy, a on chce, żeby nanofagi wersji trzeciej wyposażono w skuteczny mechanizm samoniszczący. Jasne?

– Tak, oczywiście – odrzekł szybko drugi naukowiec, słysząc nutkę groźby w jego głosie.

– Opracowaliśmy go, jak najbardziej. – Kliknął klawiszami i pokazał mu szereg projektów. –

Największym problemem było znalezienie wolnej przestrzeni pod osłoną, ale udało nam się...

– Szczegóły techniczne mnie nie obchodzą – przerwał mu Horacjusz. – Ale jeśli chcecie, możecie przesłać je naszemu pracodawcy. Mnie interesuje wyłącznie praktyczne zastosowanie.

Jeśli ta broń zabija szybko, skutecznie i niezawodnie, nie muszę wiedzieć, w jaki sposób działa.

Chicago, Illinois

Łukowe reflektory na zachodnim skraju kampusu zamieniały noc w dzień. Ustawiono je tam, żeby oświetlały brązowo–szarą kamienną fasadę nowo wzniesionego międzywydziałowego centrum badawczego – wielkiego, czteropiętrowego gmachu o powierzchni trzech tysięcy osmiuset dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, w którym przygotowano miejsce na laboratoria i pracownie naukowe. Na trawnikach i chodnikach przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i po wschodniej stronie bulwaru Drexela wciąż stały barakowozy. W oknach budynku płonęły światła, ponieważ elektrycy, stolarze, hydraulicy i wielu innych harowało dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby ukończyć pracę w terminie.

W XX wieku naukowcy z uniwersytetu chicagowskiego odegrali znaczącą rolę w rozwoju nauki i techniki. To właśnie oni przyczynili się do opracowania metody datowania izotopem węgla ^{14}C , to oni stanęli na czele tych, którzy zapoczątkowali erę kontrolowanej energii atomowej. Wkroczywszy w XXI wiek, uniwersytet robił wszystko, żeby utrzymać opinię jednego z najlepszych

ośrodków

naukowych

w świecie.

Jej

świadectwem

był

gmach

międzywydziałowego centrum badawczego. Już wkrótce mieszczące się tu laboratoria mieli dzielić najwybitniejsi biologowie i fizycy, z nadzieją, że pracując ramię w ramię, obalą wąską i coraz bardziej sztuczną granicę między tymi tradycyjnymi dyscyplinami nauki.

Na budowę i kosztowne wyposażenie gmachu zebrano prawie miliard dolarów, uzyskano również gwarancję na fundusze niezbędne do realizacji pierwszych projektów badawczych.

Jednym

z najhojniejszych

sponsorów był Harcourt Biosciences, który ufundował

supernowoczesny kompleks nanotechnologiczny. Ponieważ w zamachu na Instytut Tellera zniszczeniu

uległo ich laboratorium, zarząd firmy uznał, że pilnie potrzebne jest laboratorium zastępcze, którego istnienie będzie dla świata oczywistym znakiem, że Harcourt Biosciences nie zamierza rezygnować z badań nanotechnologicznych. Na razie jednak trwały tam jeszcze gorączkowe prace wykończeniowe: zespoły robotników i techników instalowały komputery, elektronowe mikroskopy skaningowe, manipulatory, systemy filtrów powietrznych, magazyny chemiczne oraz inny sprzęt.

Jack Rafferty wszedł do budynku sprężystym krokiem i z uśmiechem na ustach. Był niski i chudy, dojeżdżał do pracy z La Grange. Jadąc, liczył, ile wyciągnie z nadgodzin, i wyszło mu, że stać go będzie nie tylko na wysłanie dzieci do szkoły parafialnej, ale i na harleya, o którym marzył od ponad roku.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy tylko stanął w progu laboratorium, bo już stąd zobaczył, że ktoś grzebał w okablowaniu, które założył poprzedniego dnia. Ze ścian zwisały otwarte panele, odsłaniając chaotyczną plątaninę kolorowych przewodów, a z wystrzępionych dziur w nowiuteńkich panelach sufitowych zwoje elektrycznych kabli.

Zaklął pod nosem i jak burza ruszył w stronę majstra, miłego, wylewnego niedźwiedzia o nazwisku Koslov.

– Tommy, co to za burdel? Znowu zmienili specyfikacje?

Koslov przejrzał dokumenty i pokręcił głową.

– Nie, nic o tym nie wiem.

Rafferty zmarszczył brwi.

– To może powiesz mi, dlaczego Levy grzebał w moich kablach i nie raczył po sobie posprzątać?

Koslov wzruszył ramionami.

– To nie on. Podobno jest na chorobowym. Zastępowało go paru nowych. – Rozejrzył się wokoło. – Byli tu jeszcze kwadrans temu. Pewnie się urwali.

Rafferty przewrócił oczami.

– No to fajnie. Nie ma to jak niezrzeszeni partacze. Albo ktoś po znajomości. – Zapiął pas z narzędziami i nałożył kask. – Tylko nie wrzeszcz, że znowu się spóźniam. Pół zmiany zejdzie mi na samym sprzątaniu.

– Nie powiem ani słowa – obiecał Koslov, kładąc na piersi wielgachną dłoń.

Chwilowo usatysfakcjonowany Rafferty wziął się do roboty, próbując rozplątać to, co zaplątali zastępujący Levy'ego partacze. Zajrzał do jednego z otwartych paneli, włączył latarkę i powiódł światłem po wszelkiego rozmiaru i kształtu kablach, przewodach i rurach.

Jego uwagę przykuł luźny zielony kabelek. Co to jest? Delikatnie go pociągnął. Kabel stawiał opór.

Długimi, cienkimi palcami powoli wyplątał go z gęstwiny innych kabli. Wreszcie zobaczył, skąd wychodzi. Wychodził z czegoś, co wyglądało jak blok plasteliny.

Zaskoczony patrzył na niego przez kilka sekund, zastanawiając się, co to może być.

Plastelina? Nie. I nagle go olśniło. Zbladł.

– Jezu Chryste... To plastik.

Sześć ładunków wybuchowych rozmieszczonych w laboratorium eksplodowało jednocześnie. Sufit i ściany rozpruło oślepiające światło. Fala uderzeniowa o straszliwej sile rozerwała na strzępy Rafferty’ego, Koslova oraz pozostałych robotników. Wraz ze ścianą ognia i rozgrzanego powietrza przetoczyła się z rykiem korytarzami na w pół ukończonego budynku i pałac wszystko na swej drodze, poszła w górę, gdzie napotkała żelbetonowe wsporniki, które w mgnieniu oka złamała i zmiażdżyła jak zapalki.

Wschodnia ściana gmachu zadrżała i początkowo powoli, a potem coraz szybciej, zaczęła osuwać się w dół wśród przeraźliwego zgrzytu gniecionej i rozdieranego metalu. Na kompleks badawczo–naukowy uniwersytetu zwała się lawina betonu i stali. W niebo buchnął słup gęstego, duszącego dymu i kamiennego pyłu, upiornie oświetlony przez otaczające budowę reflektory.

Godzinę później i dziesięć ulic dalej, w mieszkaniu na najwyższym piętrze jednej z kamienic przy chicagowskim Hyde Parku, troje przywódców komórki dywersyjnej Ruchu Łazarza odbywało pilną naradę. Wciąż wyraźnie wstrząśnięci, dwóch mężczyzn i kobieta – każde dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat – stali w saloniku, patrząc na ekran telewizora.

Wszystkie lokalne stacje telewizyjne i niemal wszystkie kanały ogólnokrajowe przekazywały na żywo to, co działo się na uniwersytecie.

Na stole w sąsiednim pokoju leżała sterta kombinezonów roboczych, kasków, toreb z narzędziami i fałszywych identyfikatorów, które gromadzili już od czterech miesięcy, czyli od chwili, gdy rozpoczęli intensywne przygotowania do akcji. Na wierzchu sterty spoczywała duża, ciemnożółta koperta. Zawierała ściągnięte z Internetu plany międzywydziałowego centrum badawczego. W kartonach na podłodze stały zakręcone słoje z cuchnącą cieczą i puszki farby w spreju. Leżały tam również złożone transparenty i proporce ruchu.

– Kto to zrobił? – spytała zaszokowana i zbita z tropu Frida McFadden, nerwowo zagryzając końce zielonych włosów. – Centrum badawcze? To na pewno nie nasi. Rozkazy musiały przyjść z góry, od samego Łazarza.

– Nie wiem, nie mam pojęcia – mruknął ponuro jej chłopak Bili Oakes. Właśnie zapinał

koszulę, gdy zadzwonili do niego z tą straszną wiadomością. Pokręcił głową i niecierpliwym gestem odgarnął z czoła kosmyk długich, jasnych włosów. – Ale jedno wiem na pewno. Musimy odwołać akcję i pozbyć się sprzętu. I to jak najszybciej. Zanim do drzwi załomoczą gliniarze.

– Jasnowidz, kurwa – burknął ich przysadzisty towarzysz Rick Avery, trzeci członek grupy

dywersyjnej. Podrapał się w brodę. – Tylko jak? Do jeziora z tym?

– W jeziorze na pewno by to znaleźli – odparł cichy, szydrczy głos od strony drzwi. –

Albo ktoś zobaczyłby, jak to tam wrzucacie.

Zaskoczeni odwrócili się jak na komendę. To niemożliwe. Żadne z nich nie słyszało zgrzytu zamka a przecież drzwi były zamknięte na klucz. Ujrzeni wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w ciężkim, wełnianym palcie. Stał w holu między salonikiem i pokojem jadalnym.

Pierwszy odzyskał mowę Oakes. Z wojowniczą miną zrobił krok do przodu i warknął:

– A ty, kurwa, kto?

– Możecie mi mówić Terce – odrzekł spokojnie zielonooki olbrzym. – Mam coś dla was: mały podarunek. – Płynnym ruchem wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej wyposażonego w tłumik walthera kaliber 9 milimetrów.

Przerażona Frida McFadden cicho krzyknęła. Avery zamarł z palcami w splątanej brodzie. Tylko Bili był na tyle przytomny, żeby coś powiedzieć.

– Jeśli jesteś gliniarzem – wyjąkał – pokaż nakaz.

Terce uśmiechnął się przepaszająco.

– Niestety, panie Oakes, nie jestem policjantem.

Oakes zdążył tylko zadrzeć. Zaraz potem walther cicho kaszlnął i kula trafiła go w czoło.

Runął plecami na telewizor.

Horacjusz przesunął lufę pistoletu w lewo i wystrzelił ponownie. Avery głucho jęknął

i opadł na kolana, na próżno próbując zatamować buchającą z gardła krew. Terce pociągnął za spust po raz trzeci i wpakował mu kulę w głowę.

Błada jak płótno Frida McFadden chciała uciec do drugiego pokoju. Pocisk trafił ją w plecy. Potknęła się i zwijając się z bólu, niezdarnie upadła na kanapę. Horacjusz schował

pistolet do kieszeni, podszedł bliżej, ujął wielkimi jak bochny dłońmi jej głowę i mocno szarpnął, przekręcając ją jednocześnie w prawo. Rozległ się trzask pękających kości.

Przez kilka sekund przyglądał się im, sprawdzając, czy na pewno nie żyją. Potem otworzył drzwi. Na półpiętrze czekało dwóch mężczyzn. Obaj dźwigali ciężkie walizy.

– Już – rzucił i cofnął się, żeby ich przepuścić. Mężczyźni nawet nie spojrzeli na ciała zabitych. Po co? Każdy, kto współpracował z Horacjuszami, szybko oswajał się z widokiem śmierci.

Spiesznie otworzyli walizki i zaczęli wyjmować z nich kostki plastiku, detonatory i zapalniki. Układali to wszystko na stole. Jeden z nich, niski i przysadzisty, ze słowiańskimi rysami twarzy, wskazał kombinezony, plany, chemikalia w pudłach na podłodze i spytał:

– A co z tym?

– Zabierzcie, ale identyfikatory, kombinezony i kaski zostawcie razem z plastikiem.

Słowianin wzruszył ramionami.

– Policja się na to nie złapie. Testy nie wykażą śladów materiałów wybuchowych na ich ubraniu.

Terce kiwnął głową.

– Wiem. – Uśmiechnął się zimno. – Ale czas pracuje na naszą nie ich, korzyść.

Światła w barze na międzynarodowym lotnisku O’Hare były przyćmione, w przeciwieństwie do jaskrawych świateł w korytarzach i halach odlotów widocznych za przeszklonymi drzwiami. Nawet o tak późnej porze było tu sporo gości, zaspanych, zmęczonych lotem, którzy szukali ukojenia w ciszy, spokoju i alkoholu.

Hal Burke siedział ponuro przy narożnym stoliku i sączył rum z colą, który zamówił pół

godziny wcześniej. Leciał do Waszyngtonu i wkrótce mieli wywołać jego lot.

Na krześle naprzeciwko usiadł bezszelestnie Terce. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Poszło jak po maśle – powiedział. – Informacje były bardzo dokładne. Chicagowska komórka Ruchu Łazarza już nie istnieje.

Burke wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. To, że mieli doskonale ustawionych informatorów, ludzi z dostępem do najściślejszych tajemnic ruchu, było jednym z głównych powodów, dla których wciągnął tych upiornych, niemal nieludzkich Horacjuszów do Toksyny.

Chociaż strasznie go to irytowało, musiał uczciwie przyznać, że informatorzy ci byli dużo lepsi od jakiegokolwiek siatki stworzonej przez CIA.

– Chicagowska policja zobaczy to, co spodziewa się zobaczyć. Plastik. Detonatory.

I fałszywe identyfikatory.

– Nie zapominaj o trzech zabitych – zauważył Burke. – Ten mały szczegół trochę ich zastanowi.

Terce lekceważąco wzruszył ramionami.

– Organizacje terrorystyczne często pożerają same siebie – odparł. – Policja dojdzie do wniosku, że towarzysze z ruchu uznali ich za słabe ogniwo. Albo pomyśli, że to jakaś wewnętrzna rozgrywka,

walka między frakcjami.

Burke potarł czoło. Horacjusz miał rację. Znowu.

– Fakt, to się zdarza – przyznał. – Wsadzić dwie bandy obłąkanych, uzbrojonych ekstremistów do jednego pokoju, trochę ich przycisnąć... Niektórym szybko odbija i zaczynają strzelać, to nie nowina.

Wypił łyk rumu.

– Ale przynajmniej wszystko będzie wyglądało tak, jakby przygotowywali ten zamach od wielu miesięcy – wymamrotał. – To powinno przekonać Castillę, że masakra w Santa Fe od początku do końca była dziełem Łazarza, hasłem do rozpoczęcia otwartej wojny, podpuchą, która miała ich zradyzalizować i jednocześnie związać nam ręce. Przy odrobinie szczęścia prezydent uzna ich wreszcie za organizację terrorystyczną.

Terce uśmiechnął się z powątpiewaniem.

– Może.

Burke zacisnął zęby, aż zbielała mu stara blizna na szyi.

– Mamy na głowie pilniejszą i poważniejszą robotę – powiedział. – W Santa Fe.

– Czyżby nowy problem? – spytał Horacjusz.

– Tak, pułkownik Smith, Jonathan Smith. Wszystkich wkurza i zadaje bardzo niewygodne pytania.

– Nasi tam jeszcze są – zauważył ostrożnie Terce.

– To dobrze. – Burke dopił resztę rumu i wstał. – Daj mi znać, kiedy będą gotowi.

I popędź ich. Chcę, żeby załatwili to, zanim ktoś z wyższego szczebla zwróci na niego uwagę.

Piątek, 15 października, Santa Fe

Przez szpary w żaluzjach wpadały ukośne promienie porannego słońca. Cicho zadzwieczała komórka. Jon odstawił filiżankę na kuchenny blat i wyjął telefon z kieszeni.

– Tak?

– Przejrzyj dzisiejsze wiadomości – powiedział Klein.

Smith odsunął talerz z niedojedzonym śniadaniem, obrócił laptop ekranem w swoją stronę, wszedł do sieci i chwilę później z narastającym niedowierzaniem patrzył na przesuwające się nagłówki. Wiadomość krzyczała ze wszystkich większych portali. FBI NA TROPIE

ŁAZARZA! DZIAŁACZ RUCHU NABYWCA CZARNYCH TERENÓWEK!

Artykuły były do siebie podobne. Anonimowi, wysoko postawieni funkcjonariusze FBI prowadzący śledztwo w sprawie masakry przed Instytutem Tellera potwierdzali, że samochody wykorzystane podczas napadu przez fałszywych agentów Secret Service kupił niejaki Andrew Costanzo, wieloletni działacz Ruchu Łazarza z Albuquerque. Nabył je za gotówkę, za mniej więcej sto tysięcy dolarów, a zaledwie kilka godzin po ataku na instytut sąsiedzi widzieli go, jak odjechał sprzed domu z dużą walizką na tylnym siedzeniu samochodu. Jego zdjęcie i rysopis rozesłano do wszystkich przedstawicielstw terenowych FBI oraz do stanowej i miejscowej policji.

– Interesujące, prawda? – spytał Klein.

– Przyszło mi do głowy to określenie – odparł szorstko Smith. – Przynajmniej nadaje się do druku.

– Aha – mruknął Klein. – Rozumiem, że nic o tym nie wiedziałeś.

– I dobrze rozumiesz. – Jon zmarszczył brwi. Przypomniała mu się odprawa, w której uczestniczył. Ani Pierson, ani żaden z jej najbliższych współpracowników nawet się nie zająknęli, że mają w ręku taką bombę. – To przeciek czy wymysł tych z prasy?

– Nie, to chyba nie kaczka dziennikarska. Biuro nie pofatygowało się nawet, żeby temu zaprzeczyć.

– Wiadomo, kto im to sprzedał? Ktoś z Santa Fe czy może z Waszyngtonu?

– Nie, nie wiadomo. – Klein lekko się zawahał. – Ale powiem ci, że nikt stąd nie żałuje, że ta historia trafiła do prasy.

– To na pewno. – Biorąc pod uwagę gorliwość, z jaką Kit Pierson próbowała uciszyć go poprzedniego dnia. FBI musiało być cholernie zadowolone, że zdobyło namacalny dowód na bezpośredni związek Ruchu Łazarza z masakrą przed Instytutem Tellera – dowód jeszcze mocniejszy po nocnych zamachach terrorystycznych w Chicago. Znalezienie tego Costanza musiało być dla nich

jak manna z nieba.

– I co pan na to, pułkowniku?

– Nie kupuję tego. A przynajmniej nie w całości. Za bardzo to wszystko do siebie pasuje.

Poza tym to, że go mają, nie wyjaśnia jeszcze, skąd ci

z ruchu wytrzasnęli zabójcze nanofagi ani dlaczego celowo zarazili nimi swoich zwolenników.

– To prawda.

Smith zamilkł i wczytał się w treść najświeższego artykułu. Ten zwracał więcej uwagi na to, co na temat Costanza miała do powiedzenia rzeczniczka ruchu, niejaka Heather Donovan.

Dokładnie przeanalizował jej argumenty. Jeśli chociaż połowa z nich była prawdziwa, niewykluczone, że FBI szło fałszywym tropem, na który celowo ich skierowano. Pokiwał głową.

Warto było to sprawdzić.

– Porozmawiam dzisiaj z tą Donovan – powiedział. – Ale muszę mieć jakąś przykrywkę, przynajmniej tymczasową. Może dziennikarską? Z dobrymi papierami nie będą mnie podejrzewali. Z wojskowym nie zechcą gadać.

– Na kiedy ich potrzebujesz?

Jon zagryzł wargę. Dzień miał szczelnie wypełniony. Poprzedniego wieczoru niektórzy członkowie ekipy śledczej w końcu zaryzykowali i wyszli w teren bez ciężkich skafandrów ochronnych. Żaden z nich nie umarł – jak dotąd – więc zespoły lekarzy z miejscowych szpitali i z Nomura Pharma-Tech mogły rozpocząć ponury proces usuwania ludzkich szczątków sprzed instytutu. On natomiast chciał wziąć udział w sekcji zwłok, z nadzieją, że znajdzie odpowiedź

choć na kilka dręczących go pytań.

– Na wieczór – odrzekł. – Spróbuję umówić się z nią w barze w śródmieściu. Panika już minęła, coraz więcej ludzi wychodzi z domu.

– Powiedz jej, że jesteś wolnym strzelcem – zasugerował Klein. – Że robisz coś w Stanach dla „Le Monde” i kilku mniejszych europejskich czasopism, najlepiej lewicujących.

– Dobra myśl – odparł Smith. Znał Paryż, a „Le Monde” i jego odpowiedniki na Zachodzie

od

zawsze

sympatyzowały

z ekologicznymi,

antyglobalistycznymi

i antytechnologicznymi poglądami Ruchu Łazarza.

– Legitymację prasową na twoje nazwisko przysłę ci do hotelu przez kuriera – powiedział

Klein. – Po południu.

Kit Pierson siedziała przy składanym stoliku – w namiocie służył jej za biurko –

przeglądając ściśle tajne dokumenty CIA, które przefaksował jej Burke. Okazało się, że Langley ma niewiele więcej informacji o Smisie niż FBI. Ale w meldunkach agentów terenowych i w faksach od ich zwierzchników znalazła kilka tajemniczych wzmianek, głównie w związku z nagłymi sytuacjami kryzysowymi lub wybuchem konfliktu w tym czy innym punkcie zapalnym świata.

Zmrużyła oczy. Lista była długa i bardzo niepokojąca. Moskwa. Paryż. Szanghaj. A teraz Santa Fe. Ten człowiek był wszędzie. Och, tak, zawsze miał jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

A to przyjechał odwiedzić ранego przyjaciela, a to uczestniczył w dorocznej konferencji medycznej, a to robił po prostu to, do czego go wyszkolono. Na pierwszy rzut oka był tym, za kogo się podawał: lekarzem wojskowym i naukowcem, który ot, zwykłym przypadkiem, znalazł

się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

Pokręciła głową. Za dużo tych przypadków. Za dużo przypadkowych spotkań i wiarygodnych wytłumaczeń. Nie. Te spotkania i wyjazdy układały się w jakiś wzór, który napawał ją złymi przeczuciami. Przeklęty Smith. Pracując w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych, miał dość niezwykłą swobodę w dobieraniu sobie zleceń. I te urlopy: jeździł na nie, kiedy tylko chciał. Nie, była niemal stuprocentowo pewna, że jest tajnym agentem – agentem wysokiego szczebla. Ale najbardziej martwiło ją to, że za nic nie mogła ustalić, kim jest jego prawdziwy pracodawca. Każde oficjalne zapytanie ginęło w biurokratycznej krainie marzeń. Jakby ktoś siedzący hen, wysoko, na samym wierzchołku tej biurokratycznej piramidy, zamknął życie pułkownika Smitha w sejfie i nakleił na drzwiczki wielką tablicę z napisem „Nie otwierać”.

I właśnie to ją denerwowało – bardzo denerwowało. Dlatego posadziła mu na ogonie dwóch ludzi. Z chwilą, gdy pan doktor przekroczył wytyczoną przez nią granicę, postanowiła odsunąć go od śledztwa, wytarzać w smole, potem w piórach, a jeszcze potem – w razie konieczności – wdeptać go w ziemię.

Włożyła dokumenty do przenośnej niszczarki i przez chwilę siedziała, patrząc, jak cieniuteńkie skrawki papieru wpadają do kosza z napisem Do SPALENIA. Gdy zadzwonił

telefon, maszyna jeszcze pracowała.

– Tu Burke – warknął głos po drugiej stronie linii. – Czy twoi ludzie ciągle chodzą za Smithem?

– Tak. Jest teraz w Szpitalu Świętego Wincentego, na sekcji.

– Odwołaj ich.

Zaskoczona Pierson zeszywniała.

– Że co?

– Dobrze słyszałaś. Odwołaj swoich agentów. Szybko.

– Dlaczego?

– Zaufaj mi – odparł zimno Burke. – Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Odłożywszy słuchawkę, Kit Pierson długo siedziała w martwej ciszy, zastanawiając się po raz setny, czy istnieje jakiś sposób ucieczki z wilczego dołu, po którego ścianach osuwała się w coraz głębszą otchłań.

Jon pchnął obrotowe drzwi i wszedł do małej szatni w laboratorium patologicznym szpitala. W szatni nie było żywego ducha. Smith ziewnął, usiadł, ściągnął rękawiczki i maskę i wrzucił je do wypełnionego po brzegi kosza. Potem zdjął zielony fartuch. Kończył się przebierać, gdy zadzwonił Klein.

– Umówiłeś się z tą Donovan? – spytał.

– Tak. – Jon nachylił się, żeby włożyć buty. – Na dziś wieczór. W kafejce na Plaza Mercado.

– To dobrze. Jak tam sekcja? Znalazłeś coś ciekawego?

– Może. Ale za cholerę nie wiem, co to znaczy. – Smith westchnął. – Problem w tym, że dysponujemy zaledwie kilkoma nietkniętymi fragmentami ciała. Niemal wszystko, co zostało z tych nieszczęśników, zmieniło się w organiczną zupę.

– Mów, mów, słucham.

– Nie bardzo jest o czym. Ustaliliśmy kilka dziwnych regularności, ale za wcześnie na konkretną teorię. Próbkę są za małe. Wygląda na to, że większych nie będzie, ale podejrzewam, że mimo to te regularności będą się pojawiać.

– Ale jakie regularności? – drążył Klein.

– Symptomy chronicznych chorób i śladowe ilości narkotyków w organizmie zmarłych –

odrzekł Smith, wstając i sięgając po wiatrówkę. – Nie we wszystkich przypadkach. Ale w dość wysokim procencie. Stwierdziliśmy wyraźne przekroczenie normy.

– Wiecie już, co ich zabiło?

– Dokładnie? Nie.

– A pańskie przypuszczenia, pułkowniku?

– Tak, pozostały mi tylko przypuszczenia – odparł ze znużeniem Smith. – Myślę, że największe zniszczenia w ich organizmie wywołały toksyny z rozpadu białek zaatakowanych przez nanofagi. Nanofagi musiały atakować różne białka, i to wielokrotnie, stąd ta organiczna breja.

– Ale nie zabiły wszystkich zarażonych – zauważył Klein. – Dlaczego?

– Moim zdaniem, do ataku przystępują na określony sygnał biochemiczny...

– Którym może być na przykład obecność narkotyku w organizmie. Albo choroba serca.

Albo jakaś inna chroniczna przypadłość. Tak? Bez tego sygnału siedzą cicho.

– Bingo.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego ten wielkolud, z którym walczyłeś, nagle umarł. Tuż przedtem obaj przebiegliście przez chmurę nanofagów i nie zabiły was.

– Ten człowiek dostał szprycę, Fred – odparł ponuro Jon i zamknął oczy na wspomnienie rozkładającego się na jego oczach ciała. – Jestem niemal pewien, że ktoś strzelił do niego igłą wypełnioną czymś, co dało sygnał krążącym w organizmie nanofagom.

– Co znaczy, że jego ludzie go zdradzili, żeby nie wpadł.

– Tak to widzę. – Jon skrzywił się, przypominając sobie cichy, zimny syk przelatującej nad głową lotki. – I próbowali też wstrzelić szprycę mnie.

– Uważaj na siebie – ostrzegł go surowo Klein. – Wciąż nie wiemy, z kim walczymy, wciąż nie znamy ich planów. Na razie uznajemy, że wszyscy są niebezpieczni. Łącznie z tą Donovan.

Kryjówka grupy obserwacyjnej na przedmieściach Santa Fe W domu stojącym trzy kilometry na wschód od Instytutu Tellera panowały cisza i spokój.

Komputery mruczały, klikały i burczały, zapisując dane z czujników wycelowanych w strefę wokół obserwowanego budynku. Dyżur pełniło dwóch techników, którzy siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w płynące w eterze rozmowy i spoglądając na ekrany monitorów, które nieustannie wyświetlały kolumny tekstu i zdjęć.

Nagle jeden z nich gwałtownie poprawił słuchawki i zerknął na swego przełożonego, starszego Holendra Willema Lindena.

– Meldunek od dowódcy grupy operacyjnej. Smith właśnie wszedł na Plaza Mercado.

– Sam?

Technik kiwnął głową.

Linden uśmiechnął się szeroko, demonstrując żółte od nikotyny zęby.

– Wspaniała wiadomość, Abrantes. Przekaż im, żeby czekali w pogotowiu. Potem połącz się z centrum i zamelduj, że wszystko idzie zgodnie z planem. Kiedy Smith zostanie zlikwidowany, dostaną pełny raport.

– Jest pan pewien, że to będzie takie proste? – spytał niepewnie Abrantes. – Czytałem jego akta, to niebezpieczny człowiek.

– Nie panikuj, Vitor – uspokoił go Linden. – Celny strzał albo cios nożem, i facet umrze.

Każdy umiera.

Stanął w drzwiach kafejki i szybkim spojrzeniem otaksował gości siedzących przy kilkunastu małych, okrągłych stolikach. Co za zbieranina, pomyślał ze skrywanym rozbawieniem. Większość z nich, zwłaszcza pary, wyglądała normalnie: byli ładnie ubrani i sprawiali wrażenie dbających o zdrowie fachowców czy poważnych studentów. Inni przykuwali wzrok tatuażami i kolczykami w najdziwniejszych miejscach ciała. Jeszcze inni mieli na głowie turban lub długie, jasne dredy. Kilku spojrzało na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Ale tych było niewiele. Zdecydowana większość go zignorowała, kontynuując ożywioną rozmowę.

Kafejka zajmowała prawie całe piętro kamienicy, a jej okna wychodziły na West San Francisco Street. Jaskrawoniebieska, miejscami wybielona podłoga oraz pomalowane na jaskrawoczerwono, ciemnopomarańczowo i żółto ściany pasowały do zgromadzonych tu niezwykle obrazów i rzeźb, głównie motywów azjatyckich, hinduskich i Zen.

Ruszył prosto do stolika, przy którym siedziała samotnie drobna kobieta. Heather Donovan, miejscowa rzeczniczka Ruchu Łazarza. Wraz z legitymacją prasową Klein przysłał mu jej zdjęcie i krótki wyciąg z akt. Trzydzieści pięć lat, szczupła, chłopięca figura, zielone oczy, lekko piegowaty nos i czupryna niesfornych, rudawych włosów na głowie – należała do tych, którzy na niego spojrzeli, gdy wszedł do sali.

Zrobiła to i teraz i z wyraźnym zakłopotaniem spytała:

– Pan... do mnie?

– Jon Smith – powiedział grzecznie, lekko uchylając kapelusza. – Byliśmy umówieni.

Uniosła starannie wypielęgnowaną rudozłotą brew.

– Spodziewałam się dziennikarza, a nie kowboja – odparła po francusku.

Jon uśmiechnął się, zerkając na swoją sztruksową marynarkę, teksaski krawat, dżinsy i kowbojskie buty.

– Próbuję przystosować się do miejscowych zwyczajów – odrzekł w tym samym języku.

– Cóż, kiedy wszedłeś między wrony...

Uśmiechnęła się i przeszła na angielski.

– Proszę, niech pan usiądzie.

Położył na stole kapelusz, wyjął z kieszeni notes i długopis i usiadł naprzeciwko niej.

– Dziękuję, że zechciała pani spotkać się ze mną o tak późnej porze. To musiał być ciężki dzień.

Powoli skinęła głową.

– Tak, rzeczywiście, dość ciężki. Wczoraj i przedwczoraj też nie było lekko. Ale zanim zaczniemy, chciałabym zobaczyć pańskie dokumenty. Tak dla formalności.

– Naturalnie. – Podał jej podrobioną legitymację prasową. Obejrzała ją pod światło. –

Zawsze jest pani taka ostrożna?

– Nie, nie zawsze. – Wzruszyła ramionami. – Ale ostatnio jestem coraz bardziej podejrzliwa. Zwłaszcza po tym, jak nasz własny rząd wymordował na moich oczach parę tysięcy ludzi.

– To zrozumiałe – odrzekł spokojnie Smith. Z akt wiedział, że Heather Donovan jest stosunkowo świeżym nabytkiem ruchu. Przedtem pracowała w stolicy stanu, prowadząc lobbing na rzecz ochrony środowiska naturalnego i współpracując z takimi organizacjami, jak Sierra Club czy World Wildlife Federation. Była inteligentna i miała zmysł polityczny.

– Dobrze, w porządku – powiedziała w końcu, zwracając mu legitymację.

– Co dla państwa? – Czyjś ospały głos. Kelnerka z kolczykami w brwiach cierpliwie czekała przy ich stoliku.

– Filiżankę zielonej herbaty poproszę – powiedziała Heather.

– A dla mnie kieliszek czerwonego wina – dodał Smith i w tym samym momencie dostrzegł współczujący wyraz jej oczu. – Nie można? To może piwo?

Heather przeprasząco pokręciła głową, a kelnerka zrobiła to samo.

– Przykro mi, ale nie podajemy tu alkoholu. – Wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu. –

Może spróbuje pan któregoś z naszych eliksirów na długowieczność?

– Na długowieczność? – powtórzył z powątpiewaniem Jon.

– To tradycyjna mieszanka chińskich ziół i soków owocowych – wyjaśniła kelnerka, po raz pierwszy okazując odrobinę entuzjazmu. – Proponuję Wirtualnego Buddę. Jest bardzo stymulujący.

Smith pokręcił głową.

– Może kiedy indziej. – Wzruszył ramionami. – Cóż, w takim razie wezmę to co pani Donovan, filiżankę zielonej herbaty.

Gdy kelnerka odeszła, wziął do ręki notes.

– A więc? Skoro ustaliliśmy już, że jestem prawdziwym dziennikarzem...

– Może pan zadawać pytania – dokończyła za niego Heather. Zmrużyła oczy. –

Rozumiem, że chodzi panu przede wszystkim o ten bzdurny zarzut FBI, że nasz ruch jest w jakiś sposób odpowiedzialny za wysadzenie w powietrze Instytutu Tellera i wymordowanie tysięcy niewinnych ludzi.

– Tak. Przeczytałem poranne gazety i zaintrygowała mnie pani opinia o Andrew Costanzo. Jeśli naprawdę jest taki, jak pani mówi, muszę przyznać, że faktycznie nie wygląda mi na spiskowca.

– Bo nim nie jest.

– Mocne stwierdzenie. Mogłaby pani je rozwinąć?

– Andy to gaduła, a nie aktywista. Och tak, przychodzi na wszystkie zebrania i zawsze ma dużo do powiedzenia, choć głównie gdera i narzeka. Sęk w tym, że nigdy nie widziałam, żeby cokolwiek robił. Może gadać godzinami, ale kiedy się go poprosi, żeby pochodził po ludziach i pozbierał datki czy porozwieszał plakaty, nagle jest bardzo zajęty albo chory. Uważa się za wielkiego filozofa, za człowieka z wizją, której my, zwykli śmiertelnicy, nigdy nie ogarniemy.

– Znam ten typ – odrzekł z uśmiechem Smith. – Niedoceniony Platon z magazynu księgarskiego.

– Właśnie, to cały Andrew. Dlatego ten zarzut jest kompletnie absurdalny. Tolerowaliśmy go, ale nikt nie powierzyłby mu odpowiedzialnego zadania. Nie wspominając już o stu tysiącach dolarów w gotówce!

– Ktoś to jednak zrobił – zauważył Jon. – Ci sprzedawcy nie mają żadnych wątpliwości, że to był on.

– Wiem – powiedziała sfrustrowana Heather. – Tak, wierzę, że ktoś dał mu pieniądze na te samochody. Wierzę nawet, że Andrew był na tyle głupi czy tępy, żeby je kupić. Ale to nie mogły być nasze pieniądze! Nie jesteśmy biedni, ale sto tysięcy dolarów? Nie tarzamy się w gotówce.

– Więc myśli pani, że ktoś go wrobił?

– Jestem tego pewna – odparła zdecydowanie Heather. – Żeby skompromitować naszą organizację i nasze poglądy. Ruch Łazarza jest ruchem pokojowym i nie popiera gwałtownych protestów. Nie tolerujemy ani morderstwa, ani terroryzmu!

Wysadzając w powietrze budynek i niszcząc sprzęt laboratoryjny Instytutu Tellera, automatycznie przekroczyli granicę i zaakceptowali przemoc – kusiło go, żeby to powiedzieć, ale tylko zacisnął zęby. Nie przyszedł tu na dyskusję polityczną, tylko na wywiad. Poza tym czuł, że Heather mówi prawdę, przynajmniej o tych sprawach, które zna. Z drugiej strony, była tylko działaczką średniego szczebla, odpowiednikiem kapitana czy majora w wojsku. Co mogła wiedzieć o tajemnicach generałów, tych z samej góry?

Kelnerka przyniosła herbatę i to dało jej czas na uspokojenie. Wypiła mały łyk, przyglądając mu się uważnie znad filiżanki.

– Zastanawia się pan pewnie, czy te pieniądze mogły przyjść z góry. Prawda?

– Tak. Bez urazy, ale wasi przywódcy ukrywają się za szczelną zasłoną. To normalne, że ciekawi mnie, kto za nią stoi.

– Ta szczelna zasłona, jak ją pan nazwał, jest niezbędnym środkiem obronnym – odparła spokojnie Heather. – Wie pan, co stało się z założycielami ruchu. Prowadzili otwarte, publiczne życie. A potem, jednego po drugim, zamordowano ich lub uprowadzono. Zrobiły to albo rozwścieczone ich działalnością korporacje, albo rządy państw na ich zlecenie. To tak, jakby obcięto nam głowę. Nasz ruch nie może sobie na to pozwolić!

Zaczynała przemawiać niczym na wiecu. Smith postanowił tego nie komentować.

Ku jego zaskoczeniu uśmiechnęła się nagle, aż rozświeciły się jej zielone oczy.

– Dobrze, zgoda, trochę mnie poniosło. To niezbyt przekonująca retoryka, ale płynąca z głębi serca. – Wypiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę. – Spróbujmy zatem czystej logiki.

Załóżmy, że się mylę. Całkowicie, kompletnie. Że moi przełożeni wystrychnęli mnie na dudka, w tajemnicy zmienili taktykę działania i, żeby zrealizować swoje cele, postanowili uciec się do przemocy. Proszę tylko pomyśleć: gdyby to pan kierował ściśle tajną operacją, gdyby ewentualna wpadka groziła zaprzepaszczeniem wszystkiego, nad czym pracowaliście od wielu lat, czy powierzyłby pan odpowiedzialne zadanie komuś takiemu jak Andy Costanzo?

– Nie – zgodził się z nią Smith. – Chyba, że chciałbym wpaść.

I właśnie to nie dawało mu spokoju od chwili, gdy dowiedział się z prasy o przecieku z FBI. A teraz, po rozmowie z Heather, był jeszcze bardziej przekonany, że sprawa zakupionych przez Costanza terenówek cuchnie jak jasna cholera. Każdy, kto zaufałby takiemu przemądrzałemu głupkowi jak on – i kazał mu kupić samochody przeznaczone do ataku terrorystycznego, marzyłby o wielkich kłopotach. To był kretyński błąd, który po prostu nie pasował do wyrachowanego, wybitnie profesjonalnego działania ludzi biorących udział

w zamachu. Co oznaczało, że ktoś manipuluje śledztwem.

Czekał cierpliwie ulicę dalej, ukryty w cieniu pod zadaszonym chodnikiem. Robiło się późno i ulice Santa Fe prawie opustoszały.

Powoli przytknął do oka noktowizor. Przydatna zabawka, pomyślał. Angielska. Trwała, solidna i lekka. Czterokrotne powiększenie i ostry, klarowny obraz. Metodycznie zlustrował

okolice, ponownie sprawdzając, co robią tamci.

Zaczął od tego, który stał bez ruchu w bramie galerii sztuki pięćdziesiąt metrów dalej.

Ogolony na łyso mężczyzna był w dżinsach, ciężkich buciorach i wojskowej kurtce z demobilu.

Ilekroć ulicą przejeżdżał samochód, mrużył oczy, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Poza tym ani drgnął. Twardziel. Młody i zwinny, potężnie zbudowany i względnie zdyscyplinowany.

Czterej inni rozstawili się wzdłuż ulicy. Dwóch czuwało na zachód od Plaza Mercado, dwóch na wschód. Wszyscy stali w ukryciu, tak że zauważyć ich mógł tylko wprawny, dobrze wyszkolony obserwator z odpowiednim sprzętem.

Byli członkami grupy, na którą polował od tragedii przed instytutem. W zamieszaniu, jakie wtedy wybuchło, stracił ich z oczu, ale potem, gdy organizatorzy wiecu założyli obozowisko za kordonem Gwardii Narodowej, ci ludzie pojawili się znowu. A dzisiaj, zaraz po zachodzie słońca, wyruszyli piechotą na północ i zniknęli w labiryncie wąskich uliczek starówki.

Szedł za nimi w bezpiecznej odległości. Dzięki tej krótkiej wyprawie sporo się o nich dowiedział. Początkowo myślał, że są zwykłymi bandziorami albo zwabionymi przez ruch anarchizującymi oprychami. Ale nie. Wszystko, co robili, było zbyt dokładne, zbyt dobrze zorganizowane i wykonane. Bez trudu prześlizgnęli się przez policyjny kordon wokół

obozowiska. Kilka razy musiał przywarować i odczekać, żeby nie zauważył go ten, który ubezpieczał ich od tyłu.

Tropienie takich jak oni przypominało polowanie na grubego zwierza – albo śledzenie elitarnej jednostki komandosów na zwiadzie. I to go właśnie kręciło, stanowiło największe wyzwanie. Stymulująca gra o wysoką stawkę, gra, w której najważniejsze były wyszkolenie, umiejętności i inteligencja – grał w nią wiele razy w różnych częściach świata. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jest zmęczony, a zmęczenie przytępia zmysły i spowalnia refleks. Być może stres i napięcie ostatnich miesięcy zszargały mu nerwy bardziej, niż przypuszczał.

Łysol, którego obserwował, nagle zeszywniał. Szepnął kilka słów do maleńkiego mikrofonu pod kołnierzem kurtki, uważnie wysłuchał odpowiedzi, pochylił się do przodu i ostrożnie wyrzwał na ulicę.

Pozostali obserwatorzy też wzmogli czujność. MacNamara szybko przesunął noktowizor w lewo. Zmienił pozycję i bezgłośnie odetchnął. Czuł się jak po zastrzyku adrenaliny. Jego ciało przygotowywało się do działania. Zmęczenie momentalnie minęło. No to zaczynamy, pomyślał.

Długie oczekiwanie w całkowitym bezruchu i zimnym mroku dobiegało końca.

Ponownie przesunął obiektyw noktowizora. Plaza Mercado. Z kawiarni wyszła kobieta, a tuż za nią mężczyzna. Przystanęli na chodniku, prowadząc ożywioną rozmowę. Kobieta była szczupła i ładna. Natychmiast ją rozpoznał. Heather Donovan, działaczka i rzeczniczka prasowa Ruchu Łazarza.

Ale kim był ciemnowłosy mężczyzna, z którym rozmawiała? Jego ubranie, buty i kowbojski kapelusz sugerowały, że jest jednym z miejscowych, ale wątpił w to. Ten wzrost, te szerokie bary... Jakby skądś go znał. Dziwne.

Ciemnowłosy mężczyzna odwrócił się, wskazując parking na końcu ulicy i na krótką chwilę odsłonił

twarz. Potem znowu spojrzał na kobietę.

Rozbawiony i zaskoczony MacNamara powoli opuścił noktowizor.

– Jasna cholera... – wymamrotał pod nosem. – Pan pułkownik ma talent. Zawsze pojawia się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa.

Rynek, a raczej park, przecinały ceglane ścieżki, które omijały zabytkowe pomniki i wiły się między pniami rozłożystych drzew – strzelistych wiązów, topól, świerków, klonów i akacji.

Stały przy nich pomalowane na biało ławki z kutego żelaza. Tu i ówdzie, na trawie i twardej, spieczonej słońcem ziemi, leżały liście.

Za niskim, żelaznym ogrodzeniem dokładnie na środku rynku stał obelisk upamiętniający bitwy stoczone w Nowym Meksyku podczas wojny domowej. Niewielu pamiętało, że krwawy konflikt między Północą a Południem dotarł tak daleko na zachód aż tutaj. W niektórych miejscach przez gałęzie drzew sączyło się światło ulicznych latarni, lecz poza tym prastary park tonął w aksamitnej ciemności i nobliwej ciszy.

Jon zerknął na swoją ładną towarzyszkę. Heather zadrżała i szczerzej owinęła się czarną kurtką. Ilekroć przecinali smugę rozmytego światła, widział obłoczek pary dobywającej się z jej ust. Słońce już dawno zaszło i robiło się coraz chłodniej. Średnia różnica temperatur między nocą a dniem sięgała tu nawet pięciu stopni.

Gdy wypili herbatę, zaproponował, że odprowadzi ją do samochodu, który zaparkowała w bocznej uliczce niedaleko Pałacu Gubernatorów. Była zaskoczona tym staromodnym, szarmanckim gestem, lecz przyjęła go z wyraźną ulgą, choć stwierdziła, że w Santa Fe jest dość bezpiecznie i gdyby nie była tak roztrzęsiona tym, co widziała przed instytutem, bez obaw poszłaby sama.

Byli kilka kroków od obelisku, gdy nagle Smith gwałtownie przystanął. Coś tu nie grało.

Wszystkie zmysły nagle ożyły, przed czymś go ostrzegały. A teraz, gdy się zatrzymali, usłyszał

czyjeś szybkie kroki – kroki dwóch, trzech mężczyzn. Szli za nimi: dobiegł go cichy chrzęst ciężkich butów na ceglanej ścieżce. W tej samej chwili zauważył dwóch kolejnych, dwie niewyraźne sylwetki mężczyzn idących w ich stronę w cieniu drzew.

Heather też ich zauważyła.

– Kto to jest? – spytała wystraszona.

Smith się zawahał. FBI? Agenci nasłani przez Kit Pierson? Wiedział, że łazili za nim przez całe popołudnie. Ale przed wejściem do baru dokładnie sprawdził teren i stwierdził, że zniknęli. Czyżby ich jakimś cudem przeoczył?

I właśnie wtedy jeden z mężczyzn wszedł w mały krąg światła. Miał ogoloną na łyso głowę i był w wojskowej kurtce. W rękę ścisnął pistolet z tłumikiem. Jon zmrużył oczy. FBI, FBI i po FBI, pomyślał zimno.

Otaczali ich, zaskoczyli na otwartej przestrzeni pośrodku rynku. Kontrolę nad ciałem przejęły odruchy. Musieli wyrwać się z potrzasku, zanim będzie za późno.

Chwycił Heather za rękę i pociągnął w prawo, za obelisk. Jednocześnie wyszarpnął

pistolet z kabury pod kurtką.

– Tędy! – szepnął. – Szybko!

– Co pan robi? – zaprotestowała głośno, zbyt zaskoczona, żeby się wyrwać. – Niech pan mnie puści!

– Jeśli chcesz żyć, chodź ze mną – warknął, wciąż ciągnąc ją za obelisk, w stronę mrocznych drzew.

Jeden z mężczyzn przystanął, szybko wycelował i wypalił. Puf! Tłumik zredukował

odgłos wystrzału do stłumionego kasznięcia. Kula świsnęła Jonowi nad głową i z cichym młaśnięciem wbiła się w pień wysokiej topoli. Puf! Kolejna roztrzaskała nisko wiszącą gałąź.

Z drzewa posypały się liście.

Przygniótł ją do ziemi.

– Leż!

Przyklęknął, wymierzył i pociągnął za spust. Sig–sauer głośno szczeknął i przez rynek przetoczyło się gromkie echo odbite od ścian otaczających plac budynków.

Strzelał w pośpiechu i oczywiście chybił. Ale słysząc huk wystrzału, tamci przypadli do ziemi, to już coś. Leżeli i walili do nich jeden przez drugiego.

Heather przeraźliwie krzyknęła i całym ciałem przywarła do twardej ziemi.

Świszczące w powietrzu kule wbijały się z trzaskiem w pnie drzew i odbijały rykoszetem od żelaznych ławek, wzniecając fontanny iskier i obłoczki startej na proch białej farby. Ale nie zważał na to – całą uwagę skupił na napastniku, który w przeciwieństwie do pozostałych zbliżał

się, na łysielcu w wojskowej kurtce, który mocno pochylony, skręcił pod drzewa, próbując zajść ich z prawej.

Pociągnął za spust. Szybko, trzy razy.

Łysielec potknął się i zachwiał. Upuścił pistolet. Powoli osunął się na kolana, zaraz potem z ust buchnęła mu krew. Czarna w rozmytym świetle, rozlewała się na ceglany chodniku, tworząc coraz większą kałużę.

Ale jego kamraci wciąż strzelali. Smith cicho zaklął. Jedna z kul przebiła kapelusz, zerwała mu go z głowy i odrzuciła daleko do tyłu. Robi się za gorąco, pomyślał. Zaraz się do nas przebiją.

Upadł na trawę i trzykrotnie wypalił, chcąc przygnieść ich do ziemi albo chociaż wybić z rytmu. Potem przetoczył się szybko bliżej Heather. Już nie krzyczała, lecz widział, że drżą jej ramiona,

wstrząsane konwulsyjnym szlochem.

Tamci momentalnie dostrzegli, że zmienił pozycję, i mierzyli teraz niżej, dużo staranniej.

Kule miały coraz lepsze skupienie. Jedne wyrzucały fontanny ziemi, inne, te mniej celne, zasypywały go gradem ostrych ceglanych odprysków.

Wykrzywił usta. Musieli się stąd wydostać, i to szybko. Delikatnie położył rękę na głowie przerażonej Heather. Zadrżała jeszcze mocniej, lecz nie wstała.

– Musimy iść – szepnął. – Szybko! Czołgaj się do tej dużej topoli. Widzisz? To tylko kilka metrów stąd.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego wytrzeszczonymi oczami. Chyba go nawet nie usłyszała.

– Szybko! – powtórzył głośniejszym głosem. – Dasz radę. Tylko nie wstawaj!

Trąc policzkiem o ziemię, gwałtownie potrząsnęła głową. Nie mogła się poruszyć, sparaliżował ją strach.

Zacisnął zęby. Wiedział, że jeśli ucieknie między drzewa i ją zostawi, dziewczyna zginie.

Jeśli zostanie, zginą oboje. Najmądrzejszym posunięciem byłaby ucieczka. Ale wątpił, czy napastnicy daliby jej spokój. Nie robili wrażenia takich, co to pozwalają odejść świadkom.

Pewnych rzeczy po prostu nie trawił, a ucieczka kosztem życia Bogu ducha winnej dziewczyny przekraczała wszelkie możliwe granice.

Wycelował i pociągnął za spust. Huk i metaliczny szczęk zamka. Wystrzelał trzynaście pocisków. Wcisnął zatrzask, wyrzucił pusty magazynek i wsunął do rękojeści zapasowy, już ostatni.

Tamci postanowili zaatakować. Jeden szybko poczołgał się w lewo, drugi w prawo.

Próbowali zająć go z boku. Gdyby im się udało, wzięliby go w krzyżowy ogień i byłoby po zabawie – drzewa rosły tu zbyt daleko od siebie, żeby zapewnić osłonę ze wszystkich stron naraz.

Tymczasem trzeci napastnik wciąż strzelał. Jeden w osłonie, drugi z lewej, trzeci z prawej: klasyczny manewr oskrzydlający.

Smith zaklął. Za długo zwlekał. Dopadli go.

Cóż, nie pozostawało mu nic innego jak walczyć do samego końca i zabrać ze sobą jak najwięcej przeciwników. Kolejna kula grzmotnęła w ziemię kilkanaście centymetrów od jego głowy. Wypluł źdźbło trawy i wymierzył, próbując wziąć na muszkę tego po prawej.

Huk wystrzału, najpierw jeden, potem drugi. Napastnik, w którego celował, przeraźliwie wrzasnął, upadł i z głośnym jękiem chwycił się za ramię. Jego kumple znieruchomieli.

Zaskoczeni patrzyli na niego przez chwilę, a potem odwrócili się, wypatrując czegoś w ciemności między drzewami w południowej części rynku.

Smith szybko zamrugał. Przecież nawet nie dotknął spustu. Poza tym tamci mieli tłumiki.

Ktoś włączył się do walki. Ale kto?

Kolejny wystrzał. I jeszcze jeden. Między drzewami zaświstały kule. Napastnicy mieli dość, niespodziewana odsiecz pokrzyżowała im plany. Jeden z nich pomógł wstać rannemu i wycofali się pospiesznie na północ, w kierunku Pałacu Gubernatorów. Drugi rzucił się w stronę kolegi, którego ranił Jon, ale gdy tuż u jego stóp wbiło się w ziemię kilka kul, zrezygnował i czmychnął w mrok.

Na skraju linii drzew po prawej stronie coś się poruszyło i na otwartą przestrzeń wyszedł

szczupły, siwowłosy mężczyzna. Idąc przed siebie równym, niespiesznym krokiem, wciąż strzelał. Nagle szybko skręcił, stanął w cieniu obelisku i przeładował broń, potężnego browninga hi-power.

Na rynku zapadła cisza.

Przybysz spojrział na Smitha, westchnął i wzruszył ramionami.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Musiałem ich obejść i zajęło mi to więcej czasu, niż przypuszczałem.

Jon wytrzeszczył oczy. Peter Howell, jego stary przyjaciel, niegdyś oficer angielskich służb specjalnych i agent MI-6. Był w grubym kożuchu z owczej skóry, czerwono-zielonej flanelowej koszuli i brązowych spodniach. Zamiast krótko przyciętych włosów, miał teraz długą, gęstą grzywę, która okalała mu twarz, zrytą głębokimi zmarszczkami i zniszczoną latami walki w słońcu, deszczu, śniegu i na wietrze.

Dobiegł ich warkot samochodu pędzącego północnym skrajem rynku. Zapiszczały hamulce, ryknął silnik i auto popędziło w kierunku obwodnicy Paseo de Peralta.

– Niech to szlag! – mruknął Howell. – Powinienem był przewidzieć, że chłopcy będą mieli wsparcie, na wypadek gdyby im nie wyszło. – Zważył w rękę browninga. – No i nie wyszło. Przypilnuj tu wszystkiego, a ja się rozejrzę.

I zanim Jon zdążył otworzyć usta, zrobił kilka długich susów i zniknął w ciemności.

Heather ostrożnie podniosła głowę. Po jej uwalanych ziemią bladych policzkach spływały łzy.

– Czy to już... koniec? – wychrypiała.

– Mam nadzieję – szepnął Smith, lustrując wzrokiem okolice.

Powoli, niepewnie usiadła roztrzęsiona.

– Pan nie jest dziennikarzem, prawda?

– Nie – odrzekł cicho. – Raczej nie.

– W takim razie kim...

– Zwiali. – Wrócił Howell. Spojrzał na zabitego przez Jona łysielca i z zadowoleniem kiwnął głową.

– Ale przynajmniej kogoś nam zostawili. Ukląkł i przewrócił go na plecy. –

Biedaczysko – rzucił zimno. – Jest martwy jak Judasz Iskariota, może nawet bardziej. Trafiłeś go dwa razy. Całkiem nieźle jak na wiejskiego lekarza, całkiem nieźle...

Poszperał mu w kieszeniach, szukając portfela lub jakichś dokumentów.

– Jest coś? – spytał Smith.

– Ani pudełka zapalek. – Howell westchnął. – Ci, którzy wynajęli tego biednego sukinsyna, dokładnie go przedtem wyczyścili.

Niedoszły zabójca nie miał przy sobie niczego, co pomogłoby go zidentyfikować i dotrzeć do jego zleceniodawców. Jon zmarszczył czoło.

– Szkoda.

– Fakt, myślący przeciwnik to groźny przeciwnik. Ale nie wszystko stracone.

Howell wyjął z kieszeni mały aparat fotograficzny i dokładnie obfotografował twarz zabitego. Film był wysokiej czułości, więc nie musiał używać flesza. Potem schował aparat i wyjął inny, urządzenie wielkości książki w miękkiej okładce. Miało płaski ekran i kilka przycisków z boku. Zauważywszy, że Smith przygląda mu się jak zahipnotyzowany, skwapliwie wyjaśnił:

– Cyfrowy skaner do pobierania odcisków palców. Zamiast brudzącego wszystko tuszu ma czyściutkie elektrony. – Błysnął w ciemności białymi zębami. – Ciekawe, co ci spece jeszcze wymyślą.

Szybko i wprawnie przytknął do ekranu dłoń łysielca, najpierw prawą, potem lewą.

Błysnęło. Skaner zamruczał i zawarczał, zapisując w pamięci obraz wszystkich dziesięciu odcisków.

– Peter, czyżbyś zaczął kolekcjonować pamiątki, żeby mieć co wspominać na stare lata? –

rzucił uszczypliwie Jon, doskonale wiedząc, że jego stary druh musi znowu pracować dla Londynu. Oficjalnie na emeryturze, Howell od czasu do czasu wracał do czynnej służby, zwykle na prośbę MI-6, angielskiego wywiadu. Był indywidualistą i samotnikiem, dalekim echem ekscentrycznych łowców przygód i korsarzy, którzy przed wiekami pomagali budować brytyjskie imperium.

Howell tylko się uśmiechnął.

– Nie chciałbym cię poganiać – dodał Smith – ale czy nie powinniśmy już iść? Chyba że chcesz tłumaczyć się z tego tutejszej policji. – Wskazał leżącego na ziemi trupa i pokiereszowane kulami drzewa.

Peter zerknął na niego i wstał.

– To ciekawe – powiedział. Postukał palcem w małą słuchawkę w uchu. – Mam tu odbiornik nastawiony na ich częstotliwość, i wiesz co? Od kilkunastu minut są bardzo zajęci, bo liczba wezwań gwałtownie wzrosła. Jeżdżą i jeżdżą, ale tylko po przedmieściach. Najbliższy radiowóz jest co najmniej dziesięć minut drogi stąd.

Smith z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Rany boskie. Nie obijają się, co? Pomyśleli o wszystkim.

– Fakt – przyznał Peter. – I właśnie dlatego zdecydowanie zalecam zmianę hotelu. Znajdź sobie jakieś dyskretne, nierzucające się w oczy miejsce.

– O Boże... – Cichutki głos z tyłu.

Odwrócili się. Przerażona Heather patrzyła na martwego łysielca.

– Zna go pani? – spytał łagodnie Jon.

Odruchowo skinęła głową.

– Nie osobiście. Nie wiem, jak się nazywa. Ale widziałam go w obozowisku i na wiecu.

– I w tym namiocie, na stanowisku dowódczym ruchu – dodał surowo Howell. – Prawda?

Heather się zaczerwieniła.

– Tak – przyznała. – Był w grupie działaczy, którą główni organizatorzy sprowadzili do... do „zadań specjalnych”. Tak to nazywali.

– Do takich jak na przykład przecięcie siatki wokół instytutu, kiedy na wiecu zrobiło się paskudnie – wtrącił Peter.

– Tak, to prawda. – Opadły jej ramiona. – Ale do głowy by mi nie przyszło, że mają broń.

I że będą próbowali kogoś zabić. – Zawstydzona spojrzała na nich udręczonym wzrokiem. – To nie tak miało być!

– Podejrzewam, że wiele innych rzeczy też nie przyszłoby pani do głowy, panno Donovan

– odparł Howell. – Otarła się pani o śmierć, miała pani bardzo dużo szczęścia.

Jon zmarszczył czoło.

– Heather nie może wrócić do obozowiska – powiedział. – To zbyt niebezpieczne.

– Możliwe – mruknął Peter. – Nasi kowboje dali nogę, ale jest tam wielu innych, którzy na pewno nie ucieszą się, że wciąż wygląda tak krzepko i zdrowo.

Heather zbladła jeszcze bardziej.

– Jest jakieś miejsce, gdzie mogłaby się pani zaszyć? – spytał Smith. – U rodziny?

Przyjaciół? U kogoś niezwiązanego z ruchem? Najlepiej gdzieś daleko stąd.

– Mam ciotkę w Baltimore.

– Świetnie. Powinna pani tam lecieć, i to jak najszybciej, najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Zostaw to mnie – wtrącił Peter. – Ciebie za dobrze tu znają. Zamiast jechać na lotnisko z panną Donovan, równie dobrze mógłbyś przykleić sobie na plecach tarczę strzelniczą.

– Pan też był na wiecu! – wykrzyknęła nagle Heather, przyjrzawszy się uważniej Howellowi. – Ale nazywał się pan... MacNamara. Tak, Malachi MacNamara!

Zrytą zmarszczkami twarz Petera rozjaśnił cierpki uśmiech.

– Nom de guetre, panno Donovan. Żałosne, lecz niestety konieczne oszustwo.

– W takim razie kim wy jesteście? – spytała, patrząc to na niego, to na Smitha. –

Agentami CIA? FBI? Jeszcze kimś innym?

– Im więcej pytań, tym więcej kłamstw, madame – odparł Howell i zaiskrzyły mu się oczy. – Ale proszę mi wierzyć: może być pani pewna, że jesteśmy pani przyjaciółmi. –

Pociemniała mu twarz. – Czego nie powiedziałbym o pani byłych towarzyszach z ruchu, przynajmniej o niektórych.

Sobota, 18 października, Kwatera główna CIA, Langley, Wirginia Kilka minut po północy dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej David Hanson z wawym krokiem wszedł do wyłożonego szarą wykładziną sekretariatu na szóstym piętrze gmachu. Chociaż miał za sobą osiemnaście godzin pracy, był w nienagannie wyprasowanym, doskonale skrojonym garniturze, czyściutkiej koszuli i w idealnie zawiązanej muszce. Wszedł, zmrużył oczy i spojrzał na rozczochranego, znużonego mężczyznę, który na niego czekał.

– Musimy porozmawiać – rzucił. – Nieoficjalnie.

Hal Burke, szef grupy specjalnej do spraw inwigilacji Ruchu Łazarza, klepnął rękami w podłokietnik fotela i wstał.

– Musimy.

Hanson wszedł do gabinetu, rzucił teczkę na krzesło przed wielkim, starannie uprzątniętym biurkiem i wskazał mu drugie. Potem usiadł, podparł się łokciami, złożył ręce jak do modlitwy i spojrzał na podwładnego.

– Wracam prosto z Białego Domu – zaczął. – Jak się na pewno domyślasz, prezydent nie jest zachwycony ani naszymi działaniami, ani działaniami FBI.

– Ostrzegaliśmy go, że ruch może wymknąć się spod kontroli – odparł bez ogródek Burke. – Instytut Tellera, laboratorium Telos w Kalifornii i bomba w Chicago to tylko początek.

Musimy przestać się z nimi cackać i zaatakować już teraz, natychmiast, zanim głębiej się okopią.

Niektórzy jeszcze nie przyczaili się, zwłaszcza ci ze średniego szczebla. Jeśli ich dopadniemy i porządnie przyciśniemy, będziemy mieli szansę dotrzeć do tych z samej góry i rozsadzić ruch od środka. To nasza jedyna nadzieja.

– Mocno to podkreśliłem – odrzekł Hanson. – I nie tylko ja. Senatorzy i kongresmani też, z obu partii.

Burke mruknął coś pod nosem. Po CIA krążyły słuchy, że Hanson spędził na Kapitolu prawie cały dzień, rozmawiając prywatnie z przedstawicielami komisji do spraw wywiadu obu izb oraz z przywódcami większości i mniejszości w Kongresie. I że teraz jego potężni sojusznicy zażądali, aby prezydent oficjalnie uznał Ruch Łazarza za organizację terrorystyczną. Gdyby tak się stało, policja federalna i federalne agencje wywiadowcze mogłyby zdjąć rękawiczki i przejść do ataku: ścigać ich przywódców, sprawdzać konta bankowe i monitorować kanały łączności.

Jednak dyskretnie obchodząc prezydenta i zwracając się bezpośrednio do kongresmanów, Hanson igrał z ogniem. Dyrektor CIA nie miał prawa manipulować polityką tych, którym służyli.

Ale on zawsze był ryzykantem, zwłaszcza gdy gra toczyła się o wysoką stawkę, poza tym uważał, że poparcie, jakim cieszył się w Izbie i senacie, obroni go przed gniewem Castilli.

– No i? – rzucił Burke.

Hanson pokręcił głową.

– Jak dotąd nic.

Burke zmarszczył czoło.

– Cholera jasna, czemu?

– Od masakry przed instytutem ruch jedzie na fali sympatii i współczucia. Zwłaszcza w Azji i Europie. – Hanson wzruszył ramionami. – Ostatnie zamachy mogą tę falę trochę zmniejszyć, ale ludzie i tak uznają, że wydarzenia w Chicago i Kalifornii to nasze dzieło, że zrobiliśmy to, by ich zdyskredytować. Dlatego Europa i Azja chcą, żebyśmy dali im spokój.

Ostrzegają, że jakiegokolwiek agresywne działania z naszej strony doprowadzą do wybuchu antyamerykańskich zamieszek w ich krajach.

Burke prychnął pogardliwie.

– Chcesz powiedzieć, że Paryż, Berlin czy jakieś inne podrzędne państewko jest w stanie zawetować naszą wewnętrzną politykę antyterrorystyczną? Że Castilla im na to pozwoli?

– Niezupełnie zawetować – odrzekł Hanson. – Rzecz w tym, że prezydent nie podejmie żadnych oficjalnych kroków, dopóki nie przedstawimy mu mocnych dowodów, że za tymi zamachami stoi Ruch Łazarza.

Przez kilka sekund Burke patrzył na niego w milczeniu. Wreszcie lekko skinął głową.

– To da się załatwić.

– Mocne dowody, Hal – powtórzył z naciskiem Hanson. – Fakty, których nie da się w żaden sposób podważyć. Rozumiesz?

Burke ponownie kiwnął głową. O tak, pomyślał. Rozumiem doskonale, może nawet lepiej niż ty sam, Davidzie. Trybiki poszły w ruch – przywódca grupy specjalnej gorączkowo myślał, jak zapanować nad sytuacją, która od katastrofy przed Instytutem Tellera zaczynała wymykać się spod kontroli.

Wirginia, 64 kilometry od Waszyngtonu

Trzy godziny przed świtem spadł zimny, ulewny deszcz, smagając już i tak mokre pola i lasy. Jesień była tu zwykle bardziej sucha, zwłaszcza po niemal tropikalnych letnich burzach, ale tego roku pogoda kompletnie oszalała.

Sześćdziesiąt cztery kilometry na południowy zachód od Waszyngtonu stał mały wiejski dom. Wybudowano go na zboczu niskiego wzgórza. Z widokiem na kilka rzadkich kęp drzew, martwy staw i upstrzoną splechawkami trawy łąkę, niemal w całości porośniętą chwastami i gęstymi krzakami

koleczastych jeżyn. Tuż obok domu czernił się szkielet starej stodoły. Tę zapuszczoną farmę otaczały resztki płotu, lecz większość drewnianych żerdzi i słupów albo popękała, albo zgniła w wysokiej trawie, krzakach i chwastach. Od biegnącej wzdłuż płotu drogi odchodziła zryta głębokimi koleinami żwirówka. Kończyła się na zboczu wzgórza, poplamioną smarem betonową płytą pod drzwiami domu.

Mały talerz anteny satelitarnej na dachu i maszt przekaźnikowy na szczycie sąsiedniego wzgórza były jedynymi dowodami na to, że ten zapomniany przez Boga i ludzi dom funkcjonuje w XXI wieku. Ale pozory mylą: wewnątrz zainstalowano najnowocześniejszy system alarmowy, baterię najnowocześniejszych komputerów oraz wiele innych skomplikowanych urządzeń elektronicznych.

Hal Burke siedział w gabinecie, wsłuchując się w bębnienie deszczu o dach swego – jak go ironicznie nazywał – wiejskiego domku wypoczynkowego. Przez dziesiątki lat właścicielem farmy był jego dziadek stryjeczny. Harował na tym ugorze jak wół, aż wreszcie umarł, znużony i załamany ciągłymi niepowodzeniami. Po jego śmierci ziemia przeszła przez ręce kilku niezbyt rozgarniętych kuzynów, by przed dziesięcioma laty trafić do niego w ramach częściowej spłaty starego rodzinnego długu.

Burke nie miał ani czasu, ani pieniędzy, żeby siać i zbierać, ale cenił sobie odosobnienie, jakie mu zapewniała. Nie odwiedzali go tu żadni niezapowiedziani goście, nie przychodzili tu nawet miejscowi świadkowie Jehowy. Dom stał na zupełnym odludziu, w tak głębokiej dziczy, że nie dotarły tu również agresywne macki szybko rozbudowujących się przedmieść stolicy.

W ładną pogodę Burke wychodził czasem na dwór, żeby popatrzeć w nocne niebo, na słabą, pomarańczową lunę na horyzoncie. Światła Waszyngtonu, szybko rozpełzających się osiedli mieszkaniowych na granicy miasta, ciągnęły się szerokim łukiem na północ, wschód i północny wschód i były symbolem kultury masowej oraz grząskiej niczym bagno biurokracji, której tak nienawidził.

Podróż wyboistymi wiejskimi drogami i wiecznie zatłoczonymi autostradami często bywała długa i męcząca, ale dzięki ultranowoczesnym i bezpiecznym środkom łączności –

zainstalowanym tu na koszt państwa – w razie nagłego kryzysu mógł kierować akcją, nie ruszając się z domu. Środki te całkowicie odpowiadały normom CIA i umożliwiały utrzymywanie stałego kontaktu zarówno z Langley, jak i z agentami terenowymi. Natomiast inne urządzenia oraz programy komputerowe – o wiele bardziej zaawansowane i skomplikowane – dawały mu możliwość bezpiecznego kierowania rozległą siatką grupy Toksyna. I to właśnie tutaj, do swego wiejskiego domku, przyjechał Burke po nocnym spotkaniu z Hansonem. Sytuacja rozwijała się coraz szybciej i musiał pozostawać w bezpośrednim kontakcie ze swoimi agentami.

Zapisał komputer: nadszedł kolejny zaszyfrowany meldunek od grupy stacjonującej w Nowym Meksyku.

Burke przetarł oczy, wprowadził hasło uruchamiające program dekodujący i plątanina pozornie bezsensownych liter, symboli i cyfr natychmiast ułożyła się w zrozumiałe słowa i zdania. Czytał wiadomość z narastającym niepokojem.

– Kurwa – wymamrotał. – Kim ten sukinsyn jest? – Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał

numer Kit Pierson. – Posłuchaj – zaczął stanowczo. – Musisz coś załatwić. Mamy trupa. On musi zniknąć. Szybko i bez śladu.

– Smith? – spytała obojętnie Pierson.

Burke aż się skrzywił.

– Chciałbym.

– Mów – rzuciła; w tle słyszał szelest ubrania: Kit się ubierała. – Ale tym razem bez żadnych wykrętów, tylko suche fakty.

Opowiedział jej o nieudanej zasadzce. Wysłuchiwała go w lodowatym milczeniu.

– Sprzątanie bałaganu, jaki zostawia po sobie twoje prywatne wojsko, zaczyna mnie męczyć, Hal – powiedziała, gdy skończył.

– Smith miał wsparcie – warknął Burke. – To nas zaskoczyło. Myśleliśmy, że działa sam.

– Macie rysopis tego drugiego?

– Nie, było za ciemno. Moi ludzie nie zdążyli się mu przyjrzeć.

– Cudownie. Jest coraz lepiej, nie sądzisz? Ledwo udało mi się udowodnić, że to ci z ruchu kupili terenówki użyte podczas ataku na instytut, a tu proszę. Smith będzie teraz pewien, że coś tu śmierdzi. Wiesz co? Lepiej od razu namaluj mi na czole wielką tarczę strzelniczą.

Burke miał ochotę trzasnąć słuchawką, ale się pohamował.

– Wolałbym, żebyś zaproponowała coś bardziej konstruktywnego – odparł.

– Rozwiąż Toksynę. Ta operacja to jedna wielka katastrofa, i tak było od samego początku. A teraz ten cały Smith będzie węszył jeszcze bardziej i nie zostawi mi pola manewru, żeby pokierować śledztwem i zrobić w tę sprawę tych od Łazarza.

– Nie, Kit, nie mogę rozwiązać Toksyny. Moi ludzie dostali kolejne rozkazy i są już w terenie. Gdybym kazał im się wycofać, groziłoby nam jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Zapadło długie milczenie.

– Wyjaśnijmy sobie jedno, Hal – syknęła w końcu Pierson. – Jeśli Toksyna rozejdzie się w szwach, nie zamierzam brać na siebie całej odpowiedzialności. Rozumiemy się?

– Czy to groźba? – spytał powoli Burke.

– Nie, stwierdzenie faktu. – Pierson odłożyła słuchawkę.

Przez kilka minut Burke siedział, gapiąc się na ekran monitora i rozważając sytuację.

Czyżby Kit zaczynała pękać? Miał nadzieję, że nie. Nigdy za nią nie przepadał, ale zawsze szanował ją za odwagę i wolę zwycięstwa wszelkim kosztem. Bez tego byłaby tylko ciężarem, na którego dźwiganie Toksyna nie mogła sobie pozwolić.

Wreszcie podjął decyzję i, wściekle stukając w klawiaturę, zaczął pisać rozkaz dla niedobitków z Nowego Meksyku.

Wideokonferencja przywódców Ruchu Łazarza

O wyznaczonej godzinie przed podłączonymi do anten satelitarnych monitorami i kamerami zebrały się potajemnie małe grupki mężczyzn i kobiet wszystkich ras i kolorów skóry. Była to elita Ruchu Łazarza, przywódcy najaktywniejszych komórek dywersyjnych z całego świata. Robili wrażenie spiętych, zdenerwowanych i trudnych do okiełznania. Rwali się do boju, do rozpoczęcia operacji, którą planowali od wielu miesięcy.

Przed wielkim ekranem, który pokazywał obraz wszystkich oglądających go ludzi, stał

swobodnie Łazarz. Wiedział, że żaden z podwładnych nie widzi jego prawdziwej twarzy ani nie słyszy jego prawdziwego głosu: graficzne programy komputerowe jak zwykle zmieniły jego wygląd, przekazując im wyidealizowany obraz postaci, którą czcili i poważali. Inne, równie skomplikowane urządzenia zapewniały symultaniczny przekład na ich ojczysty język.

– Nadeszła pora.

Zgromadzeni przed monitorami zadrżeli z podniecenia. Łazarz uśmiechnął się lekko.

– Garną się do nas miliony ludzi w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach. Polityczna i finansowa potęga naszego ruchu zwiększa się z każdą godziną. Już wkrótce będą drzeć przed nami rządy wszystkich państw i wszelkie korporacje.

To wygłoszone z niezachwianą pewnością siebie stwierdzenie wywołało szmer aprobaty wśród oglądających go przywódców. Ostrzegawczo podniósł rękę.

– Ale nie zapominajcie, że nasi wrogowie nie próżnują. Tajna wojna, jaką przeciwko nam prowadzili, nie przyniosła rezultatów. Dlatego teraz rozpętali wojnę jawną, tak jak to od dawna przepowiadałem. Masakra w Santa Fe i w Chicago to tylko pierwsze z wielu potworności, które nam szykują.

Patrzył prosto w kamerę, wiedząc, że wygląda to tak, jakby patrzył każdemu z podwładnych w oczy.

– Rozpoczęła się wojna – kontynuował. – Nie mamy wyboru. Musimy odpowiedzieć ciosem na cios, szybko, pewnie i bez skrupułów. Jeśli to możliwe, oszczędzajmy niewinnych, jednak pamiętajmy, że laboratoria, te straszliwe wylęgarnie śmierci, trzeba zniszczyć, zanim wróg pograży w koszmarze i

nas, i cały świat.

– A co z laboratoriami Nomura PharmaTech? – spytał przywódca tokijskiej komórki. –

To jedyna korporacja, która uznała nasze żądania i zawiesiła działalność.

– Oszczędzić ich? – rzucił zimno Łazarz. – Nie sądzę. Hideo Nomura to przebiegły człowiek. Zbyt przebiegły. Gnie się na wietrze jak smukła sosna, lecz nigdy nie pęka. Gdy się uśmiecha, na jego twarzy widnieje uśmiech rekina. Nie wierzcie mu. Za dobrze go znam.

Skarcony Japończyk pokornie pochylił głowę.

– Będzie, jak rozkażesz, Łazarzu.

Gdy zgasły ekrany monitorów, Łazarz długo stał przed kamerą, rozkoszując się chwilą triumfu. Lata przygotowań i planowania zaczynały przynosić owoce. Już wkrótce miał się rozpocząć trudny i niebezpieczny proces rekultywowania i odzyskiwania świata. Już wkrótce miał otrzymać nagrodę za wszystko, co musiał poświęcić.

Spochmurniał. Oczy zaszyły mu mgłą smutku i bólu. Cichym, łagodnym głosem wyrecytował haiku, krótki wiersz z pogranicza jawy i snu: Smutek niczym mgła okrywa ojca porzuconego przez wiarołomnego syna.

Na północ od Santa Fe

Wysokie, płaskie wzgórza górujące nad Rancho de Chimayo zdawały się płonąć w blasku porannego słońca, które wędrowało coraz wyżej i wyżej po upstrzonym barankami błękitnym niebie. Rosnące na skraju ogródka sosny i jałowce były niemal czarne na tle oślepiającego, złocistego światła. Promienie słońca spływały stromymi stokami niczym ognisty potok, rzucając długie cienie na wielki jabłkowy sad i usadowione na tarasach patia.

Wciąż w dzinsach, kowbojskich butach i sztruksowej marynarce, Smith przeszedł przez zatłoczone sale jadalne i stanął w drzwiach wychodzących na wyłożone kamiennymi płytami patio. Rancho de Chimayo – zaledwie czterdzieści kilometrów na północ od Santa Fe – była jedną z najstarszych restauracji w Nowym Meksyku. Jej właściciele wywodzili się od pierwszych hiszpańskich kolonistów, którzy przybyli na południowy zachód kraju; ich rodzina osiedliła się w Chimayo w 1680 roku, podczas długiej, krwawej rebelii Indian Pueblo przeciwko hiszpańskim rządowi.

Howell już na niego czekał. Pomachał mu ręką i wskazał wolne krzesło przy stoliku.

– Klapnij sobie – rzucił uprzejmie. – Wyglądasz jak trup.

Jon wzruszył ramionami, z trudem powstrzymując ziewnięcie.

– To była ciężka noc.

– Kłopoty?

Smith pokręcił głową. Szybki wypad do hotelu po komputer i bagaż okazał się dziecinnie łatwym zadaniem. Bojąc się, że śledzi go FBI albo ci z rynku, wykorzystał każdą sztuczkę, żeby zgubić ewentualny ogon, ale, o dziwo, nikogo nie zauważył. Sęk w tym, że zajęło mu to bardzo dużo czasu, dlatego wprowadził się do nowego hotelu dopiero przed świtem. Wprowadził się i natychmiast zadzwonił do Kleina, żeby opowiedzieć mu o nieudanym zamachu na jego życie.

Tak więc zdążył uciąć sobie tylko krótką drzemkę, bo już niecałą godzinę później zatelefonował Peter, żeby umówić się na tajne spotkanie.

– Nikt za tobą nie szedł? Ani przedtem, ani teraz? – spytał, wysłuchawszy jego relacji.

– Nie widziałem ani żywego ducha.

– Bardzo ciekawe... – Howell zmarszczył czoło. – I bardzo niepokojące.

Jon kiwnął głową. Chociaż bardzo się starał, za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego ci z FBI, którzy jeszcze poprzedniego dnia nie odstępowali go na krok, nagle zniknęli, i to zaraz po tym, jak strzelano do niego na rynku. Może po prostu założyli, że jest w hotelu, że poszedł spać, chociaż takie założenie

byłoby dowodem wyjątkowej głupoty i nieodpowiedzialności.

– Co z Heather? – spytał. – Mieliście jakieś kłopoty?

– Żadnych. – Peter spojrział na zegarek. – Nasza urocza panna Donovan jest już gdzieś nad Ameryką, w drodze do cioci z Baltimore.

– Wiedziałaś, że tak naprawdę to nic jej nie grozi.

– Po tej strzelaninie? – Howell wzruszył ramionami. – Tak, wiedziałem. To ty byłaś ich celem, nie ona. Panna Donovan jest po prostu panną Donovan, przemiłą, inteligentną, choć trochę naiwną dziewczyną o złotym sercu. Nie miała i nadal nie ma pojęcia, co knują ci ze ścisłego kierownictwa ruchu, dlatego bardzo wątpię, żeby Łazarz dostrzegł w niej jakieś zagrożenie. Jeśli tylko będzie trzymała się z daleka od ciebie, powinna żyć długo i szczęśliwie.

– Oto historia mojego życia miłosnego – mruknął z krzywym uśmiechem Jon.

– Raczej ryzyko zawodowe – odparł lekko Howell. – Naturalnie mówię o ryzyku związanym z zawodem lekarza. Może powinieneś popracować trochę w wywiadzie? Szpiedzy to podobno ostatni krzyk mody.

Jon puścił ten przytyk mimo uszu. Peter domyślał się, że pracuje – lub pracował – dla różnych amerykańskich agencji wywiadowczych, ale z zawodowej uprzejmości nigdy tego tematu nie drażył. Tak samo jak Jon nigdy nie zadawał mu niewygodnych pytań na temat jego służby dla rządu Jej Królewskiej Mości.

Howell popatrzył na uśmiechniętą kelnerkę w białej bluzce z falbankami i długiej spódnicy, która szła ku nim z wielką, ciasno zastawioną talerzami tacą i dzbankiem gorącej kawy w drugiej ręce.

– Aaaa... – westchnął rozkosznie. – Jedzonko. Pozwoliłem sobie coś dla ciebie zamówić.

Chyba nie masz nic przeciwko temu.

– Absolutnie – odparł Jon, który poczuł nagle, że jest głodny jak wilk.

Przez kilka minut łąpczywie jedli: jajka z plastrami kielbasy chorizo, czarną fasolę, ostre pico de gallo i salsę z czerwoną i zieloną papryką, pomidorami, cebulą, kolendra i kwaśną śmietanką. Żeby złagodzić ognisty smak salsy, często sięgali do koszyka po domowej roboty sopaipillas, lekki, puszysty chleb, najlepiej smakujący z miodem i topionym masłem, które wlewało się do zrobionego palcem wgłębienia w miększu.

Gdy się wreszcie najedli, Howell rozparł się na krześle z błogą miną na pokrytej zmarszczkami twarzy.

– Powiniennem teraz głośno beknąć – powiedział. – W niektórych częściach świata to największy komplement dla kucharza. – W jego oczach zabłyśły wesołe iskierki. – Ale chyba się powstrzymam, przynajmniej chwilowo.

– Dziękuję, Peter, bardzo ci dziękuję – odrzekł Jon. – Chciałbym tu jeszcze kiedyś zjeść.

– Skoro tak, przejdźmy do rzeczy. Pewnie ciekawi cię, dlaczego zmieniłem moją, że tak powiem, appearance.

– Owszem, trochę – przyznał Smith. – Wyglądasz jak biblijny prorok.

– Nie przeczę – zgodził się z nim Howell – nie przeczę. Ale spójrz na tę przyprószoną siwizną grzywę i zapłacz, o niewierny, gdyż, niczym Samson, wkrótce ją zetnę. – Zachichotał. –

Wszystko dla dobrej sprawy. Kilka miesięcy temu jeden z moich starych znajomych poprosił mnie, żebym powęszył tym długim nosem i sprawdził, co się dzieje w alkowie niejakiego Łazarza.

„Jeden z moich starych znajomych”, pomyślał Jon. Czytaj: MI-6, brytyjski wywiad.

– Zanosilo się na niezłą zabawę, więc zapuściłem te bujne, teraz nieco zmierzwione już loki, zmieniłem nazwisko, żeby brzmiało jak z Biblii, i dołączyłem do zwolenników ruchu jako emerytowany strażnik leśny z Kanady, zatwardziały radykał przeciwny wszelkiej nauce i technice.

– No i? Poszczęściło ci się? – spytał Smith.

– W dotarciu do alkowy Łazarza? Niestety. – Howell spoważniał. – Ich szefowie mają kręcka na punkcie tajności i bezpieczeństwa. Nie udało mi się nawet przebić przez straż zewnętrzną. Ale dowiedziałem się wystarczająco dużo, żeby bardzo mnie to zaniepokoiło.

Większość zwolenników Łazarza to porządni ludzie, ale są wśród nich i nawiedzeni twardogłowi, którzy manipulują małuczkimi zza kulis.

– Jak na przykład ci, którzy próbowali dopaść mnie na rynku?

– Może – odparł w zadumie Howell. – Może. Chociaż powiedziałbym raczej, że byli to zwykli mięśniacy, a nie myśliciele. Od kilku dni miałem ich na oku, właściwie to odkąd przyjechali na wiec.

– Z jakichś konkretnych powodów?

– Po pierwsze dlatego, że zaciekawił mnie po prostu sposób, w jaki się poruszali –

wyjaśnił Howell. – Byli jak wilki przemykające chyłkiem przez stado pasących się owiec.

Rozumiesz? Rozumiesz. Poruszali się za ostrożnie, byli za bardzo opanowani, zbyt dokładnie i często lustrowali okolicę...

– Tak jak my? – wtrącił z lekkim uśmiechem Smith.

– Otóż to.

– No i? Czy twoi „starzy znajomi” z Londynu wywnioskowali coś z materiału, który im przesłałeś? – spytał Smith, mając na myśli zdjęcia i odciski palców zabitego na rynku łysielca.

– Boję się, że nie – odrzekł z żalem Howell. – Jak dotąd niczego się od nich nie dowiedziałem. – Sięgnął do kieszeni owczego kożucha i wyjął komputerową dyskietkę. –

Dlatego pomyślałem, że może ty spróbujesz go zidentyfikować.

Smith zmrużył oczy.

– Ja?

– Nie musisz udawać, Jon – odparł Howell z nutką rozbawienia w głosie. – Jestem pewien, że też masz znajomych lub znajomych znajomych, którzy chętnie wrzucą te zdjęcia na komputer i przepuszczą je przez tę czy inną bazę danych. W ramach przyjacielskiej przysługi, naturalnie.

– Nie wiem, może coś da się zrobić... – przyznał powoli Smith i wziął dyskietkę. – Ale musiałbym najpierw podłączyć gdzieś komputer.

Howell uśmiechnął się ponownie, tym razem otwarcie i szeroko.

– Więc na pewno ucieszy cię wiadomość, że nasi gospodarze mają dostęp do bezprzewodowego Internetu. Chociaż ta urocza hacjenda pochodzi z XVII wieku, jej właściciele są mocno osadzeni w realiach XXI. – Howell odsunął się z krzesłem i wstał. – Pewnie zechcesz zostać sam, dlatego, niczym dobry pies obronny, pójdę trochę powęszyć.

Smith patrzył za nim, kręcąc z podziwu głową. Howell zawsze umiał postawić na swoim.

„Peter namówiłby kanibali na przejście na wegetarianizm i pewnie kazałby im jeszcze zapłacić za ten przywilej” – powiedziała mu kiedyś ich wspólna przyjaciółka, agentka CIA Randi Russell.

Wciąż zadziwiony wyjął komórkę i wybrał numer Freda Kleina.

– Słucham, pułkowniku.

Smith przedstawił mu prośbę Petera.

– Dał mi dyskietkę ze zdjęciami i odciskami palców – zakończył.

– Co ten Howell wie? – spytał Klein.

– O mnie? Nic. O nic nie pyta. Jest przekonany, że pracuję dla wywiadu wojskowego albo dla którejś z agencji Pentagonu, ale nie drąży i nie wnika.

– I oby nie wnikał. – Klein odchrząknął. – Dobrze, przyślij mi te pliki. Zobaczę, co da się zrobić. Nie wiem, gdzie jesteś, ale możesz tam poczekać? To potrwa.

Smith popatrzył na spokojny, zaciszny taras. Słońce stało już wysoko i zrobiło się ciepło.

W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów. Gestem ręki poprosił kelnerkę o dolewkę kawy.

– Nie ma sprawy, Fred – odrzekł, leniwie przeciągając samogłoski. – Trochę pocierpię, ale jakoś to zniosę.

Klein oddzwonił godzinę później. Nie tracił czasu na uprzejmości.

– Mamy poważny problem, pułkowniku – zaczął ponuro.

Smith dostrzegł Howella, który krążył przy drzwiach na patio, i pomachał mu, wskazując krzesło.

– Tak? Zamieniam się w słuch.

– Człowiek, którego zastrzeliłeś, był Amerykaninem. Nazywał się Michael Dolan i służył

kiedyś w naszych siłach specjalnych. Weteran, liczne odznaczenia, i tak dalej. Pięć lat temu odszedł z wojska w stopniu kapitana.

– O cholera... – zaklął cicho Jon.

– Zaczekaj, jest jeszcze gorzej – ostrzegł go Klein. – Po odejściu z wojska kapitan Dolan chciał wstąpić do Akademii FBI w Quantico. Nie przyjęli go.

– A to ciekawe. Dlaczego? – zastanawiał się na głos Smith. Ponieważ wojskowi, a zwłaszcza oficerowie, posiadali duże umiejętności zawodowe, byli zdyscyplinowani i wyrobieni fizycznie, FBI bardzo ich sobie ceniło. Na ludzi takich jak Dolan zawsze istniał duży popyt, przynajmniej tam.

– Oblał test psychologiczny – odrzekł Klein. – Psychiatrzy wykryli u niego wyraźne tendencje i postawy socjopatyczne. Stwierdzili, że wykazuje zdecydowaną skłonność do zabijania bez najmniejszego żalu czy skrępowań.

– No, tak. Jak na kogoś, kto miałby nosić służbową odznakę i broń...

– No właśnie.

– Dobra, FBI go nie chciało – drażył Smith. – W takim razie kto go przyjął? I jak ten facet trafił do Ruchu Łazarza?

– W tym miejscu przechodzimy do sedna najpoważniejszego problemu – odparł powoli Klein. – Wygląda na to, że świętej pamięci kapitan Dolan pracował dla CIA.

– Jezu Chryste... Ci z Langley go wzięli?

– Nieoficjalnie. Agencja postąpiła dość mądrze, bo trzymała go na dystans. Zatrudnili go jako konsultanta do spraw bezpieczeństwa; tylko na papierze rzecz jasna. Płacili mu za pośrednictwem

różnych firm fasadowych. Zaczął dla nich pracować zaraz po odejściu z wojska i zajmował się głównie kierowaniem ryzykownymi operacjami odwetowymi w Ameryce Łacińskiej i Afryce.

– Pięknie. A więc gdyby coś nie wypaliło, Langley zawsze mogłoby zaprzeczyć, że to ich człowiek.

– Otóż to.

– Wczoraj też dla nich pracował? – spytał Smith. Coraz bardziej spięty zastanawiał się, w co właściwie wdepnęli. Czy strzelanina na rynku była następstwem jakiejś fuszerki, potwornej pomyłki, w rezultacie której dwie grupy agentów działających po tej samej stronie nie zdołały się ze sobą porozumieć i zaczęły do siebie strzelać?

– Nie, nie przypuszczam – odparł Klein. – Według moich informacji, ostatnie płatne zlecenie wykonał dla agencji nieco ponad pół roku temu.

Smith poruszał ustami. Stężałe mięśnie twarzy zaczynały się powoli rozluźniać.

– Cieszę się. Cholernie się cieszę.

– To jeszcze nie koniec, pułkowniku. – Klein ponownie odchrząknął. – Te informacje pochodzą z naszej bazy danych; stworzyłem ją na podstawie ściśle tajnych materiałów, które ściągnąłem z CIA, FBI, ABN i innych agencji. Bez ich wiedzy i zgody, naturalnie.

Smith kiwnął głową. To, że Klein potrafił zebrać i skompilować materiały pochodzące z kilku czy nawet kilkunastu rywalizujących ze sobą agencji wywiadowczych, było jednym z powodów, dla których prezydent Castilla tak bardzo cenił sobie Tajną Jedynekę.

– Dla pewności przepuściłem zdjęcia i odciski palców Dolana przez bazy danych CIA i FBI – kontynuował Klein. – I nic. Komputer nie podał żadnych wyników. Tak więc według Langley i FBI kapitan Dolan nigdy nie przystępował do egzaminu na akademię w Quantico i nigdy nie pracował w CIA. Mało tego: w bazie danych CIA i FBI nie ma nawet jego nazwiska.

– Jakim cudem?! – wykrzyknął Smith. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak Klein groźnie unosi brew, i szybko zniżył głos. – To niemożliwe!

– Możliwe – odparł Klein. – Tyle że mało prawdopodobne. I dość przerażające.

– Ktoś wyczyścił ich bazy danych – podsumował Smith. Przeszedł go dreszcz. – Zrobić to mógł tylko ktoś z najwyższego szczebla. Z rządu.

– I właśnie tego się boję – odrzekł Klein. – Ktoś zadał sobie sporo trudu. Dlatego teraz musimy postawić sobie pytanie: kto i dlaczego?

Tajne laboratorium nanotechnologiczne Ruchu Łazarza

Technicy z wewnętrznego działu produkcyjnego pracowali w hermetycznych skafandrach ochronnych, wyposażonych w niezależne źródło powietrza. Ciężkie skafandry i grube rękawice spowalniały ruchy

i pozbawiały zręczności. Jednak dzięki szkoleniu i intensywnym ćwiczeniom każdy z nich bez większych trudności wykonał swoją część niezwykle delikatnego zadania, jakim było przepompowanie miliardów nanofagów wersji trzeciej do czterech małych, metalowych cylindrów o grubych ściankach.

Napełnione cylindry powoli i ostrożnie odłączono od kadzi z nierdzewnej stali. Następnie technicy – po dwóch z przodu i z tyłu – przytwierdzili je do zautomatyzowanej, zdalnie sterowanej platformy, na której wjechały do wąskiego tunelu – zamkniętego z obu stron dwiema potężnymi śluzami – by trafić do sąsiedniej, równie szczelnej komory. Tam zajął się nimi inny zespół techników w skafandrach, maskach i rękawicach.

Jeden po drugim cylindry ze śmiertcionośnym ładunkiem umieszczono w większych metalowych pojemnikach, które szczelnie zamknięto, zaspawano i przeniesiono do wyłożonych pianką ciężkich skrzyń transportowych. Ostatnim etapem prac było oklejenie skrzyń dużymi, biało–czerwonymi nalepkami z napisem: APPROVISIONNEMENTS MEDICAUX DE

LOXYGENE. AVERTISSEMENT: CONTENU SOUS PRESSION!

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o imieniu Nones obserwował załadunek przez okna obserwacyjne zaopatrzone w wielowarstwowe, hermetycznie uszczelnione szyby.

W pewnej chwili odwrócił głowę i spojrzał w dół, na stojącego obok naukowca.

– Nasz pracodawca żąda większej skuteczności rażenia. Czy wasz nowy system przenoszenia temu sprostą?

Naukowiec energicznie kiwnął głową.

– Jak najbardziej. Nanofagi wersji trzeciej dłużej żyją i są przystosowane do działania w bardziej zróżnicowanych warunkach zewnętrznych. Dzięki tym modyfikacjom i nowemu systemowi przenoszenia będziemy mogli przeprowadzić test na dużo większej wysokości i przy zmiennej pogodzie. Symulacja komputerowa wskazuje, że rozproszenie nanofagów będzie znacznie efektywniejsze.

– A liczba zabitych? – spytał bez ogródek Nones. – Też będzie większa?

Naukowiec niechętnie kiwnął głową.

– Oczywiście. – Głośno przełknął ślinę. – Wątpię, żeby w strefie rażenia ktokolwiek przeżył.

– Świetnie – odparł zimno Horacjusz. – Ostatecznie o to w tej waszej nanotechnologii chodzi. Prawda?

Część III

Shinjuku, Tokio

Warta prawie pięćdziesiąt miliardów dolarów Nomura PharmaTech miała fabryki, laboratoria i magazyny niemal na całym świecie, ale znaczną część majątku zainwestowała również w Japonii. Jej tokijski kompleks zajmował szesnastohektarową działkę w samym sercu dzielnicy Shinjuku. W trzech identycznych drapaczach chmur mieściły się biura i laboratoria, w których pracowało tysiące oddanych urzędników, techników i naukowców. Nocą, gdy w ich lustrzanych fasadach odbijały się migotliwe światła neonów, wyglądały jak ozdobione szlachetnymi kamieniami kolumny podtrzymujące czarny nieboskłon. Jednak pozostałej części kompleksu nadano charakter spokojnego, wiejskiego zakątka, gęsto zadrzewionego parku pełnego strumieni i urokliwych sadzawek. Jinjiro Nomura, poprzedni prezes i dyrektor naczelny Nomura PharmaTech pragnął stworzyć tu oazę naturalnego piękna i spokoju – bez względu na koszty firmy i jej udziałowców.

W otaczającym kompleks ogrodzeniu były trzy główne bramy. Za każdą z nich w kierunku wieżowców biegły wysadzana drzewami ścieżka dla pieszych oraz droga dostawcza dla samochodów i ciężarówek.

Mitushara Noda, niski, drobny człowieczek z wielkim zamiłowaniem do porządku i rutyny, pracował w Nomura PharmaTech od dwudziestu pięciu lat, a więc przez całe dorosłe życie. W ciągu ćwierćwiecza awansował ze stanowiska młodszego strażnika nocnego na dowódcę ochrony bramy numer 3. Nie był to awans zbyt spektakularny, lecz w tego rodzaju pracy, nudnej i żmudnej, trudno o taki. Poza pilnowaniem, czy podlegający mu strażnicy sprawdzają identyfikatory przychodzących do pracy naukowców, techników i urzędników, jego głównym zajęciem było przestrzeganie grafiku i kierowanie ciężarówek dostawczych –

zjedzeniem, zaopatrzeniem dla biur i chemikaliami – do odpowiednich ramp rozładunkowych.

Na służbę zawsze przychodził wcześniej, żeby nauczyć się na pamięć harmonogramu dnia, godzin przyjazdów i wyjazdów wozów dostawczych z takim czy innym ładunkiem, które miał

wpuścić lub wypuścić w ciągu ośmiogodzinnej zmiany.

Dlatego też słysząc warkot potężnej ciężarówki z naczepą, która skręciła z ulicy w stronę bramy numer 3, zaskoczony wybiegł z biura i stanął przed wartownią. Według jego obliczeń kolejna ciężarówka miała przyjechać dopiero za dwie godziny i dwadzieścia pięć minut.

Zmarszczył brwi. Ryknął silnik, wóz przyspieszył.

Stojący za Nodą strażnicy nerwowo szeptali, zastanawiając się, co robić. Jeden z nich rozpiął kaburę u pasa, chcąc szybciej dobyć broni.

Noda zmrużył oczy. Droga dostawcza za bramą numer 3 prowadziła prosto do wieżowca, w którym mieściły się laboratoria nanotechnologiczne. A w jego biurze wisiało kilka okólników ostrzegających

pracowników Nomura PharmaTech przed groźbami Ruchu Łazarza... Jeszcze bardziej wyteżył wzrok. Nie. Ani na skrzyni, ani na szoferce szybko zbliżającej się ciężarówce nie było żadnych napisów czy znaków firmowych.

Podjął decyzję.

– Zamknąć szlaban! – warknął. – Hoshiko, dzwoń na centralę i powiedz im, że mamy tu problem.

Wyszedł na środek drogi, dając kierowcy znak, żeby się zatrzymał. Kilka metrów za nim z przeraźliwym elektrycznym jękiem opadł gruby, stalowy szlaban. Jego podwładni dobyli broni.

Ale ciężarówka się nie zatrzymała. Ponownie zazgrzytały biegi, silnik zwiększył obroty: pędziła już z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i wciąż przyspieszała. Nie wierząc własnym oczom, Noda trwał na posterunku, rozpaczliwie wymachując rękami i głośno krzycząc.

Za przyciemnioną szybą mignęła mu sylwetka kierowcy. Martwa twarz, szkliste, nic niewidzące oczy: przerażony dowódca bramy numer 3 zdał sobie sprawę, że to kamikadze!

Chciał uciec, lecz było już za późno.

Przód rozpędzonej ciężarówce uderzył go z potworną siłą, miażdżąc wszystkie kości górnej części ciała. Nie mogąc nawet dobrać głosu z rozerwanych płuc, ciśnięty niczym szmaciana lalka Noda wpadł na stalowy szlaban. Siła uderzenia złamała mu kręgosłup dokładnie na pół. Już nie żył, gdy ciężarówka staranowała szlaban i przy zgrzytliwym akompaniamencie pękającego metalu popędziła dalej.

Zaszokowani podwładni Nody zdążyli oddać kilka strzałów, lecz kule odbiły się rykoszetem od prowizorycznego opancerzenia i kuloodpornych szyb. Ciężarówka wjechała w głąb gęsto zadrzewionego kompleksu, kierując się w stronę wieżowca.

Niecałe sto metrów przed głównym wejściem wpadła na rząd ciężkich, masywnych, żelazobetonowych pachołków, które rozstawiono tam pośpiesznie po zamachu terrorystycznym na Instytut Tellera. W powietrze wystrzelił słup betonowych odłamków, lecz pachołki wytrzymały.

Ciężarówka przełamała się na pół i eksplodowała.

W niebo poszybowała gigantyczna kula ognia. Fala uderzeniowa roztrzaskała szyby w oknach od strony bramy i na poprzecinane chodnikami trawniki posypał się grad ostrych jak brzytwa odłamków. Poskręcane wybuchem części ciężarówce i naczepy zatoczyły szeroki łuk i runęły w dół, wybijając dziury w stalowej elewacji gmachu i miażdżąc drzewa w otaczającym go zagajniku.

Jednak same laboratoria, puste i zaplombowane pod nadzorem przedstawicieli japońskiego rządu, pozostały w większości nietknięte. Ofiar – nie licząc kierowcy samobójcy i nieszczęsnego Nody – praktycznie nie było.

Pół godziny później do wszystkich tokijskich rozgłośni radiowych, stacji telewizyjnych i redakcji gazet dotarł e-mail sygnowany przez kierownictwo japońskiego odłamu Ruchu Łazarza. Ruch

przyznawał się do zamachu, który był według nich „aktem heroicznego poświęcenia w obronie Ziemi i całej ludzkości”.

Kryjówka grupy obserwacyjnej na przedmieściach Santa Fe Przed drzwiami samotnego domu na zboczu wzgórza parkowały dwie duże furgonetki. Za ich otwartymi tylnymi drzwiami widać było sterty pudeł i skrzyń ze sprzętem. Nieopodal stało pięciu mężczyzn. Czekali na swego dowódcę.

Linden, siwowłosa Holender, był wewnątrz. Chodził po wszystkich pokojach, sprawdzając, czy nie zostawili tam czegoś podejrzanego lub obciążającego. Ale to, co zobaczył, a raczej czego nie zobaczył, całkowicie go zadowoliło. Dom został dokładnie oczyszczony, niemal wysterylizowany. Nie licząc kilku małych otworów wywierconych w ścianach, po bateriach kamer, radionadajników, krótkofalówek, komputerów i sprzętu łącznościowego, który zainstalowali, żeby podsłuchiwać to, co działo się w Instytucie Tellera, nie pozostało dosłownie nic. Wszystkie gładkie powierzchnie, każdy kawałek drewna i metalu zostały starannie wytarte, tak że nie było mowy o odciskach palców czy jakichkolwiek innych śladach, które mogłyby wskazywać, że ktoś tu mieszkał. Wyszedł na dwór i szybko zamrugał w oślepiających promieniach słońca. Kiwnął palcem na jednego z podwładnych.

– Wszystko w porządku, Vitor?

– Tak, jesteśmy gotowi.

– Świetnie. – Linden spojrział na zegarek. – W takim razie ruszajmy. Musimy złapać samolot. – Uśmiechnął się ponuro, odsłaniając przebarwione od nikotyny zęby. – Plan kolejnej misji jest bardzo napięty, ale dobrze będzie wyjechać wreszcie z tego pustkowia i wrócić do Europy.

Santa Fe

Główny komisariat policji miejskiej mieścił się przy Camino Entrada na zachodnim krańcu miasta – niedaleko aresztu i tuż obok sądu. Pół godziny po przekroczeniu jego progu Smith znalazł się wreszcie w gabinecie oficera dyżurnego. Na dwóch białych ścianach wisiały zdjęcia czyjejś pięknej żony i trojga małych dzieci, a na trzeciej akwarela przedstawiająca panoramę jednej z pobliskich wiosek. W kącie, obok komputera, stała szafka ze starannie poukładanymi żółtymi kopertami na akta. Zza otwartych drzwi sali głównej dochodziły gwar rozmów, klikanie komputerowych klawiatur i dzwonienie telefonów.

Porucznik Carl Zarate spojrział na jego legitymację, zmarszczył czoło i zaskoczony podniósł wzrok.

– Właściwie to o co panu chodzi, pułkowniku?

Smith mówił głosem spokojnym i swobodnym. Chwilę wcześniej rozmawiał z sierżantem w dyżurce, który pocąc się z nerwów, robił wszystko, żeby tylko nie odpowiedzieć na jego niewygodne pytania, i w końcu odesłał go do swego przełożonego.

– O informację, panie poruczniku. O fakty związane z tą nocną strzelaniną na rynku.

Zarate nieufnie zmrużył oczy. Jego pociągła, koścista twarz natychmiast stężała.

– Z jaką strzelaniną?

Smith przekrzywił głowę.

– Przecież pan wie. Strzelanina w środku miasta, a w gazetach nic, ani słowa, żadnych doniesień ani spekulacji. Trochę się zdziwiłem, ale pomyślałem, że może ktoś przycisnął tych z prasy i telewizji, żeby na czas śledztwa wzięli sobie na wstrzymanie. Po zamachu na instytut zrobiło się gorąco, więc takie wytłumaczenie byłoby całkiem do przyjęcia. Ale potem zdziwiłem się jeszcze bardziej, bo okazało się, że wy, policja z Santa Fe, gracie dokładnie w tę samą grę.

Zarate przyglądał mu się i przyglądał, wreszcie wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli kazano nam trzymać język za zębami, to nie wiem, dlaczego miałbym złamać dla pana rozkaz przełożonych.

– Może dlatego, że rozkaz ten nie dotyczy mnie? – zasugerował lekko Smith. Położył na biurku plik upoważnień od Freda Kleina i wskazał go ruchem głowy. – Te rozkazy każą mi obserwować i meldować o wszystkim, co dotyczy śledztwa w sprawie zamachu. O każdym, nawet najmniejszym szczególe. Jeśli spojrzy pan na ostatnią stronę, zobaczy pan podpis przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych. Czy naprawdę chce pan wplątać się w tę głupią, zawistną wojnę między Pentagonem a FBI? Przecież powinniśmy stać po tej samej stronie barykady, prawda?

Zarate przeglądał dokumenty nerwowo i coraz bardziej nachmurzony. Wreszcie odsunął

je od siebie i z odrazą prychnął:

– Niech to szlag. Bywają takie chwile, kiedy wolałbym, żeby federalni zabrali te swoje wielkie, grube łapska i posiedzieli na dupie w stolicy.

Smith współczująco pokiwał głową.

– Owszem – odparł – w Waszyngtonie można znaleźć ludzi z wdziękiem, taktem i manierami dwustukilogramowego goryla tudzież umysłem przeciętnego dwulatka.

Zarate znieruchomiał i nagle uśmiechnął się szeroko.

– Mocne słowa, panie pułkowniku. Lepiej niech pan uważa na naszych biurokratów.

Podobno nie lubią żołnierzy, którzy samowolnie występują przed szereg.

– Przede wszystkim jestem lekarzem i naukowcem. Dopiero potem żołnierzem. – Smith wzruszył ramionami. – Wątpię, żeby moje nazwisko figurowało na liście generalskich nominacji.

– Hm? – mruknął sceptycznie Zarate. – I dlatego biega pan po mieście z rozkazami podpisanymi przez przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych? – Rozłożył ręce.

– Niestety, niewiele mogę panu powiedzieć. Tak, była strzelanina. W nocy, na rynku. Zginął jeden człowiek, mężczyzna. Możliwe, że byli też ranni. Moja ekipa wzięła się właśnie do sprawdzania śladów krwi, gdy nagle ich odwołano.

Smith natychmiast to wykorzystał.

– Odwołano?

– Tak – odparł bez ogródek Zarate. – Przyjechali ci z FBI i przejęli śledztwo. Powiedzieli, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe i że sprawa leży w ich kompetencjach.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej godzinę po tym, jak tam przyjechaliśmy. Nie tylko nas wyrzucili, ale i skonfiskowali wszystkie łuski, dokumenty i zdjęcia, które zrobiliśmy na rynku. Zabrali nawet taśmy magnetofonowe, na których dyspozytor rejestrował rozmowy z radiowozami.

Zaskoczony Smith cicho zagwizdał. To było coś więcej niż zwykły spór kompetencyjny.

FBI przechwytyło wszystkie oficjalne dowody rzeczowe.

– Z czyjego rozkazu? – spytał spokojnie.

– Zastępczyni naczelnego FBI – odrzekł z zaciśniętymi ustami Zarate. – Myśli pan, że chętnie

podwinąłem ogon i ustąpiłem? Otóż nie, ale ani burmistrz, ani nikt z rady miejskiej nie chce z nimi zadzierać, a przynajmniej nie w tej sytuacji.

Smith westchnął. Santa Fe groziła katastrofa i miasto było teraz zależne od rządowej pomocy finansowej. Duma i poczucie świadomości terytorialnej musiały ustąpić miejsca priorytetowym potrzebom.

– I już ostatnie pytanie – obiecał. – Powiedział pan, że na rynku zabito jakiegoś mężczyznę. Co się stało z jego ciałem? Kto ma przeprowadzić sekcję?

Zarate pokręcił głową.

– Właśnie to jest najdziwniejsze. – Zmarszczył brwi. – Chciałem to sprawdzić, ot tak, z ciekawości, i zadzwoniłem do kilku koronerów i szpitali. Nie zrobiono nic, żeby go zidentyfikować. Dosłownie nic. Wygląda na to, że FBI wpakowało trupa do karetki, zawiozło go do krematorium w Albuquerque i natychmiast spaliło. – Spojrzał Smithowi prosto w oczy. – Czy pan z tego coś rozumie, pułkowniku?

Jon z trudem zachował kamienną twarz. Co ta Pierson tu właściwie robi? – pomyślał.

Kogo kryje?

Gdy wyszedł na Camino Entrada, było już prawie południe. Zerknął w lewo, potem w prawo, ale zrobił to dyskretnie, żeby nikomu nie rzucać się w oczy. Głęboko zamyślony wszedł

do wynajętego forda mustanga i odjechał. Kilka szybkich skrętów, kilka bocznych uliczek i wreszcie zatłoczony parking przed centrum handlowym Villa Linda Mali. Powoli minął kilka rzędów samochodów, jakby szukał wolnego miejsca, potem przeciął Wagon Road i zaparkował

w cieniu drzew na skraju płytkiego wąwozu Arroyo de las Chamisos.

Parę minut później tuż za nim stanął biały, czterodrzwiowy buick. Howell wysiadł

i przeciągnął się, uważnie lustrując okolicę. Kiedy stwierdził, że nikt ich nie obserwuje, podszedł do mustanga, otworzył drzwi i wszedł.

Od ich wspólnego śniadania minęło kilka godzin i przez ten czas zdążył modnie przyciąć włosy. Zmienił też ubranie: gruba, flanelowa koszula i wypłowiałe dzinsy Malachiego MacNamary poszły w odstawkę, a ich miejsce zajęły luźne, brązowe spodnie, elegancka, starannie zapięta niebieska koszula i sportowa marynarka w jodełkę. Zamiast nawiedzonego fanatyka obok Smitha siedział teraz mocno opalony brytyjski emigrant, który najwyraźniej wybrał się na popołudniowe zakupy.

– Zauważyłeś coś? – spytał Jon.

– Nawet głowy nikt za tobą nie odwrócił. Jesteś czysty.

Smith trochę się odprężył. Od chwili opuszczenia posterunku Peter miał go cały czas na oku,

sprawdzając, czy nie wlecze za sobą ogona.

– A ty? – spytał. – Dowiedziałeś się czegoś czy twoje pytania padły na skalisty grunt?

– O tak, dowiedziałem się, i to sporo – odparł Smith. – Może nawet więcej, niż się spodziewałem.

Howell zaintrygowany w milczeniu wysłuchał jego relacji. Na wieść, że ciało Dolana zostało skremowane, z gorzkim rozbawieniem pokręcił głową.

– Proszę, proszę... Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Brak odcisków palców, brak zębów, brak czegokolwiek, co dałoby się porównać z niewygodnymi, może nawet zdradliwymi danymi w aktach. Bardzo pomysłowo. Gdyby go nie spalili, niezależnie od tego, jak starannie wyczyszczono komputery CIA i FBI, ktoś mógłby go kiedyś zidentyfikować.

– Właśnie. – Smith zabębnił palcami w kierownicę. – Zmyślne, co?

– Owszem, bardzo intrygujące – zgodził się z nim Howell. – Nasuwa się wiele ciekawych pytań. – Zaczął wyliczać na palcach prawej ręki: – Dla kogo pracują ci z rynku, koledzy naszego przez nikogo nieopłakiwanego kapitana Dolana? Dla szefów Ruchu Łazarza, jak to pozornie wygląda? Czy dla jakiejś innej organizacji? Może nawet dla waszej CIA? Bardzo to zagmatwane, nie sądzisz?

– Jedno jest pewne – odrzekł Smith. – Kit Pierson siedzi w tym po same uszy. Tak, miała prawo przejąć śledztwo, ale w żaden sposób nie wytłumaczy, dlaczego kazała skremować ciało Dolana. To stanowczo wykracza poza praktykę i standardowe kompetencje FBI.

– Czy to możliwe, żeby pracowała dla tych z ruchu? – spytał spokojnie Howell. – Żeby sabotowała śledztwo od wewnątrz?

– Kit Pierson wtyczką Łazarza? – Smith zdecydowanie pokręcił głową. – Wykluczone.

Od samego początku robi wszystko, żeby przypisać mu zamach na instytut.

– To prawda. Cóż, skoro go nie popiera, to pewnie z nim walczy. Co oznaczałoby, że kryje nielegalną operację FBI, CIA albo obu naraz.

Smith drgnął.

– Naprawdę myślisz, że zrobiłaby coś takiego bez zgody prezydenta?

– Jak sam dobrze wiesz, takie rzeczy się zdarzają, owszem. – Howell uśmiechnął się oschle. – Pamiętasz biednego Henryka II? Pewnej nocy wkurzył się i ryknął: „Czyż nikt nie pozbędzie się dla mnie tego krnąbrnego katabasa?” I zanim zdążył porządnie wytrzeźwieć, posadzka katedry w Canterbury spłynęła krwią, Thomas Becket został świętym męczennikiem, a on, mały, żaloszny, mocno skacowany król, musiał wymierzyć sobie chłostę, wdziac włosiennicę i publicznie się ukorzyć.

– Tak, wiem... Nasze agencje wywiadowcze czasem przekraczają swoje kompetencje, ale to piekielnie niebezpieczna gra.

– Oczywiście. Taka gra może złamać karierę. Gracz, zwłaszcza taki z pierwszej ligi, może nawet trafić do więzienia. I właśnie dlatego postanowili cię zabić.

– Zrozumiałbym, gdyby FBI czy CIA zmontowały tajną operację, chcąc rozsadzić Ruch Łazarza od wewnątrz. Byłoby to beznadziejnie głupie i niezgodne z prawem, ale to bym jeszcze zrozumiał. Zrozumiałbym również powody, dla których ci z ruchu mieliby zorganizować zamach na instytut. Ale to, że celowo doprowadzili do katastrofy, w której zginęło ponad dwa tysiące ich własnych zwolenników, nie pasuje do żadnego z tych scenariuszy.

– Wiem – szepnął Howell, wciąż mając przed oczami potworności, jakich był świadkiem.

– Ten element układanki za nic nie pasuje do reszty. A to nie byle jaki element.

Smith wyjął z kieszeni telefon.

– Bawią się z nami w kotka i myszkę, ale dość tego. – Wybrał numer i przytknął aparat do ucha. – Agent Latimer? – rzucił ostro. – Mówi pułkownik Smith. Chcę rozmawiać z Kit Pierson.

Natychmiast.

– Polować na lwicę w jej własnej jaskini? – mruknął Howell. – Niezbyt to subtelne, nawet jak na ciebie.

– Subtelność zostawiam wam, Anglikom – odrzekł z uśmiechem Smith. – Czasem trzeba chwycić bagnet i przeprowadzić frontalny atak w starym, dobrym stylu. – Nagle zamilkł. – Tak?

– Uśmiech powoli zniknął. – Rozumiem. Kiedy?

Schował telefon.

– Kłopoty? – spytał Howell.

– Możliwe. Kit Pierson jest już w drodze do Waszyngtonu. Wezwano ją na pilne, bliżej niesprecyzowane konsultacje. Na lotnisku w Albuquerque czeka na nią specjalny samolot.

– Ptaszek rozwinął skrzydełka, he? – rzucił Howell z nagłym błyskiem w oczach. – To ciekawe, prawda? Zaczynam podejrzewać, że pani dyrektor dostała niedawno bardzo niepokojącą wiadomość od tutejszej policji.

– Prawdopodobnie – odparł Smith, przypomniawszy sobie nerwowość sierżanta dyżurnego, który skierował go do porucznika Zarate. Sierżancina musiał dać cynk FBI i ostrzec ich, że pułkownik Jonathan Smith wtyka nos w coś, co biuro próbuje skrzętnie ukryć. – Masz ochotę na szybki skok do stolicy? Wiem, że to nie twój rejon, ale przydałaby mi się pomoc.

Pierson to mój jedyny ślad i nie zamierzam beczynn timerzeć, jak znika mi z oczu.

– Możesz na mnie liczyć – odrzekł Howell z drapieżnym uśmiechem. – Takiej imprezy nie

przepuściłbym za nic w świecie.

Biały Dom

– Bardzo dobrze pana rozumiem, panie przewodniczący – warknął do słuchawki Castilla.

Podniósł wzrok, zobaczył Charlesa Ouraya, szefa sztabu Białego Domu, który wetknął głowę do gabinetu, i gestem ręki zaprosił go do środka. – Ale pora już, żeby pan zrozumiał mnie. Nikt nie zmusi mnie do zrobienia czegoś, co uważam za ostatnią głupotę. Ani CIA, ani FBI, ani senat, ani nawet pan. Czy wyrażam się jasno? Tak? To świetnie. W takim razie żegnam szanownego pana.

Miał ochotę trzasnąć słuchawką, ale się opanował. Wielką jak bochen dłonią przetarł zmęczoną twarz i spojrzał na Ouraya.

– Andrew Jackson zagroził kiedyś, że wychłoscze kogoś przed Białym Domem. Jackson słynął ze swego temperamentu i zawsze myślałem, że chciał dać upust złości, chłoscząc delikwenta werbalnie, ale ostatnio coraz częściej kusi mnie, żeby pójść w jego ślady i chwycić za bat. Taki prawdziwy.

– Czyżby pomocne rady z Kongresu? – spytał Ouray, wskazując telefon. – Znowu?

Castilla ściągnął usta.

– Przewodniczący senatu. Z typowym dla siebie wdziękiem zasugerował, żebym natychmiast podpisał rozporządzenie uznające Ruch Łazarza za organizację terrorystyczną.

– Albo?

– Albo Izba i senat wyjdą z własną inicjatywą, zgłoszą projekt ustawy i przepchną go przez Kongres.

Ouray uniósł brew.

– Licząc na poparcie zdecydowanej większości, a tym samym na nieskuteczność pańskiego ewentualnego weta?

Castilla wzruszył ramionami.

– Diabli ich wiedzą. Tak czy inaczej, dużo byśmy na tym stracili. Politycznie.

Dyplomatycznie. Pod każdym względem.

– Tak... Czy im się uda, czy nie, to chyba bez znaczenia. Jeżeli projekt ustawy trafi do Kongresu, nasze chwiejne międzynarodowe sojusze ucierpią jeszcze bardziej.

– To prawda, to prawda... – Castilla ciężko westchnął. – Większość ludzi pomyśli, że taka ustawa to

kolejny dowód, że przesadzamy, panikujemy, popadamy w paranoję. Och tak, oczywiście, kilku naszych przyjaciół, zwłaszcza tych zaniepokojonych zamachami w Chicago i Tokio, pewnie się w duchu ucieszy, ale zdecydowana większość uzna, że tylko pogarszamy sprawę. Że pchamy pokojowo nastawiony ruch ku przemocy. Albo że próbujemy zacierać ślady zbrodni.

– Tak, to koszmarna sytuacja – zgodził się z nim Ouray.

– Właśnie, a będzie jeszcze gorsza. – Czując się za biurkiem jak w klatce, Castilla wstał, podszedł do okna i popatrzył na ciężko uzbrojonych żołnierzy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, demonstracyjnie patrolujących teren wokół Białego Domu; po zamachu w Tokio Secret Service wzmożła środki bezpieczeństwa. Zerknął przez ramię na Ouraya.

– Zanim pan przewodniczący postawił swoje małe ultimatum, miałem jeszcze jeden telefon. Od ambasadora Nicholasa z ONZ.

Ouray zmarszczył brwi.

– Tam też coś się święci? W Radzie Bezpieczeństwa?

– Nichols słyszał pogłoski, że neutralne kraje członkowskie szykują rezolucję. Będą się domagać, żebyśmy otworzyli nasze laboratoria nanotechnologiczne, te rządowe i te prywatne, i udostępnił je międzynarodowym inspektorom, którzy dokładnie by je skontrolowali. Twierdzą, że tylko w ten sposób będziemy w stanie udowodnić, że nie prowadzimy badań nad nową, tajną bronią. Nichols uważa, że kraje te zdobędą wystarczającą liczbę głosów i rezolucja przejdzie.

Ouray wykrzywił usta.

– Nie możemy do tego dopuścić.

– Ano nie możemy. Dalibyśmy im prawo do kradzieży naszych osiągnięć nanotechnologicznych. Amerykańskie firmy i uniwersytety wydały na badania miliardy dolarów.

I co? I mielibyśmy pozwolić, żeby te pieniądze poszły w błoto?

– Może stali członkowie rady to zawetują? Może uda nam się ich do tego nakłonić?

Prezydent postukał palcem w szybę.

– Nichols mówi, że Rosja i Chiny chętnie zrobią nam na złość. Nanotechnologia bardzo je interesuje i chcą wiedzieć, jakie zrobiliśmy postępy. Będziemy mieli szczęście, jeśli Francja się wstrzyma. Pozostaliby tylko Anglicy, ale nie jestem pewien, do jakiego stopnia mogą nas wesprzeć politycznie. Premier traci wpływy w parlamencie. Jego sytuacja jest, delikatnie mówiąc, bardzo niepewna.

– W takim razie będziemy musieli zawetować ją sami – podsumował Ouray. Zacisnął zęby. – Paskudnie by to wyglądało. Bardzo paskudnie...

Prezydent pośepnie kiwnął głową.

– Nie wiem, czy istnieje coś, co dobitniej potwierdziłoby obawy większości krajów świata. Wetując rezolucję Rady Bezpieczeństwa, automatycznie uwiarygodnimy najbardziej nieprawdopodobne twierdzenia Ruchu Łazarza.

Baza Amerykańskich Sił Powietrznych Kirkland w Albuquerque Smith przejechał koło wartowni przy Bramie Trumana i skierował się na południe, mijając po drodze kilka boisk baseballowych Małej Ligi, pełnych rozkrzyczanych, rozentuzjasmowanych kibiców. Zbliżał się koniec sezonu i mistrzostwa okręgu szły pełną parą.

Korzystając ze wskazówek oficera dyżurnego, przejechał labiryntem wąskich przesmyków między hangarami i budynkami, aż wreszcie dotarł do małego parkingu za pasem startowym. Howell zaparkował tuż obok.

Smith wysiadł, zarzucił na ramię torbę z laptopem i małą torbę podróżną, położył

kluczyki na przednim siedzeniu i zatrzasnął drzwi. Howell zrobił podobnie. Po ich odlocie kurier Freda Kleina miał zwrócić samochody do wypożyczalni.

Co kilka chwil tuż nad ich głowami przelatywały z rykiem startujące i lądujące samoloty pasażerskie; z pasów startowych w bazie Kirkland korzystały również maszyny obsługiwane przez międzynarodowe lotnisko w Albuquerque. Falował gorący beton, a w jeszcze gorętszym powietrzu wisiał ostry zapach paliwa lotniczego.

Na pasie startowym stał wielki globemaster C-17 Amerykańskich Sił Powietrznych.

Silniki już pracowały. Smith i Howell ruszyli w jego stronę.

Na spotkanie wyszedł im podoficer załadunkowy, sierżant o kwadratowej szczęce, hardej twarzy i wiecznie zmarszczonych brwiach.

– Czy któryś z panów to... podpułkownik Jonathan Smith? – spytał, zerkając w papiery, żeby nie pomylić nazwiska i rangi.

– Tak, to ja – odparł Jon. – A to jest pan Howell.

– W takim razie proszę za mną, panie pułkowniku – powiedział sierżant i otaksował

podejrzliwym spojrzeniem jego cywilne ubranie. – Dali nam tylko pięć minut na start, a major Harris mówi, że nie zamierza tracić miejsca i stać w kolejce za tymi turystycznymi pierdziawkami.

Smith uśmiechnął się ze skruchą. Podejrzewał, że pilot globemastera niejedno jeszcze powiedział na wieść, że będzie musiał zboczyć z trasy i odbyć niezapowiedziany lot do stolicy jedynie po to, żeby podrzucić tam jednego – tylko jednego! – oficera i jakiegoś zagranicznego cywila. Klein po raz kolejny machnął czarodziejską różdżką Tajnej Jedyńki, tym razem ujarzmiając pentagońską biurokrację. Weszli do przepastnej ładowni transportowca i metalowymi schodkami wspięli się do

kabiny pilotów.

Kapitan i drugi pilot sprawdzali już listę startową. Na przedniej szybie maszyny zielonkawym blaskiem lśniła siatka wyświetlacza przeziernikowego HUD. Cztery wielofunkcyjne monitory na głównej konsoli pokazywały stan silnika, hydrauliki, awioniki oraz pozostałych systemów. Major Harris odwrócił głowę.

– Jesteście gotowi, panowie? – syknął przez zaciśnięte zęby, kładąc nacisk na słowo

„panowie”, żeby dać im do zrozumienia, że miałby ochotę użyć innego.

– Tak, majorze – odrzekł pojednawczo Smith. – Przepraszam, że uprzedzono was dopiero w ostatniej chwili. Jeśli to pana pocieszy, nie jest to głupia wycieczka dwóch VIP-ów, tylko poważna misja.

Nieco udobruchany Harris wskazał im kciukiem fotele tuż za nim.

– Zapnijcie pasy. – Nachylił się w stronę drugiego pilota. – Rusz to pudło, Sam. Czas ucieka.

Piloci zajęli się sterami i już po chwili olbrzymi transportowiec wytoczył się z grzmiotem na pas dojazdowy, powoli kołując na start. Harris pchnął manetkę do przodu i cztery turboodrzutowe silniki ryknęły jeszcze głośniej.

Gdy Smith i Howell zapięli pasy, sierżant podał każdemu z nich hełmofon.

– Jediną rozrywką podczas lotu będzie podsłuchiwanie rozmów powietrze–ziemia – powiedział, usiłując przekrzyczeć wycie silników.

– Co takiego? – spytał z przerażoną miną Howell. – Nie macie tu stewardes? Ani szampana i kawioru?

Sierżant uśmiechnął się jakby wbrew sobie.

– Nie, niestety. Jestem tylko ja, no i kawa.

– Mam nadzieję, że świeżo parzona.

– Nie, rozpuszczalna, bezkofeinowa. – Sierżant uśmiechnął się jeszcze szerzej i zniknął w ładowni.

Howell puścił oko do Smitha.

– Dobry Boże! – wymamrotał. – Te wszystkie cierpienia, które muszę znosić dla kraju i królowej.

Samolot wykonał ostry skręt i ustawił się na pasie startowym. Kołująca przed nimi maszyna Southwest Airlines wzbiła się w powietrze, pochyliła na skrzydło i skręciła na północ.

W hełmofonie Smitha zaskrzeczał nagle głos kontrolera ruchu:

– Fair Force Charlie Jeden–Siedem, macie pozwolenie na natychmiastowy start.

– Zrozumiałem – odpowiedział Harris. – Charlie Jeden–Siedem startuje. – Pchnął manetkę do oporu.

Globmaster C–17 potoczył się po pasie, szybko nabierając prędkości. Przeciężenie wcisnęło Smitha w fotel. Niecałą minutę później byli już w powietrzu, wspinając się stromo nad szachownicą parków, domów i autostrad Albuquerque.

Lecieli na wysokości jedenastu tysięcy stu metrów nad zachodnim Teksasem, gdy drugi pilot klepnął go w kolano.

– Wiadomość dla pana – powiedział. – Przełączę na hełmofon.

Smith kiwnął głową.

– Uaktualniam sytuację, pułkowniku – zaczął Fred Klein. – Pański cel kieruje się do bazy sił powietrznych Andrews. Jest sześćset, sześćset czterdzieści kilometrów przed wami.

Smith szybko przeprowadził kilka obliczeń. Prędkość przelotowa globemastera wynosiła mniej więcej dziewięćset kilometrów na godzinę, co oznaczało, że samolot Kit Pierson wylądował w Andrews co najmniej czterdzieści pięć minut przed nimi. Nachmurzył się.

– Nie dałoby się jej jakoś opóźnić? Może ci z Federalnej Agencji Nadzoru Transportu Lotniczego potrzyłaby ją trochę nad lotniskiem?

– Niestety – odparł sucho Klein. – Musielibyśmy się zdradzić. Mało brakowało, a wpadłbym, załatwiając dla was ten samolot. Nic z tego, odpada.

– Niech to szlag...

– Możliwe, że sytuacja nie wygląda tak źle, jak myślisz. Pierson ma najpierw spotkanie w Gmachu Hoovera; na lotnisku czeka już na nią służbowy samochód. Jeśli coś sobie zaplanowała, zrobi to dopiero po spotkaniu, więc zdążysz ją namierzyć.

Smith poprawił hełmofon. Tak, Klein miał rację. Chociaż prawdziwym celem powrotu Kit Pierson do Waszyngtonu było na pewno coś więcej niż omówienie przebiegu śledztwa z przełożonymi, szefowa FBI musiała udawać, że do stolicy sprowadzają wyłącznie narada.

– Co z samochodami i sprzętem, o który prosiłem?

– Wszystko będzie czekało na miejscu – obiecał Klein i surowym głosem dodał: – Jeszcze jedno, pułkowniku. Mam bardzo poważne wątpliwości co do uczestnictwa pana Howella w tej misji. Howell jest człowiekiem inteligentnym, może nawet zbyt inteligentnym, i na pierwszym miejscu

zawsze stawia wierność krajowi, który nie jest naszą ojczyzną.

Jon zerknął na Petera. Anglik patrzył w boczne okno, na rozległą panoramę sunących po niebie chmur i niekończącą się brązową równinę pod nimi.

– Będziesz musiał mi zaufać, Fred. Kiedy zapisywałeś mnie na tę imprezę, mówiłeś, że szukasz indywidualistów, ludzi z inicjatywą, którzy nie pasują do schematów i tabelk. Którzy dla dobrych rezultatów potrafią nagiąć każdy system. Pamiętasz?

– Pamiętam – odparł Klein. – I nic się pod tym względem nie zmieniło.

– No więc właśnie naginam system, Fred – rzekł stanowczo Smith. – Tak się przypadkiem złożyło, że Peter zajmuje się tym samym co my. Poza tym moglibyśmy wykorzystać jego inteligencję, umiejętności i doświadczenie.

Klein trawił to przez kilka sekund, wreszcie odrzekł:

– Trafny argument, pułkowniku. Dobrze. Nawiąż z nim współpracę, ale pamiętaj: Howell nie ma prawa dowiedzieć się o istnieniu Tajnej Jedynki. Nigdy. Zrozumiano?

– Absolutnie. Przysięgam, że się nie dowie – zapewnił go Smith. – Z ręką na sercu.

– Bez przesady – prychnął Klein i odchrząknął. – Odezwij się po przylocie.

– Oczywiście. – Smith wychylił się zza fotela, żeby rzucić okiem na wskaźniki i sprawdzić ich położenie, aktualną prędkość oraz odległość od celu podróży. – Wygląda na to, że wylądujemy około dziewiątej twojego czasu.

La Courneuve pod Paryżem

Ponure, bezduszne bloki podparyskich slumsów czerniły się drapieżnie na tle nieba. Ich architektura – masywna, przytłaczająco brzydka i celowo wyjałowiona – była pomnikiem ku czci groteskowych ideałów szwajcarskiego architekta Le Corbusiera, który myślał wyłącznie kategoriami zimnej, wyrachowanej użyteczności publicznej. Dzielnica ta była również świadectwem skąpstwa francuskich biurokratów, którzy postawili sobie za cel stłoczenie w jednym miejscu jak największej liczby niechcianych przez nikogo emigrantów, głównie muzułmanów.

W betonowym labiryncie Cite des Quatre Mille, „miasta czterech tysięcy”, raję złodziei, bandziorów, handlarzy narkotyków i islamskich radykałów, płonęło niewiele świateł. Uczciwi nędzarze mieszkali tu jak w więzieniu kierowanym przez kryminalistów i terrorystów. Niemal wszystkie latarnie były albo przepalone, albo roztrzaskane. Na upstrzonych dziurami jezdniach stały okradzione, doszczętnie wypalone wraki samochodów. Nieliczne sklepy były albo całkowicie zdewastowane, albo miały kraty w oknach.

Ahmed ben-Belbouk sunął przez noc jak cień pośród innych mrocznych cieni. Był

w długim, czarnym płaszczu i w kufie. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i długą, gęstą brodę, która maskowała ślady po ospie na jego delikatnej, okrągłej twarzy. Z urodzenia Francuz, z pochodzenia Algierczyk oraz radykalny islamista z wiary i przekonania, zajmował się werbunkiem ochotników do dżihadu, do walki z Ameryką i zgniłym, dekadentycznym Zachodem.

Urzędował na tyłach jednego z tutejszych meczetów i to tam starannie prześwietlał tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie do świętej wojny. Tym najbardziej obiecującym wręczał fałszywy paszport, pieniądze, bilet na samolot i wysyłał ich na południe Francji na intensywne szkolenie.

I właśnie teraz, po długim dniu pracy, wracał do zimnego, zapuszczonego mieszkania, które hojną ręką przyznał mu francuski rząd. Dysponował poważnymi funduszami i mógłby sobie pozwolić na luksusowy apartament, ale uważał, że lepiej jest mieszkać wśród tych, których wierność pragnął pozyskać. Widząc, że dzieli z nimi trudy, że tak samo jak oni jest w beznadziejnej sytuacji, chętniej słuchali jego ociekających nienawiścią kazań i wezwań do zemsty na ciemieżcach.

Nagle zauważył jakiś ruch w ciemnym zaułku kilkadziesiąt metrów dalej. Przystanął.

Dziwne. O tej porze ulice były zwykle wyludnione. Ci bojaźliwi i uczciwi już dawno siedzieli w domu, za zabarykadowanymi drzwiami, a drobne rzezimieszki, bandziory i handlarze albo spali, albo oddawali się swoim ohydny nałogom. Więc kto to mógł być?

Wślizgnął się ukradkiem do ciemnej bramy doszczętnie wypalanej piekarni i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Włożył rękę do kieszeni płaszcza i namacał rękojeść glocka. Bandyci i złodzieje zwykle omijali go szerokim łukiem, mimo to wołał chuchać na zimne.

Z narastającą podejrzliwością obserwował tych w zaułku. Pod roztrzaskaną latarnią parkowała furgonetka. Obok niej stało dwóch mężczyzn w kombinezonach, przytrzymując drabinę, na której stał trzeci, majstrując przy kloszu latarni. Ekipa z elektrowni? Znowu przyjechali z misją naprawy po raz tysięczny zbitej latarni? Cóż za poświęcenie.

Zmrużył oczy i cicho splunął. Przecież to idiotyzm. Nikt z państwowej firmy by tu nie przyjechał. W tej dzielnicy zawsze takimi pogardzano. Policjanci natychmiast obrywali w łeb.

Hasło: Baise la police, „pieprzyć policję”, należało do najpopularniejszych w okolicy: widniało dosłownie na każdym murze, na ścianach wszystkich domów. Nawet strażaków, którzy przyjeżdżali gasić pożary – podpalenia były tu codziennością – witano koktajlami Mołotowa i kamieniami. Musiały ich eskortować wozy pancerne. Nie, nie zjawiliby się tu żaden elektryk przy zdrowych zmysłach. Zwłaszcza po ciemku, a już na pewno nie bez obstawy po zęby uzbrojonych gliniarzy z oddziałów prewencyjnych.

Więc kim byli ci ludzie i co tu robili? Ben–Belbouk przyjrzał im się uważniej. Ten na drabinie chyba coś instalował, małe, szare, plastikowe pudełko albo coś w tym rodzaju.

Popatrzył na inne latarnie i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że na co drugiej zamontowali identyczne pudełka. Chociaż było ciemno, wydawało mu się, jakby każde z nich miało z przodu okrągły otwór. Co jest? Kamery? Podejrzenia przerodziły się w pewność. Te cochons, te świny, coś tu instalowały, pewnie nowy system obserwacyjny, żeby rząd mógł

docisnąć śrubę, położyć łapę na tej dzielnicy bezprawia. O nie. Miały na to pozwolić?

W dodatku ot tak, bez oporu? Nigdy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie sprowadzić ukradkiem islamskich braci. Ale doszedł do wniosku, że nie. Trochę by to trwało i przez ten czas ci przekłeci szpiedzy mogliby skończyć robotę. Poza tym nie mieli broni. Nie. Załatwi to sam. Tak będzie bezpieczniej i przyjemniej.

Wyjął z kieszeni glocka i wyszedł z bramy; pistolet trzymał luźno, wzdłuż boku. Zrobił

kilka kroków w stronę intruzów.

– Hej, wy tam! – zawołał. – Co tu robicie?

Zaskoczeni technicy przy drabinie odwrócili głowy. Ten, który dociskał właśnie śruby mocujące plastikowe pudełko do słupa latarni, nawet nie przerwał pracy.

– Pytałem, co tu robicie! – powtórzył głośniejszym głosem ben–Belbouk.

Jeden z techników wzruszył ramionami.

– To nie pańska sprawa, monsieur – odparł lekceważąco. – Niech pan idzie swoją drogą i się nie wtrąca.

Ben–Belbouk wpadł w furję. Jego cienkie usta zakrzywiły się do dołu, zadrżała mu ręka.

Dźgnął pistoletem powietrze.

– Widzicie to!?! – krzyknął. – Teraz to moja sprawa. – Podeszedł jeszcze bliżej. –

Gadajcie, co tu robicie, ścierwa, bo stracę cierpliwość!

Zabił go dobrze wytłumiony strzał, którego nawet nie usłyszał.

Pocisk kaliber 7.62 milimetra trafił go tuż za uchem, przebił mózg i wyrwał wielką dziurę w lewej skroni. Na chodnik trysnęła fontanna drobnych odłamków kości i szarej papki. Ben–

Belbouk runął na ziemię i już nie wstał.

Ukryty bezpiecznie w ciemnej, zaśmieconej alejce kilkadziesiąt metrów dalej, wysoki, barczysty mężczyzna, który kazał nazywać się Nonesem, lekko poklepał snajpera po ramieniu.

– Niezły strzał.

Snajper opuścił karabin wyborowy PSG–1 Hecklera & Kocha i uśmiechnął się w podzięcie. Horacjusze rzadko kiedy kogoś chwalili.

Nones włączył radionadajnik i połączył się z dwoma obserwatorami, których rozmieścił na dachach pobliskich domów.

– Widzicie jeszcze kogoś? – spytał.

– Nie – odpowiedzieli. – Wszędzie spokój.

Zielonooki olbrzym kiwnął głową. Mieli małego pecha, lecz wszystko wskazywało na to, że nie zagrazi to dalszemu przebiegowi operacji. W tej części La Courneuve morderstwa i nagłe zniknięcia były powszechne. Jedno więcej, jedno mniej...

Przeszedł na częstotliwość techników.

– Długo jeszcze?

– Parę minut. Prawie skończyliśmy.

– Świetnie. – Nones spojrzał na snajpera. – Bądź w pogotowiu. Shiro i ja pozbędziemy się ciała. – Zerknął na niższego mężczyznę tuż za sobą. – Idziemy.

Mniej więcej sto metrów od miejsca, gdzie zginął Ahmed ben–Belbouk, za okradzionym, rozebrany na części, a następnie spalonym renault leżała na brzuchu szczupła kobieta. Od stóp do głowy była ubrana na czarno: czarny wełniany kombinezon, czarne rękawiczki, czarne buty i czarna kominiarka,

pod którą ukryła złociste włosy. Obserwowała okolicę przez noktowizor.

– Sukinsyn! – zaklęła pod nosem i cicho rzuciła do mikrofonu: – Widziałeś to, Max?

– O tak – odparł jej podwładny z posterunku w kępie martwych drzew nieco dalej. –

Jeszcze nie mogę w to uwierzyć, ale widziałem aż za dobrze.

Randi Russell przesunęła noktowizor w lewo, kierując go na trzech mężczyzn przy latarni. Po chwili zobaczyła jeszcze dwóch: jeden był bardzo wysoki, o kasztanowych włosach, drugi miał azjatyckie rysy twarzy. Nowo przybyli szybko zawinęli ben-Belbouka w czarną, plastikową płachtę i powlekli go w mrok.

Randi zacisnęła zęby. Kilka miesięcy ciężkiej pracy szlag trafił. Kilka miesięcy mozolnego zbierania informacji, skomplikowanego planowania i ryzykownej obserwacji. Kilka miesięcy – właśnie tyle paryska placówka CIA rozpracowywała siatkę werbunkową islamskich terrorystów we Francji. Namierzenie ben-Belbouka okazało się prawdziwą żyłą złota.

Monitorując jego kontakty, stworzyli obszerną kartotekę najpaskudniejszych, najczarniejszych typów, takich, którzy czerpali chorą przyjemność z mordowania tysięcy niewinnych ludzi.

A teraz całą operację diabli wzięli. Wystarczył jeden wyciszony tłumikiem strzał.

Zawzięcie myśląc, potarła rękawiczką idealnie prosty nos.

– Kto to, do cholery, jest? – wymamrotała.

– Może DGSE? Albo GIGN? – spekulował na głos Max, wymieniając francuski wywiad i kontrwywiad.

Randi kiwnęła głową. To możliwe. Francuski wywiad słynął z twardości i bezpardonowości. Zawsze grali ostro – bardzo ostro. Czyżby była świadkiem zatwierdzonej przez rząd mokrej roboty, która miała na celu pozbycie się zagrażającego im osobnika bez konieczności aresztowania i niewygodnego publicznego procesu?

Może, pomyślała zimno. Jeśli tak, postąpili cholernie głupio. Żywy ben-Belbouk był

oknem na śmiertelnie niebezpieczny podziemny świat islamskich terrorystów, świat, którego nie potrafiły spenetrować ani służby amerykańskie, ani zagraniczne. Martwy był zupełnie bezużyteczny.

– Wycofują się – zameldował Max.

Randi poprawiła ostrość. Mężczyźni złożyli drabinę, wepchnęli ją do furgonetki i odjechali. Chwilę później z ciemnej alejki wyłoniły się dwa samochody, granatowe bmw i nieco mniejszy ford escort. Oba podążyły za furgonetką.

– Zapisaleś numery rejestracyjne? – spytała.

– Zapisalem. To miejscowi.

– Dobrze. Kiedy tu skończymy, przepuścimy je przez komputer. Może dowiemy się wreszcie, co to za dupki.

Randi nie ruszyła się z miejsca jeszcze przez kilka minut, uważnie przyglądając się małym szarym pudełkom przymocowanym do latarni w zaułku i bocznych uliczkach. Wyglądały na pojemniki z jakimiś... Z czujnikami, z otworami na obiektyw kamery czy aparatu fotograficznego i na dyszę sondy do pobierania próbek. Z każdego sterczała krótka, gruba antena.

Dziwne. Bardzo dziwne. Po co ktoś miałby marnować pieniądze na instalowanie kosztownych urządzeń badawczych w slumsach takich jak La Courneuve? Pudełka nie rzucały się w oczy, ale nie były też niewidzialne. Gdy tylko zauważą je miejscowi, żywotność instrumentów pomiarowych, które zawierały, skróci się najwyżej do kilku minut. Więc po diabła zabili tego ben-Belbouka? Tylko dlatego, że zaczął rozrabiać? Sfrustrowana pokręciła głową.

Układanka z tak niewielką liczbą elementów nie miała sensu.

– Wiesz, co myślę? Trzeba przypatrzeć się bliżej temu czemuś na latarniach. Wrócimy tu z drabiną.

– Ale nie dzisiaj – ostrzegł Max. – Zaraz przyleżą tu te wszystkie ćpuny, szajbusy i chłopcy z dżihadu. Lepiej więcej stąd, póki jeszcze możemy.

– Słusznie – mruknęła Randi. Schowała noktowizor i wyczołgała się zwinnie spod samochodu. Cały czas intensywnie myślała. A im dłużej myślała, tym większego nabierała przekonania, że zabicie ben-Belbouka nie było głównym celem tych od pudełek na latarniach.

Może zrobili to przypadkowo? Może to niezamierzone straty uboczne? Jeśli tak, kim byli ci ludzie? I co knuli?

17 października, Wirginia, wieś

W świetle reflektorów passata mignął zmurszały drogowskaz z napisem: HARDSCRABBLE HOLLOW 400 M. Kolejny punkt orientacyjny. Lekko wcisnęła pedał

hamulca i zwolniła. Nie chciała przeoczyć skrętu do zapuszczonej chaty Burke'a.

Pagórkowaty krajobraz otulała niemal całkowita ciemność. Przez grubą warstwę chmur przebijało jedynie rozmyte światło księżyca. Wśród niskich, lesistych wzgórz stały szeroko rozrzucone domy, ale minęła już północ i ich mieszkańcy od dawna spali. Rano czekały ich gospodarskie obowiązki i wyprawa do kościoła, dlatego zapewne poszli spać z kurami.

Kilkanaście metrów dalej ukazało się skrzyżowanie ze zrytą koleinami żwirówką, więc zwolniła jeszcze bardziej. Tuż przed skrętem zerknęła w lusterko. Nic. Żadnych świateł. Była sama.

Podniesiona na duchu skręciła i dojechała do chaty na zboczu wzgórza. Chaszczce, jeżyny i kępy zielska obmywała żółtawa poświata zza zaciągniętych kotar w oknach. Burke już czekał.

Zaparkowała obok starego mercurego marquisa i szybko podeszła do drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyła zapukać, i stanął w progu. Był w koszuli. Miał zmierzwione włosy, przekrwione, podkrążone oczy i robił wrażenie zmęczonego.

Podejrzliwie rozejrzał się wokoło, sprawdzając, czy jest sama, potem cofnął się o krok, żeby mogła wejść.

– Jakies kłopoty? – spytał chrapliwie.

Odczekała, aż zamknie drzwi.

– Po drodze? – odparła chłodno. – Nie. Na odprawie? Tak.

– Jakie?

– Nie ucieszyli się z mojego przyjazdu. Uważają, że powinnam była zostać w Santa Fe.

Wytknęli mi, dość uszczypliwie zresztą, że mój wstępny raport jest za krótki, zbyt ogólnikowy i że wcale nie musiałam składać go osobiście.

Burke wzruszył ramionami.

– To była twoja decyzja. Nie musieliśmy się spotykać. Gdybyś tak nie pękała, moglibyśmy obgadać to przez telefon.

– Przez telefon? – warknęła. – Ze Smithem, który ciągle dyszy mi w kark? Odpada. –

Pokręciła głową. – Nie mam pojęcia, ile on wie, ale jest stanowczo za blisko. Odebranie śledztwa policji było błędem. Powinniśmy byli pozwolić im zidentyfikować tego trupa.

– Za duże ryzyko.

– Akta są dokładnie wyczyszczone. Nie udałoby się im połączyć go z nami. Ani z nami osobiście, ani z CIA, ani z FBI.

– Za duże ryzyko – powtórzył Burke. – Nie zapominaj, że inne agencje też mają bazy danych, bazy, do których nie mamy dostępu. Na przykład wojsko. Kurczę, przecież to ty spanikowałaś! To ty ciągle gadasz o tym Smisie i jego tajemniczych pracodawcach! Dobrze wiesz, że gdyby ktokolwiek odkrył, że Dolan był oficerem służb specjalnych, zaczęłyby się piekielnie niewygodne pytania.

Weszli do gabinetu. W małym, ciasnym, wyłożonym ciemną boazerią pokoju stały biurko, monitor, dwa fotele, kilka półek na książki i bateria sprzętu komputerowo-

łącznościowego. Obok klawiatury na biurku stały w połowie opróżniona butelka Jima Beama i szklanka. W powietrzu unosił się stęchły zapach potu, brudnych naczyń, pleśni i ogólnego zaniedbania.

Pierson z odrazą zmarszczyła nos. Toksyna coraz bardziej dawała im się we znaki i Burke nie wytrzymał.

– Napijesz się? – wychrypiał, opadając ciężko na obrotowy fotel za biurkiem. Wskazał jej drugi, dobitny grat o nierównym siedzeniu i wystrzępionej tapicerce.

Pokręciła głową i usiadła. Burke nalał sobie whisky. Przelał i na blacie pozostał mokry ślad po szklance. Nie zwracając na to uwagi, wypił wszystko jednym haustem. Z trzaskiem odstawił szklankę, spojrzał na Kit i powiedział:

– No dobra. Właściwie po co przyjechałaś?

– Żeby namówić cię do rozwiązania Toksyny – odparła bez wahania.

Zirytowany zacisnął zęby. Opadły mu kąciki ust.

– Już to przerabialiśmy, Kit – odparł. – Moja odpowiedź jest wciąż taka sama.

– Ale sytuacja się zmieniła! – Stężała jej twarz. – Dobrze o tym wiesz. Atak na Instytut Tellera miał zmusić Castillę do uznania Ruchu Łazarza za organizację terrorystyczną i natychmiastowego działania. Miał być względnie bezkrwawą pobudką, a nie pożywką dla tych z ruchu. A już na pewno nie chcieliśmy rozpętać serii zamachów bombowych i morderstw na całym świecie. Zamachów i morderstw, których nie sposób powstrzymać!

– Niezamierzone konsekwencje to wkalkulowane ryzyko każdej wojny – syknął Burke przez zaciśnięte zęby. – A my prowadzimy wojnę z Ruchem Łazarza. Może już zapomniałaś, o jaką stawkę walczymy.

Pokręciła głową.

– Niczego nie zapomniałam. Ale Toksyna jest tylko środkiem prowadzącym do celu, a nie celem samym w sobie. Ta operacja rozwija się tak szybko, że za nią nie nadążasz. Dlatego powtarzam: trzeba zmniejszyć straty, dopóki jeszcze możemy. Odwołaj ich. Każ im przerwać misję i się przyciąć. Wtedy pomyślimy o kolejnym posunięciu.

Żeby zyskać na czasie, Burke sięgnął po butelkę i nalał sobie whisky. Ale tym razem nie tknął szklanki. Zmrużył oczy i odparł:

– Nie uciekniemy przed tym, Kit. Za daleko zabrnęliśmy. Myślisz, że jeśli rozwiążemy Toksynę i schowamy pazury, twój nowy przyjaciel, doktor Smith, przestanie deptać ci po piętach i zadawać niewygodne pytania?

– Wiem, że nie – warknęła. – Zamach na niego był błędem. A już fiasko tego zamachu: kompletną katastrofą.

– Co było to było. – Burke obojętnie wzruszył ramionami. – Moi ludzie wciąż na niego polują. Namierzą go i przygwożdżą.

– Co znaczy, że nie masz zielonego pojęcia, gdzie on teraz jest, tak? – Pierson się zirytowała.

– Znowu się zaszył – przyznał Burke. – Kiedy powiedziałaś mi, że węszy na tym posterunku, wysłałem do Santa Fe swoich ludzi, ale zniknął, zanim dotarli na miejsce.

– Cudownie.

– Wścibski sukinsyn... Ale daleko nie ucieknie. Obserwujemy lotniska w Santa Fe i Albuquerque. Mój człowiek w biurze bezpieczeństwa wewnętrznego sprawdza wszystkie loty komercyjne. Kiedy tylko jego nazwisko pojawi się na liście pasażerów, natychmiast da mi znać.

A wtedy wkroczymy do akcji. – Posłał jej słaby uśmiech. – Zaufaj mi, Kit. Z praktycznego punktu widzenia Smith jest już trupem.

Kierowcy dwóch jadących bez świateł samochodów powoli zatrzymali się na poboczu przed skrzyżowaniem z prowadzącą na wzgórze żwirówką i zgasili silniki. Nie zdejmując wojskowego noktowizora AN/PVS 7, Smith sztywno wysiadł i podszedł do stojącego przed nim samochodu.

Howell – z noktowizorem tego samego typu – opuścił szybę i błysnął w ciemności białymi zębami.

– Ekscytujące, co? – rzucił.

– Boskie – mruknął Smith. Pokręcił głową, próbując rozruszać napięte mięśnie szyi i karku. Ostatni kwadrans jazdy doszczętnie zszargał mu nerwy.

Noktowizory były supernowoczesne, trzeciej generacji, mimo to wytwarzany przez nie obraz znacznie odbiegał od ideału: był monochromatyczny, lekko zielonkawy i ziarnisty.

Owszem, można w nich było prowadzić, lecz wymagało to wysiłku i pełnej koncentracji, żeby nie zjechać z drogi czy nie wpaść na nadjeżdżający z przeciwka pojazd.

Natomiast śledzenie Kit Pierson od Gmachu Hoovera do jej domu w Upper Georgetown było kaszką z mleczką. Sobotni wieczór, ulice pełne samochodów, ciężarówek, furgonetek i taksówek: bez trudu trzymali się dwa, trzy auta za nią i dojechali na miejsce jak po sznurku.

Pierson nie miała prawa ich zauważyć.

Nie zdziwili się, gdy kilka minut później opuściła dom, tym razem biorąc własny samochód. Od samego początku byli pewni, że jej nagły przyjazd do Waszyngtonu na odprawę z przełożonymi jest tylko przykrywką, pretekstem do wyjazdu z Santa Fe. Dyskretnie jechali za nią i początkowo szło im bardzo dobrze. Koszmar zaczął się dopiero wtedy, gdy skręciła z autostrady w boczną drogę, w jedną, drugą, potem kolejną. Ruch był tam w najlepszym razie mały, a Kit Pierson nie była głupia. Gdyby spostrzegła, że na ciemnym pustkowiu kilometr po kilometrze podążają za nią dwie pary tych samych świateł, momentalnie nabrałaby podejrzeń.

Właśnie wtedy musieli założyć noktowizory i zgasić reflektory, ale też musieli trzymać się od passata znacznie dalej, niżby chcieli – pozostawała im jedynie nadzieja, że nie przegapią chwili, gdy Pierson skręci w kolejną boczną drogę i dotrze wreszcie tam, gdzie jechała.

Smith powiódł wzrokiem wzdłuż żwirówki. Na zboczu niskiego wzgórza stał mały dom.

W oknach paliło się światło, przed drzwiami parkowały dwa samochody. Wyglądało na to, że są na miejscu.

– I co o tym myślisz? – spytał cicho.

Howell postukał w mapę rozłożoną na przednim siedzeniu: Państwowy Instytut Geologiczny, skala 1:20 000 – część ekwipunku od Kleina, który odebrali w bazie Andrews.

Poprawił noktowizor.

– Ta droga prowadzi na farmę – powiedział. – I tam się kończy. Wątpię, żeby pani Pierson uprawiała jazdę terenową i chciała pobaraszkować po tych wzgórzach. Nie tym wozem.

– Więc co proponujesz?

– Cofnijmy się kilkaset metrów. Widziałem tam kępę drzew. Ukryjmy samochody, weźmy sprzęt i idźmy tam piechotą. – Ponownie błysnął zębami. – Bardzo bym chciał wiedzieć, kogo pani Pierson odwiedza o tak późnej porze. I o czym z nim rozmawia.

Smith posępnie kiwnął głową. Nagle zdał sobie sprawę, że odpowiedź na kilka nurtujących go pytań może znaleźć w tym słabo oświetlonym domu na zboczu wzgórza.

Pod Marną, na wschód od Paryża

Ruiny Chateau de Montceaux, znanego jako Pałac Królowych, otaczał las Montceaux ciągnący się wzdłuż południowego brzegu krętej Marny niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Paryża. Ten pochodzący z połowy XVI wieku pałac kazała zbudować potężna, sprytna i przebiegła Katarzyna Medycejska, żona króla Francji i matka trzech kolejnych królów.

Wówczas elegancki, stojący w dużym parku i w otoczeniu rozległych terenów łowieckich, służył im jako letnia rezydencja, ale mniej więcej sto lat później, a więc w połowie XVII wieku, porzucony i zaniedbany, powoli odszedł w niepamięć. Od tamtej pory minęły stulecia i niewiele z niego pozostało, nie licząc pustej skorupy wielkiego, kamiennego pawilonu wejściowego, podłużnej fosy oraz fragmentów rozpadających się ścian z ziejącymi pustką oknami.

Między otaczającymi go drzewami unosiły się resztki porannej mgły, którą rozpraszało wschodzące słońce. Dzwony odległej o osiem kilometrów katedry St–Etienne w Meaux wzywały wiernych – ostatnio coraz mniej licznych – na niedzielną mszę. Odpowiadały im dzwony mniejszych kościołów parafialnych w wioskach rozrzuconych po tej spokojnej, sielskiej okolicy.

Na dużej polanie niedaleko ruin pałacu stały dwie wielkie przyczepy. Po bokach miały napis: GROUPE D'APERCU METEOROLOGIQUE, ekipa pomiarowo–badawcza Państwowego Instytutu Meteorologicznego. Wokół przyczep kręcili się technicy, rozstawiając dwie nachylone pod kątem i skierowane na zachód wyrzutnie szynowe. Każda wyrzutnia była wyposażona w katapultę na sprężone powietrze. Inni technicy po raz ostatni sprawdzali systemy napędowe i awionikę dwóch małych, bezzałogowych samolotów. Każdy samolot miał półtora metra długości i skrzydła o rozpiętości dwóch metrów i czterdziestu centymetrów.

Kończących pracę techników obserwował stojący nieopodal Nones. W jego słuchawkach rozbrzmiewały od czasu do czasu meldunki czujek rozstawionych w lesie wokół polany.

W promieniu kilkuset metrów nie było ani ciekawskich farmerów, ani innych niepożądanych gości.

Jeden z techników odpowiedzialnych za stan techniczny samolotów, Azjata o pochylonych ramionach i rzednących, czarnych włosach, wstał powoli i z wyrazem ulgi na znużonej, pomarszczonej twarzy spojrzął na Horacjusza.

– Ładunek zabezpieczony – zameldował. – Silniki, awionika, UHF i autonomiczne systemy kontroli sprawdzone. Punkty przelotowe skonfigurowane według GPS i potwierdzone.

Oba samoloty gotowe do lotu.

– Dobrze – odrzekł Nones. – Możecie przygotować się do startu.

Zszedł im z drogi, a oni ostrożnie podnieśli ważące czterdzieści pięć i pół kilograma samoloty i

ułożyli je na bliźniaczych wyrzutniach. Nones śledził je z uznaniem w zielonych oczach. Maszyny te skonstruowano na wzór zdalnie sterowanych sond używanych przez amerykańskie lotnictwo wojskowe do rozpoznania taktycznego, walki elektronicznej oraz wykrywania broni masowego rażenia – nuklearnej, biologicznej i chemicznej. On i jego podwładni znaleźli dla nich zupełnie inne, nowatorskie, a nawet pionierskie zastosowanie.

Przeszedł na częstotliwość nowo utworzonej grupy obserwacyjnej w Paryżu.

– Odbieracie dane ze strefy rażenia?

– Tak jest – potwierdził Linden. – Wszystkie czujniki i kamery działają bez zarzutu.

– Jaką macie pogodę?

– Temperatura, ciśnienie, wilgotność, kierunek i prędkość wiatru w normie, nie przekraczają założonych parametrów. Centrum każe wam zaczynać, kiedy tylko będziecie gotowi.

– Zrozumiałem – odrzekł spokojnie Nones. Spojrzał na techników czuwających przy wyrzutni. – Maski i rękawice – rzucił.

Szybko nałożyli maski i grube rękawice, które miały zapewnić im bezpieczną ewakuację, gdyby któryś z samolotów rozbił się podczas startu. Horacjusz poszedł w ich ślady.

– Katapulty pod ciśnieniem – zameldował Azjata, kucając przy konsolce między wyrzutniami. Jego palce zawisły nad klawiaturą komputera.

– Kontynuujcie – rzekł z uśmiechem Nones.

Technik kiwnął głową i pstryknął kilkoma przełącznikami.

– Silnik i śmigło... poszły.

Podwójne śmigła samolotów nagle ożyły i zawirowały z niskim furkotem, którego dwa, trzy metry dalej nie było już słychać.

– Pełna moc – zameldował technik.

– Start! – rozkazał Nones.

Z cichym „łuszcysz!” odpaliła pierwsza katapulta. Samolot pomknął po szynach, zatoczył

w powietrzu wysoki łuk i zawisł w jego najwyższym punkcie, jakby miał zaraz runąć na ziemię, lecz w tym samym momencie pchnęła go siła nośna śmigła i skrzydeł. Wspinając się wyżej i wyżej, przeleciał nad drzewami i wszedł na zaprogramowany kurs.

Dziesięć sekund później poszybował za nim drugi samolot. Obie maszyny, teraz już prawie niewidoczne z ziemi i zbyt małe, żeby mogły wychwycić je radary, wspięły się na pułap przelotowy

dziwięciuset metrów i z prędkością około stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę poleciały w kierunku Paryża.

Wirginia, wieś

Zgięty wpół Smith podążał za Howellem przez łąkę porośniętą wysokimi chwastami i kolczastymi krzakami. Widziana przez noktowizor okolica jarzyła się słabym, zielonkawym blaskiem. Kilkaset metrów w lewo mroczny krajobraz przecinała bita wiejska droga. Łąka szybko przeszła w stok wznoszący się łagodnie nad martwym stawem po prawej stronie.

Żwirówka, w którą skręciła Kit Pierson, wiła się jak wąż, zmierzając ku wierzchołkowi wznoszącego się przed nimi wzgórza.

Zahaczył o coś swetrem. Kolec. Przebił grubą warstwę ubrania i skaleczył go w ramię.

Smith zacisnął zęby, szarpnął ręką i poszedł dalej. Howell robił, co mógł, żeby obejść najgęstsze chaszczce, ale w niektórych miejscach musieli się przez nie przebijać, nie zważając na to, że kolce jeżyn, głogu i dzikiej róży rozdzierały ich czarne swetry i czarne skórzane rękawice.

W połowie stoku Peter nagle przyklęknął. Uważnie zlustrował okolicę i gestem ręki przywołał Smitha. W domu na szczycie wzgórza wciąż paliło się światło.

Obaj byli ubrani i wyposażeni odpowiednio na nocną misję rozpoznawczą w trudnym terenie. Oprócz noktowizorów każdy z nich miał wojskową kamizelkę bojową wypchaną sprzętem – aparatami fotograficznymi i różnego rodzaju urządzeniami podsłuchowymi – który czekał na nich w bazie Andrews. W kaburze na udzie Smith miał sig-sauera, a Howell swego ulubionego browninga high power. Dla zwiększenia siły ognia, jeśli byłoby to konieczne, każdy z nich dźwigał na plecach pistolet maszynowy MP5 Hecklera & Kocha.

Howell zdjął rękawicę i wystawił pośliniony palec, żeby sprawdzić kierunek leciutkiego, chłodnego i cichego jak szept wiatru. Zadowolony kiwnął głową i szepnął:

– Mamy trochę szczęścia. Wieje z zachodu.

Smith czekał. Peter spędził w terenie dziesiątki lat – najpierw jako żołnierz SAS, potem jako agent MI-6 – i raczej o poruszaniu się na terytorium wroga zapominał mniej, niż on się kiedykolwiek nauczył.

– Nie poniesie naszego zapachu – dodał. – Jeśli są tam psy, mogą sobie węszyć, ile wlezie.

Nałożył rękawicę i poszli dalej. Chwilę później musieli pochylić się jeszcze bardziej: szczyt wzgórza był tuż, tuż. Znajdowali się zaledwie kilka metrów od starej, rozpadającej się stodoły, a właściwie jej nagiego, pozbawionego dachu szkieletu, sterty połamanych, gnijących i przegniłych belek. Za stodołą dostrzegli niewyraźne kształty dwóch samochodów, volkswagena passata Kit Pierson i jakiegoś amerykańskiego wozu, jednego z tych starszych. Zza zaciągniętych zasłon sączyło się dość światła, żeby dom, cel obserwacji, zaśnił w noktowizorach jaskrawozielonym blaskiem.

Smith zauważył, że jego właściciel zadał sobie jedynie trud wycięcia wokół niego koślawego kręgu w najwyższych chwastach i krzakach. Ruszył za Howellem przez wysoką trawę, żeby jak najszybciej zejść z otwartej przestrzeni i przycupnąć za parkującymi przed domem samochodami.

– Gdzie teraz? – wymamrotał, gdy dotarli na miejsce.

Howell wskazał duże okno niedaleko frontowych drzwi.

– Chyba tam – szepnął. – Przed sekundą widziałem za zasłonami jakiś cień. Albo tylko mi się zdawało. Tak czy inaczej, warto spróbować. – Zerknął na Smitha. – Osłonisz mnie?

Jon wyjął z kabury sig–sauera.

– W każdej chwili.

Howell przeczołgał się szybko przez pobrudzoną olejem betonową płytę i zniknął w kępie krzaków przed domem. Smith widział go tylko dzięki noktowizorowi. Dla postronnego obserwatora Peter byłby jedynie mrocznym cieniem, który rozmył się w ciemności.

Ukląkł i uważnie przyjrzał się oknu. Zadowolony, ponownie przypadł do ziemi i dał znak Jonowi.

Smith podczołgał się do niego najszybciej, jak umiał. Był na otwartej przestrzeni, zupełnie nieosłonięty i przez całą drogę miał straszliwe uczucie, że ktoś go obserwuje. Pokonał

ostatnie metry, ciężko dysząc, i znieruchomiał obok Howella.

Ten nachylił się ku niemu i szepnął:

– Pierson na pewno tam jest.

Jon wykrzywił usta w spiętym uśmiechu.

– Miło słyszeć – syknął. – Przynajmniej nie na darmo rozwalilem sobie kolana. –

Przetoczył się na bok i z zapiętej na rzep kieszeni w kamizelce wyjął przybornik laserowy.

Nałożył słuchawki, pstryknął przełącznikiem i starannie wycelował laser w okno.

Jeśli promień lasera był w miarę stabilny, odbijał się od szklanej szyby, rejestrując vibracje wytworzone przez głosy rozmawiających wewnątrz ludzi. Przybornik powinien wtedy przetworzyć je na zrozumiałe dźwięki i przesłać do słuchawek.

Ku jego zdziwieniu wszystko zadziało, i to za pierwszym razem.

– Cholera jasna, Kit – usłyszał głos jakiegoś mężczyzny. – Nie możesz się teraz wycofać.

Podoba ci się to czy nie, musimy iść dalej. Nie mamy wyboru. Albo zniszczymy Łazarza, albo on

zniszczy nas!

Gabinet Łazarza

Siedział nieruchomo za masywnym, pociemniałym ze starości tekowym biurkiem.

W słabo oświetlonym gabinecie było cicho i chłodno. W tle szumiała klimatyzacja, wypełniając pokój powietrzem sterylne oczyszczonym z wszelkich pozostałości świata zewnętrznego.

Większą część blatu biurka zajmował ekran monitora komputerowego, przekazującego obraz z rozrzuconych po całym świecie kamer telewizyjnych. Delikatnym uderzeniem palca w klawiaturę Łazarz przełączał go z widoku na widok. Jedna z kamer – musiała być zainstalowana pod brzuchem samolotu – pokazywała rzekę wijącą się sześćset, może dziewięćset metrów niżej. Inna ponurą ulicę, zastawioną wrakami zdewastowanych samochodów i szare, betonowe bloki mieszkalne. Niemal wszystkie okna i drzwi były zakratowane albo zabite deskami.

Pod każdym obrazem pulsowały cyferki trzech czytników wskazujących czas miejscowy, paryski i wschodnioamerykański. Obok komputera stał telefon satelitarny z szyfratorem. Dwie mrugające na zielono diody mówiły, że obie grupy specjalne utrzymują z nim stałą łączność.

Pozwolił sobie na lekki uśmiech, rozkoszując się cudowną świadomością, że wszystko przebiega dokładnie według jego precyzyjnego, skomplikowanego planu. Jednym ruchem palca puścił maszynę w ruch, wydając rozkaz przeprowadzenia ostatnich testów w warunkach terenowych, testów niezbędnych do ostatecznego zestrojenia urządzeń, które – był tego pewien –

zbawią świat. Kolejnym rozkazem miał niebawem zapoczątkować serię posunięć, które pogrążą w niszczycielskim chaosie CIA, FBI i brytyjski wywiad.

Już wkrótce, pomyślał zimno. Już niedługo. Gdy słońce wzejdzie wyżej, potwierdzą się najgorsze obawy co do Stanów Zjednoczonych. Świat ogarnie przerażenie. Rozpadną się sojusze, otworzą stare rany. Dawne spięcia, pretensje i zadrażnienia przerodzą się w otwarty konflikt.

I zanim rządy zrozumieją wielkość i potęgę tego, co się dzieje, będzie już za późno.

Cicho zamruczał interkom. Łazarz wcisnął guzik pod głośnikiem.

– Tak?

– Pięćdziesiąt kilometrów do celu – zameldował starszy technik. – Parametry obu maszyn w normie.

– Świetnie. Kontynuujcie zgodnie z planem! – rozkazał Łazarz. Jednym ruchem palca przerwał połączenie, drugim nawiązał łączność z grupą uderzeniową Terce’a. – Operacja „Paryż” w toku – powiedział. – Bądźcie w pogotowiu. Czekać na mój rozkaz.

Wirginia, wieś

W kępie karłowatych sosen na zboczu wzgórza kilkaset metrów od zapuszczonego domu Burke'a parkowały trzy duże terenówki z napędem na cztery koła. W chaszczach między drzewami czekało dwunastu mężczyzn w czarnych kurtkach, swetrach i ciemnych dżinsach.

Czterech z nich czuwało na wysuniętych posterunkach i obserwowało okolice przez angielskie noktowizory marki Simrad. Siedmiu przycupnęło na piaszczystej łasze w głębi zagajnika. Po raz ostatni sprawdzali broń, strzelby, pistolety maszynowe i rewolwery.

Dwunasty mężczyzna, wysoki i potężnie zbudowany, siedział w samochodzie.

– Zrozumiałem – powiedział. – Czekamy na rozkaz. – Wcisnął guzik, schował telefon i ponownie założył słuchawki.

– Albo zniszczymy Łazarza, albo on zniszczy nas! – Odezwał się mężczyzna.

– Nie dramatyzuj, to do ciebie nie pasuje – odparła lodowato kobieta. – Nie zamierzam się poddawać. Mówię tylko, że Toksyna nie jest warta ceny, jaką za nią płacimy. I ryzyka, na jakie się narażamy. Powtarzam jeszcze raz to, co powiedziałam przez telefon: jeśli to wszystko rozejdzie się w szwach, nie zamierzam brać na siebie całej odpowiedzialności. Jasne?

Rozmieszczone w chacie mikrofony działały doskonale. Horacjusz lekko skinął głową.

Burke miał rację. Katherine Pierson zaczynała pękać i nie mogli już na niej polegać. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, pomyślał z ponurym rozbawieniem.

Odruchowo sprawdził magazynek walthera, nakręcił na lufę tłumik, schował pistolet do kieszeni kurtki i spojrzał na podświetloną tarczę zegarka. Już niedługo. Jeszcze tylko kilka minut.

Cichy, natarczywy pisk. Pilny meldunek z wysuniętego posterunku obserwacyjnego.

Przełączył kanały.

– Mów.

– Tu McRae – zaczął Szkot z charakterystycznym furkoczącym „r”. – Coś tam się rusza, przed samym domem.

– Już idę. – Terce pochylił głowę, żeby nie uderzyć się w ramę drzwi, wysiadł, pobiegł na skraj zagajnika i przykucnął obok McRae'a, który klęczał za omszałym, porośniętym dzikim pnączem powalonym pniem drzewa.

– Tam – szepnął Szkot. – W tych krzakach i wysokiej trawie na lewo od drzwi. Teraz nic nie widać, ale przed chwilą coś tam się ruszało.

Horacjusz przytknął noktowizor do oczu, powoli przesunął go wzdłuż południowej ściany domu i natychmiast zobaczył dwie jasne plamy ciepła na tle chłodniejszego, a tym samym ciemniejszego tła gęstego poszycia.

– Masz bardzo dobry wzrok, McRae – powiedział spokojnie. Noktowizory jego ludzi wzmacniały dostępne światło. Zmieniały noc w upiornie zielonkawy dzień, lecz w przeciwieństwie do jego noktowizora, nie widziały, nie rozróżniały i nie rejestrowały ciepłoty otoczenia. Jego ważący prawie dwa i pół kilograma i wart sześćdziesiąt tysięcy dolarów francuski noktowizor termiczny Sophie był najnowocześniejszym i najskuteczniejszym urządzeniem tego typu na świecie. Nocą i przy zaciągniętym niebie najlepsze noktowizory pasywne – wzmacniające dostępne światło – miały zasięg trzystu, maksymalnie czterystu metrów, tymczasem noktowizor termiczny wychwytywał sygnaturę ciepłą człowieka z odległości ponad trzech kilometrów, i to nawet człowieka ukrytego za grubą przeszkodą.

Dwóch szpiegów pojawia się przed domem zaraz po przyjeździe Kit Pierson, myślał

Terce. Czy to zwykły przypadek? A może ich tu ściągnęła, świadomie lub nie? Wzruszył ramionami. Nie wierzył w przypadki. Ani on, ani jego chlebodawca.

Co mógł zrobić? Przez chwilę żałował, że centrum przeniosło jego snajpera do paryskiej grupy operacyjnej. Dużo prościej i o wiele bezpieczniej byłoby zlikwidować tych dwóch dwoma celnymi strzałami z dużej odległości. Ale cóż, nie czas był na żal. Jego ludzie byli wyszkoleni i wyposażeni do walki bezpośredniej i taką właśnie taktykę musiał obrać.

Podał noktowizor Szkotowi.

– Miej ich na oku – rozkazał zimno. – Daj znać, jeśli się ruszą. – Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. Jeden sygnał i...

– Burke. Słucham.

– Mówi Terce. Mam wiadomość. Proszę zachować spokój i nie reagować. Rozumie pan?

Krótką pauza.

– Tak, rozumiem.

– Dobrze. Niech pan uważnie posłucha. Moi ludzie wykryli obecność obcych przed pańskim domem. Jest pan obserwowany. Ci ludzie są blisko. Bardzo blisko. Załedwie kilka metrów od pana.

– To bardzo... interesujące – odparł spięty Burke. Lekko się zawahał. – Czy twoi sobie poradzą?

– Na pewno.

– Kiedy?

Oczy Terce'a zaślniły zielonym blaskiem w ciemności.

– Za kilka minut. Już zaraz.

– To dobrze. – Burke znowu się zawahał. – Czy mam rozumieć, że to sprawa...

międzywydziałowa?

Pytał, czy to Kit Pierson ściągnęła tu kogoś, kto węszył teraz pod oknem jego domu.

Horacjusz uśmiechnął się lekko. Zrobiła to czy nie, sprawa nie miała już znaczenia.

– Myślę, że mądrze by było przyjąć takie założenie – odparł.

– To fatalnie – rzucił nerwowo Burke. – Fatalnie.

– Tak – zgodził się z nim Terce. – Tymczasem proszę na siebie uważać. Bez odbioru. –

Przerwał połączenie, schował telefon i wziął od Szkota noktowizor. – Idź do samochodów i sprowadź tu pozostałych – rozkazał. – Tylko po cichu. – Wyszczерzył zęby w wilczym uśmiechu. – Powiedz im, że idziemy na polowanie.

– Kto to był? – spytała zaskoczona Pierson.

– Oficer dyżurny z Langley – odrzekł Burke. Mówił powoli i wyraźnie, nienaturalnie spiętym głosem. – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyciła kilka meldunków do Łazarza i kurier...

Smith wyteżył słuch. Zmarszczył brwi. Nie wyłączając lasera, zerknął na Howella.

– Coś jest nie tak – szepnął. – Burke rozmawiał z kimś przez telefon i nagle zrobił się bardzo spięty. Teraz gada coś bez sensu, byle gadać.

– Myślisz, że już o nas wie? – spytał cicho Howell.

– Możliwe, chociaż nie mam pojęcia skąd.

– Chyba go nie doceniliśmy. – Peter sposepniał. – W naszej pracy to śmiertelny grzech.

Śmiem podejrzewać, że pan Burke zabezpieczył się znacznie lepiej, niż przypuszczaliśmy.

– Ma wsparcie?

– Całkiem możliwe. – Howell wyjął mapę i przesunął po niej palcem, śledząc ukształtowanie terenu. Palec znieruchomiał na skraju lasu na zachód od chaty. – Gdybym chciał

mieć ten dom pod obserwacją, rozstawiłbym czujki tutaj.

Smith poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Peter miał rację. Z miejsca, które pokazywał, roztaczał się doskonały widok i na dom, i na niemal całą farmę.

– Co proponujesz?

– Natychmiastowy odwrót – rzucił krótko Anglik, chowając mapę do kieszeni. Zdjął

z pleców pistolet maszynowy i trzasnął dźwignią zamka, wprowadzając nabój do komory. – Nie wiemy, ilu jest przeciwników, i nie ma sensu zwlekać, żeby to sprawdzić. Zdobyliśmy kilka cennych informacji, to wystarczy. Nie kuśmy losu.

Smith wyłączył laser i zamknął przybornik.

– Słusznie – rzucił i zdjął z pleców automat.

– W takim razie za mną. – Howell wstał i nisko pochylony pobiegł w stronę parkujących przed chatą samochodów. Jon popędził za nim, mając wrażenie, że zaraz usłyszy czyjś ostrzegawczy krzyk i poczuje nagłe uderzenie kuli. Ale nie. Słyszał tylko nocną ciszę i czuł coraz szybsze bicie swego serca.

Samochody, rozlatująca się stodoła, niskie wzgórze i zachwaszczona łąka u jego stóp –

biegli przed siebie, obierając kierunek w taki sposób, żeby zbocze wzgórza osłaniało ich przed ewentualnymi obserwatorami czatującymi na wyższym wzgórzu, tym na zachód od domu Burke’a. Howell prowadził, sunąc bezszelestnie jak duch przez artretycznie poskręcane cierniste krzewy i wysokie do pasa zielsko. Robił to zwinnie i z wdziękiem nabytym przez lata szkoleń i praktyki.

Dotarli już do stawu, gdy nagle padł na ziemię za krzakiem dzikich malin. Smith zrobił to samo i, starając się oddychać jak najciszej, z pistoletem maszynowym przy piersi podczołgał się bliżej. Ponieważ leżeli w płytkiej niecce u stóp wzgórza, a lekki wiatr wiał dość wysoko nad nimi, cuchnęło tam wodorostami i gnijącymi owocami

– Chryste – mruknął Howell. – No to klops. Słyszysz?

Z oddali dochodził cichy, lecz z każdą sekundą narastający warkot potężnego silnika. Jon ostrożnie wyjrzał zza krzaka. Mniej więcej dwieście metrów dalej wiejską drogą jechała na wschód duża, czarna terenówka. Jechała bez świateł.

– Myślisz, że zauważą nasze samochody? – spytał.

Howell ponuro kiwnął głową. Mała kępa drzew, gdzie zaparkowali, nie nadawała się na dobrą kryjówkę.

– Na pewno. A wtedy rozpęta się piekło. Jeśli już się nie rozpętało. – Zerknął przez ramię.

– Pech – mruknął. – Za późno. Spójrz za siebie. Tylko ostrożnie.

Jon powoli odwrócił głowę i zobaczył pięciu mężczyzn schodzących ze wzgórza. Każdy trzymał w rękach pistolet maszynowy lub strzelbę.

Zaschło mu w ustach. Ten najbliższy był zaledwie sto, sto dziesięć metrów od nich.

Wpadli w pułapkę.

– Masz jakiś pomysł? – spytał.

– Mam. Przygwoździmy ich do ziemi i weźmiemy nogi za pas – odrzekł Howell. –

Musimy tylko trzymać się z dala od drogi. Tam nie ma się za czym ukryć. Pobiegniemy na północ. – Odwrócił się, przyklęknął na jedno kolano i wycelował.

Smith poszedł w jego ślady, ale przyłożywszy kolbę do ramienia, zawahał się z palcem na spuście, nie wiedząc, czy ma ich zabić, czy tylko nastraszyć. Czy to ci sami, którzy próbowali dopaść mnie na rynku? – myślał. Czy może ich kumple? A może to agenci CIA albo ochroniarze strzegący farmy Burke'a?

Jeden z nich dostrzegł ich i znieruchomiał.

– Kontakt na dwunastej! – krzyknął po angielsku z silnym obcym akcentem i natychmiast otworzył ogień, zasypując ich gradem kul.

Gdy kule zaświstały mu z jękiem nad głową, Smith wyzył się skrupułów. Nie. Ci ludzie byli zwykłymi najemnikami i wcale nie zamierzali brać jeńców. Pociągnęli za spust jednocześnie, on i Howell, posyłając w nich kilka trzystrzałowych, starannie mierzonych serii od lewej do prawej i od prawej do lewej. Jeden z napastników przeraźliwie krzyknął i trafiony w brzuch, zgiął się wpół. Pozostali czterej przypadli do ziemi.

– Chodu! – rzucił Howell, klepiąc Smitha w ramię.

Zerwali się na równe nogi i pognali w ciemność, na północ. Peter ponownie prowadził, lecz tym razem zamiast tracić czas na szukanie łatwiejszych przejść w gąszczu ciernistych krzewów, przebijał się przez nie jak taran, w pełnym pędzie. Nie chodziło już o to, żeby uciec stąd ukradkiem – chodziło o to, żeby po prostu uciec, i to jak najszybciej. Musieli pokonać jak największą odległość, zanim tamci dojdą do siebie i ponownie zaczną strzelać.

Smith biegł tuż za nim. Pistolet maszynowy trzymał w wyciągniętych przed siebie rękach, żeby osłonić twarz przed plątaniną rozszczepionych gałęzi i ostrych jak brzytwa cierni. Kolce darły i szarpały ubranie, wbijały się w ręce i nogi. Z ramion spływał mu pot, paląc jak żywym ogniem tam, gdzie miał coraz więcej ran, zadrapań i skaleczeń.

Od strony wzgórza gruchnęły serie wystrzałów, jedna, druga i trzecia. Kule poszatkowały zarośla, strącając z nich liście, rozłupując gałęzie i rozrzucając grad drzazg.

Runęli na ziemię, wpełzli do płytkiego zagłębienia za krzakami i odwrócili się w stronę wzgórza.

– Uparte sukinsyny – rzucił zimno Howell, nie zważając na świszczące nad głową kule. –

Trzeba im to oddać. – Wyteżył słuch. – Strzela tylko dwóch. A gdzie reszta?

– Zachodzą nas z boku albo od tyłu – odparł Smith. – Tamci ich osłaniają.

– Całkiem prawdopodobne – burknął Howell i nagle się uśmiechnął. – Pokażmy im, że to wcale nie taki dobry pomysł. Co ty na to?

Jon kiwnął głową.

– No to już – dodał Peter. – Zaczynamy.

Zerwali się z ziemi i otworzyli ogień, siejąc krótkimi, trzy strzałowym i seriami po zboczu wzgórza. Przez chwilę Smith miał wrażenie, że słyszy czyjś krzyk i widzi zielonkawe sylwetki mężczyzn chowających się szybko za kępy jeżyn i wysokich chwastów. Schowali się, a potem znowu zaczęli strzelać.

Jon i Peter wpełźli do płytkiego, krętego rowu melioracyjnego i poczołgali się szybko przed siebie. Rów biegł skrajem lekko nachylonego, porośniętego zielonym polem i skręcał na wschód. Pięćdziesiąt metrów dalej zaryzykowali i wystawili głowy, żeby rozeznac się w sytuacji.

Jeden z tamtych wciąż strzelał, próbując przygwoździć ich do ziemi. Pozostali trzej znowu biegli na wschód, szeroką tyralierą w poprzek szesnastohektarowego pola.

– Niech to szlag – zaklął cicho Howell. – Co oni knują?

Smith zmrużył oczy. Wyglądało na to, że napastnicy przestali ich ścigać. Zamiast tego, próbowali odciąć ich kordonem od drogi i kępy drzew, gdzie ukryli samochody.

– Cholera jasna, to nagonka! – jęknął.

Howell popatrzył na niego przez chwilę, zacisnął zęby i krótko skinął głową.

– Masz rację. Powinienem był to przewidzieć. Chcą nas stąd wypłoszyć i zapędzić pod lufy tamtych. – Westchnął, ciężko i z niesmakiem. – Boże, traktują nas jak stado cietrzewi czy przepiórek.

Wbrew własnej woli Jon omal nie parsknął śmiechem. Jego stary przyjaciel był szczerze urażony, że nieprzyjaciel ich tak zlekceważył.

Howell powiódł wzrokiem po pagórkowatym, jeszcze bardziej zarośniętym polu na północ od nich.

– Gdzieś tam zastawili na nas paskudną zasadzkę. – Wyjął pusty magazynek i włożył nowy. – Trudno będzie ich obejść.

– To na pewno – odrzekł Jon. – Ale przynajmniej pod jednym względem mamy nad nimi przewagę.

Zaskoczony Peter uniósł brew.

– Tak? Możesz mnie oświecić?

– Proszę bardzo. – Smith poklepał kolbę automatu. – Cietrzewie i przepiórki nie umieją strzelać.

Tym razem to Howell musiał stłumić smutny śmiech.

– Co prawda, to prawda – odparł. – Cóż, dobrze. Zobaczmy, czy zwierzynie uda się zapolować na myśliwych.

Wypełzli z rowu i poczołgali się na północ. Wybrali okreśną trasę, podążając wąziutkimi ścieżkami wydeptanymi przez małe zwierzęta mieszkające w wysokich zaroślach. Cały czas trzymali się tuż przy ziemi, pełzli lub szli na czworakach najszybciej, jak tylko mogli, starając się jednocześnie robić jak najmniej hałasu w mijanych po drodze chaszczach i krzewach.

Świadomość, że gdzieś tam, w ciemności, czyha nieprzyjaciel, sprawiała, że bycie niewidzialnym było równie ważne jak szybkość.

Smith czuł, jak z brudnego czoła spływają mu krople potu. Ocierał je niecierpliwie, nie chcąc, żeby dostały się do obiektywów noktowizora. W zielonkawej poświacie pojawiały się nagle łodygi roślin i wijące się pnącza, które znikwały, roztrącane ruchem rąk, głowy i tułowia. Tu, w sercu tej splątanej gęstwiny, widoczność spadła do zaledwie kilku metrów. Było ciepło, a w powietrzu unosił się ostry zapach wilgoci, mchu, ziemi i świeżych zwierzęcych odchodów.

Od czasu do czasu nad głowami świstały im kule, siekąc krzaki i zarośla po obu stronach.

Ścigający ich tyralierą najemnicy znowu otworzyli ogień, strzelając oszczędnyimi seriami i pędząc zwierzynę wprost pod lufy czatujących w ciemności myśliwych.

Napięcie i wysiłek fizyczny zaczynały dawać się Smithowi we znaki. Oddychał coraz głośniejsz i z coraz większym trudem. Skupiał się tylko na jednym, na uważnej obserwacji Howella, na tym, gdzie opiera łokcie i kolana, żeby pełznąć, potrącać jak najmniej roślin.

Nagle Peter zamarł. Przez długą chwilę trwał bez ruchu, wyęzając słuch. Potem powolnym ruchem ręki przywołał go bliżej.

Jon ostrożnie podniósł głowę i przez wysoką trawę zlustrował okolicę. Byli w pobliżu północnego skraju pola. W lewą stronę na wschód i w prawą na zachód ciągnęły się resztki starego ogrodzenia. Tuż za nim teren łagodnie opadał i przechodził w małą kotlinę, której przeciwległe zbocze, też niskie i łagodne, pięło się krzywo na północny wschód. Było upstrzone karłowatymi brzożami i kępami krzewów, lecz teren jako taki wydawał się bardziej otwarty i zapewniał znacznie mniej kryjówek.

Howell wskazał je palcem, a potem wykonał charakterystyczny gest ręką: nieprzyjaciel.

Jon kiwnął głową. Zbocze za kotliną musiało być miejscem, gdzie tamci zastawili zasadzkę. Każdy, kto zacząłby się na jego szczycie, miałby doskonały widok na całą farmę i mógłby prowadzić stamtąd celny ostrzał. Zmarszczył czoło. Ich sytuacja szybko się pogarszała.

Howell popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Nie mamy wyjścia – wymamrotał. Wyjął z ładownicy pusty magazynek i zaczął czekać, aż Smith zrobi to samo. – Plan jest taki – szepnął, postukując magazynkiem w ziemię. – Żeby odwrócić ich uwagę, rzucimy je w prawo, najdalej, jak tylko się da. Rzucimy, wbiegniemy na tamto wzgórze, skęcimy w prawo i spenetrujemy przeciwległe zbocze, strzelając do wszystkiego, co się poruszy.

Jon wytrzeszczył oczy.

– To ma być plan?

– Nie ma czasu na kunsztowne zagrywki – tłumaczył cierpliwie Peter. – Musimy zaatakować szybko i bez pardonu. Szybkość i zaskoczenie to nasze jedyne atuty. Jeżeli któryś z nas oberwie, drugi musi iść dalej bez niego. Zgoda?

Smith spuścił wzrok. Bardzo mu się to nie podobało, ale Peter miał rację. W tej sytuacji każda zwłoka – z jakiegokolwiek powodu, choćby miała to być pomoc rannemu przyjacielowi –

byłaby fatalna w skutkach. Tamci mieli tak dużą przewagę liczebną, że ich jedyną szansą były przebiecie się przez linię wroga i dalsza ucieczka.

Trzymając pusty magazynek w lewej, a pistolet maszynowy w prawej ręce, powoli przyklęknął, przygotowując się do skoku przez ogrodzenie i szaleńczego biegu przez kotlinę.

Howell przyklęknął obok niego.

Daleko za nimi gruchnęła kolejna seria z automatu. Przebrzmiało echo, zapadła cisza.

– Zaczynamy – szepnął Howell. – Gotowy? Teraz!

Cisnęli magazynki w prawo. Zatoczyły szeroki łuk, wylądowały z trzaskiem na ziemi i nienaturalnie głośno zaklekotały na kamieniach.

W tym samym momencie Smith zerwał się na równe nogi i pobiegł przed siebie. Jednym susem przesadził ogrodzenie, upadł, przetoczył się przez ramię i błyskawicznie wstał. Howell pędził kilka metrów za nim.

Z tyłu i z prawej rozległ się krzyk, ale nieprzyjaciel zauważył ich o wiele za późno. Wciąż gnając na złamanie karku, Jon i Peter przecięli kotlinę i wbiegli na szczyt niskiego wzgórza.

Jon natychmiast skęcił w prawo i z automatem w rękach zaczął wypatrywać celów w świecących na zielono chaszczach. Jest! Jakiś kształt poruszający się pod nisko zwisającymi gałęziami brzozy niecałe dziesięć metrów dalej. Mężczyzna, jeden z tamtych. Jeszcze przed sekundą leżał na ziemi, spoglądając w dół zbocza, a teraz odwracał się rozpaczliwie w jego stronę. W rękach ścisnął uzi.

Jon wymierzył i pociągnął za spust, posyłając w niego trzy pociski kaliber 9 milimetrów.

Wszystkie trzy trafiły, wszystkie trzy uderzyły z potworną siłą i odrzuciły tamtego do tyłu.

Mężczyzna runął na trupioblady pień brzozy i znieruchomiał.

Rozdzielili się, żeby nie skosiła ich pojedyncza seria i poszli dalej opadającym na północny wschód zboczem. Z tej strony porastały je brzozy, karłowate sosny i kolczaste krzewy, tylko w nielicznych miejscach widać było maleńkie splechotki trawy. Zdezorientowani nagłą kanonadą naganiacze strzelali teraz na oślep, prując z automatów nie w to zbocze. Odbijające się rykoszetem od pni drzew kule bzycały w górze jak rozsierdzone pszczoły.

Jon wyszedł ostrożnie na małą polanę i nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch po prawej.

Odwrócił się na pięcie, by zobaczyć czarną lufę karabinu szturmowego M16 sterczącą zza porośniętego pnączami pniaka. Lufa była wycelowana prosto w niego! Rzucił się na ziemię w chwili, gdy tamten wypalił. Pocisk kaliber 5.5 milimetra musnął ubranie i rozorał mu ciało.

Dwa kolejne wyrwały w ziemi dwie długie bruzdy.

Jon przetoczył się w lewo, rozpaczliwie próbując zejść z linii ognia. Padły kolejne strzały i kolejne kule wznieciły gejzery ziemi kilkanaście centymetrów od jego głowy. Wciąż tocząc się w lewo, szukał jakiegokolwiek schronienia w zasięgu wzroku. Ale nie znalazł żadnego. Tamten przyłapał go na otwartej przestrzeni.

I wtedy ukazał się za nim Howell, który spokojnie i metodycznie zaczął ostrzeliwać pniak krótkimi, starannie mierzonymi seriami. Zafurkotały kawałki kory, trysnęła fontanna poszatkowanych kulami pnączy. Kryjący się za pniakiem strzelec przeraźliwie krzyknął i zapadła cisza.

– Jesteś cały? – zawołał cicho Peter.

Jon poruszył ramieniem. Rana krwawiła i wiedział, że wkrótce będzie bolała jak wszyscy diabli. To cud, że nie odniósł żadnych innych obrażeń.

– Powiedzmy – odrzekł, ciężko dysząc i z trudem dochodząc do siebie.

Chryste, omal go nie zabili. Zdał sobie sprawę, że wychodząc na polankę, popełnił wielki błąd, spieprzył sprawę jak rekrut na szkoleniu dla żółtodziobów. Rozwścieczony pokręcił głową.

– To sprawdź, czy ten sukinsyn na pewno nie żyje – ponaglił go Howell. – Tylko szybko.

– Już idę. – Niezdarnie wstał, zszedł z polanki, przedarł się przez chaszczę, ostrożnie rozgarnął wysokie zarośla i wychynął z drugiej strony pniaka.

Tamten leżał twarzą do ziemi, a jego karabin dwa metry dalej.

Nie żył czy tylko się przyczaił? Jon zacisnął palec na spuście. Może dla pewności posłać w niego krótką serię? Zmarszczył czoło i cofnął palec. W ogniu bitwy zrobiłby to bez najmniejszego wahania, ale nigdy nie strzeliłby do bezbronnego, wijącego się z bólu przeciwnika. Nie pozwoliłaby mu na to wojskowa przysięga i, co ważniejsze, świadomość wyraźnej granicy między dobrem a złem.

Nie spuszczał go z muszki, podszedł bliżej. Spod brzucha mężczyzny wypływała stróżka krwi. Był niski, dobrze zbudowany i umięśniony. Miał małą, okrągłą głowę i rudawe włosy. Smith podszedł jeszcze bliżej i nachylił się, żeby zbadać mu puls.

Gdzieś z przodu gruchnęło kilka wystrzałów. Howell natychmiast odpowiedział krótką serią.

Zdekoncentrowany Smith odwrócił głowę, żeby sprawdzić, skąd padły strzały i odruchowo przykucnął.

I właśnie wtedy „trup” nagle ożył. Rzucił się na niego jak szarżujący wąż, zaprawił go bykiem w brzuch i powalił na ziemię. Pistolet maszynowy poszybował łukiem w powietrze i upadł w krzaki.

Jon szarpnął się do tyłu i w tej samej chwili w rękę tamtego pojawił się nóż. Ostrze już opadało, więc przetoczył się błyskawicznie w bok, ale zdążył wstać, żeby w ostatniej chwili zablokować cios zewnętrzną stroną lewego ramienia. Nóż przeciął rękaw i skórę. Klinga zatrzymała się dopiero na kości, zalewając mu czaszkę falą palącego bólu. Ale nie mógł o tym myśleć – nie teraz. Odpowiedział ciosem na cios i kantem dłoni grzmotnął rudzielca w nadgarstek, paraliżując mu palce.

Nóż zaklekotał głucho na ziemi.

Tym samym płynnym ruchem Jon uderzył napastnika prawym łokciem w twarz. Trafił

w nos. Usłyszał ohydny trzask pękającej chrząstki oraz kości, której odłamki wbiły się tamtemu w mózg. Rudzielec nawet nie krzyknął. Upadł i znieruchomiał. Już nie musiał udawać trupa.

Smith usiadł. Dyszał jak po długim biegu. Czuł, że z głębokiej rany na lewej ręce płynie krew. Muszę ją czym prędzej przewiązać, pomyślał tępo. Nie ma sensu zostawiać za sobą śladów. Trafiliby do mnie jak po sznurku. Wytrząsnął z kieszeni opatrunek polowy, szybko przyłożył do rany gazę i obwiązał ramię bandażem.

Cichy gwizd od strony lasu. Podniósł głowę. Z ciemności wyszedł Howell.

– Przepraszam – szepnął. – Jeden z nich wystawił łeb i chciał do mnie strzelić.

– No i? Wymacałeś go?

– O tak – odparł z satysfakcją Peter. – Dokładnie. – Przyklęknął na jedno kolano i przewrócił rudzielca na plecy. Zobaczył jego twarz i rozszerzyły mu się oczy. Głośno wciągnął powietrze.

– Znajomy? – rzucił Jon.

Howell skinął głową. Miał posępną minę.

– To McRae – odrzekł. – Był żołnierzem w SAS. Miał opinię awanturnika i zabijaki.

Dobrze walczył. Paskudny sukinsyn. Kilka lat temu za bardzo przegiął i wyrzucili go z wojska.

Kiedy słyszałem o nim ostatni raz, był najemnikiem w Afryce i Azji. Od czasu do czasu pracował również dla wywiadu.

Howell podniósł z ziemi broń Smitha.

– Dla MI-6 też? – spytał spokojnie Jon. Wziął od niego automat i sztywno wstał.

Peter niechętnie kiwnął głową.

– Rzadko – mruknął.

– Myślisz, że Londyn może być zamieszany w tajną wojnę Pierson i Burke’a?

Howell wzruszył ramionami.

– W tej chwili naprawdę nie wiem, co o tym sądzić. – Gdzieś w oddali sucho zaszczeakał

pistolet maszynowy. Peter podniósł głowę. – Nasi przyjaciele robią się nerwowi. Niedługo tu przyjdą i na pewno będzie ich wielu. Lepiej oderwijmy się od nich, póki jeszcze możemy.

Musimy znaleźć bezpieczną kryjówkę i wytrasnąć skądś nowy transport.

Plan miał sens. Tamci na pewno znaleźli już ukryte za drzewami samochody. Próba ich odzyskania wymagałaby zawrócenia, a wtedy ponownie wpadliby w pułapkę, z której dopiero co udało im się uwolnić.

Jon pomacał bandaż, żeby sprawdzić, czy nie przesiąkł krwią. Był suchy.

– Dobra. Prowadź. Będę osłaniał nas od tyłu.

Ruszyli na północ, między drzewami i wysokimi krzewami, i po chwili rozmyli się w ciemności. W oddali rozbrzmiewało słabe echo powoli milknącej kanonady.

Suchy trzask pierwszej serii z broni automatycznej natychmiast poderwał ją na nogi.

Wyjawszy służbowego smitha & wessona kaliber 9 milimetrów, szybko podeszła do okna i wyjrzała przez szparę między zaciągniętymi zasłonami. Nie zobaczyła nic, lecz wciąż słyszała huk wystrzałów i ich głośnie echo przetaczające się po niskich, falistych wzgórzach. Z mocno bijącym sercem odruchowo przykucnęła. Nie wiedziała, co się tam dzieje, wiedziała jednak, że to odgłosy zażartej walki.

– Czyżby kłopoty, Kit? – rzucił Burke ze zjadliwą nutką w głosie.

Zerknęła przez ramię i wstała przerażona. Burke trzymał w ręku pistolet, berettę.

I mierzył prosto w jej głowę.

– W co ty grasz, Hal? – Stała nieruchomo, nawet nie drgnąwszy, aż za bardzo zdając sobie sprawę, że pijany czy nie, z tak małej odległości na pewno nie chybi. Zaszło jej w ustach.

Widziała krople potu na jego czole.

Lekko drgały mu mięśnie wokół prawego oka.

– To nie gra – warknął. – I dobrze o tym wiesz. – Machnął lufą pistoletu. – Połóż broń na podłodze. Tylko ostrożnie. Bardzo ostrożnie... A potem wróc na miejsce i usiądź. Z rękami w górze.

– Spokojnie, Hal – odrzekła łagodnie, próbując ukryć strach. Chryste, on zwariował, stracił poczucie rzeczywistości! – Nie wiem, o co mnie podejrzewasz, ale przyrzekam, że...

Urwała. Za oknem znowu rozgorzała strzelanina.

– Rób, co mówię! – wychrypiął Burke z palcem nerwowo zaciśniętym na spuście. – Ale już!

Czując się jak w igloo, powoli przyklękła i położyła pistolet na podłodze, rękojeścią do przodu.

– Kopnij go w moją stronę. Tylko delikatnie!

Czubkiem buta przesunęła pistolet po brudnej, drewnianej podłodze.

– Siadaj!

Zła na niego, ale i na siebie, że tak bardzo się boi, powoli usiadła w zdezelowanym fotelu.

Ręce oparła na kolanach i rozwarła dłonie, żeby go nie prowokować.

– Wciąż nie wiem, co takiego zrobiłam – powiedziała. – I co to za strzelanina?

Sceptycznie uniósł brew.

– Po co udajesz niewiniątko, Kit? Już za późno. Nie jesteś idiotką. Ja też nie jestem głupi.

Naprawdę myślałaś, że możesz ściągnąć tu swoich kumpli bez mojej wiedzy?

Z desperacją pokręciła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nikt tu ze mną nie przyjechał, nikt mnie nie śledził.

Sprawdzałam przez całą drogę, byłam czysta!

– Kłamstwo nic ci nie da – odparł zimno. Zadrzała mu powieka prawego oka. Mięśnie skurczyły się i zwiotczały. – Kłamiąc, tylko mnie wkurzysz.

Zadzwonił telefon na biurku. Nie odrywając od niej wzroku i nie spuszczać jej z muszki, podniósł słuchawkę, zanim telefon zdążył zadzwonić drugi raz.

– Tak? – rzucił nerwowo. Słuchał przez chwilę, potem pokręcił głową. – Nie, panuję nad sytuacją. Możesz wejść. Drzwi są otwarte. – Odłożył słuchawkę.

– Kto to był? – spytała.

Burke uśmiechnął się ponuro.

– Ktoś, kto bardzo chce cię poznać.

Gorzko żałując, że postanowiła spotkać się z nim osobiście, siedziała spięta w fotelu i gorączkowo analizowała przeróżne plany wyplątania się z tego bałaganu. Analizowała je i jeden po drugim szybko odrzucała jako niepraktyczne, samobójcze albo samobójczo niepraktyczne.

Nagle zamarła. Poruszając się z niebezpiecznym wdziękiem tygrysa, do pokoju wszedł

bardzo wysoki, barczysty mężczyzna. W mdłym świetle lampki na biurku załśniły mu oczy. Były zielone, nienaturalnie zielone. Przemknęło jej przez myśl, że jest to ten sam człowiek, o którym czytała w raporcie pułkownika Smitha, jako o przywódcy „terrorystów” z Instytutu Tellera.

Pokręciła głową. Nie, to niemożliwe. Tamtego pożarły nanofagi uwolnione z pojemników przez wybuch bomb, które zniszczyły laboratorium.

– To jest Terce – rzucił szorstko Burke. – Dowodzi jedną z grup operacyjnych Toksyny.

Jego ludzie czuwają na zewnątrz. To oni zauważyli twoich tajniaków przed domem.

– Nie wiem, kto tam jest, ale to nie są moi ludzie – odparła, próbując mówić stanowczo i z przekonaniem w głosie. Każdy podręcznik psychologii, jaki przestudiowała w FBI, podkreślał, że spiskowcy panicznie boją się zdrady. Jako szefowa wydziału antyterrorystycznego często to

wykorzystywała, żeby rozbić podejrzane komórki i obrócić terrorystów przeciwko sobie: zachowywali się wtedy jak szczury w pułapce. Zagryzła dolną wargę i poczuła słonawy smak krwi. Skutki tej samej paranoicznej i zagrażającej jej życiu podejrzliwości odczuwała teraz na sobie.

– Nic z tego, Kit – odparł zimno Burke. – Nie wierzę w przypadki, dlatego albo kłamiesz, albo kiepski z ciebie fachowiec i coś spieprzyłaś. A w tej operacji nie możemy sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Terce początkowo milczał. Schylił się tylko, żeby podnieść pistolet z podłogi. Schował go do kieszeni czarnej wiatrówki i spojrzał na Burke'a.

– Niech pan odda broń – powiedział łagodnie. – Proszę.

Burke szybko zamrugał. Był wyraźnie zaskoczony.

– Co takiego?

– Proszę dać mi ten pistolet – powtórzył Terce. Podeszedł bliżej. Burke wyglądał przy nim jak karzełek. – Tak będzie bezpieczniej... dla nas wszystkich.

– Czemu?

Zielonooki olbrzym wskazał na wpół opróżnioną butelkę whisky na biurku.

– Za dużo pan wypił, nie ufam pańskim odruchom i zdolnościom do oceny sytuacji.

Proszę się uspokoić. Moi ludzie nad wszystkim panują.

Za oknem zabrzmiała kolejna salwa, tym razem gdzieś dalej.

Przez kilka sekund Burke stał bez ruchu, patrząc na Terce'a. Miał gniewnie zwężone oczy. Ale po chwili nachmurzony posłusznie podał mu broń.

Kit Pierson poczuła, jakby zdjęto jej z ramion kilkukilogramowy ciężar. Odetchnęła cicho. Nie знаła zielonookiego olbrzyma, lecz wiedziała, że na pewno nie jest głupcem.

Rozbrojenie Burke'a było bardzo mądrym posunięciem. Posunięciem, które mogło pomóc jej w rozładowaniu tej idiotycznej i jakże zapalnej sytuacji. Pochyliła się do przodu.

– Posłuchajcie – powiedziała chłodno i spokojnie. – Zróbmy coś, żeby rozwiązać ten problem racjonalnie. Po pierwsze, jeśli śledził mnie ktoś z FBI, gwarantuję, że zrobił to bez mojej wiedzy i zgody...

– Niech pani zamilknie – przerwał jej ozięble Terce. – Jest mi wszystko jedno, kto i dlaczego panią śledził. Pani motyw i kompetencje, czy też ich brak, są bez znaczenia.

Pierson spojrzała na niego i nagle zrozumiała, że z jego strony grozi jej takie samo

niebezpieczeństwo, jak ze strony Burke'a – a może nawet większe.

Pod Paryżem

Z cicho mruczącymi silnikami samoloty leciały na wysokości dziewięciuset metrów.

Ciągnące się w dole lasy, drogi i wioski przesuwały się pod nimi, by zniknąć w porannej mgle. Wschodzące nad głębokimi dolinami Sekwany i Marny słońce było wielką, czerwoną kulą na tle szarej, rozmytej bieli.

Im bliżej Paryża, tym teren był bardziej urozmaicony, gęściej zabudowany i zatłoczony.

Leżące wśród lasów i pól prastare wsie ustąpiły miejsca większym, nowocześniejszym przedmieściom, poprzecinanych torami kolejowymi i autostradami. W oddali pojawiły się bloki mieszkalne, strzelające w górę w nieregularnych odstępach i szerokim łukiem otaczające serce miasta.

Hen, wysoko na błękitnym niebie rysowały się długie smugi kondensacyjne z miliardów kryształków lodu unoszących się w czystym, zimnym powietrzu i znaczących drogę pasażerskiego samolotu odrzutowego. Odpalone pod Meaux maszyny zbliżały się do korytarzy powietrznych prowadzących na lotnisko Charles'a de Gaulle'a i Le Bourget. Ze względu na ich mały rozmiar niebezpieczeństwo wykrycia przez radary było niewielkie, mimo to sterujący nimi technicy nie chcieli niepotrzebnie ryzykować. Reagując na zdalnie wydane polecenie, oba samoloty obniżyły lot, schodząc na wysokość zaledwie stu pięćdziesięciu metrów i utrzymując niemal stałą prędkość stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Sala kontroli lotu w centrum dowodzenia Ruchu Łazarza

Sala mieściła się wewnątrz kompleksu, za licznymi drzwiami, których próg mogli przekroczyć tylko najbardziej zaufani i uprzywilejowani. Przed wielkimi konsolami w tym zaciemnionym pomieszczeniu siedziało kilkunastu naukowców i techników, którzy nieustannie analizowali zdjęcia i dane napływające z Paryża – dane zarówno z czujników naziemnych, jak i z urządzeń zamontowanych w zmierzających do miasta bezzałogowych samolotach. Kierunek wiatru, prędkość, wilgotność, ciśnienie atmosferyczne – pomiary były na bieżąco aktualizowane i automatycznie wprowadzane do wyrafinowanego programu sterująco–naprowadzającego. Dwa duże ekrany pokazywały teren przed i pod maszynami. W prawym dolnym rogu każdego z nich mrugały cyferki czytnika. Wskazywana przez nie odległość od celu zmniejszała się zależnie od starannych poprawek prędkości i kursu. Coraz bardziej spięci i podekscytowani naukowcy i technicy się wyprostowali. Odległość od celu malała z każdą sekundą, coraz szybciej i gwałtowniej zmierzając do zera.

Czteryście metrów... Trzysta... Sto pięćdziesiąt... Na obu ekranach zamigotał czerwony napis: OTWORZYĆ ZAWORY. Program sterująco–naprowadzający momentalnie zaszyfrował

polecenie i sygnałem radiowym przekazał je satelicie telekomunikacyjnemu. Z satelity rozkaz popłynął do samolotów, a te znajdowały się już nad północnymi przedmieściami Paryża.

La Courneuve

Coraz więcej ludzi wychodziło na brudne, zapuszczone ulice dzielnicy slumsów.

Niektórzy – tych było niewiele – szli do metra, żeby pojechać do pracy, o którą nie było łatwo.

Przeważały kobiety z koszykami i torbami, wysłane na zakupy matki, żony i babki. Pojawiły się również całe rodziny: szły na spacer do parku w północnej części dzielnicy lub szukały zadrzewionych skwerów, gdzie mogłyby odpocząć. Rodzice chcieli, by dzieci zaczerpnęły świeżego powietrza na otwartej przestrzeni, żeby choć na chwilę zapomniały o upstrzonych graffiti ulicach i zaśmieconych zaułkach Cite des Quatre Mille: niedzielny poranek był dla nich jedyną ku temu okazją. Złodzieje, bandyci, handlarze narkotyków i narkomani jeszcze spali zabarykadowani w betonowych mieszkaniach, które zapewniło im bogate, opiekuńcze państwo.

Lecąc równoległym kursem, samoloty zwiększyły pułap. Wzniosły się na wysokość ponad trzystu metrów i z niezmienną prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wleciały w przestrzeń powietrzną nad La Courneuve. Na pokładzie pierwszego i zaraz potem drugiego włączyły się przekaźniki, otwierając zawory dwóch cylindrycznych pojemników pod skrzydłami. Ze złowieszczym sykiem z pojemników wytrysnął niewidzialny strumień.

Setki miliardów nanofagów wersji trzeciej zawisły nad rozległą dzielnicą i niczym niewykrywalna chmura rychłej zagłady zaczęły powoli opadać na ziemię. Ich olbrzymie ilości dryfowały wśród tysięcy niczego niepodważających przechodniów, którzy z każdym oddechem wciągałi je do płuc. Miliardy innych, wessanych przez szeroko rozwarte paszcze szybów wentylacyjnych na dachach bloków, trafiło do wszystkich mieszkań, a tam, unoszone prądami powietrza, opadły na śpiących, drzemiących, otumanionych narkotykami lub oglądających telewizję ludzi.

Większość nanofagów była nieaktywna – te oszczędzały ograniczony zapas energii i, wędrując w organizmie nosiciela, w jego tkankach i krwi, czekały na umówiony sygnał. Jednak podobnie jak wśród tych, których użyto w Instytucie Tellera, jeden na sto tysięcy nanofagów był

nanofagiem sterującym. Znacznie większy od pozostałych, wyposażony w bardziej skomplikowane czujniki biochemiczne i większy zasób „paliwa”, był od samego początku aktywny. Miliardy takich nanofagów przeczesywało organizm zainfekowanego nosiciela w poszukiwaniu bodźca, na który były zaprogramowane, symptomów określonych chorób czy alergii. Pierwszy pozytywny odczyt natychmiast uwalniał chmurę molekuł kurierów, które aktywowały swoich mniejszych pobratymców. Rozpoczął się szal zabijania.

Na najwyższym piętrze i strychu starej szarej kamienicy w centrum dzielnicy Marais, kilka kilometrów na zachód od La Courneuve, mieścił się terenowy ośrodek obserwacyjny obsługiwany przez sześciu techników. Kilkanaście anten radiowych, zamontowanych na stromym, pokrytym dachówkami dachu kamienicy, rejestrowało strumień danych z czujników i kamer rozmieszczonych w strefie rażenia. Z anten dane te trafiały do połączonych w sieć komputerów. Tam były przetwarzane, analizowane i w razie potrzeby przekazywane przez satelitę do odległego centrum. Żeby zaoszczędzić na szerokości pasma nadawania – i ze względów bezpieczeństwa – w czasie rzeczywistym

przekazywano jedynie najważniejsze.

Siwowłosy Holender Linden zajął przez ramię jednemu z techników śledzących strumień nieustannie zmieniających się liczb. Nie chciał patrzeć na ekrany monitorów podłączonych do kamer na ulicach Cite des Quatre Mille. Niech robią to tamci, naukowcy, pomyślał ponuro. Ostatecznie to ich dzieło. On miał swoje zadania, dlatego szybko przeniósł

wzrok na ekran wyświetlający obraz z samolotów. Przeleciały już nad La Courneuve i zmierzały teraz na wschód, kursem równoległym do Canal de Pourcq.

Pstryknął włącznikiem mikrofonu, połączył się ze stanowiskiem startowym pod Meaux i zameldował:

– Eksperyment polowy numer 3 przebiega bez zakłóceń. Napływ danych w normie.

Samoloty lecą zgodnie z zaprogramowanym kursem i prędkością. Przewidywany czas przybycia do celu: dwadzieścia minut.

– Jeszcze ich nie wykryli? – spytał spokojnie Nones.

Linden spojrzął na Vitora Abrantesa. Młody Portugalczyk odpowiadał za nasłuch i monitorował częstotliwości nadawania policji, straży pożarnej oraz ruchu powietrznego.

Pomagały mu w tym programy komputerowe reagujące na określone słowa i wyrażenia.

Pokręcił głową.

– Jak dotąd nic. Było kilka telefonów na pogotowie, ale jeszcze się w tym nie połapali.

Linden odetchnął. Zapoznano ich pobieżnie ze skutkami działania nanofagów wersji trzeciej, dlatego wiedział, że jako jedne z pierwszych rozkładowi ulegają miękkie tkanki ust i języka. Ponownie włączył mikrofon.

– Nie – zameldował. – Władze jeszcze śpią.

Brązowooka, brązowowłosa, szczupła i piękna Nouria Besseghir ścisnęła za rączkę swoją pięcioletnią córeczkę Tasę i pociągnęła ją za sobą przez ulicę. Chciała przyspieszyć kroku, a dobrze wiedziała, że Tasa jest bardzo ciekawska, nieuważna i roztargniona. Pozostawiona sama sobie, mogłaby stanąć na środku jezdni, żeby popatrzeć na układające się w ciekawy wzór pęknięcia asfaltu czy intrygujące graffiti na ścianie pobliskiego domu. Wprawdzie o tej porze samochodów było tu niewiele, ale nieliczni kierowcy i tak nie przestrzegali przepisów i nie zważali na bezpieczeństwo przechodniów. W tej dzielnicy bezprawia – Francuzi nazywali ją Strefą potrącenia ze skutkiem śmiertelnym należały do codzienności, a już na pewno zdarzały się częściej niż interwencje policji, która w takich przypadkach prawie nigdy nie wszczyniała śledztwa.

Przyspieszyła kroku też dlatego, że nie chciała zwracać na siebie uwagi tych wstrętnych drapieżników, obskurnych mężczyzn, którzy krążyli po zaśmieconych ulicach lub siedzieli w kucki w mrocznych zaułkach. Nie dalej jak przed sześcioma miesiącami jej mąż pojechał do ojczystej Algierii

w „rodzinnych interesach” – tak przynajmniej twierdził. Pojechał, no i zginął

w strzelaninie między algierskimi siłami bezpieczeństwa a islamskimi rebeliantami, którzy regularnie występowali przeciwko despotycznemu rządowi. Wiadomość o jego śmierci dotarła do niej wiele tygodni później, lecz wciąż nie dowiedziała się, kto go właściwie zabił.

I tak została wdową – dzięki temu, że urodziła się we Francji, przysługiwała jej skromna renta od francuskiego rządu. Dlatego dla trzęsących dzielnicą złodziei, alfonsów i bandziorów była łakomym kąskiem. Każdy z nich chętnie zaproponowałby jej „ochronę” – w zamian za jej ciało i naturalnie pieniądze.

Z obrzydzeniem wykrzywiła usta. Na Allaha, jej zmarły mąż Hakkim też nie należał do najszlachetniejszych, ale wolałaby już raczej umrzeć niż dać się dotknąć tym wstrętnym ludzkim pasożytom. Dlatego ilekroć wychodziła z córką ze swego maleńkiego mieszkania, zawsze szła szybko ze wzrokiem wbitym w ziemię. Obie wkładały też hijab, długą, luźną szatę i chustkę na głowę, żeby wszyscy wiedzieli, że są porządnymi, przyzwoitymi muzułmankami.

– Mamo, spójrz! – wykrzyknęła nagle Tasa, wskazując błękitne niebo. Mówiła piskliwym, podnieconym głosem. – Wielki ptak! Zobacz, jak leci! Jaki olbrzymi! Czy to kondor? A może Ptak-Rok, jak ten z bajki? Szkoda, że tatuś go nie widzi...

Rozdrażniona Nouria natychmiast ją uciszyła. Tylko tego brakowało, żeby ktoś zwrócił

na nie uwagę. Pociągnęła ją za sobą i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. Niestety, za późno.

Z pobliskiego zaułka wychynął pijak ze zmierzwioną brodą i dziobatą gębą. Zaszedł im drogę i Nouria omal nie zwymiotowała, czując smród jego kwaśnego, przepojonego alkoholem oddechu i niemytego ciała. Obrzuciła go przerażonym spojrzeniem, spuściła wzrok i próbowała go ominąć.

Ale pijak zatoczył się na bok i musiała przystanąć. Przystanęła, a on wytrzeszczył

wyłupiaste oczy, zakaszłał, splunął i nagle jęknął, tak dziwnie, gardłowo, niczym pies.

Nouria skrzywiła się ze wstrętem i zrobiła dwa kroki do tyłu, chowając za sobą córkę.

Bolało ją, że mała Tasa musi być świadkiem tej degradacji, zepsucia i brudu. Na Allaha, pomyślała z obrzydzeniem. Ten cochon jest tak pijany, że nie może nawet mówić! Odwróciła głowę, zastanawiając się, jak uciec od tego śmierdzącego bydlaka. Wziąć Tasę na ręce i przebiec na drugą stronę ulicy? Ale czy nie ściągnie na siebie uwagi innych, jeszcze gorszych od niego?

– Mamo! – wymamrotała nieśmiało Tasa. – Z tym panem dzieje się coś strasznego.

Widzisz? On krwawi! Wszędzie!

Nouria podniosła głowę i z przerażeniem stwierdziła, że córka nie zmyśla. Pijak upadł na ręce i kolana. Z ust, nosa i z potwornych ran, tworzących się błyskawicznie na jego rękach i nogach, lała się na chodnik krew. Z twarzy odchodziły mu płaty skóry i spadały na ziemię, zmieniając się w

przeźroczyści, różowawy śluz. Mężczyzna ponownie jęknął, wstrząsany agonijnymi drgawkami rozkładającego się ciała.

Tłumiąc okrzyk przerażenia, Nouria cofnęła się i zasłoniła córcę ręką oczy, żeby Tasa nie oglądała tego potwornego widoku. Z tyłu dobiegło ją zwierzęce wycie. Odwróciła się na pięcie i zobaczyła mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy też klęczeli na chodniku albo wili się w agonii, przeraźliwie krzyżąc, jęcząc i z szaleństwem na twarzy rozdierając paznokciami własne ciała.

Były ich już dziesiątki i wciąż przybywali. Na jej oczach rozgrywał się jakiś niewidzialny horror.

Tu, w ich dzielnicy, na ich ulicach!

Przez kilka nieskończenie długich sekund z narastającym przerażeniem patrzyła na tę makabryczną scenę, nie mogąc ogarnąć umysłem rozmiaru potworności, jakiej była świadkiem.

Potem wzięła córkę na ręce i chwiejnie pobiegła w stronę najbliższej bramy, żeby poszukać tam schronienia.

Ale było już za późno.

Poczuła, że w jej płucach powstaje fala rwącego, palącego bólu, że z każdym oddechem fala ta rośnie, zalewając całe ciało. Krzyknęła ze strachu, potknęła się i upadła, na próżno próbując osłonić córkę rękami, które już się rozpadały, rozkładały i gniły wraz ze skórą i odchodzącą od kości tkanką mięśniową.

W oczy dźgnęły ją setki rozpalonych do białości igieł. Chodnik rozmył się, ściemniał

i zniknął. Resztkami zakończeń nerwowych w tym, co jeszcze przed chwilą było piękną twarzą, poczuła, że z oczodołów wypływa jej coś miękkiego i mokrego. Przywarła do chodnika, modląc się, żeby Allah odebrał jej świadomość, modląc się o śmierć i wybawienie od bólu, który dręczył

każdą komórkę jej wstrząsanego konwulsjami ciała. Choć wiedziała, że nie ma już nadziei, rozpaczliwie modliła się również za córkę, o to, żeby Bóg oszczędził jej tego potwornego cierpienia.

Ale zanim pochłonęła ją ciemność, miała się jeszcze dowiedzieć, że ta ostatnia modlitwa nie została wysłuchana.

– Mamusiu – usłyszała. – Mamusiu, tak mnie... boli, tak boli...

Wirginia, wieś

Terce oparł się o wyłożoną boazerią ścianę. Był odprężony, niemal swobodny, lecz wzrok miał czujny i skupiony. Wciąż trzymał w ręku berettę, którą odebrał Burke'owi. Pistolet, duża dziewiątka, wyglądał jak zabawka w jego wielkiej dłoni w rękawicy. Uśmiechał się zimno, wyczuwając napięcie między Amerykanami siedzącymi nieruchomo pod jego czujnym spojrzeniem. Ani ona, ani on nie przywykli do bycia całkowicie zależnymi od czyjejś woli.

Bawiło go, że ma ich w garści.

W słuchawkach odezwał się czyjś głos.

– Tu Uchida. Meldunek sytuacyjny.

Terce wyprostował się, z trudem kryjąc zdziwienie. Uchida, były japoński komandos, należał do pięcioosobowej grupy naganiaczy, którzy mieli zapędzić intruzów do precyzyjnie zastawionej zasadzki na północnym skraju pola – meldunek powinien pochodzić nie od nich, tylko od czatujących na zboczu wzgórza strzelców.

– Mów – rzucił.

W milczeniu wysłuchał opowieści o całkowitej klęsce, próbując zapanować nad narastającym gniewem. Czterech ludzi nie żyło, w tym McRae, jego najlepszy zwiadowca i tropiciel. Tamci zwietrzyli podstęp, zasłi ich od skrzydła i wymietli. Miał już i tak dość, ale najgorsze Uchida zostawił na koniec. Okazało się, że jego zaszokowani żołnierze, którzy ocalili z pogromu, stracili kontakt z uciekającymi Amerykanami. Wiadomość, że znaleźli i zniszczyli ich samochody, była małym pocieszeniem. Intruzi zdążyli już na pewno nawiązać łączność z bazą, przekazać przełożonym to, co podsłuchali, i wezwać posiłki.

– Mamy ich ścigać? – spytał Japończyk.

– Nie – warknął Terce. – Wracajcie do wozów i czekajcie na rozkazy.

Zgrzeszył zbytnią pewnością siebie i jego grupa zapłaciła za to wysoką cenę.

Namierzenie uciekinierów było po ciemku mało prawdopodobne. Poza tym nawet tu, na tym dzikim pustkowiu, odgłosy wystrzałów mogły zwrócić czyjąś uwagę. Musieli się stąd oddalić, zanim FBI czy jakaś inna agencja otoczy farmę kordonem.

– Czyżby kłopoty? – spytała lodowato Kit Pierson. Wyczuła, że jest zły, bo w jego głosie pojawiła się nutka niepewności. Siedziała teraz wyprostowana.

– Małe komplikacje – zełgał gładko Horacjusz, maskując irytację i zniecierpliwienie.

Wyszkolenie i warunkowanie instrumentalne nauczyło go, że okazywanie słabości jest bezużyteczne. Osadził ją w miejscu niemal niedostrzegalnym gestem uzbrojonej w pistolet ręki. –

Proszę się uspokoić. W odpowiednim czasie wszystko się wyjaśni.

Ponownie spojrzął na zegar: między Wirginią i Paryżem było sześć godzin różnicy.

Niedługo zadzwonią, pomyślał. Tylko czy zdążymy? Przystąpić do działania bez konkretnych poleceń? Szybko odpędził tę myśl. Nie, rozkazy były jasne.

Zadzwiećwała komórka. Wcisnął guzik.

– Tak?

Głos, lekko zniekształcony przez elektroniczny szyfrator i kilka satelitarnych przekaźników, spokojnie wydał rozkaz, na który tak długo czekał.

– Eksperyment numer 3 właśnie się rozpoczął. Postępuj według planu.

– Zrozumiałem – odparł Horacjusz. – Bez odbioru.

Lekko uśmiechnięty popatrzył na ciemnowłosą kobietę.

– Chciałbym z góry panią przeprosić – powiedział. – Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Zaskoczona Kit Pierson zmarszczyła brwi.

– Przeprosić? – powtórzyła. – Za co?

Horacjusz wzruszył ramionami.

– Za to. – Jednym płynnym ruchem podniósł odebrany Burke’owi pistolet i dwa razy pociągnął za spust. Pierwsza kula trafiła ją w środek czoła. Druga przeszła serce. Pierson cicho westchnęła i osunęła się na zakrwawione oparcie fotela. Jej martwe, szare oczy patrzyły na Terce’a z wyrazem najwyższego zdumienia.

– Boże święty! – Burke chwycił rękami za podłokietniki. Z twarzy odpłynęła mu krew.

Przerażonymi oczami patrzył to na zamordowaną kobietę, to na górującego nad nim Horacjusza.

– Co ty... Coś ty, do diabła, zrobił?

– Wykonałem rozkaz – odrzekł szczerze Terce.

– Nie kazałem ci jej zabijać! – krzyknął Burke. Głośno przełknął ślinę. Zbierało mu się na wymioty.

– To prawda – odparł Horacjusz. Delikatnie położył berettę u jego stóp i wyjął z kieszeni pistolet Kit Pierson. Znowu się uśmiechnął. – Ale nie rozumie pan sytuacji. Pańska Toksyna tak naprawdę nie

istnieje i nigdy nie istniała. Była tylko przykrywką operacji na znacznie większą skalę. To nie pan tu rządzi. Pan jest tylko sługą. Sługą już niepotrzebnym. Niestety.

Oczy Burke'a się rozszerzyły. Wszystko do niego dotarło. Wcisnął się głębiej w fotel, rozpaczliwie próbując wstać, walczyć, zrobić coś... Ale na próżno.

Trzy wystrzelone z małej odległości pociski trafiły go w brzuch. Każdy wyrwał wielką dziurę w plecach, obryzgując krwią fotel, biurko i monitor.

Burke opadł na fotel jak szmaciana kukła, nieprzytomnie grzebiąc palcami w potwornych ranach. To otwierając, to zamykając usta, dyszał jak wyrzucona na brzeg ryba.

Z lekceważącą beztróską Horacjusz pchnął fotel nogą i kiedy Burke zsunął się na podłogę, podszedł do Kit Pierson i rzucił pistolet na jej zakrwawione kolana.

Gdy odwrócił głowę, zwinięty w kłębek Burke już się nie ruszał. Horacjusz sięgnął do kieszeni wiatrówki i wyjął z niej małe, obudowane plastikiem pudełko z cyfrowym zapalnikiem na wierzchu. Szybko, zwinnie i z wyćwiczoną wprawą nastawił go na dwadzieścia sekund, włączył i umieścił pudełko na biurku, tuż pod półką z komputerowym i łącznościowym sprzętem Burke'a. Zamigotały cyferki, rozpoczęło się odliczanie.

Horacjusz ostrożnie obszedł leżące na podłodze ciało i zniknął w korytarzu. Na czytniku zegara zamigotały trzy zera. Bomba eksplodowała z cichym „wuszszz!” i oślepiającym rozbłyskiem światła. Zadowolony Terce kiwnął głową, wyszedł na dwór i zamknął za sobą drzwi.

Potem się odwrócił. Przez szpary w zaciągniętych zasłonach widać już było płomienie.

Tańczyły coraz żywiej i gwałtownie rosły, szybko pochłaniając meble, książki, sprzęt i ciała zabitych. Horacjusz wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i cierpliwie zaczekał, aż ten, do którego dzwonił, podniesie słuchawkę.

– Mów – rozkazał spokojny, znajomy głos.

– Zadanie wykonane. Amerykanie znajdą tylko popiół i zgliszcza, dowód współudziału w zbrodni. Zgodnie z poleceniem natychmiast wracamy do centrum.

Siedzący w chłodnym, zaciemnionym pokoju kilka tysięcy kilometrów stąd Łazarz wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Dobrze – odrzekł łagodnie. I odchylił się w fotelu, żeby dalej śledzić napływające z Paryża dane.

Część IV

Paryż

Willem Linden, dowódca terenowej grupy obserwacyjnej, siedział przed ekranem dużego monitora i przełączając się z kamery na kamerę, przeglądał obrazy telewizyjne transmitowane przez urządzenia nadawcze zamontowane na latarniach w La Courneuve. Wszystkie były prawie identyczne. Pokazywały długie odcinki chodnika i jezdni zasłane małymi, smutnymi kupkami pokrytych czerwonym słuzem ubrań i białych kości. Ujęcia z kilku kamer, tych rozmieszczonych wokół strefy rażenia, pokazywały również zniszczone wozy straży pożarnej, policyjne radiowozy i karetki pogotowia z wciąż pracującymi silnikami i migoczącymi kogutami.

Śpiesząc na rozpaczliwe wezwania o pomoc, pierwsze ekipy interwencyjne wjechały prosto w niewidzialną chmurę nanofagów i podzieliły los mieszkańców La Courneuve. Włączył

mikrofon, żeby złożyć kolejny meldunek.

– Z tego, co widzę, nikt tam nie ocalał.

– To wspaniała wiadomość – odrzekł lekko zniekształconym głosem Łazarz. –

A nanofagi?

– Chwileczkę. – Linden wprowadził do komputera kilka zakodowanych poleceń. Obraz zniknął, ustępując miejsca serii wykresów ilustrujących pracę urządzeń w zamontowanych na latarniach pojemnikach. Każdy pojemnik zawierał specjalną dyszę oraz analizator do pobierania i analizowania składu reprezentatywnych próbek powietrza. W pewnej chwili krzywe wszystkich wykresów gwałtownie wystrzeliły w górę. – Właśnie uruchomiła się sekwencja samozniszczenia.

Sferyczna półprzewodnikowa skorupa każdego nanofagu wersji trzeciej miała wbudowany mechanizm uwalniający ładunki chemiczne, których zadaniem było zniszczenie związków peptydowych. Wybuchowi tych swoistych mikrobomb towarzyszyła intensywna fala cieplna, którą wykrywały czujniki analizatorów w pojemnikach.

Krzywe wykresów opadły.

– Sekwencja zakończona – zameldował.

– Świetnie – rzekł Łazarz. – Przystąpcie do realizacji ostatniej fazy eksperymentu.

– Zrozumiałem. – Linden wprowadził do komputera kolejną serię poleceń. Na ekranie monitora rozbłysnął czerwony napis: ŁADUNKI ODPALONE.

Kilka kilometrów na północ i wschód od centrum obserwacyjnego eksplodowały ładunki wybuchowe u podstawy każdego pojemnika na latarni. Ponieważ zawierały wkładkę z białego fosforu, w powietrze wytrysnęły fontanny oślepiająco białego ognia. W ciągu kilku milisekund jego

temperatura osiągnęła prawie dwa tysiące osiemset stopni Celsjusza, dlatego płomienie pochłonięły całą zawartość pojemnika, stapiając ją w nierozpoznawalną masę z płynną stalą i żelazem słupa latarni. Gdy rozwiął się dym, po kamerach, przekaźnikach i urządzeniach pomiarowych, zainstalowanych do zarejestrowania przebiegu masakry w La Courneuve, nie pozostał najmniejszy ślad.

Biały Dom

Spał niespokojnie i coś mu się chyba śniło, lecz zanim zdążył skojarzyć co, obudził go uporczywy dźwięk telefonu. Pomacał ręką w poszukiwaniu okularów, włożył je i spojrzał na zegarek na stoliku. Wpół do piątej rano. Niebo za oknami sypialni w prywatnym skrzydle Białego Domu było jeszcze czarne, żadnych oznak nadchodzącego świtu. Podniósł słuchawkę.

– Castilla.

– Przepraszam, że pana obudziłam, panie prezydencie – zaczęła Emily Powell–Hill znużonym, przygnębionym głosem. – Ale pod Paryżem dzieje się coś, co musi pan natychmiast zobaczyć. Właśnie nadają pierwsze wiadomości. CNN, Fox, BBC, wszystkie stacje pokazują to samo.

Castilla usiadł na łóżku, z przepaszającym uśmiechem na ustach odruchowo zerknął

w lewo, na żonę, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że Cassie odbywa kolejną podróż dobrej woli, tym razem po Azji. Ogarnął go głęboki smutek i poczucie samotności, lecz szybko je zwalczył. Musiał. Obowiązki głowy państwa były nieubłagane. Nie mógł się przed nimi uchylać.

Nie mógł ich zignorować. Mógł tylko przeciw naprzód i robić wszystko, by nie zawieść zaufania tych, którzy go nim obdarzyli. Oznaczało to między innymi od czasu do czasu rozstanie z ukochaną.

Włączył pilotem jeden z dwudziestu czterech rywalizujących ze sobą kanałów telewizyjnych. Kamera zamontowana na pokładzie śmigłowca pokazywała opustoszałe ulice przedmieść Paryża. Nagłe zbliżenie i... Zobaczył setki makabrycznych grud, bezkształtnych skupisk galaretowatej tkanki i kości, które kiedyś były ludźmi.

– ...istnieją obawy, że zginęły ich tysiące, chociaż francuski rząd konsekwentnie odmawia komentarzy na temat przyczyn i rozmiarów tej tragedii. Jednak bezstronni obserwatorzy wskazują na uderzające podobieństwa między potworną śmiercią mieszkańców La Courneuve i śmiercią demonstrantów sprzed Instytutu Technologii Zaawansowanych imienia Tellera w Santa Fe w Nowym Meksyku. Jak dotąd nikt nie jest w stanie potwierdzić tych podejrzeń. Do La Courneuve pozwolono wejść jedynie kilku ratownikom z obrony cywilnej kraju, wyposażonym w skafandry ochronne. Trwają rozpaczliwe poszukiwania ocalałych, jednak...

Wstrząśnięty Castilla wyłączył telewizor.

– Boże święty... – wymamrotał. – Znowu to samo.

– Tak, panie prezydencie – odparła posępnie Emily Powell–Hill. – Boję się, że tak.

Ze słuchawką w ręku Castilla usiadł powoli na brzegu łóżka i narzucił na ramiona szlafrok.

– Ściągnij wszystkich do pokoju sytuacyjnego. – Mimo że był zdruzgotany, próbował mówić spokojnie i z opanowaniem. – Pełny skład Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Jak najszybciej.

Wcisnął widelki telefonu i wybrał numer. Jeden sygnał i głos Kleina:

– Dzień dobry, panie prezydencie.

– Czy ty nigdy nie sypiasz? – spytał Castilla; słyszał swój głos jak z oddali.

– Sypiam, kiedy mogę. Sam – odrzekł szef Tajnej Jedyńki. – Czyli o wiele rzadziej, niżbym chciał. Cóż, taka praca. Pod tym względem niewiele różni się od twojej.

– Oglądałeś telewizję?

– Tak. – Klein lekko się zawahał. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– W sprawie Paryża?

– Niezupełnie. Chociaż boję się, że może istnieć pewien związek. Jeszcze nie wiem jaki, ale... – Klein odchrząknął. – Przed chwilą otrzymałem bardzo niepokojący meldunek od pułkownika Smitha. Jinjiro Nomura uważał, że CIA prowadzi tajną wojnę z Ruchem Łazarza.

Pamiętasz, co mówił o tym jego syn?

– O ile sobie przypominam, początkowo myślał, że to pierwsze oznaki choroby psychicznej. Obaj się z nim zgodziliśmy.

– To prawda. Cóż, z przykrością muszę donieść, że Jinjiro miał chyba rację. Myliliśmy się, Sam. I to bardzo. Boję się, że ktoś z wysokiego szczebla CIA i FBI, a możliwe też, że i z innych służb, rzeczywiście prowadzi niezgodną z prawem kampanię przeciwko ruchowi, chcąc zdyskredytować go i zniszczyć takimi metodami, jak sabotaż, morderstwo i terroryzm.

Castilla zacisnął zęby.

– To paskudne oskarżenie, Fred. Naprawdę paskudne. Lepiej powiedz mi od razu, na jakiej podstawie tak twierdzisz.

Klein przedstawił mu obciążające dowody zebrane przez Smitha w Nowym Meksyku i podczas wyprawy z Howellem do wiejskiego domku Hala Burke'a w Wirginii. Castilla wysłuchał go w pełnym osłupienia milczeniu.

– Gdzie oni teraz są?

– Smith i Howell? Wracają do Waszyngtonu – odparł Klein. – Mniej więcej godzinę temu wpadli w zasadzkę, ale zdołali się z niej wyrwać. Gdy tylko Smith nawiązał ze mną kontakt, wysłałem im wsparcie i transport.

– Dobrze. Teraz Pierson, Burke i ci najemnicy: co z nimi? Musimy ich aresztować i dokopać się do samego dna spisku.

– Boję się, że to jeszcze nie koniec złych wiadomości, Sam – powiedział powoli Klein. –

Moi ludzie prowadzili nasłuch na częstotliwości straży pożarnej w tym rejonie Wirginii. W domu Burke’a wybuchł pożar. Nie mogą go opanować. Sąsiedzi twierdzą, że w nocy doszło tam do strzelaniny, ale szeryf nie znalazł nikogo, kto by w niej uczestniczył. Nie było też żadnych ciał przed domem Burke’a.

– Próbują uciec – mruknął Castilla.

– Tak, ktoś próbuje, trzeba tylko sprawdzić kto i dokąd.

– Więc jak daleko sięga ta gangrena? Do samego Hansona? Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej miałby prowadzić tajne, nielegalne i samowolne działania tuż pod moim nosem?

– Chciałbym móc na to odpowiedzieć, Sam, ale nie potrafię. Według raportu Smitha, nic na to nie wskazuje, ale... – Zrobił krótką przerwę i z wahaniem dodał: – Nie przypuszczam, żeby Burke i Pierson zorganizowali tę operację sami. Przede wszystkim byłaby za kosztowna.

Niewiele jeszcze wiemy o tej Toksynie, ale już na pierwszy rzut oka widać, że musieliby wyłożyć na nią miliony dolarów. A żadne z nich nie miało ani uprawnień, ani możliwości do zgromadzenia tak dużych funduszy.

– Ten Burke to jeden z najważniejszych ludzi Hansona, tak? I kiedyś kierował wydziałem operacyjnym CIA?

– Tak – odparł Klein. – Ale nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków, Sam.

Systemy kontroli wewnętrznej CIA, w tym kontroli finansowej, są nie do obejścia, dlatego nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby wyssać z firmy tyle pieniędzy, nie pozostawiając za sobą szerokiego na kilometr śladu. Grzebanie w komputerach i rozmowa z rewidentami to dwie zupełnie inne sprawy.

– Może mieli pieniądze z innego źródła. – Castilla nachmurzył czoło. – Jinjiro Nomura uważał, że oprócz CIA na ich ruch uwzięły się również wielkie korporacje oraz inne służby wywiadowcze. I chyba miał rację.

– Możliwe. Mam dla ciebie jeszcze jeden element układanki. Sprawdziłem listę ostatnich zadań Burke’a. Jedno z nich pasuje do niego jak kwiatek do kożucha. Przed objęciem stanowiska szefa grupy specjalnej do spraw Ruchu Łazarza Burke dowodził jedną z ekip poszukujących Jinjiro

Nomury.

– Cholera jasna – zaklął pod nosem Castilla. – Kazaliśmy lisowi pilnować kurnika.

– Na to wygląda. Ale za nic nie mogę zrozumieć związku między Toksyną a zamachami w Santa Fe i Paryżu. Jeśli Burke i Pierson próbowali zniszczyć Ruch Łazarza, po co mieliby doprowadzać do masakry, która tylko by ten ruch wzmocniła? I jeśli masakrę w Paryżu też wywołały nanofagi, a to całkiem prawdopodobne, to skąd je biorą? Kto udostępnił im tę ultranowoczesną technologię?

– No właśnie. – Castilla przeczesał ręką zmierzwiłone włosy. – Co za bałagan...

W dodatku dowiaduję się, że nie mogę już polegać ani na CIA, ani na FBI. Niech to szlag. Będę musiał przycisnąć Hansona i jego ludzi, zanim wiadomość o tym spisku przecieknie do prasy. Bo przecieknie na pewno, a wtedy Kongres i media dadzą nam tak popalić, że afera Iran–Contras wyda się przy tym burzą w szklance wody.

– Masz jeszcze Tajną Jedynekę – przypomniał mu Klein.

– Wiem, Fred, wiem – odrzekł ciężko Castilla. – Dlatego bardzo na ciebie liczę. Na ciebie i na twoich agentów. Musicie to jakoś rozgryźć.

– Zrobimy, co w naszej mocy, Sam – zapewnił go Klein. – Co w naszej mocy.

Chillern Hills, Anglia

Była niedziela rano i na kilkupasmowej autostradzie M40 łączącej Londyn z Oxfordem panował stosunkowo niewielki ruch. Srebrzysty jaguar Olivera Lathama, szefa sekcji do spraw Ruchu Łazarza brytyjskiego wywiadu, mknął na południowy wschód, mijając po drodze faliste, zielone wzgórza, maleńkie wioski z kamiennymi normandzkimi kościołami, rozległe, dziewicze lasy i pogrążone we mgle doliny. Ale Latham nie zwracał uwagi na piękno otaczającej go przyrody. Maksymalnie skupiony wsłuchiwał się w wiadomości BBC.

– Pierwsze doniesienia z Paryża wskazują, że francuskie władze łączą tragedię w La Courneuve z tragedią, która rozegrała się przed Instytutem Tellera w Santa Fe – mówił spiker spokojnym,

kulturalnym

głosem,

zarezerwowanym

dla

poważnych

wydarzeń

międzynarodowych. – Tysiące mieszkańców przedmieść Paryża ucieka w popłochu z miasta, blokując ulice i autostrady. Ewakuacją kierują wojsko i jednostki sił bezpieczeństwa, które próbują utrzymać prawo i porządek, jednak...

Gwałtownie wyłączył radio, zły, że drżą mu ręce. Gdy zadzwoniono do niego z MI-6, smacznie spał w swoim wiejskim domku pod Oxfordem. Ten szokujący telefon natychmiast postawił go na nogi, ale to był dopiero początek, bo od tamtej pory przeżył jeszcze kilka innych, równie silnych wstrząsów. Najpierw nie mógł skontaktować się z Burkiem, żeby zapytać go, co się, do diabła, stało w tym Paryżu; wyglądało na to, że Toksyna rozlała się w szwach, a Burke gdzieś przepadł. Potem ku swemu przerażeniu odkrył, że Sir Gareth Southgate, szef MI-6, bez jego wiedzy wysłał do Stanów Howella z misją przeniknięcia do szeregów Ruchu Łazarza.

A teraz – jakby tego było mało – wypytywał go dokładnie o Iana McRae i innych, którym on, Latham, zlecał czasem różne zadania.

Głośno jęknął, zastanawiając się, co robić. Co ten Howell wiedział? Co powiedział

Southgate'owi? Jeśli Toksyna została zdekonspirowana, jaką wymyślić historyjkę, żeby ukryć powiązania z Burkiem?

Głęboko zamyślony, mocniej wcisnął pedał gazu, odbił w lewo, w oka mgnieniu wyprzedził wlokącą się nieznośnie ciężarówkę i omal nie zahaczając o nią, zjechał z powrotem na ten sam pas. Ciężarówka gniewnie zamrugła długimi światłami i zatrąbiła klaksonem. Jego ryk przetoczył się echem po okolicznych wzgórzach.

Ale Latham nie zwrócił na to uwagi: chciał jak najszybciej dotrzeć do Londynu. Tak, przy odrobinie szczęścia być może uda mu się z tego wyplątać. Jeśli nie, spróbuje się jakoś z nimi dogadać, dobić targu: informacje o Toksynie w zamian za obietnicę nietykalności.

Nagle jaguar zadygotał, zatrząsł się od serii małych eksplozji. Z opony prawego przedniego koła zostały tylko strzępy. Na jezdni zatańczyły kawałki metalu i gumy, a na maskę i przednią szybę buchnął snop iskier. Samochód gwałtownie skręcił w prawo.

Latham zaklął, chwycił kierownicę obiema rękami i szarpnął nią w prawo, próbując wyprowadzić auto z poślizgu. Ale jaguar nie zareagował. Ładunki, które rozerwały przednią oponę, zniszczyły również układ kierowniczy. Rozpaczliwie kręcąc bezużyteczną kierownicą, Latham zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Rozpędzony samochód przekoziółkował, opadł na dach i sunął tak po jezdni kilkadziesiąt metrów. Wreszcie, obsypany odłamkami szkła, znieruchomiał w płataninie powyginanego metalu i plastiku. Sekundę później kolejna eksplozja doprowadziła do wybuchu wyciekającej benzyny, zmieniając wrak w płonący stos pogrzebowy.

Ciężarówka minęła płonący samochód i, nawet nie zwolniwszy, pojechała dalej na południowy wschód, w kierunku zatłoczonych ulic Londynu. Jej kierowca, czterdziestokilkuletni mężczyzna o słowiańskich rysach twarzy, wyłączył nadajnik, schował go do płóciennej torby i usiadł wygodnie,

pełen satysfakcji z rezultatów porannej wyprawy. Tak, Łazarz będzie zadowolony.

Waszyngton

Smith spoglądał na K Street przez okno na siódmym piętrze Hiltona. Już świtało i pierwsze promienie słońca powoli przepędzały cienie z waszyngtońskich ulic. Pustymi alejami przejeżdżały z łoskotem ciężarówki dostawcze i furgonetki z prasą, burząc ciszę wczesnego niedzielnego poranka.

Ktoś zapukał do drzwi. Jon odwrócił się od okna i kilkoma krokami przemierzył pokój.

Ostrożnie zerknął przez wizjer: długi nos, znajoma twarz. Fred Klein.

– Miło pana widzieć, pułkowniku – rzucił, gdy Smith zamknął za nim drzwi. Rozejrzał

się po pokoju. Nietknięta pościel na łóżku, telewizor nastawiony na całodobowy kanał

informacyjny i mocno przyciszony. Szła transmisja na żywo: policyjno–wojskowy kordon wokół

La Courneuve, olbrzymie tłumy paryżan, ich bezgłośny krzyk i chóralne skandowanie.

Transparenty i plakaty z napisami obwiniającymi Les Americanes i ich armes diaboliques za tragedię, która, według ostatnich danych, pochłonęła co najmniej dwadzieścia tysięcy ofiar. Klein uniósł brew.

– Nie może pan spać? Wciąż za bardzo nakręcony?

Jon uśmiechnął się kwaśno.

– Przespać się mogę w samolocie.

– Hm? Czyżby się pan gdzieś wybierał? – spytał spokojnie Klein.

Smith wzruszył ramionami.

– A nie?

Klein odetchnął. Rzucił na łóżko dyplomatkę i przysiadł na rogu materaca.

– Tak – przyznał. – Do Paryża.

– Kiedy?

– Kiedy tylko dowiozą cię na lotnisko Dullesa. Samolot masz o dziesiątej z minutami.

Dokumenty podróżne i bilety są w teczce. – Wskazał bandaż na jego lewym ramieniu. – Boli?

Przeszkadza?

– Przydałoby się kilka szwów. I jakiś antybiotyk, na wszelki wypadek.

– Załatwione. – Klein spojrział na zegarek. – Na lotnisku będzie czekał lekarz. Jest dyskretny, już dla nas pracował.

– A co z Peterem? – spytał Jon. – Nie wiem, co będę tam robił, ale na pewno by mi się przydał.

Klein się nachmurzył.

– Howell musi dostać się do Paryża sam – odparł stanowczo. – Nie będę załatwiał biletów dla znanego agenta brytyjskiego wywiadu. Jak tak dalej pójdzie, Tajna Jedyńka trafi na pierwsze strony gazet. Odpada, nie zamierzam ryzykować. A ty dalej pracujesz dla Pentagonu. Jasne?

– Absolutnie. Dostanę jakąś przykrywkę?

– Nie. Polecisz tam jako doktor Jonathan Smith z Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. Załatwiłem ci tymczasową akredytację w naszej ambasadzie w Paryżu. –

Ruchem głowy wskazał ekran telewizora, na którym demonstranci palili amerykańskie flagi. –

W tej narastającej hysterii Francuzi nie mogą sobie pozwolić na oficjalną współpracę z naszymi służbami wywiadowczymi czy wojskiem. Ale chętnie przyjmą „obserwatorów”, lekarzy i naukowców. Pod warunkiem, że będą „obserwować bardzo dyskretnie”. Oczywiście jeśli wpadniesz w tarapaty, natychmiast zaprzeczają, że cię zaprosili.

– Jasne – prychnął Smith. Wciąż niespokojny podszedł do okna, wyjrzał na ulicę, po czym się odwrócił. – Chcesz, żebym zajął się tam czymś konkretnym? Czy mam tylko powęszyć?

– Konkrety, Jon, najważniejsze są konkrety – mruknął Klein. Otworzył dyplomatkę i wyjął z niej dużą, żółtą kopertę. – Zajrzyj.

Smith otworzył kopertę. Zawierała dwie kartki, kopie ściśle tajnych meldunków z placówki CIA w Paryżu do centrali w Langley. Obie depesze wysłano w ciągu ostatnich dziesięciu godzin. Pierwsza była raportem grupy specjalnej, zajmującej się tropieniem jakiegoś terrorysty i opisywała, jak nieznani osobnicy montowali plastikowe pojemniki z „aparaturą badawczo–obserwacyjną” na słupach latarni w paryskiej La Courneuve. Jon poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Druga depesza donosiła, że zanotowano numery rejestracyjne samochodów tych osobników i agenci właśnie je sprawdzają.

Zdumiony Smith gwałtownie podniósł wzrok.

– Jezu Chryste, przecież to prawdziwa bomba! I jak zareagowało na to Langley?

– Nijak.

Jon aż drgnął.

– Jak to nijak? Nic nie zrobili?

– CIA jest teraz zbyt zajęta – wyjaśnił cierpliwie Klein. – Ma na głowie inne problemy: nadużycie władzy, morderstwo, pranie brudnych pieniędzy, sabotaż i terroryzm. FBI zresztą też.

– Burke i Pierson – zrozumiał Smith.

– Możliwe, że nie tylko oni. Są uzasadnione podejrzenia, że w sprawę Toksyny był

zamieszany co najmniej jeden wysoki funkcjonariusz MI-6. Parę godzin temu w wypadku samochodowym zginął szef ich wydziału do spraw inwigilacji Ruchu Łazarza. Wypadek był dość dziwny, dlatego tamtejsza policja już wszczęła śledztwo. – Klein przyjrzał się czubkom swoich palców. – Zapomniałem ci powiedzieć, że znaleziono Hala Burke’a i Katherine Pierson.

– Oboje nie żyją. Zgadłem? – rzucił ponuro Smith.

Klein kiwnął głową.

– Na zwłoki natrafiono w zgliszczach wiejskiego domu Burke’a. Według wstępnych oględzin pozabijali się wzajemnie tuż przed wybuchem pożaru. – Pociągnął nosem. – Szczerze mówiąc, uważam, że to za wygodne. Stanowczo za wygodne. Ktoś prowadzi z nami bardzo brzydką grę.

– No to super.

– Tak, sytuacja jest zła, Jon – przyznał z powagą Klein. – Załamanie się tej niezgodnej z prawem operacji sparaliżowało trzy najlepsze na świecie agencje wywiadowcze, i to w chwili, gdy ich ludzie ze swoimi umiejętnościami są najbardziej potrzebni. – Pogrzebał w kieszeni, wyjął

fajkę, zobaczył znak zakazu palenia na drzwiach i ze zmarszczonym czołem schował ją z powrotem. – Ciekawe, prawda?

Smith cichutko zagwizdał.

– Myślisz, że to wszystko było ukartowane? Od samego początku? Że zaplanował to ktoś, kto dokonał tych zamachów z nanofagami?

Klein wzruszył ramionami.

– Możliwe. Jeśli nie, byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ja też nie bardzo. – Klein wstał. – Mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Jon. Z kimś, kto dysponuje olbrzymimi możliwościami, z bezwzględny sadystą, który jest gotów wykorzystać każdą cząstkę swojej władzy. Co gorsze – dodał cicho –

nie wiemy nawet, kto to jest i, co za tym idzie, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, do czego tak naprawdę zmierza, ani się przed tym obronić.

Smitha przeszedł zimny dreszcz. Znowu stanął przy oknie i popatrzył na spokojne ulice miasta. Jaki był prawdziwy cel zamachów w Santa Fe i Paryżu? Tak, oczywiście, w obu zginęło tysiące niewinnych ludzi, ale istniały tańsze sposoby ludobójstwa na tak wielką skalę. Nanofagi były produktem finalnym niezwykle zaawansowanych procesów biotechnologicznych i nieprawdopodobnie skomplikowanej technologii produkcyjnej. Ich wytworzenie musiało kosztować miliony, może nawet setki milionów dolarów.

Pokręcił głową. Nie, to nie miało sensu, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Terrorysty dysponujący takimi pieniędzmi zastosowaliby dużo tańszy i o wiele wygodniejszy sposób, kupując na przykład bombę atomową, gazy bojowe czy broń biologiczną na czarnym rynku. Poza tym, zwykli terroryści nie mają dostępu do supernowoczesnego sprzętu badawczego ani laboratoriów, w których mogliby wyprodukować nanofagi.

I nagle nabrał niezachwianego przekonania, że ich niewidzialny przeciwnik wyznaczył

sobie cel znacznie bardziej zakamuflowany i mroczniejszy, niż sądzili, i zmierza do niego szybko i z precyzją automatu. Że makabryczne zamachy w Nowym Meksyku i we Francji są jedynie początkiem, przedsmakiem czegoś jeszcze bardziej diabolicznego i niszczycielskiego.

Wydział produkcyjny tajnego laboratorium nanotechnologicznego Ruchu Łazarza Na wielkim ekranie komputerowym przesuwwały się długie kolumny liczb i przekazywanych przez satelitę wykresów. Pomieszczenie było zaciemnione, dlatego cyfry, wzory i linie odbijały się w grubych soczewkach okularów siedzących przed monitorem naukowców. Ludzie ci byli głównymi architektami programu nanotechnologicznego i każdą nową informację analizowali w napięciu i z uwagą.

– Wyraźnie widać, że zrzut z powietrza był niezwykle efektywny – zauważył starszy z nich. – Wzmocnione czujniki nanofagów kontrolnych też okazały się skuteczne. Podobnie jak system samoniszczący.

Jego podwładny kiwnął głową. Wszystkie problemy, z jakimi borykali się przy wcześniejszych wersjach nanofagów, zostały rozwiązane. Żeby namierzyć cel, nanofagi wersji trzeciej nie musiały już wyszukiwać ściśle określonych sygnatur biologicznych. Wystarczył jeden krótki krok i wskaźnik śmiertelności wśród zainfekowanych wzrósł z trzydziestu do prawie stu procent. Poza tym ulepszony ładunek biochemiczny pod sferyczną skorupą nanofagów udowodnił swoją skuteczność niemal całkowitym rozkładem ciał zaatakowanych osobników. Na wpół rozłożone zwłoki mieszkańców Kusasa czy kałuże ohydneho, różowawego śluzu przed Instytutem Tellera w Santa Fe to nic w porównaniu z widokiem białych kości na chodnikach La Courneuve.

– Proponuję, żeby uznać broń za w pełni sprawną i natychmiast przystąpić do jej masowej produkcji – rzekł młodszy naukowiec. – Ewentualne modyfikacje, uzależnione od nowych danych, można przeprowadzić później.

– Słusznie – odparł ten starszy. – Łazarz będzie zadowolony.

Przed gmachem centrum

Jinjiro Nomura wyszedł na świeże powietrze pierwszy raz od prawie roku. Zatrzymał się i oślepiony blaskiem słońca, przez chwilę stał bez ruchu, szybko mrugając. Chłodna morska bryza rozwiewała mu kosmyki rzadkich, siwych włosów.

– Tędy proszę – rzucił grzecznie jeden z ochroniarzy, podając mu ciemne okulary. –

Czekają na pana. Pierwszy tanatos już nadlatuje.

Jinjiro bez słowa skinął głową i nałożył okulary.

Kilka kroków za nimi zamknęły się grube, masywne drzwi prowadzące do kwater mieszkalnych, sali kontroli lotu, pomieszczeń administracyjnych i do wydziału produkcyjnego ukrytego głęboko wewnątrz kompleksu. Z zewnątrz, z ziemi i powietrza, widać było jedynie betonowy magazyn z blaszanym dachem, łudząco podobny do tysiąca innych tanich magazynów rozrzuconych po całym świecie. Ale pod tym zmyślnym kamuflażem krył się skomplikowany system zbiorników chemicznych, pomp, śluz powietrznych, koncentrycznie ułożonych

„czystych” pomieszczeń oraz wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt sale komputerowe.

Z ochroniarzami po obu stronach, wysypaną żwirem ścieżką Nomura doszedł na skraj płyty lotniska poprzecinanego długimi pasami startowymi, ciągnącymi się na północ i południe.

Hen, daleko, po lewej i prawej stronie, widać było zbiorniki paliwa lotniczego oraz kilka samolotów transportowych i pasażerskich. Cały teren lotniska otaczało wysokie ogrodzenie, zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Na zachodzie aż po horyzont widać było tylko morze i spiętrzone fale rozbijające się o brzeg w fontannach białej piany. Na wschodzie zaś, pnąc się aż do porośniętego drzewami szczytu wysokiej góry, rozpościerały się zielone łąki upstrzone punkcikami pasących się owiec i krów.

Nomura przystanął obok kilku ubranych w białe fartuchy inżynierów i naukowców, którzy z uwagą wpatrywali się w północny horyzont.

– Już zaraz – powiedział jeden z nich. Zerknął na zegarek, odwrócił głowę i mrużąc oczy, spojrzął na słońce. – Baterie działają doskonale. Pokładowe ogniwa paliwowe przeszły na tryb rezerwowy.

– Jest! Tam! – wykrzyknął inny, pokazując ręką. Na tle błękitnego nieba pojawiła się ledwo widoczna cieniutka kreseczka. Rosła w oczach i grubiała, powoli skręcając w kierunku pasa startowego.

Nomura wyteżył wzrok. Tanatos, jak nazwali go konstruktorzy, podchodził do lądowania.

Wyglądał dziwnie. Był to olbrzymi aparat latający bez kadłuba i ogona, miał za to skrzydła o rozpiętości większej niż boeing 747. Czternaście rozmieszczonych na nich śmigieł

o podwójnych łopatach nadawało mu prędkość niecałych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Pochylił się lekko na skrzydło, wyrównał lot i w słońcu na jego cieniutkim jak pajęczyna poszyciu zaśniło sześćdziesiąt tysięcy baterii słonecznych.

Cicho zachrząścił żwir. Nomura ani drgnął, patrząc, jak maszyna powoli dryfuje w powietrzu. Miał przed sobą coś, co znał jedynie z opisów technicznych, szkiców i rysunków.

Wzorowany na prototypach NASA tanatos był ultralekkim skrzydlatym aparatem latającym, zbudowanym z włókien węglowych, żywicy grafitowo–epoksydowej, kevlaru, nomeksu i plastiku, a więc z materiałów niewykrywalnych przez radary. W pełni obciążony ważył zaledwie dziewięćset osiem kilogramów. Mógł latać na wysokości trzydziestu tysięcy metrów, utrzymywać się w powietrzu tygodniami, a nawet miesiącami i dotrzeć do każdego punktu kuli ziemskiej. Na pięciu gondolach pod skrzydłami zamontowano komputery sterujące lotem, awionikę, rezerwowy system paliwowy do lotów nocnych oraz węzły do podwieszania cylindrycznych zbiorników ze śmiertelnościami ładunkiem.

Inżynierowie z NASA nazwali swój prototyp imieniem greckiego boga Heliosa. Nazwa była jak najbardziej adekwatna, gdyż samolot latał dzięki energii słonecznej. Jinjiro się nachmurzył. Tanatos, w starożytnej Grecji uosobienie śmierci, też był nazwą doskonałą, biorąc pod uwagę, do czego tę maszynę zbudowano.

– Jest piękny, prawda? – Usłyszał głos mężczyzny, głos aż nadto znajomy. – Taki wielki, jednocześnie taki delikatny, taki... wdzięczny i lekki jak piórko. Bardziej przypomina obłok niesiony tchnieniem bogów niż dzieło prymitywnych ludzi.

Jinjiro posępnie skinął głową.

– Tak, samolot sam w sobie jest rzeczywiście piękny. – Odwrócił się do stojącego za nim mężczyzny. – Ale to, co chcesz zrobić, plugawi go i wynaturza, jak wszystko, czego się dotkniesz... Łazarzu.

– To dla mnie wielki zaszczyt, że zwracasz się do mnie tym imieniem... ojciec – odparł

z lekkim uśmiechem Hideo Nomura. – To, co zrobiłem, zrobiłem dla realizacji naszych celów i ziszczenia naszych marzeń.

Jinjiro gwałtownie pokręcił głową.

– Nigdy nie mieliśmy wspólnych celów. Moi przyjaciele i ja pragnęliśmy odnowić i zbawić Ziemię, ocalić ten spustoszony świat przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą niekontrolowany rozwój nauki. Pod twoim przywództwem ruch przestał bronić życia.

Przepoczwaczył się w machinę śmierci.

– Ty i twoi towarzysze popełniliście kardynalny błąd, ojciec – odparł spokojnie Hideo. –

Nie zrozumieliście, czym jest kryzys, jakiemu świat musi stawić czoło. Nauka i technika wcale mu

nie zagrażają. Są tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu. Narzędziem, którego mogą używać jedynie ludzie odważni i obdarzeni jasną, klarowną wizją, ludzie tacy jak ja.

– Nie narzędziem, tylko bronią masowej zagłady! – warknął Jinjiro. – Używasz wielkich słów, choć mówisz o ludobójstwie!

– Zrobię to, co trzeba, ojciec – odparł zimno Hideo. – Wrogiem świata, który kochamy, jest sama ludzkość, bo to ona mu zagraża. – Wzruszył ramionami. – W głębi serca wiesz, że mam rację. Wyobraź sobie miliardy chciwych, zachłannych i agresywnych bestii grasujących po małej, kruchej planecie. Są niebezpieczni dla Ziemi tak samo jak rak dla ciała. Świat nie udźwignie tego potwornego ciężaru. Dlatego, tak samo jak raka, tych najgorszych trzeba usunąć bez względu na to, jak bolesne i nieprzyjemne to będzie zadanie.

– Usunąć za pomocą tej diabelskiej broni, tych nanofagów? – rzucił chrapliwie Jinjiro.

– Wyobraź sobie dziesiątki takich tanatosów. Wyobraź sobie, jak żeglują po niebie, ciche i prawie niewidzialne dla radarów. Wyobraź sobie łagodny deszcz, jaki z nich spadnie, kropelki tak małe, że ludzie nie dostrzegą ich nawet wtedy, gdy będzie już za późno.

Twarz Jinjiro spopieliała.

– Gdzie? – spytał.

Hideo odsłonił zęby w uśmiechu.

– Pytasz, gdzie zaczniemy? Tanatos i jego bracia poszybują do Ameryki, kraju bezdusznego, potężnego i skorumpowanego. Kraju, który trzeba zniszczyć, żeby zrobić miejsce dla nowego ładu. Potem przyjdzie kolej na Europę, to źródło materialistycznej zarazy. Jeszcze potem moje nanofagi oczyszczą Afrykę i Bliski Wschód, siedliska terroryzmu, chorób, głodu, okrucieństwa i religijnego fanatyzmu. Zadufane w sobie i chełpiące się swoją starożytną historią Chiny też trzeba nauczyć pokory.

– Ilu ludzi zginie, zanim skończysz? – wyszeptał Jinjiro.

Hideo wzruszył ramionami.

– Pięć miliardów? Sześć? Kto to wie? Ale ci, którzy przeżyją, szybko docenią wartość mojego daru: świata, który nareszcie odzyska pełną równowagę, świata z infrastrukturą i zasobami naturalnymi nietkniętymi przez szaleństwo wojny i wszechogarniającej zachłanności.

Przez długą chwilę przerażony Jinjiro mógł tylko patrzeć na syna, który przeistoczył się w Łazarza.

– Przynosisz mi wstyd – powiedział w końcu. – Mnie i naszym przodkom. – Spojrzał na ochroniarzy, którzy stali tuż obok z kamiennymi twarzami. – Odprowadźcie mnie do celi –

poprosił cicho. – Dostaję mdłości na widok tego potwora w ludzkiej skórze.

Hideo skinął głową.

– Zabierzcie stąd tego starego głupca – rozkazał lodowatym głosem. Potem cofnął się bez słowa, patrząc, jak jego ojciec wraca do więzienia.

Przymknął oczy. Ileż to razy Jinjiro rozczarował go – a nawet zdradził – płytkością swoich myśli i brakiem odwagi. Nawet teraz był zbyt ślepy, by dostrzec i podziwiać osiągnięcia jedyne go syna. A może, pomyślał, delektując się urazami z dawno minionego dzieciństwa, nie pochwalił go dlatego, że był zbyt nieczuły i za bardzo mu zazdrościł?

Ale pochwała na pewno go nie minie, tego był pewien.

Jako zastępca dyrektora naczelnego Nomura PharmaTech przez wiele lat harował dzień i noc, żeby urzeczywistnić swoją wizję czystego, mniej zatłoczonego i spokojniejszego świata.

Najpierw dzięki starannemu planowaniu zbudował i wyposażył ten tajny ośrodek badań nanotechnologicznych. Zrobił to bez zwracania na siebie niepożądanego uwagi udziałowców firmy i postronnych obserwatorów. Jego liczni rywale nawet nie podejrzewali, że Nomura PharmaTech, pozornie ostatnia w tym nanotechnologicznym wyścigu, wyprzedza ich wszystkich o miesiące, a może nawet lata.

Potem czekało go skomplikowane zadanie podkopania Ruchu Łazarza, misja, której celem było powolne, lecz nieuchronne podporządkowanie tej rozprężonej organizacji swojej woli. Przywódców, którzy mu się sprzeciwiali, spychał na bok lub zabijał, zwykle rękami trzech płatnych zabójców – Horacjuszów, których stworzył i wyszkolił, nie żałując pieniędzy. Najlepsze w tym wszystkim było jednak to, że każda niewyjaśniona śmierć przyczyniała się do radykalizacji poglądów tych, którym darował życie.

Zaaranżowanie tajemniczego zniknięcia Jinjiro, ostatniego z założycieli Ruchu Łazarza, było dziecinną zabawą. Potem mógł już potajemnie chwycić cugle w dłoń i okiełznać wystraszone kierownictwo organizacji. Jednak punktem kulminacyjnym tych wszystkich wydarzeń okazało się spotkanie i późniejsza znajomość z Halem Burkiem, w tamtym czasie dowódcą grupy, którą CIA wysłała na poszukiwania jego ojca. W ten oto zupełnie nieoczekiwany sposób ostatni element układanki trafił na swoje miejsce.

Roześmiał się zimno i westchnął. Z jaką łatwością zdołał omotać jego i – co za tym idzie

– kilku innych wysoko postawionych agentów amerykańskiego oraz brytyjskiego wywiadu.

Grając na ich paranoicznym strachu przed terroryzmem i karmiąc ich przerażającymi informacjami o ruchu, sprawił, że Burke i jego koledzy po fachu rozpętali tę głupią, tajną –

i nielegalną! – wojnę. Od tamtej pory wszystko toczyło się już zgodnie z jego i tylko jego wolą.

Rezultaty mówiły same za siebie: świat był coraz bardziej przerażony i szukał kozłów ofiarnych. Jego rywale, tacy jak na przykład Harcourt Biosciences, grzęźli bezsilnie w lawinie rządowych rozporządzeń ograniczających badania nanotechnologiczne. Ruch rósł w siłę i stawał

się coraz bardziej agresywny. A brytyjskie i amerykańskie służby wywiadowcze zostały sparaliżowane przez skandal i szerzące się podejrzenia. Straszliwa prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, bo gdy na Waszyngton, Nowy Jork, Chicago i Los Angeles spadnie deszcz zabójczych nanofagów, będzie już za późno.

Uśmiechnął się do siebie. Ostatecznie, pomyślał z okrutnym cynizmem, czyż najlepszym sposobem na zwycięstwo nie jest gra na dwa fronty?

Orędzie

Opublikowane przez ruch nagranie było wzorowane na tym, które wyemitowano po zamachu na Instytut Tellera. Posklejane z cyfrowo przetworzonych elementów graficznych, których nie można było ani wyodrębnić, ani tym bardziej zidentyfikować, dotarło jednocześnie do stacji telewizyjnych na całym świecie. Każde przedstawiało mówcę, którego twarz i sposób wystawiania się najbardziej odpowiadały upodobaniom danej publiczności.

– Nie możemy już dłużej przymykać oczu na prawdę – mówił ze smutkiem. –

Potworności, których byliśmy ostatnio świadkami, dowodzą, że Ziemi zagraża nowy rodzaj broni, broni stworzonej przez okrutną, wynaturzoną naukę. Ludzkość stanęła na rozdrożu. Na końcu drogi wytyczonej przez nasz ruch leży bezpieczny świat pokoju. Droga wyznaczona przez ludzi zachłannych, chciwych i żądnych władzy prowadzi do świata pustoszonego przez wojny i ludobójstwo, do rzezi i katastrofy.

Łazarz spojrział prosto w obiektyw kamery.

– Musimy zdecydować, jaką wybrać przyszłość. Trzeba powstrzymać, trzeba zdławić niszczący rozwój nanotechnologii, inżynierii genetycznej i klonowania, zanim nauki te doprowadzą do śmierci nas wszystkich. Dlatego Ruch Łazarza wzywa rządy wszystkich krajów świata, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych i krajów zachodnich, które mienią się

„cywilizowanymi”, do natychmiastowego zarzucenia badań, prac badawczo-rozwojowych i studiów nad praktycznymi zastosowaniami tych zbrodniczych technologii.

Zmarszczył groźnie brwi.

– Jeżeli któryś z tych rządów nie posłucha naszego wezwania, weźmiemy sprawę w nasze ręce. Musimy działać. Musimy się ratować. Musimy ratować nasze rodziny, naszą rasę i Ziemię, którą tak ukochaliśmy. To walka o przyszłość całej ludzkości, dlatego nie możemy pozwolić sobie na dalszą zwłokę ani obojętność. W tym konflikcie ten, kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Niech mądrzy posłuchają tego ostrzeżenia!

Berlin

Na Unter den Linden, główny bulwar Berlina, wyległo tysiące demonstrantów. Ich liczba szybko rosła. Skandujący tłum szedł od zwieńczonej rydwanem Bramy Brandenburskiej, a na jego czele łopotały setki czerwono–zielonych sztandarów i szturmówek. Za nimi ciągnął się las flag, transparentów i plakatów na długich kijach. W tej bezprecedensowej demonstracji siły do zwolenników Ruchu Łazarza dołączyli niemieccy Zieloni.

Od kamiennych fasad olbrzymich gmachów przy Unter den Linden odbijało się surowe echo głośniejszych okrzyków: „Precz z nanotechnologią!”, „Położmy kres szaleństwu!”, „Precz z amerykańską machiną wojenną!”, „Prowadź, Łazarzu!”

Szukając lepszego punktu obserwacyjnego i schronienia przed rozsierdzonym tłumem, relacjonująca to wydarzenie reporterka CNN, szczupła, ładna brunetka po trzydziestce, weszła na strome schody gmachu opery, eleganckiej XIX–wiecznej budowli z masywnymi kolumnami od frontu. Musiała krzyczeć do mikrofonu, żeby usłyszano ją w narastającym gwarze:

– Wygląda na to, że manifestacja całkowicie zaskoczyła władze miasta! Dwie godziny temu zebrała się tu zaledwie garstka berlińczyków podburzonych ostatnim wystąpieniem Łazarza, ale garstka ta rozrosła się do gigantycznej demonstracji politycznej, największej od czasu zburzenia Muru! Docierają do mnie wiadomości, że podobne manifestacje i protesty przeciwko nanotechnologii odbywają się teraz na całym świecie, w Rzymie, Madrycie, Tokio, Kairze, Rio de Janeiro, San Francisco i wielu innych miastach.

Ogarnęła wzrokiem morze flag i transparentów przelewające się przed gmachem opery.

– Jak dotąd tłum jest dość spokojny, ale władze obawiają się, że anarchiści mogą w każdej chwili sprowokować go do dewastowania sklepów i biurów należących do amerykańskich korporacji; korporacji, które Ruch Łazarza nazywa składnikiem kultury śmierci.

Będziemy tu, żeby na żywo relacjonować dalszy przebieg wypadków.

Pod Cape Town w Afryce Południowej

Nad Capricorn Business and Technology Park, dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Cape Town, buchały w niebo słupy czarnego dymu, przesłaniając czerwone niebo.

W ogniu stało dwanaście niegdyś lśniących stalą budynków kompleksu przemysłowo–

badawczego. Na drodze biegnącej wokół leżącego dokładnie pośrodku kompleksu jeziora kłębiło się tysiące ludzi, którzy wybijali okna, przewracali samochody i podpalali wszystko, co dało się podpalić. Celem ataku rozszalałego tłumy były początkowo amerykańskie laboratoria biochemiczne, ale już wkrótce rozwścieczeni i ogarnięci histerią demonstranci zaczęli dewastować siedziby wszystkich firm i instytucji naukowych, jakie były w polu widzenia, niszcząc budynki i wyposażenie warte dziesiątki milionów dolarów.

O wiele mniej liczni od nich policjanci nie mieli ochoty stawiać czoła rozwrzeszczanym hordom i wycofali się daleko poza granice kompleksu z nadzieją, że uda im się powstrzymać demonstrantów przed wtargnięciem na przedmieścia Cape Town. Wzmagający się wiatr rozniecał nowe pożary i nad zdewastowanym i splądrowanym Capricorn Business and Technology Park unosiło się coraz więcej słupów dymu.

Wiadomości CBS: „Tajna wojna”

Amerykańscy telewidzowie, którzy włączyli odbiorniki, żeby obejrzeć mecz czy ulubiony serial, obejrzeli zamiast tego wiadomości – nadawane non stop, ponieważ największe stacje telewizyjne i kanały kablowe stawały na głowie, żeby nadać z relacjonowaniem rozgrywających się na całym świecie wydarzeń.

Sytuacja na pięciu kontynentach kuli ziemskiej zaostrzała się tak szybko, że nawet taki stary wyjadacz, jak najślynniejszy dziennikarz CBS nie mógł ukryć narastającego podniecenia.

– Uwaga na kapelusze, panie i panowie!– mówił z południowym akcentem, coraz bardziej przeciągając samogłoski. – Bo ta szaleńcza przejażdżka robi się coraz bardziej zwariowana. Francuska telewizja podała przed chwilą sensacyjną wiadomość, że CIA i FBI, we współpracy z Brytyjczykami, prowadziły tajną kampanię przeciwko Ruchowi Łazarza.

Morderstwo i sabotaż: paryscy dziennikarze mogą ponoć udowodnić, że za śmiercią przywódców i działaczy ruchu na całym świecie, w tym w Stanach Zjednoczonych, stoją byli amerykańscy i brytyjscy komandosi i agenci. Twierdzą również, że zgodę na te zamachy mogli wydać tylko

„urzędnicy z najwyższego szczebla amerykańskiego i angielskiego rządu”.

Dziennikarz podniósł wzrok i z poważną miną spojrzał prosto w obiektyw kamery.

– Kiedy nasi reporterzy poprosili o komentarz przedstawicieli władz w Waszyngtonie i Londynie, odprawiono ich z kwitkiem, a więc po królewsku. Nikt nie chce z nami rozmawiać, od prezydenta i premiera poczynając, na rzeczniku prasowym kończąc. Nie wiemy, czy jest to podyktowane zwykłą niechęcią komentowania tajnych operacji wywiadowczych i policyjnych śledztw czy też... nie ma dymu bez ognia. Ale jedno jest pewne. Tysiące ludzi, którzy palą nasze flagi i niszczą siedziby naszych instytucji naukowo–badawczych na całym świecie, nie będzie czekało na odpowiedź.

Biały Dom, Pokój Sytuacyjny

– Niech pan uważnie posłucha, dyrektorze – warknął Castilla. – Mam dość tego wodolejstwa, wykrętów, uników i biurokratycznego bełkotu. Chcę poznać prawdę, i to natychmiast! – Zerknął spode łba na Hansona siedzącego na drugim końcu długiego stołu. Ten, co do niego niepodobne, był bardzo milczący.

Zwykle

schludny,

elegancki

i spokojny

nawet

w najbardziej

dramatycznych

okolicznościach, wyglądał teraz jak chodzący trup. Pod oczami miał ciemne worki, a jego garnitur był tak wygnieciony, jakby w nim spał. W prawej ręce kurczowo ścisnął długopis, na próżno próbując ukryć lekkie drżenie palców.

– Powiedziałem wszystko, co wiemy, panie prezydencie – odparł ostrożnie. – Niestety, wiemy bardzo mało. Wciąż grzebiemy w aktach, ale jak dotąd nie znaleźliśmy niczego, co choćby pośrednio łączyło się z tą Toksyną. Jeśli Hal Burke był zamieszany w jakąś nielegalną operację, jestem pewny, że prowadził ją na własną rękę, bez wiedzy i upoważnienia władz CIA.

Emily Powell–Hill, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, pochyliła się do przodu.

– Masz nas za głupców, David? – spytała z rozgoryczeniem. – Burke i Pierson finansowali tę wielomilionową operację z własnej kieszeni? Z prywatnych oszczędności i państwowej pensji? Naprawdę myślisz, że ktoś w to uwierzy?

– Wiem, jak to wygląda! – warknął sfrustrowany Hanson. – Ale moi ludzie i ja pracujemy nad tym dzień i noc, najszybciej jak umiemy. Nawet w tej chwili urzędnicy z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego przeglądają akta wszystkich operacji z udziałem Burke’a i szukają śladów czegokolwiek, co budziłoby choćby najmniejsze podejrzenia. Wszyscy analitycy z sekcji do spraw Ruchu Łazarza zostaną poddani badaniom na wykrywaczu kłamstw. Jeżeli brał w tym udział ktoś oprócz Burke’a, na pewno go dopadniemy, ale to potrwa.

Zmarszczył czoło.

– Chcę jeszcze powiedzieć, że wszystkie zagraniczne placówki CIA otrzymały rozkaz natychmiastowego przerwania wymierzonych w ruch działań. W pobliżu ich działaczy oraz zajmowanych przez nich obiektów nie ma teraz ani jednego zespołu operacyjnego.

– To za mało – odparła Emily Powell–Hill. – Obrywamy ze wszystkich stron naraz, i tu, w domu, i za granicą.

Siedzący wokół stołu posepnie pokiwali głowami. Doniesienia prasowe o tajnej kampanii wymierzonej w Ruch Łazarza nadeszły zaraz po masakrze w La Courneuve: był to doskonały moment, żeby maksymalnie podważyć wiarygodność Stanów Zjednoczonych w oczach całego świata. Gdy je opublikowano, podziały jak zapałka wrzucona do magazynu, w którym rozlano benzynę. Doszło do wybuchu powszechnego gniewu i wściekłości, a ruch tylko na tym skorzystał. To, co jeszcze

niedawno było tylko niegroźnym utrapieniem dla większości rządów i firm, gwałtownie przeradzało się w potężną siłę polityczną o globalnym zasięgu. Coraz więcej krajów ulegało ich żądaniom natychmiastowego i całkowitego zaprzestania badań nanotechnologicznych.

– Każdy szaleniec, który twierdzi, że testujemy nowy rodzaj broni masowej zagłady, może pójść teraz do mediów, do BBC czy innych stacji europejskich, a nawet al-Jazeera, i potraktują go tam z szacunkiem niczym profesora fizyki – kontynuowała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Francuzi odwołali już swego ambasadora na tak zwane konsultacje. Inne kraje pospiesznie idą w ich ślady. Im dłużej to wszystko potrwa, tym bardziej ucierpią nasze sojusze i zdolność do kontrolowania przebiegu wydarzeń.

Spięty Castilla w milczeniu kiwnął głową. Niedawno zadzwonił do niego prezydent Francji i prawie nie kryjąc pogardy, zasypał go gradem paskudnych oskarżeń.

– W Kongresie też nie jest lepiej – dodał z ciężkim westchnieniem Charles Ouray, prezydencki szef sztabu. – Praktycznie wszyscy kongresmani i senatorzy, którzy jeszcze kilka dni temu żądali od nas bezwzględного ścigania członków i zwolenników Ruchu Łazarza, zrobili teraz zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i stają na głowie, żeby powołać specjalną komisję śledczą.

Grozi nam nowa Watergate, bo zaczynają gadać o postawieniu prezydenta w stan oskarżenia.

Nawet nasi sprzymierzeńcy siedzą cicho. Przywarowali, żeby sprawdzić, w którą stronę powieje wiatr.

Castilla aż się skrzywił. W Kongresie było za dużo oportunistów z przyzwyczajenia, upodobania i doświadczenia. Gdy prezydent był popularny, lgnęli do niego tłumnie, żeby znaleźć się w świetle jupiterów. Ale przy pierwszych oznakach kłopotów czy słabości natychmiast zbijali się w krwiożerczą sforę, gotową skoczyć mu do gardła.

Biały Dom

Do Gabinetu Owalnego zajrzała Estelle Pike, prywatna sekretarka prezydenta.

– Przyszedł pan Klein – syknęła kąśliwie. – Nie jest umówiony, ale twierdzi, że i tak go pan przyjmie.

Castilla odwrócił się od okna. Twarz miał poorly zmarszczkami i znużoną; sprawiał

wrażenie, jakby w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin postarzał się o dziesięć lat.

– Przyszedł, bo go zaprosiłem – odrzekł. – Niech wejdzie.

Pełna dezaprobaty Estelle lekko zeszywniała, ale nie protestowała. Wchodząc, Klein mruknął do niej: „Dziękuję”, ale nie zareagowała i bez słowa zamknęła za sobą drzwi. Klein popatrzył na nie i wzruszył ramionami.

– Chyba mnie nie lubi – powiedział.

Castilla uśmiechnął się z przymusem.

– Fakt, Estelle nie należy do tych, których chciałoby się przytulić i utulić. Traktuje tak każdego, kto próbuje wejść tu bez zapowiedzi. Nie czuj się wyróżniony, Fred.

– No to mi ulżyło – mruknął oziębłe Klein. Zmrużył oczy i przyjrzał się przyjacielowi. –

Po twojej zbolącej minie widzę, że zebranie Krajowej Rady Bezpieczeństwa nie poszło za dobrze.

– Równie dobrze mógłbyś spytać panią Lincoln, czy podobała jej się sztuka – prychnął

Castilla.

– Jest aż tak źle?

– Gorzej – burknął prezydent i wskazał mu fotel naprzeciwko dużego stołu, który służył

mu za biurko. – Ci z wierchuszki CIA, FBI i innych agencji robią tylko jedno: uniki. Nikt nie chce oberwać za Toksynę, a nie wiedzą, jak daleko to sięga, więc nikt nikomu nie ufa. Każdy obchodzi każdego szerokim łukiem i tylko patrzy, kogo zaraz powieszają.

Klein wcale się nie zdziwił. Nawet w najlepszych czasach osłabiające wojny terytorialne w środowisku amerykańskiego wywiadu należały do codzienności. Zadawnione spory i wyniszczające konflikty były jedną z głównych przyczyn, dla których Castilla zlecił mu zorganizowanie Tajnej Jedyńki. Ponieważ dwóm największym amerykańskim agencjom wywiadowczym groził skandal, napięcie sięgało zenitu i niebawem miało wzrosnąć jeszcze bardziej. W tej sytuacji nikt, kto poważnie myślał o swojej karierze, nie chciał ryzykować i nadstawiać głowy.

– Czy pułkownik Smith leci już do Paryża? – przerwał ciszę Castilla.

– Tak – odrzekł Klein. – Powinien tam być późnym wieczorem naszego czasu.

– Naprawdę wierzysz, że ma szansę dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia?

– Szansę? – powtórzył z wahaniem Klein. – Chyba tak. – Zmarszczył brwi. – Taką przynajmniej mam nadzieję.

– Ale to twój najlepszy człowiek, tak?

Tym razem Klein nie wahał się ani sekundy.

– Do tej misji? Absolutnie. On albo nikt inny.

Rozdrażniony Castilla pokręcił głową.

– To idiotyczne, prawda?

– Idiotyczne? – Klein nie zrozumiał.

– Oto ja, prezydent Stanów Zjednoczonych i naczelny dowódca najpotężniejszej armii świata w historii ludzkości. Amerykanie wierzą, że wykorzystam tę władzę do zapewnienia im bezpieczeństwa, a tymczasem ja nie jestem w stanie. Nie tym razem. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Opadły mu ramiona. – Wszystkie te bombowce, rakiety, czołgi i żołnierze są guzik warci, dopóki nie wyznaczę im celu. A właśnie tego zrobić nie mogę!

Klein nigdy nie zazdrościł mu korzyści i przywilejów płynących ze sprawowania urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych. A teraz dodatkowo współczuł temu zmęczonemu człowiekowi o smutnych oczach.

– Tajna Jedyńka robi, co do niej należy, Sam – obiecał. – Znajdziemy ten cel.

– Oby, Fred – szepnął Castilla. – Oby. Bo zaczyna brakować nam czasu.

Poniedziałek, 18 października, Paryż

Czarny mercedes pędził w kierunku śpiącego miasta. Świt miał wstać dopiero za kilka godzin i granicę rozległych przedmieść francuskiej stolicy znaczyły jedynie rozmyte światła na kilkupasmowej autostradzie A1. Sama autostrada była niemal opustoszała, dzięki czemu taksówkarz, niski paryżanin o przekrwionych oczach i zgorzkniałej twarzy, mógł rozpędzić mercedesa nawet znacznie powyżej dozwolonej prędkości.

Pędząc sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, wpadli na ciemne przedmieścia, oświetlone jedynie czerwonopomarańczowymi płomieniami strzelających w niebo pożarów.

Pały się zdewastowane bloki mieszkalne i sąsiadujące z nimi budynki zalewała migotliwa poświata. W pobliżu tych miejsc wszystkie zjazdy i wjazdy na autostradę zablokowano pospiesznie wzniesionymi barykadami z drutu kolczastego i betonowych pachołków. Przy każdym z nich był posterunek obsadzony przez ciężko uzbrojonych policjantów i żołnierzy. Na poboczu czuwały samochody pancerne z wyrzutniami granatów z gazem łzawiącym, gaśnicowe transportery opancerzone, a nawet pięćdziesięciotonowe czołgi typu Leclerc.

– Les Arabes! – prychnął pogardliwie taksówkarz, gasząc papierosa w zapchanej popielniczce. Wzruszył wąskimi ramionami. – Protestują przeciwko temu, co zdarzyło się w La Courneuve. A jak to robią? Pałac własne domy i sklepy, jak zwykle. Durnie.

Puścił kierownicę, przytrzymał ją kolanami i przypalił kolejnego papierosa

– Idioci. Kiedy siedzą u siebie, w tych szuczurzych gniazdach, mamy ich w dupie, niech sobie siedzą. Ale jak tylko wystawią nos za drzwi, ciach! – Wymownym gestem przeciągnął ręką po szyi. – Pogadają z nimi karabiny maszynowe, he?

Smith bez słowa skinął głową. Nie było tajemnicą, że przeludnione, opanowane przez przestępców osiedla pod Paryżem zaprojektowano w taki sposób, żeby w razie konieczności można było łatwo je odciąć i stłumić zamieszki w zarodku.

Mercedes zjechał z autostrady na Peripherique, obwodnicę wokół płataniny alej, ulic, bulwarów i zaułków miasta. Wciąż narzekając na głupotę rządu, który ściągał z niego podatki na utrzymanie tych wstrętnych lesArabes, złodziei i bandytów, taksówkarz skręcił na zachód.

Mercedes ominął Porte de Vincennes, okrążył Place de la Nation, z rykiem przemknął rue du Fauborg–St. Antoine, z piskiem opon zarzucił na placu Bastylli i wreszcie zagłębił się w labirynt wąskich, jednokierunkowych uliczek dzielnicy Marais w trzecim dystrykcie.

Zbudowana na osuszonych bagniskach ta część Paryża jako jedna z nielicznych ocalała z architektonicznej rzezi, jaką urządził miastu baron Hausmann, który w XIX wieku, na rozkaz Napoleona III, zburzył i odbudował stolicę Francji. Wiele stojących tu domów pochodziło jeszcze ze

średniowiecza. Brudna i zapuszczona, w połowie XX wieku Marais przeżyła swój renesans, a teraz należała do najpopularniejszych dzielnic mieszkalnych, turystycznych i handlowych Paryża. Eleganckie kamienice, muzea i biblioteki sąsiadowały tu z modnymi barami, antykwariatami i butikami.

Taksówkarz zacisnął na kierownicy żółte od nikotyny palce, wprawnie szarpnął nią w lewo i zatrzymał samochód przed drzwiami Hotel des Chevaliers, małego, kameralnego hoteliku niedaleko prastarego, wysadzanego drzewami Place des Vosges.

– Przyjechaliśmy, m'sieur – oznajmił. – I to w rekordowym czasie! – Uśmiechnął się kwaśno. – Pewnie dzięki naszym les Arabes, he? Nosflics rozwalają sobie łby i nie mają czasu na wlepianie mandatów uczciwym ludziom, takim jak ja.

– Możliwe. – Smith odetchnął. Dojechali w jednym kawałku, co za ulga. Podał

taksiarzowi plik euro, chwycił małą torbę podróżną oraz walizeczkę, którą odebrał na lotnisku Dullesa, i szybko wysiadł. Gdy tylko zatrzasnął drzwi, mercedes odjechał z piskiem w noc.

Jon stał przez chwilę, delektując się ciszą i spokojem uliczki. Niedawno musiał padać deszcz i chłodny wiatr niósł czysty, rześki, odświeżający zapach. Przeciągnął się, rozprostowując zeszywniałe od ciasnego samolotowego fotela kości, a potem kilka razy głęboko odetchnął, żeby oczyścić płuca z resztek gryzącego dymu, którego nawdychał się w taksówce. Kiedy poczuł się trochę lepiej, zarzucił torbę na ramię i ruszył do drzwi. Nad nimi paliło się światło i recepcjonista, do którego zadzwonił zaraz po odprawie na lotnisku, bez pytania wpuścił go do środka.

– Witamy w Paryżu, panie doktorze – powiedział płynną angielszczyzną. – Długo pan u nas zostanie?

– Nie wiem, chciałbym kilka dni – odrzekł z wahaniem Jon. – Da się to załatwić?

Recepcjonista, schludnie ubrany i – mimo wczesnej godziny – trzeźwo myślący mężczyzna w średnim wieku, ciężko westchnął.

– W dobrych czasach powiedziałbym, że nie. – Z rezygnacją wzruszył ramionami. – Ale po tych nieprzyjemnych wydarzeniach w La Courneuve wielu gości odwołało rezerwację lub wyjechało dużo wcześniej, niż planowało. Dlatego nie będzie problemu.

Smith wpisał się do księgi, odruchowo zerkając na nazwiska, które już tam były. Nie zauważył niczego podejrzanego. Gości, głównie z Europy i Francji, było niewiele. Podobnie jak on, większość podróżowała samotnie. Przyjechali albo w pilnych interesach, albo w celach naukowych, żeby poszperać w pobliskich archiwach i muzeach. Zakochane pary wyjechały pewnie jako pierwsze, zaraz po zamachu i wybuchu zamieszek.

Recepcjonista postawił na ladzie małe, kwadratowe pudełko.

– Paczka dla pana – powiedział. – Z Kanady, z MacLean Medical Group w Toronto.

Godzinę temu przywiózł ją kurier. Spodziewał się pan przesyłki?

Jon kiwnął głową, z trudem powstrzymując uśmiech. Fredowi zawsze można zaufać, pomyślał. MacLean była jedną z fasadowych firm, które Tajna Jedyńska wykorzystywała do zaopatrywania w sprzęt rozsianych po świecie agentów.

Na górze, w małym, lecz elegancko urządzonej pokoju, zerwał plombę, przeciął taśmę i otworzył pudełko. W środku była mała walizeczka z twardego plastiku, a w niej nowiutki sig-

sauer kaliber 9 milimetrów, pudełko naboju i trzy zapasowe magazynki. Skórzaną kaburę i szelki zapakowano oddzielnie.

Usiadł na wygodnym podwójnym łóżku, rozłożył pistolet na części, starannie nasmarował

każdą z nich, złożył je, wetknął do rękojeści nabity magazynek i schowawszy broń do kabury, stanął przy oknie wychodzącym na małe, przypominające studnię podwórze po wschodniej stronie hotelu. Niebo nad ciemnymi dachami starych domów powoli zaczynało szarzeć i w niektórych oknach paliło się już światło. Paryż budził się ze snu.

Jon wyjął telefon komórkowy, wybrał numer Kleina i zameldował, że bezpiecznie dotarł na miejsce.

– Jest coś nowego? – spytał.

– Nie – odparł Klein. – Ale wygląda na to, że paryska grupa operacyjna CIA namierzyła jeden z samochodów, które widziano w La Courneuve tuż przed zamachem. Podobno parkuje gdzieś niedaleko ciebie.

– „Wygląda”? – powtórzył zaskoczony Smith. – Więc namierzyli go czy nie?

– Są bardzo... powściągliwi. W ostatnim meldunku do Langley piszą, że tak, ale nie podają szczegółów.

Jon zmarszczył brwi.

– Dziwne.

– Bardzo. Nie umiem tego wyjaśnić.

– I co? Langley ich nie przyciska? O nic nie pyta?

– Dyrektor CIA i jego zastępcy – prychnął pogardliwie Klein – przesłuchują wszystkich pracowników wydziału operacyjnego i są za bardzo zajęci, żeby zawracać sobie głowę agentami terenowymi.

– I myślisz, że ta grupa działa tutaj, w Marais? Dlaczego?

– Dlatego, że spotykają się na Place des Vosges. Tam jest ich GPK.

GPK, główny punkt kontaktowy dla zespołu obserwacyjnego działającego na terenie miasta, zawsze znajdował się w pobliżu obserwowanego celu. Było to zwykle miejsce publiczne, na tyle ruchliwe, żeby umożliwić agentom swobodną wymianę informacji lub przekazanie nowych rozkazów. Place des Vosges z 1605 roku był najstarszym placem Paryża i doskonale się do tego celu nadawał. Zatłoczone restauracje, kafejki i sklepy, od których się tam roiło, zapewniały idealną przykrywkę.

– To ma sens – odrzekł Jon. – Ale co mi z tego? Mogą węszyć po całej dzielnicy, a tam są setki domów.

– Tak, to spory problem – przyznał Klein. – Dlatego będziesz musiał nawiązać z nimi kontakt.

Zdumiony Smith uniósł brew.

– Tak? Niby jak? Mam paradować po placu z wielką tablicą z napisem: „Szukam agentów CIA?”

– No, coś w tym rodzaju – odparł sucho Klein.

Coraz bardziej zaskoczony i zdziwiony Jon wysłuchiwał poleceń. Gdy skończyli rozmawiać, rozłączył się i wybrał kolejny numer.

– Tu Rozkosze Paryża – zabrzmiał płynnie po angielsku, głęboki, soczysty baryton. –

Załatwiamy każdą sprawę. Spełniamy wszystkie życzenia i wszystkie rozsądne prośby.

– Zmieniasz zawód, Peter? – spytał ze śmiechem Smith.

Howell zachichotał.

– Nie, nie, dorabiam do mojej skromnej emerytury. – Nagle spoważniał. – Rozumiem, że masz coś nowego.

– Mam. Gdzie jesteś?

– W uroczym pensjonaciku na Lewym Brzegu, niedaleko bulwaru Saint–Germain. Masz wycucie: przyjechałem zaledwie pięć minut temu.

– Jak stoisz ze sprzętem?

– Nieźle. Z lotniska zadzwoniłem do starego znajomego i wszystko załatwiłem.

Boże, ten Howell miał niezawodne kontakty dosłownie wszędzie, w całej Europie, starych przyjaciół i towarzyszy broni, którzy bez zbędnych pytań zaopatrywali go w sprzęt i zapewniali mu pomoc.

– Więc gdzie się spotkamy? – spytał. – I wiesz już po co?

Smith wprowadził go w sytuację, przekazując to, co usłyszał od Kleina, chociaż jako źródło tych informacji podał „przyjaciela” z chodami w CIA.

– Zabawny jest ten świat, nie uważasz? – skonstatował z nieukrywanym zdumieniem Howell. – I cholernie mały.

– Fakt – odrzekł z uśmiechem Jon. Pomyślał jednak o potwornościach, jakie mogły czekać ten zabawny świat, gdyby okazało się, że on i Howell zabrnęli w ślepy zaułek, i uśmiech szybko zniknął mu z twarzy. Ten, kto stworzył te nanofagi, na pewno pracował już nad ich bardziej zabójczą odmianą. Jeśli go nie znajdą i nie powstrzymają – i to szybko – zginie jeszcze więcej niewinnych ludzi, których pożrą od środka mordercze maszyny – zbyt małe, by dostrzec je gołym okiem.

Paryż

Jesienny wiatr poruszał liśćmi kasztanowców rosnących pośród starannie utrzymanych trawników wokół Place des Vosges. Ilekroć się wznagał, jego porywy rozsiewały kropelki wody z bulgoczących na placu fontann i na soczystozielonej trawie osiadała wilgotna mgiełka.

Lekki zefirek tańczył też figlarnie między kamiennymi kolumnami szarych i różowych arkad, przejść i galerii. Na wypolerowanych na błysk stolikach w Brasserie Ma Bourgogne w północno–zachodnim rogu placu furkotały przygniecione kielichami serwetki.

Smith siedział samotnie przy stoliku na skraju przejścia i, rozpierając się leniwie na wygodnym krześle z czerwonym skórzanym oparciem, uważnie obserwował ludzi spacerujących wolno chodnikami, siedzących na parkowych ławkach i rzucających okruszki chleba cicho gruchającym gołębiami.

– Un cafe noir, m'sieur – burknął ktoś tuż obok niego.

Jon podniósł wzrok.

Kelner. Ponura twarz, muszka i czarny fartuch, jak to w Ma Bourgogne. Przyniósł kawę.

– Merci – odrzekł grzecznie Jon i położył na stoliku kilka euro.

Wciąż mruczając pod nosem, kelner schował pieniądze do kieszeni i podszedł do sąsiedniego stolika, przy którym dwóch miejscowych biznesmenów przy wczesnym lunchu dobijało interesu. Jon pociągnął nosem: saucis–son de Beaujolais i pommes frites. Cóż za zapach.

Pociekła mu ślinka. Od śniadania w Hotel des Chevaliers nic nie jadł i mocna czarna kawa – a wypił już dwie filiżanki – zaczynała wżerać mu się w ścianki żołądka.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przywołać jeszcze raz kelnera, ale zmienił zdanie.

Według Kleina był to główny punkt kontaktowy paryskiej grupy CIA i przy odrobinie szczęścia zaraz będzie miał zajęcie.

Znów popatrzył na ludzi spacerujących po placu i między otaczającymi go domami.

Nawet teraz, przed południem, Place des Vosges był dość zatłoczony, pełen uczniów i nauczycieli z pobliskich szkół, którzy mieli właśnie przerwę, młodych matek z niemowlętami w wózkach lub z radośnie piszczącymi maluchami, baraszkującymi w piaskownicy w cieniu kamiennego posągu Ludwika XIII na koniu. Tu i ówdzie stały grupki starszych panów, którzy żywo gestykułując, rozprawiali o polityce, sporcie i szansach wygranej w kolejnej edycji krajowej loterii pieniężnej.

Przed Rewolucją Francuską ten mały, piękny fragment otwartej przestrzeni nosił nazwę placu Królewskiego i był miejscem niezliczonych pojedynków. Tu, gdzie teraz paryżanie cieszyli się jesiennym słońcem i spuszczaali ze smyczy swoje rozpieszczone psy, bogaci kawalerowie i młodzi arystokraci walczyli i ginęli, kłując się szpadami lub strzelając do siebie z pistoletów, a wszystko po to, by bronić honoru i dowieść swej odwagi. Choć dzisiaj pojedynki te potępiano jako symbol krwawej, okrutnej, nieludzkiej wprost przeszłości, Smith zastanawiał się przez chwilę, czy to podejście słuszne i sprawiedliwe. Bo jak przyszli historycy ocenią czasy, w których jemu przyszło żyć, czasy, w których ludzie bestialsko mordowali tysiące niewinnych osób, kiedy tylko mogli i jak mogli?

Tuż obok przeszła pulchna, ciemnowłosa, młoda kobieta w długim do kolan płaszczu i niebieskich dżinsach. Zauważyła, że Jon się jej przygląda i się zaczerwieniła. Spuściła głowę i spiesznie odeszła. Smith odprowadził ją wzrokiem. Czyżby to na nią czekał?

– Wolne? Czy to krzesło jest wolne, m'sieur? – Chrapliwy głos kobiety.

Papieros za papierosem, trzy, cztery paczki dziennie przez lata.

Stała i patrzyła na niego, stara, chuda i sztywno wyprostowana. Nienagannie ułożone siwe włosy, pokryta głębokimi zmarszczkami twarz, wydatny, zakrzywiony do dołu nos i drapieżne spojrzenie. Najwyraźniej zde gustowana jego powolnością lub tępotą, uniosła starannie wypielęgnowaną brew.

– Nie rozumie pan po angielsku, m'sieur? Pardon. Sprechen Sie Deutsch?

Zanim doszedł do siebie, odwróciła się i spojrzała na psa, małego, starego jak ona pudła, który próbował zagryźć na śmierć jedno ze stojących obok krzesel.

– Do nogi, Pascal! – warknęła po francusku. – Niech się samo rozleci!

Uznawszy, że Smith jest albo kretynem, albo głuchoniemym, z cichym jękiem usiadła, składając swe trzeszczące kości na krzesle naprzeciwko niego. Zażenowany Jon odwrócił wzrok.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – Usłyszał cichy, znajomy głos. – Dlaczego znowu włączysz mi w drogę? Tylko nie wciskaj mi kitu, że przyjechałeś do Paryża podziwiać widoki!

Tym razem Smith naprawdę oniemiał. Gdzieś pod tymi siwymi włosami i zmarszczkami kryła się gładka twarz jasnowłosej Randi Russell. Poczł, że się czerwieni. Randi, siostra jego zmarłej narzeczonej, była jego dobrą przyjaciółką, którą zapraszał na kolację czy drinka, ilekroć spotkali się przypadkiem w Waszyngtonie. Choć dobrze wiedział, że pojawiając się w punkcie kontaktowym, zostanie w końcu przez nią zauważony, a przy tym sam jej wypatrywał, zdołała go podejść.

Żeby otrząsnąć się z wrażenia, wypił łyk kawy. A potem się uśmiechnął.

– Piękne przebranie – rzucił. – Teraz już wiem, jak będziesz wyglądała za czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Pudełek też jest czujny. Twój? Czy należy do standardowego wyposażenia CIA?

– Nie mój. Znajomego z ambasady. – Randi zacisnęła usta. – I wnerwia mnie prawie tak samo jak ty.

Prawie, Jon, prawie. A teraz dość uników. Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Cóż, to proste. Przyjechałem w związku z meldunkami, które od dwudziestu czterech godzin wysyłasz do Stanów.

– I to ma być proste? – sapnęła z niedowierzaniem Randi. – Te meldunki są ściśle tajne!

– Już nie. W Langley jest burdel, w FBI też. Wszyscy głowią się, jak wyplątać się z tej tajnej wojny przeciwko Łazarzowi. Może słyszałaś?

– Tak, słyszałam. Złe wiadomości szybko się rozchodzą. – Wbiła wzrok w blat stolika. –

Ten sukinsyn Burke nabije agencji największego siniaka, jakiego kiedykolwiek miała. –

Podniosła głowę i przeszła go spojrzeniem. – Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dla kogo pracujesz tym razem. – Zrobiła znaczącą przerwę. – Albo jakie kłamstwo spróbujesz mi wcisnąć.

Smith zaklął w duchu. Istnienie Tajnej Jedyńki było ścisłą tajemnicą i taką musiało pozostać. Podobnie jak w przypadku Howella, Randi pracowała w innej agencji wywiadowczej, a to wymuszało na nim niesłychaną ostrożność i konieczność dochowania tajemnicy nawet w rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi, ludźmi, którym bez wahania powierzyłby własne życie. Pracował z Randi wiele razy, w Iraku, w Rosji, tu, w Paryżu, a ostatnio w Chinach i zawsze czuł się wobec niej niezręcznie, kiedy musiał kłamać.

– To żadna tajemnica – zełgał. Boże, znowu te wyrzuty sumienia. – Przecież wiesz, że kilka razy pracowałem dla wywiadu wojskowego. Przysłał mnie tu Pentagon, sama góra. Ktoś pracuje nad bronią nanotechnologiczną i przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów Połączonych bardzo się to nie podoba.

– Ale dlaczego przysłali akurat ciebie?

Popatrzył jej prosto w oczy.

– Bo byłem wtedy w Instytucie Tellera – odrzekł cicho. – I wiem, co ta broń może zrobić z ludźmi. Widziałem to na własne oczy.

Randi złagodniała.

– To musiało być straszne.

Szybko odpędził koszarne wspomnienia, które wciąż nawiedzały go w snach.

– Tak. Ale tu, w La Courneuve, było chyba jeszcze gorzej.

– Zginęło znacznie więcej ludzi, nikt nie przeżył. Czytałam w gazetach. Ci biedacy musieli umierać w potwornych męczarniach.

– Więc chyba już rozumiesz, dlaczego chcę przyjrzeć się bliżej ludziom, którzy, cytuję:

„w noc przed zamachem instalowali coś w rodzaju czujników na ulicach dzielnicy”. Koniec cytatu.

– Myślisz, że te dwie sprawy mają ze sobą coś wspólnego?

Smith uniósł brew.

– A ty nie?

– Ja też – przyznała niechętnie i westchnęła. – Namierzyliśmy ich samochody. –

Dostrzegła nieme pytanie w jego oczach i zanim zdążył otworzyć usta, szybko dodała: – Tak, tak, masz rację: według tablic rejestracyjnych, wszystkie są zarejestrowane tu, w Paryżu, pod tym samym adresem.

– Adresem, którego nie chciałaś podać w meldunkach do Langley – zauważył.

– Bo miałam powody – warknęła i się skrzywiła. – Przepraszam, ale jestem wkurzona. Za nic nie mogę ułożyć tego w spójną, racjonalną całość, szlag mnie trafia.

– W takim razie może pomogę ci się w tym rozeznaczyć?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Może. Jak na szpiega amatora masz niezwykły talent do rozwiązywania zagadek.

Oczywiście zawsze rozwiązujesz je przez przypadek.

Zaśmiał się cicho.

– Oczywiście.

Randi odchyliła się na krześle, z roztargnieniem obserwując przechodzących ludzi. Nagle zeszywniała.

– Boże święty – wyszeptała skonsternowana. – A to co? Dom starców?

Jon poszedł za jej spojrzeniem i zobaczył starego, niechlujnie ubranego, opalonego na brąz Francuza w berecie, połatany swetrze i wypłowiałych spodniach, który wesoło pogwizdując, zmierzał ku nim z rękami w kieszeniach. Smith zmrużył oczy i uśmiechnął się szeroko.

Staruszek przeciął ulicę, stanął przed ich stolikiem, spojrzął na Randi i szarmancko uchylił beret.

– Cieszę się, że tak dobrze pani wygląda, madame – wymruczał z rozbawieniem. – A to zapewne pani syn, prawda? Hm, krzepki, przystojny młodzieniec...

– Witaj, Peter – westchnęła z rezygnacją Randi. – Ty też wstąpiłeś do wojska?

– Do amerykańskiego? – spytał z udawanym przerażeniem Howell. – Niech Bóg broni! To tylko przykład nieoficjalnej współpracy między starymi przyjaciółmi i sojusznikami. Pies nie kąsa ręki, która go karmi, i tak dalej. Nie, nie, wpadliśmy tu, żeby spytać, czy interesowałoby cię przystąpienie do naszego małego paktu.

– Wspaniale. – Randi pokręciła głową. – Bomba. Dobra, poddaję się: powiem wam, co wiem, ale tego samego oczekuję od was. Karty na stół. Jasne?

Howell uśmiechnął się ciepło.

– Jak słońce. Nie lękaj się, o pani. W odpowiednim czasie wszystko się wyjaśni. Wujkowi Peterowi można zaufać.

– Wiem, wiem – prychnęła Randi. – Tak czy inaczej, w tych okolicznościach nie mam wyboru. – Wciąż zachowując się jak siedemdziesięcioletnia staruszka, powoli wstała i pociągnęła za smycz, żeby wywlec spod stołu pudła, który od kilku minut dobierał się do buta Jona. –

Chodź, Pascal – rzuciła chrapliwą, nosową francuszczyzną. – Nie przeszkadzajmy panom.

I zniższy głos, dodała:

– Rozegramy to tak. Odczekacie pięć minut, a potem pójdziecie do domu Wiktora Hugo.

Udawajcie turystów, krytyków literackich, kogo chcecie. Podjedzie tam białe audi z wgnieceniem na prawych tylnych drzwiach. Wsiadźcie, tylko bez zamieszania. Jasne?

Posłusznie kiwnęli głowami.

Obrzuciwszy ich gniewnym spojrzeniem, Randi odeszła i, nie oglądając się za siebie, skręciła za najbliższym rogiem. Dla postronnego obserwatora była uosobieniem paryskiej grand dame na porannej przechadzce z do cna rozpuszczonym pieskiem.

Dziesięć minut później Smith i Howell stali już przed Maison de Victor Hugo, przyglądając się ciekawie oknom mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie autor Nędzników i Dzwonnika z Notre-Dame spędził szesnaście lat swego długiego życia.

– Ciekawy był z niego gość – rzucił w zadumie Peter. – Na starość miewał napady obłędu. Raz widziano go ponoć, jak gryzł meble.

– Tak jak Pascal – odparł Jon.

– Ten słynny filozof i matematyk?

– Nie, pies Randi.

– Niesamowite – mruknął Howell. – Czego to się człowiek nie dowie w tym Paryżu... –

Zerknął przez ramię. – Oho, nadjeżdża nasz rydwan.

Przy krawężniku przystanąło białe audi z wgnieceniem na tylnych drzwiach. Wsiedli.

Samochód natychmiast ruszył i, objechawszy Place des Vosges, ponownie skręcił w rue de Turenne. Tam nastąpiła długa seria pozornie chaotycznych skrętów w lewo i prawo, z których każdy prowadził ich głębiej w labirynt jednokierunkowych uliczek centrum Marais.

Smith obserwował przez chwilę ziemistą twarz krępego kierowcy.

– Jak się masz, Max – rzucił.

– Witam, pułkowniku – odparł kierowca, uśmiechnąwszy się do lusterka. – Miło pana widzieć.

Całkiem niedawno spędzili razem sporo czasu, tropiąc od Paryża aż po hiszpańskie wybrzeże arabskich terrorystów. Max nie był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie CIA, ale jako agent terenowy sprawdzał się w stu procentach.

– Ktoś nas śledzi? – spytał Jon, widząc, że nieustannie zerka na boki, wypatrując czegoś na wąskich, zatłoczonych ulicach.

– Nie, nie. – Max pokręcił głową. – Ja tylko tak, na wszelki wypadek. Zachowujemy ostrożność, to wszystko. Randi jest ostatnio trochę... przeczulona.

– Tak? Dlaczego?

– Niedługo się pan dowie.

Skręcili w kolejną uliczkę, jeszcze węższą od pozostałych. Po obu stronach stały tu wysokie kamienice, przesłaniając i słońce, i niebo. Zaparkowali za szarą furgonetką marki Renault, która blokowała prawie pół jezdni.

– Ostatni przystanek – powiedział Max.

Smith i Howell wysiedli.

Tylne drzwi furgonetki otworzyły się i wewnątrz zobaczyli baterię sprzętu elektronicznego, monitorów, komputerów i odbiorników. Byli też wciąż przebrana Randi i mężczyzna, którego Jon nie znał. Pascal gdzieś przepadł.

Wsiedli i niezdarnie pochyleni zatrzasnęli drzwi.

– Widzę, że się udało – powiedziała Randi. Posłała im uśmiech i zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując stojący na półkach sprzęt. – Witajcie w naszych skromnych progach, w ruchomym centrum operacyjnym paryskiej grupy specjalnej. Nie licząc ludzi, nasz cel obserwują również ukryte kamery.

Dała znak koledze siedzącemu przed monitorem.

– Pokażmy im, co mamy, Hank. Najpierw kamera numer 1. Nasi goście umierają z niecierpliwości.

Technik wprowadził do komputera serię poleceń. Momentalnie rozbłysnął ekran i zobaczyli pokryty szarą dachówką stromy dach z licznymi antenami wszelkiego rozmiaru i kształtu.

Smith cichutko zagwizdał.

– Prawda? – rzuciła Randi. – Ci faceci mogą wysyłać i odbierać każdy rodzaj sygnału.

Radiowy, laserowy, satelitarny, jaki tylko chcesz.

– Ale właściwie w czym problem? – spytał wciąż zaskoczony Jon. – Czemu bałaś się zameldować o tym Langley?

Randi uśmiechnęła się sardonicznie i klepnęła Hanka w ramię.

– Daj dwójkę. – Zerknęła na Smitha i Howella. – To ta sama kamienica, wejście od ulicy.

Dobrze się przypatrzcie.

Kamienica była czteropiętrowa i bardzo stara. Od zanieczyszczonego powietrza, wiatru, mrozu i słońca jej kamienna fasada ściemniała i w wielu miejscach popękała. Na każdym piętrze miała wysokie, wąskie okna, a pod dachem, na strychu, okna mansardowe.

– Zrób zbliżenie – poleciła Randi.

Obraz rozrósł się na cały ekran i zobaczyli małą, brązową tabliczkę obok drzwi. Na niej widniał głęboko wryty napis:

1 8 RUE DE VIGNY

PARTI LAZARE

– O cholera... – mruknął Howell.

– Prawda? – powiedziała Randi. – Tak się przypadkiem składa, że w tym domu mieści się paryska siedziba Ruchu Łazarza.

Godzinę później Smith stanął przed drzwiami swego pokoju w Hotel des Chevaliers.

Stanął i szybko ukląkł, żeby sprawdzić, czy wciąż jest tam gruby, czarny włos, który umieścił między framugą a drzwiami mniej więcej trzydzieści centymetrów od wykładziny w korytarzu.

Włos był na miejscu.

Uznawszy, że pokój jest „czysty”, wpuścił do środka Randi i Petera. Ruchome centrum operacyjne CIA – furgonetka – było za ciasne na długie spotkanie, a pobliskie kafejki i restauracje za bardzo zatłoczone i wystawione na widoki publiczny. Żeby spokojnie się naradzić, potrzebowali odosobnionego i zacisznego miejsca, a takie mniej więcej wymagania spełniał hotel Jona.

Randi, która zdążyła się już przebrać i była teraz krótkowłosą blondynką w obcisłym kostiumie, nerwowo krążyła po pokoju. Ponieważ była szczupła, długonoga i jak na kobietę dość wysoka – mierzyła metr siedemdziesiąt trzy – często brano ją za tancerkę, ale błędu tego nie popełniłby nikt, kto widziałby ją teraz w hotelowym pokoju Smitha. Chodziła tam i z powrotem jak niebezpieczne zwierzę w klatce, głęboko sfrustrowana ogarniającym CIA paraliżem, który pozbawił ją wsparcia i rady w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowała. Nie wiedziała, co zrobić z niewiarygodnym odkryciem, którego dokonała jej grupa, i czuła się nieswojo nawet w obecności starych przyjaciół.

Obrzuciwszy spojrzeniem eleganckie meble i wystrój pokoju, zerknęła przez ramię na Jona.

– Nieźle jak na kogoś, kto żyje na koszt wojska – mruknęła.

– Nie ma to jak podatki i podatnicy – odrzekł z uśmiechem Smith.

– Typowy jankeski żołnierz – wtrącił z cichym śmiechem Howell. – Przeplącany, rozpieszczany i za dobrze wyposażony.

– Pochlebstwem niczego nie wskórasz, Peter – odparł oschle Jon i ciężko opadł na najbliższy fotel. – Posłuchajcie, przestańmy się żreć i zacznijmy wreszcie poważnie rozmawiać.

Co robimy?

Randi tylko na niego spojrzała. Howell podrapał się w głowę.

– Cóż, sytuacja jest dość trudna – powiedział wolno i też usiadł w wielkim, skórzanym fotelu.

Randi wytrzeszczyła oczy.

– Dość trudna? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Do licha ciężkiego, może byś tak przestał udawać flegmatycznego twardziela i choć raz okazał trochę zdrowego rozsądku, co?

Sytuacja jest beznadziejna, i dobrze o tym wiesz.

– „Beznadziejna” to strasznie wielkie słowo – wtrącił z wymuszonym uśmiechem Smith.

– Dla mnie nie – odparowała Randi. Wciąż dezorientowana, pokręciła głową i znowu zaczęła krążyć po pokoju. – Dobra – rzuciła. – Najpierw wy, dwaj bohaterowie, udowodniliście, że nasi ludzie prowadzili wstrętą, nie zgodną z prawem kampanię przeciwko Ruchowi Łazarza.

W panikę wpadli prezydent i premier. Dali w łeb własnym służbom wywiadowczym, zasypując nas rozkazami natychmiastowego zaprzestania wszelkich tajnych operacji przeciwko ruchowi; nie wspomnę już o tym, że do akcji od razu włączyły się Kongres i Parlament, a prowadzone przez nich śledztwo może potrwać wiele miesięcy, może nawet lat.

Jon i Peter zgodnie pokiwali głową. Randi zmarszczyła czoło.

– Zauważcie, że to dla mnie poważny problem. Idiotów, którzy uwierzyli Burke’owi, Kit Pierson i paru innym, powinno się ukrzyżować. Tępyimi gwoździami. – Wzięła głęboki oddech. –

A teraz, gdy nad głową świszczą nam odłamki tej waszyngtońskiej bomby, chcecie zrobić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. I co? I włamać się do budynku zajmowanego przez Ruch Łazarza: przecież to oczywiste! I to nie do byle jakiego budynku, rzecz jasna, tylko do ich paryskiej siedziby!

– Naturalnie – odparł spokojnie Howell. – Jak inaczej dowiemy się, co knują? Masz jakieś propozycje?

– Chryste... – wymamrotała Randi i odwróciła się do Smitha. – Ty też tak uważasz?

Jon posępnie kiwnął głową.

– Jestem pewny, że Burkiem, Pierson i całą resztą manipulował ktoś spoza wywiadu. Że ta niewypowiedziana wojna przeciwko ruchowi była tylko przykrywką dla czegoś znacznie gorszego, dla czegoś w rodzaju zamachu na Instytut Tellera albo tego w La Courneuve. – Jon poprawił się w fotelu. – Dlatego rozmieścili tam te czujniki. Dlatego są gotowi zabić każdego, kto wejdzie im w drogę.

– Ale ten ruch występuje przeciwko nauce i technice! – wybuchła zdenerwowana Randi.

– Dlaczego ich zwolennicy mieliby masowo zabijać ludzi bronią, przeciwko której tak zażarcie protestują? To nie ma sensu!

– To może oznaczać, że ów tajemniczy „ktoś” Jona, nazwijmy go panem X, wykorzystuje Ruch Łazarza jako kamuflaż dla swoich prawdziwych planów – zauważył Howell. – W ten sposób zamydlił oczy kilku idiotom z CIA i FBI. No i niestety z MI-6.

– Widzę, że wasz pan X strasznie dużo może – zauważyła zgryźliwie Randi. Odwróciła się od okna z zadziornie podniesioną głową. – Aż za dużo.

– Nie sądzę – odparł ponuro Jon. – Wiemy już, że X, osoba lub grupa ludzi, ma olbrzymie zasoby finansowe. Nie da się wyprodukować miliardów nanofagów bez dużych pieniędzy.

Naprawdę dużych, bo w grę wchodzi co najmniej sto milionów dolarów, może znacznie więcej.

Gdybyś zaledwie ułamek tej kwoty przeznaczyła na łapówki, gwarantuję, że kupiłabyś sobie dozoną wierność kilku czołowych działaczy Ruchu Łazarza.

Bezczyne siedzenie w fotelu zaczynało go drażnić, więc wstał. Podszedł do Randi i łagodnie położył jej rękę na ramieniu.

– Znasz jakiś inny sposób dopasowania puzzli w tej układance? – spytał cicho.

Przygnębiona Randi długo milczała. Wreszcie ciężko westchnęła i pokręciła głową.

Gniew i wzburzenie uleciały z niej jak sprężone powietrze.

– Ja też nie – powiedział Smith. – Dlatego musimy dostać się do tej kamienicy. Musimy sprawdzić, jakiego rodzaju dane zbierały czujniki w La Courneuve. Co ważniejsze, musimy się dowiedzieć, gdzie i komu je przekazały. – Zmarszczył brwi. – Twoi technicy ich nie podsłuchali?

– Nie – odrzekła Randi, niechętnie przyznając się do porażki. – Mają tam chyba jakieś osłony. Nawet szyby w oknach delikatnie wibrują, żeby uniemożliwić podsłuch laserowy.

– We wszystkich oknach? – spytał z ciekawością Peter.

Randi wzruszyła ramionami.

– Nie, tylko w tych na najwyższym piętrze i na strychu.

– To miło, że zostawili nam otwartą furtkę – wymamrotał cicho Howell, zerkając na Smitha.

– Miło i wygodnie – zgodził się z nim Jon.

– Może za wygodne? – rzuciła Randi. – A jeśli to pułapka?

– Musimy zaryzykować – odrzekł leniwie Peter. – Nie ma czasu na rozważania dlaczego, i tak dalej. – I zanim Randi zdążyła zmyć mu głowę, szybko przybrał bardziej stosowną minę. –

Ale wątpię. Oznaczałoby to, że ci z La Courneuve celowo dali się wam zaskoczyć, kiedy wieszali te swoje pudełeczka na latarniach. Po co mieliby zawracać sobie tym głowę? Żeby capnąć dwóch starych, schorowanych żołnierzy?

– I jedną wysokiej klasy agentkę – dodała po chwili wahania Randi. Skromnie spuściła wzrok. – To znaczy mnie.

Jon uniósł brew.

– Czyżbyś zamierzała pójść z nami?

Randi westchnęła.

– Dwóch przerośniętych uczniów może nieźle narozrabiać. Musi ich przypilnować ktoś odpowiedzialny.

– Wiesz, co się stanie z twoją karierą, jeśli nas złapią? – spytał spokojnie Smith.

Posłała mu krzywy uśmiech.

– No nie, Jon – odparła z wymuszoną wesołością. – Jeśli nas złapią, kariera będzie moim ostatnim zmartwieniem!

Podjąwszy decyzję, zaczęła rozkładać na podłodze zdjęcia paryskiej siedziby Ruchu Łazarza. Pokazywały ją niemal ze wszystkich stron, o różnych porach dnia i nocy. Rozłożyła też dokładny plan tej części miasta, na którym zaznaczono sąsiednie budynki, ulice i aleje.

Uklękli i zaczęli to wszystko dokładnie analizować, szukając drogi, którą mogliby tam niepostrzeżenie wejść i... przeżyć. Po kilku minutach Howell usiadł w kucki z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Boję się, że jest tylko jeden realny sposób – powiedział. – Może niezbyt elegancki i oryginalny, ale w miarę pewny.

– Peter, błagam – jęknęła Randi. – Tylko mi nie mów, że staranujemy frontowe drzwi i wbiegniemy schodami na czwarte piętro!

– Nie, nie, to nie w moim stylu. – Howell postukał palcem w plan miasta, wskazując jedną z kamienic sąsiadujących z rue de Vigny numer 18. – Parafrazując Hamleta: do każdego budynku są wejścia, o których nie śniło się nawet filozofom.

Jon przyjrzał się uważniej usytuowaniu kamienicy i wszystko zrozumiał. Ściągnął usta.

– Będzie nam potrzebny specjalistyczny sprzęt. Znasz tu kogoś, kto ma taki?

– Coś się znajdzie – odparł spokojnie Howell. – Nie ma to jak koledzy z dawnego, niegodziwego życia w służbie Jej Królewskiej Mości. Poza tym przyjaciele Randi z tutejszej placówki CIA też na pewno pomogą. Pod warunkiem, że grzecznie ich poprosi.

Randi, która wciąż studiowała zdjęcia, uniosła brwi.

– Bomba, niech no zgadnę. – Westchnęła. – Znowu planujecie coś „zaprzeczającego prawo ciężenia”, tak?

Peter popatrzył na nią z udawanym przerażeniem.

– Zaprzeczającego prawa ciężenia?– powtórzył. – Ależ skąd! – Uśmiechnął się chytrze. –

My się temu prawu całkowicie podporządkujemy. Przecież ktoś, kto włązi na górę, musi kiedyś spaść.

Wtorek, 18 października

Minęła już północ, ale na dobrze oświetlonych ulicach wciąż było wielu imprezowiczów i wracających z późnej kolacji, sytych i pełnych wrażeń turystów. Na rue de Vigny, oddalonej od zatłoczonych kawiarni, knajpek i klubów, było znacznie ciszej i spokojniej, chociaż i tu trafiali się przechodnie.

Środkiem jezdni, kuląc się na jesiennym chłodzie, kuśtykała pomarszczona staruszka. Jej buty na wysokim obcasie postukiwały głośno na startym, błyszczącym bruku. Pod pachą kurczowo ścisnęła dużą płócienną torbę, zdecydowana bronić swego dobytku przed czyhającymi w mroku złodziejami. Wyraźnie zmęczona i z obolałymi nogami, przystanęła przed numerem 18, żeby złapać oddech. W oknach pod stromym, krytym dachówką dachem starej kamienicy paliło się światło. Te na niższych piętrach i na parterze były ciemne.

Mrucząc pod nosem, staruszka dokuśtykała wreszcie do sąsiedniego trzypiętrowego domu, rue de Vigny numer 16. Przez kilka długich, pełnych udręki minut stała przed drzwiami, gdyż najpierw grzebała w przepastnej torbie, a potem nie mogła włożyć klucza do zamka.

Wreszcie zamek kliknął i ustąpił. Staruszka z trudem pchnęła ciężkie drzwi i wolno weszła do środka.

Na ulicy ponownie zaległa cisza.

Kilka minut później pojawiło się tam dwóch mężczyzn, jeden ciemnowłosy, drugi siwy.

Obaj byli w ciemnych płaszczach i mieli na ramionach ciężkie, płócienne torby. Szli obok siebie, płynną francuszczyzną gawędząc beztrosko o pogodzie i absurdalnych środkach bezpieczeństwa na lotnisku. Wyglądali jak podróżni wracający do domu po długim weekendzie za granicą.

Skręcili do domu numer 16. Ten młodszy, ciemnowłosy, otworzył drzwi.

– Bardzo proszę – powiedział.

– Starsi mają pierwszeństwo, he? – zażartował starszy. Wszedł do małego, ciemnego holu, grzecznie pozdrawiając staruszkę, która tam na nich czekała.

Smith też wszedł do środka, ale przedtem zerwał kawałek taśmy izolacyjnej, którą

„staruszka” zablokowała zamek. Zwinął ją w kulkę, schował do kieszeni i zaczął czekać, aż drzwi się zatrzasną.

– Niezła robota – rzucił. – Włamania to twoja specjalność.

Randi podziękowała mu uśmiechem. Nawet zmarszczki, które postarzały ją o dobre czterdzieści lat,

nie mogły ukryć jej jasnych, tryskających nerwową energią oczu.

– Cóż, Farmę zaliczyłam jako pierwsza na roku. – Farma, inaczej Camp Perry, była ośrodkiem szkoleniowym CIA pod Williamsburgiem w Wirginii. – Miło wiedzieć, że nauka nie poszła w las.

– Dokąd teraz? – spytał Jon.

Ruchem głowy Randi wskazała wychodzący z holu korytarz.

– To główna klatka schodowa; prowadzi na samą górę. Na półpiętrach są mieszkania.

– Wypatrzyłaś tam jakieś niespokojne dusze? – szepnął Peter.

– Nie. W szparach pod niektórymi drzwiami widać światło, ale poza tym wszędzie panuje cisza. I lepiej, żeby tak pozostało, prawda? Nie chciałabym spędzić następnych dwudziestu czterech godzin w najbliższej prefekturze i odpowiadać na niewygodne pytania policji.

Weszli ostrożnie na schody i minawszy po drodze trzy półpiętra, zastawione dziecinnymi rowerkami, wózkami i torbami na kółkach, stanęli przed kolejnymi drzwiami. Te ustąpiły już po kilku ruchach wytrychem. Otworzyli je i znaleźli się w urządzonym na dachu ogródku, jednym z tych tak uwielbianych przez paryżan, na zielonej polance w samym środku miasta, w labiryncie wielkich glinianych donic z karłowatymi drzewkami, krzewami i kwiatami. Od rue de Vigny oddzielały ich rząd okopconych kominów i las anten telewizyjnych.

Odgłosy miasta – klaksony samochodów na bulwarze Beaumarchais, jękliwy warkot śmigających wąskimi uliczkami skuterów, śmiech i muzyka płynące z otwartych drzwi pobliskiego nocnego klubu – były na tej wysokości mocno przytłumione. Daleko na północy, na gęsto zabudowanych zboczach Montmartre’u, lśniły oświetlone reflektorami kopuły bizantyjskiej bazyliki Sacre Coeur.

Smith podszedł ostrożnie do krawędzi dachu, wyciągnął szyję i spojrzał ponad bogato zdobioną barierką z kutego żelaza w czarną otchłań. Wąziutka alejka, rząd pojemników na śmieci i nic więcej. Po drugiej stronie alejki pionowo w górę strzelała ściana sąsiedniej kamienicy. Przez szpary w opuszczonych żaluzjach i zaciągniętych zasłonach widać było plamy ciepłego, żółtego światła. Jon cofnął się i wrócił do Randi i Petera, którzy przycupnęli w skromnej kryjówce, jaką zapewniały im rosnące na dachu drzewka i krzewy.

Po prawej stronie majaczył mroczny masyw paryskiej siedziby Ruchu Łazarza.

Kamienice stały prawie tuż obok siebie, ale osiemnastka była o jedno piętro wyższa. Od jej stromego dachu dzieliła ich naga, sześciometrowa ściana.

– No dobra. – Howell ukląkł, otworzył jedną z płóciennych toreb i zaczął wyjmować z niej ubranie i sprzęt. – Bierzcie.

Ze zwyczajnie wyglądających cywili przeistoczyli się w troje profesjonalnie wyposażonych specjalistów: transformacja była szybka i w miarę bezbolesna. Randi zaczęła ją od ściągnięcia z głowy siwej peruki ukrywającej jej jasne włosy. Potem zerwała z twarzy sztuczne zmarszczki, które

tak skutecznie robiły z niej staruszkę.

Pod grubym płaszczem każde z nich miało czarny golf i czarne dżinsy. Na głowę założyli ciemne czapki z daszkiem. Poczernili sobie twarze, włożyli buty do wspinaczki, grube, skórzane rękawice, kevlarowe kamizelki kuloodporne, wojskowe kamizelki podobne do tych używanych przez żołnierzy SAS, oraz szelki z kaburą na broń osobistą: Smith miał sig–sauera, Howell browninga high–power, a Randi berettę kaliber 9 milimetrów. Potem wcisnęli się w uprząż alpinistyczną i poobwieszali zwojami liny.

Na koniec Peter rozdał im po dwa cylindryczne pojemniki wielkości pianki do golenia.

– Granaty hukowo–oślepiające – wyjaśnił spokojnie. – Dezorientują przeciwnika.

Poręczne i bardzo przydatne. Podobno na niektórych przyjęciach też, bo...

– Przecież mamy tam wejść po cichu! – syknęła Randi. – Bez wybuchów i kanonady.

Chcesz tu wywołać III wojnę światową?

– Granaty są tylko na wszelki wypadek – odparł Howell. – Lepiej dmuchać na zimne. –

Ruchem głowy wskazał ciemną ścianę sąsiedniej kamienicy. – Ci faceci mogą się troszkę zdenerwować, jeśli zobaczą, że ich podglądamy.

Obszedł ich, szarpiąc za uprząż i zwisający z kamizelek sprzęt, żeby sprawdzić, czy troki dobrze trzymają. Potem cierpliwie poddał się tej samej procedurze.!

– Zatem do dzieła. – Włożył rękę do torby i wyjął z niej mały pistolet pneumatyczny, załadowany tytanową strzałą na końcu pokrytej nylonem długiej liny. Z lekkim ukłonem podał

go Randi. – Zechce pani czynić honory domu?

Randi cofnęła się o krok i popatrzyła na ciemną ścianę, szukając dobrego miejsca.

Wpadło jej w oko wąskie pęknięcie w tynku. Starannie zgrała muszkę ze szczerbinką i pociągnęła za spust. Pistolet cicho kaszlnął i strzałka śmignęła w mrok, rozwijając linę.

Rozległo się metaliczne „klang!” i jej haczykowato zakończony grot utkwiał głęboko w kamiennym murze.

Jon szarpnął liną.

– Gotowi?

Kiwnęli głowami.

Jedno po drugim, ostrożnie wspięli się po ścianie na stromy dach domu przy rue de Vigny numer 18.

Centrum dowodzenia, Azory

Hideo Nomura siedział przy prostym tekowym biurku i z narastającą przyjemnością oglądał komputerową symulację pierwszych misji bojowych tanatosów. Ekran monitora pokazywał zachodnią półkulę, a kolorowe ikony na bieżąco aktualizowaną pozycję każdej maszyny wysłanej z bazy na Azorach, zaledwie cztery tysiące kilometrów od amerykańskiego wybrzeża.

Gdy pokonawszy Atlantyk, niewidzialne dla radarów samoloty poszybowały wysoko nad kontynentem, olbrzymie połacie cyfrowej mapy zaczęły zmieniać kolor, wskazując obszary zaatakowane przez obłoki niesionych wiatrem nanofagów wersji czwartej. Przewidywany wskaźnik śmiertelności celów żywych oznaczono różnymi odcieniami. W miejscach jaskrawoczerwonych sięgał stu procent. W tych strefach nikt nie miał prawa przeżyć.

Okolice Nowego Jorku, Waszyngtonu, Filadelfii i Bostonu rozjarzyły się na czerwono, sygnalizując śmierć trzydziestu pięciu milionów kobiet, mężczyzn i dzieci. Nomura kiwnął głową i uśmiechnął się z satysfakcją. Sama w sobie ich śmierć byłaby jedynie przedsmakiem niezbędnej masakry, której zamierzał dokonać. Jednak ten pierwszy atak miał służyć o wiele istotniejszemu celowi: nagłe zniszczenie tylu najgęściej zaludnionych ośrodków gospodarczo-

administracyjnych pchnęłoby Stany Zjednoczone w odmęty powszechnego chaosu, nie dając ich przywódcom żadnych możliwości namierzenia źródła druzgocącego ataku na bezbronny naród...

Zamruczał interkom.

Nomura niechętnie oderwał wzrok od roztaczających się na ekranie wspaniałości.

Wcisnął guzik.

– Tak? O co chodzi?

– Otrzymaliśmy dane z paryskiego ośrodka obserwacyjnego – zameldował beznamienny, akademicki głos szefa zespołu naukowego. – Na podstawie rezultatów eksperymentu numer 3

uznaliśmy, że nie ma potrzeby wprowadzania dalszych modyfikacji.

– Doskonale – odrzekł Nomura, zerkając na ekran. Strefy śmierci rozszerzały się bardzo szybko, sięgając coraz dalej w głąb kontynentu. – Kiedy ukończycie produkcję wersji czwartej?

– Za mniej więcej... dwanaście godzin – obiecał ostrożnie naukowiec.

– Dobrze. Proszę mnie informować. – Nomura wcisnął klawisz i na ekranie monitora pojawił się obraz z kamer zamontowanych w wielkich hangarach na obu końcach lotniska. Ekipy montażowe budujące flotyllę tanatosów pracowały zgodnie z harmonogramem. Gdy z tajnego ośrodka produkcyjnego wytoczą się pierwsze zbiorniki z nowymi nanofagami, czekać na nie będą trzy gotowe do lotu maszyny.

Podniósł słuchawkę telefonu satelitarnego i wybrał numer. Nones, trzeci z Horacjuszów, odebrał

natychmiast.

– Jakie są twe rozkazy, Łazarzu?

– Wasza misja w Paryżu dobiegła końca. Jak najszybciej wracajcie do centrum. Bilety i niezbędne dokumenty dla waszej grupy będą czekały na stanowisku Air France na Orły Sud.

– Co z zespołem Holendra? – spytał Nones. – Co mam z nimi zrobić?

Nomura wzruszył ramionami.

– Linden i jego ludzie dobrze się sprawili. Ale nie widzę dalszego zapotrzebowania na ich usługi. Żadnego. Rozumiesz? – spytał zimno.

– Rozumiem. A sprzęt i wyposażenie bazy przy rue de Vigny?

– Zniszczcie wszystko – rozkazał z okrutnym uśmiechem Nomura. – Udowodnijmy przerażonemu światu, że amerykańscy i angielscy szpiedzy wciąż prowadzą haniebną wojnę przeciwko szlachetnemu Ruchowi Łazarza!

Paryż

Smith czołgał się po ostrym grzbiecie spadzistego dachu. Podciągał się tylko rękami, gdyż nie chciał ryzykować – zaopatrzone w gumowe podeszwy buty mogłyby narobić sporo hałasu, zwłaszcza że dachówki były popękane i obłuzowane. Poruszał się powoli, szukając najlepszego uchwytu na gładkiej, śliskiej powierzchni.

Kwatera Ruchu Łazarza była najwyższym budynkiem w tej części Marais, dlatego nie miał żadnej osłony przed zimnym, wschodnim wiatrem, który hulając po całym Paryżu, jęczał

między prętami i talerzami anten. Nagły podmuch targnął nim tak mocno, że obciążony sprzętem zaczął się zsuwać.

Zacisnął zęby, rozpaczliwie przytrzymując się ostrego grzbietu. Powoli wciągała go trzydziestometrowa otchłań, na dnie której czekały najeżone szpikulcami barierki, samochody i nagi bruk. Krew pulsowała mu w uszach tak głośno, że zagłuszała odległe odgłosy miasta.

Zlany potem mimo chłodu, przywarł do dachu, czekając, aż wiatr choć trochę przycichnie.

Potem, wciąż roztrzęsiony, podciągnął się i poczołgał dalej.

Minutę później dotarł do dużego, ceglanego komina, gdzie czekali Randi i Peter, którzy zdążyli już przywiązać linę do jego podstawy. Jon przypiął się do niej z westchnieniem ulgi i ciężko dysząc, przycupnął obok nich na grzbiecie dachu.

Howell cicho zachichotał.

– Siedzimy tu jak trzy smutne, mokre wrony – podsumował.

– Jak dwie brzydkie wrony i jedna wdzięczna łabędzica – poprawiła go z uśmiechem Randi i włączyła walkie-talkie. – Widzisz coś?

– Nic – odparł czuwający na ulicy Max. – Cisza i spokój. Parę minut temu zapaliło się światło na drugim piętrze, ale poza tym nic się nie dzieje.

Randi zerknęła na przyjaciół.

– Czysto.

– Dobra – rzucił Smith. – Do roboty.

Jedno po drugim przysunęli się do komina i przygotowali sprzęt, dokładnie sprawdzając liny, uprzęż, karabińczyki i hamulce.

– Kto chce iść pierwszy? – spytała Randi.

– Ja – odrzekł Smith. Spojrzał na rozciągający się przed nim dach. – Ostatecznie to ja wpadłem na ten genialny pomysł.

– Jasne – mruknęła Randi. – Chociaż zamiast „genialny”, użyłabym innego słowa. –

Położyła mu rękę na ramieniu, delikatnie i czule. – Uważaj na siebie, Jon – szepnęła z niepokojem w oczach.

Dodał jej otuchy lekkim uśmiechem.

– Postaram się.

Żeby ukoić nerwy, wziął parę głębokich oddechów. Potem odwrócił się przodem do nich i z ręką na rozwijającej się linie, zaczął powoli zsuwać się w dół. Zagrzechotały maleńkie kawałki popękanych dachówek i stoczyły się w czarną przepaść.

Nones wyszedł z gabinetu na drugim piętrze, który zajmował, odkąd tylko przybył do Paryża. W gabinecie tym, największym w budynku i pięknie umeblowanym, zazwyczaj urzędował szef programu pomocy humanitarnej dla Afryki, ale miejscowi działacze dobrze wiedzieli, że lepiej z nim nie dyskutować i nie zadawać niewygodnych pytań. W końcu miał

upoważnienie od samego Łazarza i to on stanowił tu prawo, przynajmniej na razie. Nones uśmiechnął się zimno. Niedługo pożałują tej uległości, ale wtedy będzie już za późno.

Na półpiętrze czekało cierpliwie pięciu ludzi z ochrony. U ich stóp leżały broń i kilka płóciennych toreb. Bez słowa wstali na jego widok.

– Są nowe rozkazy – powiedział. – Od samego Łazarza.

– Takie, jak się spodziewałeś? – spytał spokojnie niski Azjata Shiro.

– Co do joty. – Horacjusz wyjął pistolet, trzasnął zamkiem i schował go z powrotem do kabury. Ochroniarze poszli w jego ślady, po czym wzięli torby.

Rozdzielili się. Dwóch zeszło do małego garażu na tyłach kamienicy, a pozostali ruszyli z Nonesem na górę, na czwarte piętro, do kwater terenowej grupy obserwacyjnej Lindena.

Smith zachwiał się niebezpiecznie, odzyskał równowagę i znieruchomiał na krawędzi dachu. Jeszcze mocniej zacisnął palce na linie i odchylił się do tyłu, żeby mieć lepszy widok na mansardowe okna. Prowadziły do kilku małych pomieszczeń na strychu i, tak jak widzieli to na zdjęciach Randi, były zabezpieczone grubymi, szczelnie zamkniętymi okiennicami.

Nie, pomyślał. Okiennic nie rozwalimy, za dużo hałasu. Trzeba inaczej.

Odchylił się jeszcze bardziej i spojrział w dół. W oknach na czwartym piętrze paliło się światło, a

okiennice były otwarte. Krótkimi, sprężystymi skokami zaczął opuszczać się w ich stronę. Towarzyszyły temu jedynie ciche skrzypienie przesuwającej się w karabińczykach liny i głucho uderzenia butów o ścianę. Sześć metrów niżej wyhamował. Jedno z okien było tuż obok.

Zerknął w górę.

Randi i Peter wciąż siedzieli pod kominem i z tej odległości widział jedynie ich czarne sylwetki na tle rozgwieżdżonego nieba. Patrzyli w dół, czekając na znak, że mogą zejść.

Ruchem ręki kazał im zostać na miejscu i przesunął się nieco, żeby zajrzeć przez okno.

Zobaczył długi, kiszgowaty pokój, ciągnący się prawie przez połowę budynku. Oprócz tego okna, w pokoju było jeszcze kilka innych.

Na stołach pod przeciwległą ścianą stały komputery, monitory, odbiorniki radiowe i przekaźniki satelitarne. Kilka innych, również uginających się pod ciężarem sprzętu, zestawiono ze sobą, tak że podzieliły pokój na kilka prowizorycznych stanowisk roboczych, połączonych wijącymi się na podłodze kablami. Ściany były brudne, upstrzone stuletnimi plamami i pokryte spękana, łuszczącą się farbą.

W kącie stało sześć prycz. Cztery były zajęte. Spod grubych, wełnianych koców sterczały męskie stopy w skarpetkach.

Ale zamiast spać, co najmniej dwóch mężczyzn ciężko pracowało. Jeden z nich, starszy, siwowłosy i brodaty, siedział przed monitorem i szybkimi jak błyskawica palcami wprowadzał

komendy do komputera. Na ekranie monitora z zawrotną szybkością przesuwały się wykresy i obrazy. Drugi, w słuchawkach na uszach, siedział za konsolą odbiornika satelitarnego. Mocno pochylony do przodu, uważnie nasłuchiwał, od czasu do czasu kręcąc potencjometrami. Był

młodszy od siwego brodacza, nie miał zarostu, a jego oliwkowa cera i ciemnobrązowe oczy wskazywały, że pochodzi z południowej Europy. Hiszpan? Włoch?

Smith wzruszył ramionami. Hiszpan, Włoch albo mieszkaniec południowego Bronksu.

Co to za różnica? Ruch Łazarza werbował ludzi z całego świata. W tej chwili ważne było jedno: wiedział już, że nie wejdą tam niezauważeni, a przynajmniej nie oknami na tym piętrze. Spojrzał

w dół, na ciemne okna poniżej.

I nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch w pokoju. Brodaty mężczyzna odwrócił się i wstał

zdziwiony, choć nie zaniepokojony widokiem czterech mężczyzn, którzy weszli tam wąskimi, łukowato zwieńczonymi drzwiami.

Jon wytężył wzrok. Ubrani na czarno mężczyźni mieli płócienne torby na ramionach.

Dwóch trzymało w ręku pistolet, trzeci strzelbę. Czwarty mężczyzna, prawdziwy wielkolud – najwyraźniej ich przywódca – wydał jakiś rozkaz i jego podwładni natychmiast rozeszli się po pokoju. Wielkolud zerknął na okna, odwrócił głowę i ze złowieszczym wdziękiem wyjął z kabury pistolet.

Smith zadrżał, zdjęty zabobonnym lękiem. Tę samą twarz i te same, uderzająco zielone oczy widział nie dalej jak przed sześcioma dniami. Były to oczy terrorysty, który omal nie zabił go w bezpośrednim starciu przed Instytutem Tellera. Nie, to niemożliwe, pomyślał. Absolutnie niemożliwe. Człowiek pożarty żywcem przez nanofagi wstał z grobu? Jakim cudem?

Nones spojrział na Lindena. Niespiesznie wymierzył i pchnął kciukiem skrzydełko bezpiecznika.

Siwowłosa Holender popatrzył na wycelowaną w niego broń. Gwałtownie zbladł.

– Co ty... robisz? – wykrztusił.

– To twoja odprawa – odparł beznamiętnie Horacjusz. – Nie potrzebujemy już twoich usług. Ale Łazarz dziękuje ci za wierną służbę. Żegnam, Herr Linden.

Zaczekał, żeby zobaczyć jego minę. Gdy przerażony Holender nareszcie wszystko zrozumiał, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, Nones pociągnął za spust i z bliskiej odległości wpakował mu dwie kule w głowę. Na ścianę trysnęły fontanna krwi, kawałki kości i fragmenty mózgu z roztrzaskanej czaszki. Linden runął na podłogę jak szmaciana lalka.

W tym samym momencie w ciemnym kącie pokoju rozległ się wystrzał, a zaraz po nim drugi i trzeci. Horacjusz spojrział w tamtą stronę. Jeden z jego podwładnych zabił właśnie czwartego członka grupy. Technicy spali i byli łatwym celem. Trzy ładunki grubego śrutu, wystrzelone z odległości zaledwie trzech metrów, rozerwały ich na żalosne strzępy.

Nagle dobiegł go czyjś zdławiony krzyk. Stamtąd, z lewej strony. Nones odwrócił się na pięcie i zobaczył najmłodszego członka zespołu Lindena, portugalskiego łącznościowca Vitora Abrantesa. Chciał wstać. Rozpaczliwym ruchem ręki zerwał już słuchawki z głowy, ale wciąż nie mógł sobie poradzić ze zwiniętym kablem, który łączył je z odbiornikiem satelitarnym.

Prawie nie celując, Horacjusz wypalił dwa razy. Pierwszy pocisk trafił Portugalczyka w pierś, drugi w lewe ramię. Ten drugi obrócił nim jak marionetką i cisnął na nadajnik. Cicho jęcząc i ściskając ręką roztrzaskane ramię, Abrantes osunął się na podłogę.

Zdumiony swoim partactwem Nones podszedł bliżej i ponownie wymierzył. Tym razem zrobił to starannie i bez pośpiechu. Zgrał muszkę ze szczerbinką, lepiej ułożył palec na spuście i już zaczął go naciskać, gdy nagle...

Znajdujące się tuż obok okno eksplodowało, zasypując go gradem ostrych jak brzytwa odłamków szkła.

Wciąż wisząc na linie, Smith zeszywniał. W pokoju rozpoczęła się masakra, potworna jatka. Zdał sobie sprawę, że te sukinsyny z zimną krwią mordują własnych ludzi, żeby zatrzeć ślady i pozbyć się potencjalnych świadków. Świadków, których tak bardzo potrzebował!

Ogarnięty ślepą furią wyszarpnął z kabury pistolet i wycelował w szybę.

Trzy strzały – dół, środek, góra – i okno rozleciało się na kawałki. Zanim na podłodze zagrzechotały odłamki szkła, wepchnął sig–sauera do kabury, wyjął z kieszeni na nodze granat i wyrwał zawleczkę. Odskoczyła łyżka.

Wrzucił granat do pokoju i odbił się od ściany, raz i drugi. Za drugim razem zrobił to znacznie mocniej i zamiast w ścianę, wycelował nogami w roztrzaskane okno.

W tej samej chwili granat eksplodował i w pokoju rozbrzmiała seria ogłuszających wybuchów. Towarzyszył im oślepiający błysk, który miał zdezorientować i oszołomić wszystkich znajdujących się w promieniu rażenia. Buchnął siny, gęsty dym, kłębiąc się dziko we wstrząsanym wybuchami powietrzu.

Smith wpadł do pokoju nogami naprzód. Wylądował ciężko na podłodze, zwinął się jak kot, przetoczył w prawo i legł na brzuchu. Zachręściły odłamki szkła. Ponownie wyszarpnął z kabury pistolet, zmrużył oczy i poprzez dym zaczął wypatrywać celu.

Najpierw poszukał zielonookiego olbrzyma. W miejscu, gdzie przed chwilą stał, była zakrwawiona podłoga. Zaraz po wybuchu musiał zwać, bo strużka krwi ginęła za drzwiami.

Odgłos chwiejnych kroków. Tam, za tym ciężkim stołem.

Jon błyskawicznie poderwał głowę i w szybko rzedającym dymie dostrzegł jednego z tamtych. Chociaż oszołomiony hukiem i oślepiony jaskrawymi rozbłyskami światła, wciąż ścisnął w obu rękach pistolet i szybko mrugając, patrzył w jego stronę. Już go zobaczył, już odwrócił się i wymierzył!

Smith pociągnął za spust. Pierwszy pocisk trafił w serce, drugi w szyję.

Mężczyzna zgiał się wpół i, martwy, upadł na twarz.

Jon pochylił głowę i przetoczył się rozpaczliwie w drugą stronę, wciskając jednocześnie klamrę uprząży, żeby odczepić ciągnącą się za nim linę. Krępowała ruchy i była jak długa strzałka pokazująca, skąd przyszedł. Wcisnął klamrę raz jeszcze, szarpnął, wreszcie się od niej uwolnił i poczołgał po zrytej dziurami podłodze.

Jednego mniej, myślał. Pozostało jeszcze trzech, w tym zielonooki wielkolud. Gdzie byli jego kumple, gdy wrzucił przez okno granat? I, co ważniejsze, gdzie są teraz?

Wyjrzał zza stołu i krok dalej zobaczył tego starszego, siwowłosego. Skrzywił się.

Z roztrzaskanej czaszki trupa wypływała szarawa breja. Chryste, a jeszcze przed chwilą czaszka ta skrywała informacje, których tak bardzo potrzebował...

Ruszył dalej, kierując się w stronę ciemnego kąta, gdzie urządzono prowizoryczną sypialnię.

Szczeknięcie pistoletowego wystrzału, jedno, drugie i trzecie. Pierwsza kula świsnęła tuż nad głową. Druga wyrwała nierówną dziurę w nodze dębowego stołu tuż obok jego twarzy.

Trzecia grzmotnęła go w plecy, i odbiwszy się od kevlarowej kamizelki, pacnęła na podłogę.

Poczuł się, jakby kopnął go muł.

Ogarnięty falą palącego bólu, próbując wessać choć trochę powietrza do niemal całkowicie spłaszczonych płuc, rzucił się w bok. Kolejne dwie kule rozorały podłogę w miejscu, gdzie przed sekundą leżał, z jękiem odbiły się I rykoszetem od twardego drewna. Jon cofnął się, rozpaczliwie szukając wzrokiem tego, który do niego strzelał.

Jest! Tam!

Potworny ból sprawiał, że widział tylko sylwetkę, zamazany kształt. A to I sukinsyn.

Kłęczał jakieś sześć metrów dalej, za stołem, i spokojnie celował.! Smith pociągnął za spust, raz, drugi i trzeci, tak szybko, jak tylko zdołał. I Sig–sauer podskakiwał mu w rękach jak żywe stworzenie. Kule przebiły blat stołu, roztrzaskały stojący na nim komputer i w powietrze trysnął snop iskier, ostrych drzazg, kawałków metalu i plastiku. Zaskoczony strzelec zniknął mu z oczu.

Jon przetoczył się po podłodze, szukając lepszej kryjówki. Znieruchomiał na końcu jednego ze stanowisk roboczych, utworzonych z trzech zestawionych ze sobą stołów, odczekał

chwilę i ostrożnie wystawił głowę. Nikogo.

Wtedy spojrział na ciemny ekran stojącego przed nim monitora i zamarł, widząc w nim swoją śmierć.

Tamten stał za stołem przy sąsiednim stanowisku i celował w tył jego głowy.

Randi i Peter usłyszeli huk wystrzałów i zobaczyli oślepiający błysk, zobaczyli też, jak Smith odbija się nogami od ściany budynku i wpada do pokoju przez roztrzaskane okno.

Wymienili spojrzenia.

– Ojej. – Howell wyjął i odbezpieczył pistolet. – A miało być po cichu i dyskretnie...

Między kamiennymi ścianami okolicznych domów rozbrzmiało echem przeraźliwe crescendo kolejnych wystrzałów.

– Wchodzimy! – warknęła Randi i kilkoma krótkimi, zwinnymi odbiciami nóg spuściła się na dół. Howell pospieszył za nią, schodząc po ścianie dłuższymi skokami, równie szybko jak ona.

Wiedząc, że jest już o wiele za późno, że tamten już zaciska palec na spuście strzelby, Smith odwrócił się, rozpaczliwie próbując w niego wymierzyć. Krążąca w krwi adrenalina zwolniła bieg czasu, rozciągnęła go jak w sennym koszmarze, by maksymalnie go przyspieszyć w chwili, gdy grad śrutu z sześciostrzałowej dwunastki rozerwie mu głowę na krwawe strzępy...

I właśnie wtedy eksplodowało drugie okno, roztrzaskane serią wystrzelonych z bliskiej odległości pocisków kaliber 9 milimetrów. Terrorysta, trafiony kilkakrotnie w pierś i szyję, zatoczył się na bok i runął na blat stołu. Strzelba wypadła mu z rąk i zaklekotała na podłodze.

Do pokoju wpadli Randi i Peter. Szybko odczepili się od lin i zajęli pozycję, rozglądając się wokoło w poszukiwaniu kolejnego celu.

Wciąż zaszokowany Smith posłał im słaby uśmiech.

– Cieszę się, że zdążyliście – wychrypiał. – Chociaż poradziłbym sobie sam.

– Idiota – szepnęła Randi, obrzucając go ciepłym spojrzeniem.

– Boże, jak ja uwielbiam takie imprezy – rzekł Howell. – Ilu nam zostawiłeś?

– Jednego na pewno. – Smith ruchem głowy wskazał drugi koniec pokoju. – Czai się gdzieś tam. Ich szef, ten wielkolud, zwiął.

– Randi – powiedział Peter. – Pokażemy naszemu zaprzyjaźnionemu lekarzowi, jak zawodowi myśliwi wypłaszają zwierzynę? – Zerknął na Jona. – Ty pilnuj drzwi. – Sięgnął do kieszeni na udzie, wyjął granat, wyszarpnął zawleczkę i przytrzymał łyżkę. – Na jeden. Pięć, cztery, trzy, dwa...

Rzucił. Metalowy cylinder poszybował w powietrzu długim, płaskim hakiem, wylądował

za stołami i eksplodował. Pokój wypełnił się dymem, rozświetlanym co chwila stroboskopowymi rozbłyskami wybuchów.

Nisko pochylona Randi już pędziła przed siebie. Dostrzegłszy w dymie ciemną sylwetkę człowieka, rzuciła się na podłogę. Tamten szedł chwiejnie prosto na nią, więc prawie nie mierzając, pociągnęła za spust i położyła go dwoma strzałami z beretty. Mężczyzna upadł, zadrżał, spojrzał na nią martwymi oczami i znieruchomiał.

Randi zaczęła, aż opadnie dym.

– Z tej strony czysto! – krzyknęła.

– Rozejrzyj się tam – odrzekł Jon. – Może któryś żyje. Chodź, Peter. Poszukamy tego sukinsyna.

– Tego wielkoluda?

Smith ponuro kiwnął głową i powiedział mu o walce, którą stoczył z identycznym mężczyzną przed Instytutem Tellera w Nowym Meksyku. Howell cichutko zagwizdał.

– Co za paskudny zbieg okoliczności...

– Właśnie. Sęk w tym, że moim zdaniem to wcale nie przypadek.

– Prawdopodobnie nie – mruknął zafrasowany Peter. – Ale musimy działać szybko.

Większość paryskiej policji patroluje przedmieścia, ale trochę tu pohłasowaliśmy i na pewno się zleca.

Z gotową do strzału bronią ostrożnie ruszyli w stronę wyjścia. Smith bez słowa wskazał

krople krwi na podłodze. Ślad prowadził prosto do drzwi. Tropili rannego.

Tuż przed drzwiami Jon przystanął i wyrżał zza framugi. Wyłożone czarno–białą terakotą półpiętro, wysoka do pasa balustrada z kutego żelaza...

Strużka krwi prowadziła na szerokie, marmurowe schody, te zaś wiodły na dół.

Zielonooki wielkolud mógł im uciec! Nie chcąc do tego dopuścić, Smith zignorował ostrzeżenie Howella i popędził przed siebie.

Za późno dostrzegł, że krwawy ślad urywa się zaledwie dwa stopnie niżej. Wytrzeszczył oczy. Tamten musiał zawrócić, chyba że... Chyba że umiał latać!

Niewidzialna siła cisnęła nim w bok. Momentalnie stracił równowagę, upadł, potoczył się bezwładnie po podeście i grzmotną ramieniem w balustradę. Pistolet potoczył się z trzaskiem po podłodze. Jon nieprzytomnie pokręcił głową i przez pręty balustrady spojrział w dół, w czarno–białą przepaść.

Oszołomiony siłą zderzenia usłyszał nagle przytłumiony krzyk i zobaczył Howella, który na łeb na szyję staczał się ze schodów i szybko zniknął mu z oczu przy klekotliwym akompaniamencie przytroczonego do kamizelki sprzętu.

Nones odwrócił się z okrutnym uśmiechem na ustach. Jego poharatana odłamkami twarz przypominała krwawą maskę. Nie miał jednego oka, lecz to drugie wciąż lśniło dzikim, zielonkawym blaskiem.

Jon zerwał się na równe nogi, świadom, że krok dalej czyha przepaść. Wyszarpnął zza pasa nóż. Lekko przykucnął z ręką wzdłuż boku.

Niezrażony widokiem noża olbrzym ruszył w jego stronę. Jego wielkie ręce zataczały zwodniczo leniwe kręgi, w każdej chwili gotowe uderzyć, okaleczyć, a potem zabić.

Jon obserwował go zmrużonymi oczami. Bliżej, sukinsynu, myślał. Podejdź bliżej.

Przełknął ślinę, na próżno walcząc z lękiem. Nie miał żadnych złudzeń co do wyniku tej potyczki. Choć na wpół ślepy, przeciwnik górował nad nim wzrostem, siłą i bez wątpienia umiejętnościami w bezpośredniej walce.

Wyczuwając, że ogarnął go strach, olbrzym roześmiał się i otarł twarz z krwi, by nie zalewała mu zdrowego oka.

– No i co? – rzucił z szyderczym śmiechem. – Strach cię obleciał? Nie masz odwagi walczyć bez pistoletu?

Nie dając się sprowokować, Jon znieruchomiał. Czekał. Cały czas patrzył mu w jedyne oko, wiedząc, że uprzedzi go o ataku.

Oko leciutko drgnęło. Teraz!

Smith jeszcze bardziej wzmógł czujność.

Poruszając się z zatrważającą szybkością, Nones zgiął rękę i przymierzył się, by zadać mu potężny cios łokciem w twarz. Przymierzył się, ale nie zadał, gdyż Jon gwałtownie szarpnął głową w prawo i łokieć minął ją o ułamek centymetra.

Kolejny cios zablokował lewym przedramieniem: zrobiło mu się czerwono przed oczami i poczuł, że puszczają mu świeże szwy. Siła uderzenia pchnęła go na balustradę. Ciężko dysząc, pochylił się jeszcze bardziej.

Olbrzym wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Lewą rękę trzymał w pogotowiu, żeby odeprzeć ewentualny atak nożem, drugą zamierzał zadać cios, który miał przerzucić Smitha przez balustradę albo zmiażdżyć mu czaszkę. Jeszcze chwila i...

Jon zanurkował między jego nogami i błyskawicznie się wyprostował, blokując serię szybkich ciosów lewą ręką i przedramionami. Ich siła wgniotła go w ścianę i wycisnęła z płuc niemal całe powietrze. Rozpaczliwie dźgnął nożem. Tamten cofnął się o kilka kroków i oparł plecami o żelazną barierkę.

Teraz albo nigdy, pomyślał Jon.

Wyszarpnął z kieszeni ostatni granat i z dzikim wrzaskiem cisnął nim prosto w twarz napastnika. Wiedziony odruchem olbrzym odtrącił obiema rękami granat, po raz pierwszy opuszczając gardę.

I właśnie wtedy, w tej zastygłej w czasie chwili, Smith zaatakował, wbijając mu czubek noża w zdrowe oko. Sam czubek, lecz to wystarczyło. Z potwornej rany pociekła krew.

Oślepiony Nones ryknął jak rozwścieczone zwierzę, gwałtownym ciosem wytrącił mu nóż i z szeroko rozłożonymi rękami ruszył na niewidzialnego przeciwnika, chcąc go schwytać i zmiażdżyć w śmiertelnym uścisku.

Jon pochylił głowę, zrobił szybki unik, kantem dłoni uderzył go w krtań i odskoczył poza zasięg jego rąk.

Sapiąc, charcząc i rozpaczliwie pragnąc wciągnąć do płuc choćby jeden haust powietrza, którego tak bardzo teraz potrzebował, a którego wciągnąć już nie mógł, Nones powoli osunął się na kolana. Jego zakrwawiona twarz momentalnie posiniała. W desperackiej próbie schwywania człowieka, który go pokonał, po raz ostatni wyciągnął przed siebie ręce. Ale ręce opadły bezwładnie. Olbrzym runął na plecy i znieruchomiał, patrząc w sufit pustymi oczodołami.

Wyczerpany Jon ukląkł.

Na klatce schodowej zagrzmiało echo dochodzących z dołu wystrzałów. Smith z trudem wstał, podniósł z podłogi pistolet, ruszył na dół i po chwili zobaczył boleśnie kuśtykającego Howella.

– Przepraszam – jęknął Peter, widząc jego zaniepokojoną minę. – Cholernie długo się turlałem. – Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. – Ale nie ma tego złego: jakimś cudem nie wypuściłem z ręki browninga i na półpiętrze wpadłem na dwóch facetów, którzy właśnie szli na górę.

– Rozumiem, że już nie dojdą.

– Przynajmniej nie w tym życiu.

– Jon! Peter! Tutaj! Szybko!

Wzywała ich Randi. Popędzili na górę.

Randi klęczała przy jednym z leżących na podłodze mężczyzn. Zdumiona podniosła głowę.

– On żyje!

Z depczącym mu po piętach Howellem Smith podbiegł do niej i ukląkł, żeby mu się przyjrzeć. To ten młody mężczyzna w słuchawkach, którego widział przez okno. Oberwał dwa razy, w ramię i pierś.

– Zbadaj go – rzucił Peter. – I wypytaj. Ja rozejrzę się w tym bałaganie. – Odszedł

i zaczął systematycznie obszukiwać martwych terrorystów oraz sprawdzać elektroniczny sprzęt, którego nie tknęły kule.

Tymczasem Jon zdjął rękawiczkę i zbadał puls zakrwawionemu mężczyźnie. Puls był

ledwo wyczuwalny i coraz słabszy, skóra blada, zimna i wilgotna w dotyku. Łącznościowiec miał zamknięte oczy. Oddychał płytko i z wysiłkiem.

Jon zerknął na Randi.

– Podnieś mu nogi – szepnął. – Jest w szoku.

Randi lekko uniosła stopy mężczyzny, chwyciła ze stołu gruby podręcznik obsługi jakiegoś urządzenia i ostrożnie podłożyła mu go pod łydki.

Smith delikatnie rozpiął i rozchylił mu koszulę. Zmarszczył czoło. Wystarczyłoby już samo ramię: było doszczętnie roztrzaskane i większość chirurgów nalegałaby na natychmiastową amputację. Druga rana, wylotowa, była jeszcze groźniejsza. Poruszający się z prędkością dźwięku pocisk kaliber 9 milimetrów wyrwał mu w plecach olbrzymią dziurę, roztrzaskując kości, rozrywając naczynia krwionośne i miażdżąc tkanki.

Jon robił, co mógł, chociaż mógł niewiele. Z podręcznej apteczki w kieszeni wyjął dwie rolki plastikowej folii w hermetycznie zapieczętowanej torebce. Rozerwał torebkę zębami, rozwinął folię, przykrył nią ranę na piersi i mocno przycisnął, żeby dobrze trzymała. Na wierzch położył sterylną gazę, żeby powstrzymać krwawienie.

Obserwująca go Randi uniosła brwi w niemym pytaniu.

Smith pokręcił głową. Mężczyzna umierał i opatrunek mógł jedynie opóźnić nieuchronną śmierć. Rany były zbyt rozległe, wewnętrzny krwotok zbyt obfity. Nawet gdyby w ciągu najbliższych kilku minut łącznościowiec trafił do szpitala, nikt nie uratowałby mu życia.

Randi westchnęła i wstała.

– Ja też pójde się rozejrzeć. – Postukała palcem w zegarek. – Nie czekaj za długo.

Sąsiedzi na pewno powiadomili policję. Max ma skaner i w razie czego da nam znać, ale kiedy przyjadą, nie powinno nas tu być.

Aresztowanie amerykańskiego oficera i agentki CIA w paryskiej siedzibie Ruchu Łazarza

– do którego doszłoby zaraz po skandalu z Halem Burkiem i Kit Pierson! – potwierdziłoby wszystkie lęki i obawy autorów najbardziej paranoidalnych teorii spiskowych.

Randi rzuciła mu zakrwawiony portfel.

– Miał to w kieszeni. Dokumenty mogą być fałszywe, ale jeśli tak, to robota pierwszej klasy.

Jon otworzył portfel. Było tam międzynarodowe prawo jazdy na nazwisko Vitor Abrantes. I jego stały adres zamieszkania: Lizbona.

– Abrantes...

Umierający mężczyzna zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Skóra jego twarzy miała barwę popiołu.

– Jesteś Portugalczykiem? – spytał Jon.

– Sim. Tak. Eu sou Portuguese.

– Wiesz, kto cię postrzelił?

Abrantes zadrżał.

– Nones – wyszeptał. – Jeden z Horacjuszów.

Z Horacjuszów? Smith zmarszczył brwi. Łacina? Starożytność? Skądś to nazwisko znał.

Słyszał je tu, w Paryżu, tylko nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie.

– Jon! – krzyknęła Randi. – Spójrz!

Stała przed komputerem siwowłosego brodacza. Odwróciła monitor w jego stronę.

Zapętlony komputer wyświetlał wciąż te same obrazy, zdjęcia zatłoczonych ulic zrobione z nisko lecącego samolotu. W prawym dolnym rogu ekranu mrugał czerwony napis: ZRZUT

ROZPOCZĘTY.

– Chryste! – wykrzyknął Smith. – Nanofagi! Zrzucili je z powietrza!

– Na to wygląda. Tak jest pewnie łatwiej i skuteczniej.

– O wiele – myślał na głos Jon. – Atak z ziemi uzależniłby ich od wiatru i ciśnienia w zbiornikach. Zrzut z wysokości zapewnia większą kontrolę nad nanofagami. Strefa rażenia jest też nieporównywalnie większa...

Spojrzał na Abrantesa. Ranny balansował na pograniczu życia i śmierci, nie zdając sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Spróbować? Przy odrobinie szczęścia mógł odpowiedzieć na pytania, na które za nic nie odpowiedziałby wcześniej.

– Vitor, opowiedz mi o tych nanofagach. Co chcecie z nimi zrobić?

Abrantes zakaszłał. W kącikach jego ust pękały bąbelki krwi.

– Po ukończeniu testów oczyszczą świat... – wycharczał z fanatycznym błyskiem w oczach. Zamilkł, lecz po chwili dodał z wysiłkiem: – Wszystko się odrodzi. Z Ziemi zniknie cała zaraza. Zlikwidujemy tę dzicz, plagę nie okiełznanej ludzkości...

Smitha przeszedł zimny dreszcz. Zamachy przed Instytutem Tellera i w La Courneuve były tylko próbami. Oznaczało to, że śmierć dziesiątek tysięcy ludzi była z góry zaplanowana, po to żeby udoskonalić mordercze nanofagi, maksymalnie zwiększyć skuteczność ich działania i ocenić

ją w terenie, poza sterylnymi, hermetycznie szczelnymi pomieszczeniami laboratoryjnymi.

Popatrzył tępo na ekran monitora. Nanofagi, kolejna broń masowej zagłady. Narzędzie ludobójstwa na niespotykaną w historii skalę.

Opanował go straszliwy gniew. Na myśl, że ktoś mógłby radować się widokiem okrutnej, nieludzkiej wprost masakry, której był świadkiem w Santa Fe, ogarnęła go furia, jakiej nie odczuwał od wielu lat. Ale żeby uzyskać dokładniejsze informacje, musiał przekonać umierającego Portugalczyka, że rozmawia z nim przyjaciel, ktoś, kto podziela jego wypaczone poglądy. Spróbował się opanować, zdusić w sobie wściekłość.

– Kto oczyści świat, Vitor? – spytał łagodnie. – Kto go przebuduje?

– Łazarz. Łazarz... Śmierć da nowe życie.

Smith usiadł. Wreszcie uświadomił sobie straszliwą prawdę. Umysł podsunał mu potworny obraz: pozbawiony twarzy władca marionetek, autor i reżyser obłąkanego dramatu.

Łazarz. Z jednej strony głosił, że nanotechnologia jest śmiertelnym zagrożeniem dla ludzkości, z drugiej zaś wykorzystywał tę technologię do realizacji swoich wynaturzonych celów. Żeby je zrealizować, wymordował nawet swoich najwierniejszych zwolenników! W jednej chwili wciągnął najwyższych urzędników CIA, FBI i MI-6 w niezgodną z prawem kampanię przeciwko ruchowi, w drugiej zaś obrócił tę kampanię przeciwko nim, kompletnie paraliżując ich działania w najbardziej krytycznym momencie.

– Gdzie jest teraz Łazarz, Vitor?

Abrantes nie odpowiedział. Wziął krótki oddech i zaczął kaszleć tak gwałtownie, jakby zaraz miał wypluć sobie płuca. Dosłownie topił się we własnej krwi.

Żeby choć trochę odetkać tchawicę, Jon obrócił mu głowę na bok. Z drżących ust Portugalczyka

wciąż bryzgały krople krwi, lecz atak kaszlu powoli mijał.

– Vitor, gdzie jest Łazarz? – powtórzył niecierpliwie Smith. Podeszła Randi. Stała tuż obok i wytężyła słuch.

– OsAcores – wyszeptał Abrantes. Zakaszał jeszcze raz, jeszcze raz plunął krwią. Wziął

płytki oddech. – O console do soi. Santa Maria... – Wysięk był zbyt duży. Jego ciałem wstrząsnął kolejny atak potwornego kaszlu. Gdy minął, Portugalczyk już nie żył.

– To była modlitwa? – szepnęła Randi.

Jon włożył rękawiczkę.

– Nawet jeśli tak – mruknął – wątpię, czy dostanie rozgrzeszenie. Ale wydaje mi się, że próbował odpowiedzieć na moje pytanie.

Dwanaście metrów dalej nad trupem zastrzelonego przez Randi terrorysty pochylał się Howell. Przeszukał mu już kieszenie i znalazł portfel oraz paszport. Przejrzał go szybko, zwracając uwagę na najświeższe stemple wizowe: Zimbabwe, Stany Zjednoczone i Francja.

W tej kolejności, w ciągu zaledwie miesiąca. Zmrużył oczy. Ciekawe, pomyślał zimno. Bardzo ciekawe...

Schował dokumenty do kieszeni i poszedł obejrzeć zieloną, pękatą torbę, którą zauważył

już wcześniej. Stała w najbliższym kącie. Identyczne widział w innych częściach pokoju.

Rozpiął ją, zajrzał do środka i...

Głośno wciągnął powietrze. Dwie związane ze sobą, długie na sześćdziesiąt centymetrów kostki materiału wybuchowego. Do tego detonator i cyfrowy zegar. Zaimprovizowany zapalnik, czeski semtex albo amerykański C-4. Howell zmełł w ustach przekleństwo. Czeski czy amerykański, jeśli wybuchnie, wylecą w powietrze nie tylko oni, ale i cała kamienica. Na zegarze rytmicznie mrugały szybko malejące cyferki.

Biały Dom

– Ambasador Nichols do pana, panie prezydencie – powiedział z szacunkiem kelner. –

Na czystej linii.

– Dziękuję, John. – Castilla odsunął talerz z nietkniętym jedzeniem. Żony nie było, kryzys narastał z każdą godziną, dlatego ostatnio jadał sam, zwykle tu, w Gabinetce Owalnym, prosto z tacy. Podniósł słuchawkę telefonu. – Co się dzieje, Owen?

Owen Nichols, amerykański ambasador przy ONZ, był jednym z jego najwierniejszych politycznych sojuszników. Poznali się jeszcze na studiach. Zawsze rozmawiali ze sobą bez ceremonii, nie widząc potrzeby łagodzenia czy upiększania złych wiadomości.

– Sam, Rada Bezpieczeństwa postanowiła przeprowadzić ostateczne głosowanie nad rezolucją w sprawie zakazu badań nanotechnologicznych. Zrobią to już za kilka godzin.

– Tak szybko? – spytał zaskoczony Castilla. ONZ nigdy tak szybko nie atakowała.

Zawsze wolała długie, niekończące się dyskusje, które prowadziły – lub nie – do porozumienia.

Myślał, że potrwa to co najmniej parę dni dłużej.

– Tak – potwierdził Nichols. – Dyskusja była tylko pro forma. Wszyscy wiedzą, że rezolucja przejdzie jednomyślnie, chyba że ją zawetujemy.

– A Wielka Brytania? – spytał wstrząśnięty Castilla.

– Ich ambasador Martin Rees mówi, że nie mogą sobie pozwolić na weto, nie po tym, jak wyszło na jaw, że MI-6 było zamieszane w kampanię przeciwko Ruchowi Łazarza.. W tej kwestii muszą wystąpić przeciwko nam. Poza tym kariera polityczna ich premiera wisi na włosku.

– Niech to szlag – mruknął Castilla.

– To jeszcze nie koniec, Sam – dodał cicho Nichols.

Prezydent jeszcze mocniej zacisnął palce na słuchawce telefonu.

– Wal.

– Rees prosił, żebym przekazał ci coś, co usłyszał w ich ministerstwie spraw zagranicznych. Francja, Niemcy i kilka innych państw europejskich szykują po cichu paskudną niespodziankę. Jeśli zawetujemy rezolucję Rady Bezpieczeństwa, chcą wystąpić z żądaniem natychmiastowego wykluczenia Stanów Zjednoczonych z NATO, pozbawienia nas wszelkich wpływów politycznych i

wojskowych. Będą uzasadniać to tym, że moglibyśmy wykorzystać zasoby i potencjał NATO do nielegalnej walki z Ruchem Łazarza.

Castilla wypuścił powietrze, próbując zapanować nad narastającym gniewem.

– Sępy zaczynają krążyć.

– Właśnie – odparł zmęczonym głosem Nichols. – Najpierw Zimbabwe, Santa Fe i Paryż, teraz te plotki o sponsorowanych przez CIA morderstwach. Nasze dobre imię diabli wzięli. Dla tak zwanych przyjaciół to doskonała chwila, żeby nas usadzić.

Kiedy Castilla odłożył słuchawkę, długo siedział przygnieciony ciężarem wydarzeń, które coraz bardziej wymykały się spod kontroli. Znużony spojrzał na wysoki zegar przy jednej z zakrzywionych ścian gabinetu. Klein mówił, że pułkownik Smith jest na tropie czegoś ważnego. Tam, w Paryżu. Opadły mu kąciki ust. Bez względu na to, kogo ścigał, oby dopadł go jak najszybciej. Jak najszybciej...

Paryż

Howell jeszcze raz spojrzał na uzbrojony ładunek wybuchowy, wbrew sobie podziwiając dokładność i staranność przeciwnika. Jeśli chodziło o zacieranie śladów, ci faceci nie zadowalali się półśrodkami. Ostatecznie dlaczego mieliby ograniczać się do zabicia kilku potencjalnych świadków, skoro przy okazji mogli wysadzić całą kamienicę? Minęła kolejna chwila. Cyfrowy zegar nieubłaganie odliczał czas.

Howell zerwał się z podłogi i, omijając poprzewracane stoły i sterty roztrzaskanych komputerów, popędził do Jona i Randi.

– Zwiewamy! – wrzasnął. – Ale już! Oknem!

Spojrzelili na niego zaskoczeni tym nagłym pośpiechem.

Peter biegł tak szybko, że z trudem wyhamował.

– Jest tu co najmniej jedna bomba, możliwe, że więcej! – wybełkotał. Chwycił ich za ramiona i pchnął w stronę roztrzaskanego okna. – Szybko! Jeśli mamy szczęście, zostało nam najwyżej trzydzieści sekund.

Jon i Randi zbledli. Dopiero teraz wszystko do nich dotarło. Chwycili za liny.

– Bez tych pieprzonych uprząży! – krzyknął Peter. – Nie ma na to czasu!

Smith bez słowa wskoczył na kamienny parapet i chwycił linę. Biodro, na skos przez ramię, znowu biodro i na skos przez drugie ramię, żeby mieć jak wyhamować.

Randi i Howell poszli w jego ślady.

– Gotowi? – rzucił Peter.

– Gotowi!

– No to jazda! Szybko! Szybciej!

Jon odchylił się do tyłu, obrócił bokiem do ziemi i ulegając sile ciężenia, długimi skokami pomknął w dół. Chodnik zbliżał się ku niemu z oszałamiającą prędkością. Lina tarła o skórę rękawiczki tak mocno, że poczuł zapach rozgrzanego nylonu. Piekły go ramiona i biodra.

Randi i Peter spuszczaali się tuż za nim. Wszyscy troje pędzili ku ziemi najszybciej, jak się dało.

Gdy od bruku wąskiej uliczki dzieliło go pięć, sześć metrów, Smith zacisnął palce na linie i szybkim ruchem tej samej ręki zablokował ją na piersi. Nie chciał ryzykować, a przy tej prędkości nie było mowy o łagodnym wyhamowaniu. Gwałtowne szarpnięcie i zawisł sześć, sześć i pół metra nad ziemią.

W tej samej chwili górnymi piętrami wstrząsnęła seria potężnych eksplozji, które z ognistą furją rozorały całą ścianę kamienicy. Ze wszystkich okien buchnęły jęzory ognia, wypalając ciemność i w ułamku sekundy zmieniając noc w dzień. Z dachu wytrysnął gejzer kamieni, roztrzaskanych dachówek i drewna, podświetlony od spodu piekielnym ogniem, który błyskawicznie pochłaniał paryską siedzibę Ruchu Łazarza.

Lina pękła. Jon grzmotnął w ziemię. Tuż obok niego z głuchym łomotem wylądowali Randi i Peter. Błyskawicznie poderwali się i, ślizgając się na mokrym, gładkim bruku, popędzili mroczną uliczką. Z nieba sypał się grad odłamków, gruzu, tynku i kawałów drewna, które siekły dachy sąsiednich domów lub z zabójczą siłą spadały na wąską jezdnię.

Wypadli na szerszą ulicę, skręcili i popędzili przed siebie, aż wreszcie znaleźli schronienie w bramie sklepiku z wyrobami tytoniowymi. Całą okolicę zasypał deszcz płonących odłamków, które wybijały dziury w dachach i chodnikach, wzniecając pożar za pożarem.

Piekielny hałas wzmógł się jeszcze bardziej, gdy rozbrzmiała kakofonia alarmów samochodowych uruchomionych przez kamienny grad.

– No? – wydyszała Randi. – Pora na kolejny genialny pomysł. – W oddali słyszeli zawodzenie syren. Z każdą sekundą wyły coraz głośniejsze.

– Musimy wiać – odparł Smith. – I to szybko. Masz jeszcze ten nadajnik? Możesz wywołać Maksa?

Randi pokręciła głową i z odrazą wyjęła z ucha słuchawkę.

– Nie, nie działa. Musiałam na nim wylądować. Tyłek boli mnie tak bardzo, że pewnie to zrobiłam.

Zza rogu rue de Vigny z piskiem opon wyjechało granatowe volvo. Ostro skręciło, z rykiem silnika ruszyło prosto na nich, a do zamkniętych drzwi sklepu przygwoździły ich światła reflektorów. Byli w pułapce. Nie mieli dokąd uciec ani gdzie się ukryć.

Smith poszukał ręką sig–sauera, ale Randi chwyciła go za ramię.

– Nie uwierzysz, ale to nasi – wychrypiała zaskoczona.

Volvo gwałtownie zahamowało dwa metry od nich. Opuściła się szyba w oknie i ujrzeli zdumioną twarz Maksa. Zdjął ręce z kierownicy i posłał im słaby uśmiech.

– Jezus! Kiedy walnęło, pomyślałem, że już nigdy was nie zobaczę, a przynajmniej nie w jednym kawałku!

– To chyba masz fart – mruknęła Randi. Usiadła obok niego. Smith i Howell wcisnęli się na tylne siedzenie.

– Dokąd? – rzucił Max.

– Przed siebie – odparła krótko Randi. – Aby dalej od... tego tam. – Machnęła ręką za siebie, wskazując słup ognia bijący w czarne niebo.

– Już się robi, szefowo. – Max szarpnął kierownicą, odbił w lewo i ruszyli. Jechali niezbyt szybko, ale ze stałą prędkością.

Zanim do płonących ruin kamienicy przy rue de Vigny 18 dotarły pierwsze radiowozy i wozy straży pożarnej, byli już prawie dwa kilometry dalej. Kierowali się na przedmieścia.

Las Rambouillet rozciąga się pięćdziesiąt sześć kilometrów na południowy zachód od Paryża. Jest to uroczy, gęsto zadrzewiony zakątek pełen małych jezior i prastarych kościółków ukrytych wśród wysokich buków i dębów. W samym sercu tego pagórkowatego ustronia stoi elegancki dworek, Chateau Rambouillet. Dworek, który ma już ponad sześćset lat, niegdyś był

wiejską rezydencją królów Francji. Teraz spędzali tu weekendy prezydenci Republiki.

Jednak północny skraj lasu, oddalony od tego wspaniałego pałacyku o wiele kilometrów, był bardzo odludny. Schronienia szukały tam jedynie dziki i stadka płochliwych jeleni, a wąskimi, krętymi i wyboistymi drogami docierali tam tylko leśniczy i nieliczni wędrowcy.

Na małej polanie przy jednej z takich dróg, na pniu drzewa siedział Smith i zmieniał

bandaż na otwartej ranie od noża. Kiedy skończył, schował plaster i czystą gazę, po czym poruszał ręką, żeby sprawdzić, czy opatrunek dobrze trzyma.

Wiedział, że ranę trzeba będzie ponownie zszyć, ale bandaż zatamował przynajmniej krwawienie. Na koniec włożył czystą koszulę, krzywiąc się lekko, ilekroć materiał muskał świeże skaleczenia, zadrapania i draśnięcia.

Wstał, przeciągnął się i zrobił kilka skrętów ciała, żeby oczyścić umysł i odpędzić zmęczenie. Tuż nad zachodnim horyzontem wisiał srebrzysty półksiężyc, ledwo widoczny zza drzew. Ale białoszara poświata nad horyzontem wschodnim zapowiadała nadejście świtu. Za parę godzin wstanie nowy

dzień.

Popatrzył na przyjaciół. Peter spał na przednim siedzeniu samochodu, z wprawą starego żołnierza wykorzystując każdą chwilę na odpoczynek. Randi stała obok małego, czarnego peugeot na drugim końcu polany i rozmawiała z Maksem oraz młodym agentem Lewisem, który przywiózł im z Paryża nowe ubrania. Na pewno omawiała z nim sposób pozbycia się broni i sprzętu, który mogłby powiązać ich z rzezią przy rue de Vigny.

W pobliżu nie było nikogo.

Wyjął telefon, głęboko odetchnął i zadzwonił do Kleina.

Dyrektor Tajnej Jedyńki wysłuchał meldunku w całkowitym milczeniu. Potem ciężko westchnął.

– Balansuje pan na bardzo cienkiej linii, pułkowniku. Po jednej stronie klęska, po drugiej całkowita katastrofa. Ale pewnie nie zdołam z niej pana ściągnąć.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan nawet próbował, dyrektorze – odparł sucho Jon. –

Traciłoby to niewdzięcznością.

– Myślisz, że ten Abrantes mówił prawdę? O Łazarzu i tych nanofagach? A jeśli chciał skierować nas na fałszywy trop?

– Niemożliwe. Ten człowiek umierał, Fred. Pewnie wziął mnie za swoją świętej pamięci babkę, która przysłała odprowadzić go do perłowych wrót raj. Nie, Abrantes mówił prawdę. Nie wiem, kim jest ten Łazarz, ale to on stoi za tymi wszystkimi zamachami. Stoi i stał od samego początku, mydląc wszystkim oczy i reżyserując sprowokowaną przez siebie wojnę między ruchem i CIA do kupy z FBI.

Klein długo milczał.

– Ale po co, Jon? – spytał wreszcie.

– Grał na czas. Czas, którego potrzebował do przeprowadzenia tych wynaturzonych

„testów”. Do przeanalizowania ich rezultatów i zmodyfikowania nanofagów, żeby były jeszcze bardziej zabójcze. Do opracowania i oceny nowych metod ich przenoszenia. Podczas gdy my krążyliśmy po omacku jak ślepcy, on konstruował, modyfikował i testował broń, która jest w stanie unicestwić całą ludzkość.

– Kusasa w Zimbabwie, Instytut Tellera w Santa Fe i La Courneuve w Paryżu... Kraje, których nazwy figurują w paszportach i dokumentach znalezionych przez Howella.

– Otóż to.

– Myślisz, że ta broń jest już... gotowa? – spytał spokojnie Klein.

– Tak. Inaczej nie zabiliby tych ludzi i nie zniszczyli sprzętu do monitorowania eksperymentów. Łazarz zaciera za sobą ślady, gdyż szykuje się do ataku.

– Co proponujesz?

– Przygwoździć go i znaleźć laboratorium czy fabrykę, gdzie produkuje to paskudztwo.

Jego zabić, a nanofagi przechwycić, zanim jego ludzie zdążą przeprowadzić atak na większą skalę.

– Krótkie i zwięzłe. Ale niezbyt subtelne.

– Masz lepszy pomysł?

Klein ponownie westchnął.

– Nie, nie mam. Cała sztuka polega na tym, żeby dopaść go, zanim będzie za późno. Od ponad roku nie udało się to żadnej zachodniej agencji wywiadowczej.

– Moim zdaniem Abrantes dużo mi powiedział. Sęk w tym, że choć nieźle mówię po hiszpańsku, moja znajomość portugalskiego jest zerowa. Ktoś musi mi to przetłumaczyć, i to dokładnie.

– Na pewno kogoś znajdę – obiecał Klein. W słuchawce zapadła cisza, potem rozległo się ciche kliknięcie. – Możemy nagrywać. Mów.

– Dobra, zaczynam – odrzekł Jon i powtórzył ostatnie słowa umierającego Portugalczyka, starając się jak najdokładniej naśladować jego wymowę.

– Os Agores. O console do soi. Santa Maria.

– Mam. Jeszcze coś?

– Tak. Abrantesa postrzelił „jeden z Horacjuszów”. To jego słowa. Jeśli się nie mylę, na dwóch Horacjuszów już wpadłem, przed Instytutem Tellera i tutaj, w Paryżu. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tych pieprzonych bliźniakach, a przede wszystkim, ilu ich jeszcze, do diabła, zostało!

– Zobaczę, co da się zrobić. Ale to potrwa. Możesz tam trochę zaczekać?

Smith popatrzył na wysokie, cieniste drzewa omywane coraz bledszym światłem księżyca.

– Tak, ale pospiesz się, Fred. Mam złe przecucia. Zegar tyka coraz szybciej.

– Rozumiem. Trzymaj się.

Klein odłożył słuchawkę.

Jon krążył po polanie. Był coraz bardziej spięty i miał zszargane nerwy. Od ich rozmowy minęła godzina. Więcej niż godzina. A Klein ciągle nie oddzwaniał. Wschodni horyzont był

coraz jaśniejszy.

Drgnął, słysząc warkot samochodu. To ten mały, czarny peugeot. Odjeżdżał, podskakując i kołysząc się na boki na zrytym koleinami leśnym trakcie.

– Odesłałam ich do Paryża – powiedziała Randi. – Maksa i Lewisa. – Obserwowała go, siedząc spokojnie na pniaku. – Tu ich nie potrzebujemy, a tam dowiedzą się może, co policja wygrzebała w ruinach tej kamienicy.

Smith kiwnął głową. Słusznie.

– Wiesz...

W kieszeni zawibrowała komórka.

– Tak?

– Jesteś sam? – spytał bez wstępów Klein. Miał spięty, nienaturalny głos.

Kilka kroków dalej siedziała Randi, a Peter, wiedziony szóstym zmysłem, wyostrzonym podczas lat walki i pracy w terenie, obudził się właśnie z drzemki.

– Nie.

– To wielce niefortunne... – Klein lekko się zawahał. – Będzie pan musiał bardzo uważać na słowa, pułkownika. Jasne?

– Tak jest. Masz coś?

– Zaczniemy od Horacjuszów. Imię to pochodzi ze starej, rzymskiej legendy o trzech bliźniakach, których wysłano na pojedynek z wojownikami z sąsiedniego miasta. Słynęli z odwagi, siły, zwinności i wierności.

– Pasuje – mruknął Smith, wspominając dwa śmiertelne starcia z zielonookimi olbrzymami. I przed Instytutem Tellera, i tutaj, w Paryżu, miał dużo szczęścia, że uszedł z nich z życiem. Jęknął w duchu. Było ich trzech i myśl, że gdzieś tam czyhał jeszcze jeden, zupełnie go dobiła.

– Jest taki obraz – mówił dalej Klein. – Słynny obraz francuskiego neoklasyka Jacquesa-Louisa Davida. Nazywa się Przysięga Horacjuszów...

– I wisi w Luwrze – przerwał mu Jon; wiedział już, skąd zna to imię.

– Tak.

– Bomba. A więc nasz przyjaciel Łazarz uwielbia klasykę i ma paskudne poczucie humoru. Ale to nie pomoże nam go znaleźć. – Smith wziął głęboki oddech. – Co z tym tłumaczeniem? Masz?

– Mam.

– No i? – spytał niecierpliwie Jon. – Co mówił?

– Powiedział: „Azory. Wyspa słońca. Santa Maria”.

– Azory? – Zaskoczony Smith pokręcił głową. Azory były grupką małych, zasiedlonych przez Portugalczyków wysp na Atlantyku, prawie na tej samej wysokości co Lizbona i Nowy Jork. Przed wiekami wyspy te były ważnym punktem strategicznym nieistniejącego już portugalskiego imperium, ale dzisiaj ich mieszkańcy żyli głównie z eksportu wołowiny i produktów mlecznych oraz z turystyki.

– Tak – wyjaśnił Klein. – Santa Maria to jedna z dziewięciu wysp na Azorach. Miejscowi nazywają ją Wyspą Słońca, bo...

– Ale co tam, do cholery, jest? – przerwał mu Jon, prawie nie panując nad głosem. Klein mówił zwykle szybciej i szybciej przechodził do rzeczy.

– We wschodniej części prawie nic. Kilka maleńkich wiosek...

– A w zachodniej?

– No właśnie, w tym rzecz. Wygląda na to, że zachodnią część wyspy Portugalczycy wydzierżawili firmie Nomura PharmaTech, która zbudowała tam bazę techniczną ośrodka charytatywnej pomocy medycznej. W bazie są bardzo długi, utwardzony pas startowy, kilka dużych hangarów i wielki kompleks magazynowy.

– Nomura... – Do Smitha dotarło wreszcie, dlaczego szef Tajnej Jedyńki jest taki spięty. –

Łazarzem jest... Hideo Nomura. Chryste, to on. Ma pieniądze, wiedzę, możliwości techniczne, ma koneksje polityczne...

– Na to wygląda – zgodził się z nim Klein. – Ale to nie wystarczy, Jon. Nikt nie uwierzy ostatnim słowom nikomu nieznanego człowieka. Bardzo wątpię, żeby prezydent zatwierdził

rozkaz otwartego ataku na bazę Nomury na Azorach bez mocnych dowodów, które moglibyśmy pokazać naszym chwiejnym sojusznikom. Sytuacja jest gorsza, niż sobie wyobrażasz. Nasze wojskowe i polityczne sojusze rozłają się jak mokry papier. NATO jest w stanie pogotowia bojowego. Zgromadzenie Ogólne ONZ chce uznać nas za bandycki kraj. Duża część kongresmanów i senatorów jest za postawieniem prezydenta w stan oskarżenia. W tych okolicznościach niczym niesprowokowany atak raketowy czy bombowy na bazę techniczną słynnego charytatywnego ośrodka medycznego byłby kroplą przepełniającą kielich.

Smith zacisnął zęby. Klein miał rację, ale to niczego nie zmieniało.

– Może nas przeklną, jeśli zaatakujemy – odparł. – Ale jeśli tego nie zrobimy, wszyscy umrzemy.

– Wiem, Jon, wiem. Ale zanim wyślemy tam bombowce czy rakiety, musimy mieć dowody na

poparcie naszych twierdzeń.

– Jest tylko jeden sposób, żeby je zdobyć – zauważył ponuro Smith. – Ktoś musi polecieć na Azory i sprawdzić wszystko na miejscu.

– Otóż to – odrzekł powoli Klein. – Kiedy możesz wyruszyć na lotnisko?

Jon zerknął na Randi i Petera. Mieli posępne miny, lecz wyglądali na zdeterminowanych.

Słyszeli wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, co się dzieje.

– Zaraz – odparł. – Natychmiast.

Centrum dowodzenia, Santa Maria, Azory

Za ślepyimi ścianami centrum wschodziło słońce, pnąc się coraz wyżej i wyżej i powoli uwalniając się z objęć Atlantyku. Jego pierwsze oślepiające promienie liznęły ogniem strome klify zatoki Sao Laurencio, oświetliły kamienne tarasy winnic Maia, a potem powędrowały niespiesznie na zachód. Rozlały się po soczystozielonych lasach i łąkach, odbiły się od białych plaż Praia Formosa i wypędziły ostatnie nocne cienie z nagiej, bezdrzewnej równiny wokół

lotniska.

W centrum, w bezpiecznej, rozświetlonej jarzeniówkami ciszy, Hideo Nomura przeglądał

najświeższe meldunki od swoich agentów. Z doniesień płatnych policyjnych informatorów jednoznacznie wynikało, że Nones i jego ludzie nie żyli, że wraz z innymi zginęli w eksplozji, która zniszczyła ich paryską siedzibę.

Zaskoczony i zaniepokojony tą wiadomością zmarszczył brwi. Przecież w chwili wybuchu Nones i jego podwładni powinni byli być daleko stamtąd. Coś musiało pójść nie tak, tylko co?

Kilku świadków opowiadało o „ubranych na czarno mężczyznach”, którzy uciekli z kamienicy zaraz po eksplozji. Francuska policja, początkowo sceptyczna, teraz bardzo poważnie traktowała te doniesienia, oskarżając tajemnicze, wrogie Łazarzowi siły o zamach terrorystyczny na jego paryską kwaterę.

Nomura pokręcił głową. Niemożliwe. Oczywiście, że niemożliwe. Jedynymi terrorystami, którzy organizowali zamachy na zwolenników Ruchu Łazarza, byli podlegający mu ludzie, nikt więcej. Potarł czoło, rozważając tę kwestię dokładniej.

A jeśli w kamienicy przy rue de Vigny myszkował ktoś inny? To prawda, jego misterny plan pogrążył w chaosie i CIA, i FBI, i MI-6. Ale na świecie było wiele innych agencji wywiadowczych i niewykluczone, że któraś z nich próbowała ten plan rozpracować. Czy to możliwe, że znaleźli coś, co mogłoby powiązać go z testem w La Courneuve? Zagryzł dolną wargę, zastanawiając się, czy nie zgrzeszył zbyt dużą pewnością siebie i zbyt dużą wiarą w to, że nikt nie wykryje jego podstępu.

Choć było więcej niż prawdopodobne, że jego kamuflaż jest wciąż nieodkryty, doszedł do wniosku, że lepiej nie ryzykować. Pierwotny plan przewidywał, że jednoczesnego ataku na Stany Zjednoczone dokona co najmniej dwanaście tanatosów, lecz zmontowanie i przygotowanie całej flotyli zabrałyby kolejne trzy dni. Co gorsze, powierzchnia użytkowa hangarów była za mała, żeby ukryć samoloty przed ewentualną obserwacją z powietrza czy kosmosu.

Nie, pomyślał zimno. Zamiast czekać na chwilę, która może nigdy nie nadejść, trzeba działać już teraz, natychmiast, dopóki jeszcze można. Gdy zginą pierwsze miliony, pozbawieni przywódców Amerykanie i ich sojusznicy będą zbyt przerażeni, żeby skutecznie ścigać anonimowego i

niewidzialnego wroga. W walce o panowanie nad światem elastyczność jest cnotą, nie przywarą. Wcisnął guzik interkomu.

– Przyślij do mnie Terce’a. Natychmiast.

Chwilę później do gabinetu wszedł ostatni z Horacjuszów. Szerokimi barami wypełniał

niemal całe drzwi, głową dotykał sufitu. Skłonił się pokornie i znieruchomiał przed tekowym biurkiem, cierpliwie czekając na rozkazy człowieka, który zrobił z niego tak potężnego i skutecznego zabójcę.

– Wiesz, że twoi towarzysze zawiedli? – spytał Nomura.

Zielonooki olbrzym skinął głową.

– Domyśliłem się tego – odparł. – Ale ja nigdy cię nie zawiodłem, panie.

– To prawda. Dlatego wszystkie nagrody, które im obiecałem, przypadną tobie. Gdy nadejdzie czas, staniesz po mojej prawicy i będziesz sprawował władzę w imieniu Łazarza.

Terce’owi zalśniły oczy. Nomura zamierzał zmienić porządek świata, stworzyć raj dla tych, którzy – jego zdaniem – zasługiwali na dalsze życie. Z biegiem miesięcy i lat większość narodów i ludów miała wymrzeć, zalana falami niewidzialnych nanofagów. Ci, którym pozwoli żyć, musieliby słuchać jego rozkazów, a te całkowicie odmieniłyby ich kulturę i wierzenia, bo dopasowałyby je do jego idyllicznych wizji. On i jego najbliżsi współpracownicy dzierżyliby niewyobrażalną wprost władzę nad przerażonymi niedobitkami rasy ludzkiej.

– Jakie są twoje rozkazy? – spytał ostatni z Horacjuszów.

– Zaatakujemy wcześniej, niż planowałem – odparł Nomura. – Pierwsze trzy tanatosy powinny być gotowe do startu za sześć do ośmiu godzin. Przekaż tym z wydziału produkcyjnego, że gdy tylko zostaną przygotowane, technicy mają napełnić i podwiesić zbiorniki. Pierwszymi celami będą Waszyngton, Nowy Jork i Boston.

Lotnisko lajes, Terceira, Azory

Spośród kilkudziesięciu pasażerów samolotu Air Portugal z Lizbony wyróżniało się troje podróżnych: kobieta i dwóch mężczyzn. Nieobciążeni bagażami szli szybko w stronę wejścia do terminalu, wyprzedzając grupki miejscowych i turystów, którzy przyjechali tu na zakupy.

W terminalu Randi gwałtownie przystanęła, spojrzała na zegar – było południe – a potem na tablicę z rozkładem lotów.

– Cholera jasna! – zaklęła. – Na Santa Maria lata tylko jeden samolot dziennie. I właśnie odleciał!

Smith wyminął ją, kręcąc głową.

– To nie nasz – powiedział i, nie zwalniając kroku, poszedł dalej. Przed terminalem czekało kilka taksówek i prywatnych samochodów.

Randi uniosła brwi.

– To ponad trzysta kilometrów. Chcesz płynąć wplaw?

– Nie – rzucił przez ramię Jon. – Chyba że Peter coś schrzani.

Randi zerknęła na idącego obok Howella.

– O czym on gada?

– Nie mam pojęcia. Ale zauważyłem, że kiedy czekaliśmy w Paryżu na lot do Lizbony, wykonał kilka telefonów. I rozmawiał z kimś tak, wiesz, sotto voce. Pewnie ukrywa coś w rękawie.

Wciąż lekko uśmiechnięty Smith pchnął drzwi i gdy wyszli na dwór, podniósł rękę, dając znak kierowcy stojącego nieopodal z włączonym silnikiem wojskowego wozu terenowego w zielono-brązowych barwach ochronnych.

– Pułkownik Smith? – rzucił siedzący za kierownicą sierżant sztabowy.

– Tak, z przyjaciółmi. – Jon otworzył drzwi, przepuścił przodem Randi i Petera i wsiadł.

Ruszyli. Kilkaset metrów za terminalem samochód skręcił w stronę wysokiego ogrodzenia Dwóch czuwających przed bramą żołnierzy – surowe twarze, gotowe do strzału karabiny szturmowe M16 – sprawdziło ich dokumenty, uważnie przyglądając się zdjęciom.

Uznawszy, że wszystko jest w porządku, otworzyli bramę i samochód wjechał na teren bazy Amerykańskich Sił Powietrznych w Lajes.

Zaraz za bramą skręcili w lewo, na pas dojazdowy. Na poboczu długiego pasa startowego parkowało kilka szarych transportowców C-17 i olbrzymich samolotów cystern KC-10. Z jednej strony płyta lotniska kończyła się stromym, niemal pionowym skalnym urwiskiem, u podnóża którego szumiał Atlantyk. Z drugiej widać było jasnozielone zbocza z szachownicą łąk i poletek ogrodzonych niskimi murkami z czarnych wulkanicznych skał. Słodki zapach polnych kwiatów i świeży, słonawy zapach oceanu mieszały się dziwnie z ostrym, gryzącym zapachem na wpół

spalonego paliwa lotniczego.

– Wasz ptaszek przyleciał ze Stanów godzinę temu – powiedział sierżant. – Przygotowują go do lotu.

– Nasz... ptaszek? – powtórzyła uszczypliwie Randi.

Jon wzruszył ramionami.

– UH-60L black hawk – wyjaśnił. – Przywiózł go tu C-17, kiedy lecieliśmy z Paryża do Lizbony.

Pomyślałem, że może się przydać.

– Jakiś ty przewidujący – odparowała z nieukrywanym sarkazmem Randi.

– Moment, czyja dobrze zrozumiałam: strzeliłeś palcami i przysłali ci wojskowy śmigłowiec wart kilka milionów dolarów? Ot tak, do prywatnego użytku?

– To nie ja, to moi kumple z Waszyngtonu – odparł skromnie Smith. – Ja zadzwoniłem, oni pociągnęli za sznurki... Wiesz, jak jest. Wszyscy są tak przerażeni tymi nanofagami, że przytknęli oko na regulaminy.

Randi spojrzała na Howella.

– A ty pewnie umiesz tym latać, co?

– Zaraz się przekonamy – odrzekł wesoło Peter. – I to na własnej skórze.

Lotnisko na Santa Maria

Hideo Nomura szedł niespiesznie poboczem długiego, betonowego pasa startowego.

Wiejący od wschodu wiatr leciutko poruszał jego krótkimi, czarnymi włosami, niosąc ciepły, soczysty zapach wysokich traw rosnących na płaskowyżu za ogrodzeniem. Nomura podniósł

wzrok. Słońce wciąż stało wysoko, dopiero rozpoczynając mozolną wędrówkę ku zachodniemu horyzontowi. Daleko na północy po błękitnym niebie leniwie sunęło kilka samotnych obłoczków, które do złudzenia przypominały kłębki białej waty.

Hideo uśmiechnął się do siebie. Idealna pogoda. Idealna pod każdym względem. Zerknął na ojca, który ze skutymi z tyłu rękami stał między dwoma strażnikami Terce'a.

– Cudowne – rzucił Hideo. – Cóż za ironia, prawda?

Jinjiro miał kamienną twarz.

– Ironia? – powtórzył. – Ironię dostrzegam tu na każdym kroku, dlatego nie wiem, o czym mówisz.

Ignorując ten przytyk, Hideo wskazał pas startowy.

– O tym lotnisku – wyjaśnił. – Zbudowali je Amerykanie. W czterdziestym czwartym, podczas wojny z Niemcami i naszą ukochaną ojczyzną. Ich bombowce tankowały tu paliwo podczas długiego, transatlantyckiego lotu do Anglii. A teraz ja wykorzystam je przeciwko nim.

Od dzisiaj dzieło ich własnych rąk będzie dziełem, które ich zniszczy.

Jinjiro nie odpowiedział.

Hideo wzruszył ramionami i się odwrócił. W końcu zrozumiał, że przez cały ten czas kierował się mylnie pojętym synowskim szacunkiem, który nakazywał mu darować ojcu życie.

Ale dość już, wystarczy. Gdy pierwsze tanatasy wzbiją się w powietrze, wymyśli dla niego stosowny rodzaj śmierci. Jego naukowcy pracowali już nad kolejną wersją nanofagów i na pewne zechcą przetestować je na żywym obiekcie doświadczalnym...

Podszedł do grupki inżynierów i kontrolerów naziemnych na poboczu pasa! Wszyscy byli w słuchawkach, wszyscy mieli krótkofalówki do utrzymywania stałej łączności z hangarami i wieżą.

– Gotowi? – spytał ostro.

– Technicy meldują, że można je wytaczać – odparł szef kontrolerów. – Zbiorniki już podwieszono.

– Świetnie. – Nomura spojrzał na jednego z inżynierów. – Stan samolotów?

– Wszystkie systemy w normie – zameldował tamten bez wahania. – Dwukrotnie sprawdziliśmy baterie słoneczne, rezerwowe systemy paliwowe, całą awionikę i programy sterujące atakiem.

– Znakomicie. – Nomura przeniósł wzrok z powrotem na kontrolera. – Namierzyliście coś, czym musielibyśmy się martwić?

– Nie. Radar melduje, że w promieniu stu kilometrów nie ma żadnego obiektu latającego.

Nomura wziął głęboki oddech. Nadeszła chwila, na którą czekał od tylu lat, dla niej przez tyle lat planował, spiskował i zabijał. To właśnie dlatego oszukał, zdradził i uwięził swojego ojca: dla tej jednej wspaniałej chwili czystego, oczywistego, bezsprzecznego triumfu. Powoli wypuścił powietrze i, rozkoszując się tym cudownym uczuciem, przemówił:

– Rozpocząć operację „Tanatos”.

Kontroler lotu przekazał jego słowa przez radio.

– Otworzyć drzwi!

W odpowiedzi na rozkaz metalicznie jęknęły wielkie wrota pobliskiego hangaru, powoli odsłaniając wnętrze wypełnione ludźmi i maszynami. Przez szybko powiększającą się szparę do środka wdarło się słońce i jego promienie rozbłyły złocistym ogniem na płytkach baterii słonecznych, którymi wyłożono skrzydła pierwszego tanatosa.

– Pierwsza maszyna kołuje – zameldował kontroler.

Samolot drgnął i powoli potoczył się przed siebie. Skrzydła miał tak długie i tak rozłożyste, że ledwo zmieściły się w drzwiach. Czternaście śmigieł wirowało bezgłośnie, wypychając go na pas. Na wszystkich pięciu węzłach ładunkowych miał podwieszane cienkościenne plastikowe zbiorniki.

– Maski i rękawice – rzucił Nomura.

Inżynierowie i kontrolerzy spieszenie wykonali rozkaz. Gdyby podczas startu coś poszło nie tak, sprzęt ten zapewni im tymczasową ochronę.

Terce podał mu maskę, aparat oddechowy i grube rękawice. Nomura przyjął je z lekkim skinieniem głowy.

– Co z więźniem? – spytał olbrzym. – Co mam z nim zrobić?

– Z moim ojcem? – Hideo zerknął przez ramię. Nieugięty Jinjiro stał sztywno w słońcu między dwoma strażnikami w maskach i rękawicach. Hideo posłał mu zimny uśmiech. – On nie potrzebuje maski. Niech zaryzykuje.

– Drugi tanatos gotowy do kołowania – zameldował kontroler głosem zniekształconym przez maskę i aparat.

Nomura popatrzył w lewo. Pierwsza maszyna była już sto metrów od nich i stopniowo przyspieszała, kierując się na północny skraj pasa. Druga właśnie wyjeżdżała z hangaru, a tuż za nią widać było trzecią. Zapomniawszy na chwilę o nieuchronnej śmierci ojca, Hideo skupił

wzrok na samolotach. Jego marzenia dostawały skrzydeł.

Terce odszedł na bok, zdjął z ramienia pistolet maszynowy i jeszcze raz popatrzył na strażników, których rozstawił w regularnych odstępach wzdłuż pasa. Wszyscy byli na stanowiskach, wszyscy byli czujni i gotowi do działania, ale...

Zmarszczył czoło. Łącznie z tymi, którzy pilnowali Jinjiro, było ich dziesięciu. Powinno być dwa razy więcej, lecz cóż, nie zdążyli nadrobić nieoczekiwanych – i dość ciężkich – strat, jakie ponieśli w Nowym Meksyku. Dodatkowo osłabiła ich śmierć Nonesa i jego ludzi w Paryżu.

Spojrzał na zachód, na ocean. Nieważne. Łazarz miał rację. Cóż znaczy siła ognia w porównaniu z niewykrywalnością? Żaden amerykański żołnierz, żadna rakietka czy pocisk nie zniszczą celu, którego nie widać.

Nagle zamarł. Hen, daleko nad Atlantykiem, na samej granicy pola widzenia coś się poruszało. Wytężył wzrok. Nie wiedział, co to jest, wiedział jednak, że niezidentyfikowany obiekt szybko się do nich zbliża. Najgorsze, że przez grube, zniekształcające obraz szkła maski trudno było cokolwiek dostrzec!

Z wściekłym warknięciem zerwał ją z twarzy i odrzucił na bok. Nareszcie! Teraz widać, jak trzeba. Tuż nad falami przesuwawa się mała, zielona kropka. Nagle skrzyła i lekko się przechyliła. W słońcu błysnęły wirniki śmigłowca.

Smith pochylił się do przodu i przytknął do oczu lornetkę.

– Dobra! – rzucił, przekrzykując ryk dwóch potężnych silników i łoskot wielkich wirników. – Przed hangarem na północnym końcu pasa dwa any-124. I coś małego, chyba gulfstream.

– A na południowym?! – krzyknęła mu do ucha Randi, która przykucnęła między przednimi fotelami i trzymała się ich tak mocno, że zbieleły jej palce. – Coś tam się rusza!

Śmigłowiec dygotał i dziko podskakiwał. Żeby uniknąć radarów, lecieli z prędkością ponad stu węzłów zaledwie piętnaście metrów nad falami. Na tej wysokości maszyna była bardzo narowista i Howell z trudem nad nią panował.

Jon przesunął lornetkę w prawo i ujrzał trzy wielkie ważki sunące jedna za drugą po betonowym pasie. Ta pierwsza wyraźnie przyspieszyła, jakby miała zaraz oderwać się od ziemi.

Jego wyczerpany zmęczeniem umysł nie chciał początkowo uwierzyć, że coś tak wielkiego i jednocześnie tak kruche może latać.

I nagle go olśniło. Fakty dopasowały się do obrazów: przed kilkoma laty czytał

o eksperymencie NASA z bezzałogowymi, superwytrzymałymi samolotami na baterie słoneczne.

Nomura musiał wykraść im ten pomysł i dostosować go do swoich potwornych celów!

– Jezu Chryste! – wykrzyknął wstrząśnięty. – To te maszyny! Samoloty, którymi Nomura chce zaatakować!

Szybko zapoznał przyjaciół z ich możliwościami i parametrami technicznymi, na tyle, na ile je pamiętał.

– Nie możemy ich zestrzelić? – spytała Randi.

– Na wysokości prawie trzydziestu kilometrów? – Jon pokręcił głową. – Na takim pułapie nie lata żaden samolot myśliwski. Ani F-16, ani F-15, ani nic, czym dysponuje nasze lotnictwo!

– A pociski typu Patriot? – rzucił Howell.

– Trzydzieści tysięcy metrów? – mruknął ponuro Smith. – To poza ich zasięgiem. Poza tym te przekłete ważki są niewidzialne dla radarów. – Zaciśnął zęby. – Lecąc na dużej wysokości, są praktycznie niezniszczalne i prawdopodobnie niewykrywalne. Jeśli wystartują i wejdą na pułap przelotowy, Nomura będzie mógł zaatakować każde miasto na kuli ziemskiej!

Przerażony grożącym Ameryce niebezpieczeństwem, skierował lornetkę na grupkę mężczyzn stojących na poboczu pasa. I głośno wciągnął powietrze. Byli w maskach przeciwgazowych!

Świat zawirował, widok rozmył się i rozpląnął. Dlaczego w maskach? – myślał

gorączkowo. I nagle wszystko zrozumiał. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Wal na nich, Peter! – Wskazał lotnisko. – Prosto na nich!

Zaskoczony Howell aż drgnął.

– Jon, to nie jest misja szturmowa, tylko zwiadowcza! Odbiło ci? Chcesz tam wpaść jak kawalerzysta z dobytą szablą?

– Nagła zmiana planów – odparował Smith. – One są uzbrojone. Ten skurwiel wysłał je do ataku!

Howell położył śmigłowiec na burtę i ostro skręcił. Lecieli z prędkością stu węzłów i wybrzeże wyspy gwałtownie powiększyło się, nabierając wyraźniej szych kształtów i barw.

– Lepiej weźcie broń – rzucił.

Wszyscy troje byli już w kevlarowych kamizelkach kuloodpornych, a śmigłowiec wyposażono między innymi w trzy karabiny szturmowe M4, czyli M16 ze skróconą lufą. Randi wstała i, starając się choćby jedną ręką przytrzymać przytwierdzonych do podłogi foteli i poręczy, wróciła do przedziału pasażerskiego.

Howell ponownie skręcił, tym razem na północ, i lecieli teraz wzdłuż pasa startowego.

– Chwileczkę – rzucił. – Po cholere nadstawiać tyłek? Przecież możemy zestrzelić te paskudztwa, kiedy znajdą się nad morzem.

Słusznie, bardzo sensowne rozumowanie. Smith się zaczerwienił.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał niechętnie.

– Zamiast taktykę, studiowało się medycynę, co? – Peter ściągnął drążek. Śmigłowiec poderwał się i kilka sekund później lecieli już sto kilkadziesiąt metrów wyżej. – Pilnij tego pierwszego. Daj znać, kiedy wystartuje.

Smith przywarł plecami do fotela i ponad ramieniem Howella spojrział w prawe okno.

Jego uwagę przykuły jaskrawy błysk światła i tuman pyłu na poboczu pasa startowego. Mknęła ku nim dziwna strzała na długim słupie ognia. Przez ułamek sekundy gapił się na nią z niedowierzaniem i nagle włączył się instynkt przetrwania.

– SAM! – ryknął. – SAM na trzeciej!

– Cholera jasna! – Peter szarpnął drążkiem, kopnął pedał orczyka i wprawnie manipulując skokiem obu wirników, wprowadził maszynę w ciasny skręt skosem do dołu. Jednocześnie pstryknął przełącznikiem na desce rozdzielczej, uruchamiając wyrzutnię ładunków z flarami.

Lecieli teraz prosto na mknącą ku nim rakietę.

Świejące, rozżarzone do białości flary wytrysnęły szerokim łukiem za nurkującym śmigłowcem, powoli opadając do oceanu. Rakieta śmignęła tuż nad głównym wirnikiem, ostro skręciła i poszybowała za jedną z nich.

Smith odetchnął.

– Samonaprowadzający na podcierwień – mruknął zirytowany, słysząc, że drży mu głos.

Howell zacisnął usta.

– Jak każdy ręcznie odpalany stinger. – Westchnął. – Wracamy do punktu wyjścia. Tymi cudeńkami zestrzelą nas jak kaczkę. Na tej wysokości nie mamy pola manewru.

– Siadamy? – spytał Jon.

– A jak! – Howell odsłonił zęby w drapieźnym uśmiechu i zniżył lot tak bardzo, że podwozie śmigłowca musnęło grzbiety kilku spienionych fal. Leżące na wprost lotnisko rosło w oczach. – Usiądziemy szybko i twardo. Jon, ty osłaniasz nas z lewej, ja z prawej, a Randi, niech Bóg ją błogosławi, będzie robiła to, co trzeba będzie zrobić.

– Niezły plan! – Randi podała Jonowi M4 i trzy magazynki po trzydzieści nabojów w każdym. Z krótszą lufą i składaną kolbą, M4 był nieco lżejszy i poręczniejszy niż jego rodzic, M16. Smith wetknął magazynek do obejm, dwa pozostałe schował do kieszeni. Trzeci karabin trafił do Howella, który wcisnął go między fotele.

– Dzięki! – krzyknął. – Zapnijcie się. Będzie trochę rzucalo.

Wzdłuż pasa startowego widać było coraz więcej małych rozbłysków. Stojący na otwartej przestrzeni mężczyźni pruli do nich z broni maszynowej. Kilka pocisków – najprawdopodobniej kaliber 5.56 milimetra – przebiło cienkie poszycie kadłuba, odbiło się rykoszetem od opancerzonej kabiny, a potem z jękiem od trzpienia głównego wirnika.

Pierwszy samolot Nomury oderwał się od ziemi. Rozwścieczony Jon grzmotnął pięścią w siedzenie fotela.

– Cholera jasna!

– Są jeszcze dwa! – krzyknął Peter. – Tym zajmiemy się później. O ile to „później” w ogóle będzie – mruknął pod nosem.

Śmigłowiec przeleciał tuż nad pasem, zatoczył ciasny łuk i ciężko opadł w rosnącą na poboczu wysoką trawę. Buchnął snop iskier i od pancernych płyt kabiny znowu odbiło się kilka kul. Smith rozpiął klamrę pasa, chwycił karabin i przepchnął się do kabiny pasażerskiej. Peter ruszył za nim, pstryknąwszy przedtem kilkoma przełącznikami na desce rozdzielczej. Łopaty wirnika zwolniły, lecz nie przestały się obracać.

Randi otworzyła już drzwi i osłaniała ich teraz z kolbą M4 przy policzku.

– Gotowi? – rzuciła przez ramię.

– Teraz! – krzyknął Jon.

Zeskoczył na ziemię i popędził poboczem w lewo. Tuż nad głową świsnęły mu kule: przez pas startowy bieгло ku nim dwóch strażników. Rzucił się w trawę i posłał w ich stronę kilka krótkich, trzystrzałowych serii, celując od lewej do prawej.

Jeden ze strażników krzyknął przeraźliwie i przecięty kulami na pół, upadł na twarz.

Drugi rozpląszczył się na betonie i ponownie otworzył ogień.

Kłęcząca po prawej stronie Smitha Randi przyłożyła kolbę do ramienia, starannie wymierzyła, zaczekała, aż muszka, szczerbinka i maska na twarzy tamtego ustawią się w jednej linii, po czym łagodnie ściągnęła spust. Pocisk roztrzaskał strażnikowi głowę.

Jon przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Zerknął przez ramię. Jedna trzecia długości pasa startowego za nimi, dwie trzecie przed nimi. Znajdowali się kilkaset metrów od potężnego hangaru na południowym krańcu lotniska. Nieco bliżej i bardziej w prawo stał olbrzymi magazyn z krytym blachą dachem. Miał tylko jedne drzwi, masywne, stalowe, z elektronicznym zamkiem.

Jon zmrużył oczy. Podejrzenia przerodziły się w pewność. Nikt nie instalował fortecznych wrót w zwykłym magazynie. Nie, w tym budynku Nomura musiał ukryć swoje laboratorium. W takim monstrum można by ich zmieścić cały tuzin i zostałyby jeszcze dużo miejsca.

W ich stronę toczył się drugi samolot. Powoli nabierał prędkości, a śmigła obracały się coraz szybciej i szybciej. W węzłach ładunkowych pod skrzydłami miał zbiorniki ze śmiertcionośnymi nanofagami. Trzeci samolot stał przed hangarem, czekając na swoją kolej.

Zza śmigłowca padły strzały. Rozległ się krzyk i na ziemię runął kolejny strażnik skoszony serią z karabinu Howella. Padając, pociągnął za spust przenośnej wyrzutni raketowej, którą próbował wycelować, i pocisk odpalił. Ciągnąc za sobą smugę szarobiałego dymu, wystrzelił w niebo, skręcił na wschód, runął w dół i eksplodował na pustej łące za ogrodzeniem.

W pobliżu drugiego samolotu Jon dostrzegł jakiś ruch. Zachodnim skrajem pasa startowego szło trzech mężczyzn prowadzonych przez czwartego, o wiele wyższego i potężniej zbudowanego. Szli parami, ubezpieczając się

nawzajem i nie wyprzedzając toczącego się pasem samolotu.

Smith wykrzywił usta. Cudownie, pomyślał. Zawodowcy. A ten wysoki skurwiel to pewnie Horacjusz, ten superman. Świetnie, coraz lepiej.

– Uważaj na dwunastą! – Randi wskazywała otwartą murawę po drugiej stronie pasa.

Uciekając przed strzelaniną, biegło tam kilku mężczyzn w maskach przeciwgazowych.

Większość nie miała broni, ale dwóch, z karabinem na ramieniu, wlokło za sobą siwowłosego starca. Starca bez maski. Skutego kajdankami.

– Ja zajmę się samolotami! – krzyknął Smith. – Ty pogadaj z nimi!

Wstał, pobiegł skrajem pasa w stronę toczącego się na północ samolotu i po chwili zniknął w gęstym dymie, który zasnuł płytę lotniska po eksplozji rakiety.

Randi zerwała się na równe nogi i wbiegła na lepki od oleju i paliwa pas. Dostrzegł ją jeden z tamtych i natychmiast ostrzegł swoich kompanów. Upadli w trawę. Ci, którzy pilnowali siwowłosego starca, przygnietli go do ziemi i zdjęli z ramion karabiny.

Randi wystrzeliła z biodra, w biegu. Puściła trzy krótkie serie i jeden z nich zwałił się ciężko na bok z krwawiącymi ranami na piersi. Drugi – z uzi – wypruł w nią cały magazynek, dwadzieścia pocisków.

W powietrzu zaświergotało od kul i odłamków betonu. Randi gwałtownie skręciła i w tej samej chwili silne uderzenie w łokieć odrzuciło ją do tyłu. Rykoszet, kawał roztrzaskanego betonu, złamał jej lewą rękę. Łokieć i całe ramię momentalnie zalała fala upiornego gorąca.

Randi przetoczyła się w prawo, rozpaczliwie próbując zejść z linii strzału, zanim tamten zdąży porządnie wymierzyć.

Zaskoczony strażnik znieruchomiał. Ona żyje? Wyszarpnął z automatu pusty magazynek i pomacał ręką w poszukiwaniu zapasowego.

Zacisnąwszy zęby, Randi przytknęła kolbę do ramienia i pociągnęła za spust. Trzy pokryte miedzianym płaszczem pociski dosięgły celu i strażnik runął na wznak z zakrwawioną piersią.

Randi z trudem wstała i popędziła za grupą tych nieuzbrojonych. Rozpierzchli się na jej widok jak stadko gęsi – w maskach wszyscy wyglądali identycznie. Siwowłosy starzec biegł

początkowo razem z nimi, lecz nagle zwolnił, podstawił nogę sąsiadowi, a gdy ten upadł, rzucił się na niego i przygniótł do ziemi.

Randi podeszła bliżej i zdrową ręką uniosła broń.

– A ty kto? – warknęła.

Starzec uśmiechnął się błogo.

– Nomura, Jinjiro Nomura – odrzekł łagodnie. Ruchem głowy wskazał wijącego się pod nim mężczyznę. – A to jest Łazarz, zdrajca, który był kiedyś moim synem.

Nie wierząc własnemu szczęściu, Randi uśmiechnęła się szeroko.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo mi miło. – Przesunęła lufę karabinu w dół

i zaczęła, aż starzec wstanie. – Teraz ty! – rozkazała. – Wstań i zdejmij maskę. Tylko powoli, bo odstrzelę ci łeb!

Mężczyzna wstał i z przesadną ostrożnością ściągnął maskę. Miała przed sobą Łazarza, zaszokowanego, poszarzałego ze strachu Hideo Nomurę.

– Co z nim zrobicie? – spytał ciekawie Jinjiro.

Randi wzruszyła ramionami i syknęła z bólu.

– Pewnie zabierzemy go do Stanów i postawimy przed sądem...

Znowu gruchnęła seria wystrzałów, tym razem w północnej części lotniska.

– No właśnie – dokończyła. – Proponuję, żebyśmy udali się do śmigłowca, i to szybko.

Tu robi się coraz bardziej... niezdrowo.

Z przytkniętą do ramienia kolbą Howell sunął przez dym jak duch. Nagle usłyszał cichy, metaliczny szcęk i przyklęknął, wypatrując źródła dźwięku.

Z kłębow powoli osiadającego dymu wychynął niski, krępy mężczyzna. Był sam. Kciuk jego prawej ręki wciąż spoczywał na przełączniku ognia niemieckiego karabinu szturmowego.

Zobaczył lufę broni Howella i rozdziawił usta.

– Hm... – rzucił cicho Peter. – Cóż za nieostrożność.

Przeszyty trzema pociskami bandzior upadł na czerwoną od krwi trawę. Howell zaczekał, aż dym się przerzedzi; lekki zachodni wiatr spychał go w stronę oceanu. Powiódł wokoło wzrokiem. Nikogo. Cisza. Zadowolony wstał i potruchtał z powrotem do śmigłowca.

Błada z bólu Randi dźgnęła Nomurę lufą karabinu. Szli do śmigłowca. Raz się potknęła i Hideo zerknął na nią z nienawiścią na twarzy. Pokręciła głową i przytknęła mu lufę do piersi.

– Ja bym nawet nie próbowała. Chyba że naprawdę wierzysz w swoje zmartwychwstanie.

Strzelam świetnie nawet z jednej ręki. Wskakuj do środka. Ale już!

Idący za nimi Jinjiro cicho zachichotał, najwyraźniej delektując się położeniem syna zdrajcy.

Hideo wsiadł do śmigłowca. Randi wskazała mu jeden z tylnych foteli. Nomura zacisnęła zęby i usiadł.

Wrócił Howell. Zajrzał do kabiny i uniósł brwi.

– Dobra robota, Randi. Bardzo dobra robota.

Rozejrzał się niespokojnie.

– Ale gdzie, u licha, jest Jon?

Biegł prosto na czterech mężczyzn idących skrajem pasa równolegle z toczącym się powoli samolotem. Wciąż szli parami, wciąż się wzajemnie ubezpieczali. Dwóch szło przed siebie, dwóch ich osłaniało, a po chwili się zmieniali. Patrzyli w stronę śmigłowca, gdzie trwała kanonada, ale wiedział, że wkrótce go zauważą.

Gdzieś w zakamarkach umysłu słyszał głos uparcie powtarzający, że atak na oślepa jest wyjątkowo głupim rodzajem samobójstwa, lecz z wściekłością odpędził wszystkie wątpliwości.

Nie miał innego wyboru. Musiał uderzyć szybko, zanim tamci go dostrzegą, przygniotą ogniem do ziemi i zabiją.

Jedynym wyjściem było przejęcie i utrzymanie inicjatywy. Wszystko wskazywało na to, że są zawodowcami, najpewniej doświadczonymi najemnikami, których Łazarz zwerbował do brudnej roboty. W dobrze zaplanowanej i rozegranej taktycznie potyczce dałby radę zdjąć jednego, może nawet dwóch, ale bezpośredni atak na całą czwórkę był czystym szaleństwem. Na jednej szali lekkomyślność i szaleństwo, na drugiej Horacjusz. Przeważyla ta druga—

Już dwa razy stawiał czoło tym potężnie zbudowanym, okrutnym mordercom. Dwa razy ledwo uszedł z życiem i w trzecim starciu nie zamierzał liczyć na łut szczęścia. Nie, tym razem musiał szczęściu dopomóc, co oznaczało, że musi też zaryzykować.

Biegł przez wysoką trawę na wschodnim skraju pasa. Dzieląca ich odległość szybko się zmniejszała, bo oni biegli prosto na niego.

Dwieście pięćdziesiąt metrów. Dwieście. Sto pięćdziesiąt. Dyszał jak kowalski miech.

Przytknął do ramienia kolbę karabinu.

Sto metrów.

Samolot był coraz bliżej. Czternaście śmigieł wycinało w powietrzu czternaście połyskliwych kręgów.

Teraz!

Pociągnął za spust w biegu, kładąc na pasie ścieg kul i kierując go w stronę zaskoczonych przeciwników. W niebo wystrzeliły fontanny ziemi, wyrwanej z korzeniami trawy i skruszonego betonu.

Horacjusz i najemnicy padli na ziemię i odpowiedzieli ogniem.

Jon skręcił w lewo, potem w prawo i znowu w lewo. Kule kosiły trawę i świszczą mu nad głową. Rzucił się na murawę, przetoczył przez ramię, wstał i pobiegł dalej. Pociągnął za spust i skręcił w prawo.

Tamci wciąż strzelali, coraz więcej kul tańczyło wokół niego. Jedna omal nie musnęła mu twarzy i jej rozżarzony gazowy ogon odrzucił mu głowę do tyłu. Kolejna grzmotnęła go w bok, odbiła się rykoszetem od kevlarowej kamizelki i zwała go z nóg. Słyszając, jak orzą ziemię tuż za nim, ogarnięty paniką przetoczył się szybko w lewo.

Pośród huku wystrzałów usłyszał czyjś głęboki, tubalny głos. Horacjusz. Wydawał podwładnym rozkazy.

I nagle, ku jego zdumieniu, kanonada ustała. Zapadła cisza.

Ostrożnie podniósł głowę i uśmiechnął się z ulgą. Tak jak przewidywał, drugi samolot, który wciąż spokojnie toczył się pasem, znalazł się dokładnie między nim i najemnikami. Przez chwilę nie mogli do niego strzelać, nie chcąc ryzykować zniszczenia bezcennej maszyny.

Ale wiedział, że to wymuszone zawieszenie broni nie potrwa długo.

Wstał i nisko przy ziemi ruszył naprzód, biegnąc z prędkością stale przyspieszającego samolotu. Zajrzał pod wielkie skrzydło. Gdzie ich nogi? Są tam?

Między pięciokołowym podwoziem, aerodynamicznie ukształtowanym dziobem i węzłami ładunkowymi mignęły wojskowe buty. Dwie pary butów. Dwóch ludzi Horacjusza biegło przez szeroki pas, chcąc zająć go z boku.

Czekał na nich z palcem na spuście. Czuł, jak wali mu serce. Powoli wypuścił powietrze.

No, panowie, pospieszał ich w duchu. Szybciej. Szybciej. Zróbcie jakiś błąd.

I zrobili.

Zniecierpliwieni, albo ponagleni gniewem zielonookiego olbrzyma, jednocześnie wyszli mu pod lufę.

Otworzył ogień, zasypując ich gradem kul. Karabin kopał go w ramię, na beton z brzękiem spadały łuski. Pięćdziesiąt metrów od niego przerażeni strażnicy przeraźliwie krzyknęli i upadli. Pociski rozdarły ich na strzępy.

I wtedy poczuł serię potężnych uderzeń w pierś i prawy bok, kilka straszliwie bolesnych ciosów, które obróciły go i rzuciły na kolana. Cudem utrzymał w ręku broń.

Podniósł głowę. Widział jak przez mgłę. Horacjusz.

Stał zaledwie czterdzieści metrów dalej, uśmiechając się zimno znad lufy karabinu.

Dopiero wtedy Jon zrozumiał swój błąd: Horacjusz poświęcił swoich ludzi, rzucił ich do ataku, żeby odwrócić jego uwagę, tak jak szachista rzuca do ataku i poświęca pionek, żeby dać mata królowi. Podczas gdy on strzelał do tamtych, podstępny olbrzym przemknął przed dziobem kołującego samolotu i zaszedł go z lewej.

Nie było już ratunku. Żadnego. Znikąd.

Wciąż z uśmiechem na ustach, Horacjusz lekko uniósł broń i wycelował prosto w jego niczym nieosłoniętą głowę. Tuż obok niego, na granicy pola widzenia Jon dostrzegł rozmazaną krawędź olbrzymiego skrzydła. Skrzydła naszpikowanego plastikowymi pojemnikami.

Prymitywna część ogarniętego strachem mózgu zaniósła się milczącym krzykiem, wściekle protestując przeciwko nieuchronnej śmierci. Spróbował ten krzyk zdławić i skupić się na tym, co podpowiadała mu bardziej opanowana i racjonalna część umysłu.

Wiatr, szeptała.

Wieje ze wschodu.

Niewiele myśląc, rzucił się w bok i pociągnął za spust. Karabin kopnął, podskoczył

i podskakiwał tak, dopóki jego lufa nie wypluła ostatniego z trzydziestu pocisków w magazynku.

Kule poszatkowały samolot jak rzeszoto, wrywając dziury w poszyciu, siekąc kable i przewody, roztrzaskując komputer pokładowy i strącając łopaty śmigieł.

Maszyna zakołysała się, gwałtownie skręciła i zjechała z pasa.

Terce obserwował rozpaczliwe poczynania ciemnowłosego Amerykanina bez cienia żalu czy współczucia. Prawy kącik jego ust uniósł się do góry w drapieżnym uśmiechu. Zwierzę w potrzasku. Jak ranne zwierzę rzucające się w potrzasku. Czysta rozkosz. Stał bez ruchu i wodził za celem muszką lufy, czekając, aż ta spocznie na jego czole. Nie zważał na kule.

Zresztą wszystkie szły w bok, w prawo. Tamten nie mógł go trafić, nie celując.

Ale po chwili usłyszał, że jednostajny, monotony szum czternastu elektrycznych silników samolotu nagle zmienił natężenie i jest teraz dziwnie przerywany, jakby maszyny straciły moc. Na betonie zaklekotały fragmenty roztrzaskanego poszycia.

Samolot skręcił. Zboczył z pasa i toczył się prosto na niego. Terce zmarszczył brwi.

Ostatnia zagrywka Amerykanina nie uratuje mu życia, ale jedna z cudownych maszyn nadawała się tylko na złom i Nomura będzie wściekły.

Nagle spojrzął na zbiorniki pod skrzydłami i dopiero teraz zauważył, że z wielu z nich zieją czarne przestrzeliny...

W tej samej chwili morderczy wschodni wiatr łagodnie musnął mu twarz. Przerażony Horacjusz wybałuszył oczy.

Zachwiał się do tyłu. Karabin wypadł mu z rąk i z trzaskiem upadł na beton.

Terce głośno jęknął. Czuł, jak nanofagi zaczynają pożerać mu wnętrzności. Jak miliardy tych potwornych, niewidzialnych stworzeń wypełnia rozedrgane płuca i z każdym oddechem pełznie dalej, wnikając do każdej komórki organizmu. Osłonięte grubymi, jasnymi rękawicami dłonie były już czerwone. Już schodziły z nich skóra i ciało, już rozpuszczały się ścięgna i kości.

Jego dwaj podwładni, którzy osłaniali go z boku i wciąż byli w maskach, znieruchomieli, a potem przerażeni zaczęli się niepewnie cofać.

Horacjusz rozpaczliwie podniósł głowę. Wielkimi płatami schodziła mu skóra z twarzy.

– Zabijcie mnie – wycharczał, z trudem poruszając rozpadającym się językiem. – Zabijcie mnie! Proszę!

Zaszokowani jego widokiem najemnicy wpadli w panikę. Odrzucili na bok karabiny i uciekli w stronę oceanu.

Nieustannie krzycząc, ostatni z Horacjuszów zgiął się wpół i miotany agonijnym bólem, uległ hordom pożerających go od środka nanofagów.

Mimo zmęczenia i straszliwej kary, jaką wymierzył, Smith pędził skrajem pasa, ile sił

w nogach. Zacisnął mocno zęby, próbując przezwyciężyć ból pękniętych żeber, ocierających się z chrupotem o kevlarową kamizelkę. Raz się potknął, ale tylko zaklął i pobiegł dalej.

Wytrzymaj, powtarzał zaciekle w duchu. Wytrzymaj, bo umrzesz.

Nie oglądał się za siebie. Wiedział, co tam zobaczy. Dobrze znał koszmar, który celowo tu rozpętał. Obłok nanofagów dryfował z wiatrem w kierunku morza i musiał pokryć już południowe krańce lotniska.

Śmigłowiec. Nareszcie. Wirniki wciąż się obracały i w powietrzu leniwie wirował dym i poderwane z ziemi żdźbła trawy. Zdenerwowani Randi i Peter, gdy tylko go dostrzegli, ruszyli ku niemu, śmiejąc się wesoło.

– Na pokład! – ryknął, wymachując karabinem. – Startujemy! Szybko!

Widząc, że uszkodzony samolot Nomury gwałtownie skręca i przechyla się na bok, Howell krótko skinął głową. Wiedział, co to znaczy.

– Trzydzieści sekund! – krzyknął.

Wskoczył do śmigłowca, usiadł w fotelu pilota i jego ręce zatańczyły na desce rozdzielczej. Gdy zapłonęły lampki wskaźników, pchnął do przodu manetkę przepustnicy.

Ryknął silnik, łopaty wirnika nabrały obrotów.

Smith stanął przed otwartymi drzwiami maszyny. Zauważył, że Randi ma bezwładną rękę.

– Boli? – spytał.

– Jak diabli – odparła z bladą, ściągniętą twarzą. – Ale jakoś przeżyję. W lekarza pobawisz się potem. – I zanim zdążył odpowiedzieć, uśmiechnęła się krzywo i przeszła go wzrokiem. – Pod warunkiem że nie będziesz się wymądrzał. Jasne?

– Jasne. – Nie okazując po sobie bólu, pomógł jej wsiąść. Potem zrobił to samo i wtedy dopiero zobaczył, że mają pasażerów. Hideo i Jinjiro Nomura.

Rozpoznał ich ze zdjęć, które Fred Klein podesłał mu do Santa Fe. Santa Fe, pomyślał chłodno. Sześć dni temu. Cała wieczność.

Randi opadła na fotel naprzeciwko Hideo. Krzywiąc się z bólu, położyła karabin na kolanach i wycelowała prosto w jego serce. Jon usiadł obok niej.

– Trzymać się tam! – krzyknął Howell. – Startujemy!

Zawyły silniki. Śmigłowiec potoczył się po betonie, oderwał od ziemi, skręcił w prawo i nabral wysokość. Lotnisko zostało w dole.

Na dziewięćdziesięciu metrach Peter wyrównał lot. Na tej wysokości byli względnie bezpieczni, gdyż niesiony wiatrem obłok nanofagów pełznął znacznie niżej – a przynajmniej taką miał nadzieję. Zmarszczył czoło, przypomniawszy sobie, że nadzieja nie ma nic wspólnego z całkowitą pewnością. Ściągnął na siebie drążek i zwiększył pułap lotu o trzydzieści metrów.

No. Tak było dużo lepiej. Łagodnie skręcił, wziął kurs na usłany trupami pas startowy i zerknął przez ramię.

– Co teraz? – rzucił. – Za pierwszym samolotem naszego przyjaciela Łazarza? Za tym, który już leci?

– Nie, jeszcze nie – odparł Smith. Wcisnął zatrząsk, wyjął pusty magazynek i nasadą dłoni wbił do obejm pełny. – Najpierw załatwimy tu parę spraw.

Położył się na podłodze i wystawił lufę karabinu za rozsunięte drzwi.

– Weź kurs na ten trzeci! – krzyknął. – Próbuje wystartować na autopilocie.

Śmigłowiec legł na prawej burcie i zawrócił na południe. Jon wychylił się jeszcze bardziej i przytknął kolbę do ramienia. Muszka, szczerbinka i rosnący w oczach samolot. Spust i długa seria wystrzałów. Karabin zadygotał.

Śmigłowiec przeleciał z rykiem nad hangarem i zrobił ostry nawrót.

Zamek karabinu odskoczył i znieruchomiał. Jon wetknął do obejm ostatni magazynek, wprowadził nabój do komory i przesunął skrzydełko bezpiecznika. Broń była gotowa do strzału.

Spojrzał w dół. Poszatkowany kulami samolot stał na pasie. Roztrzaskane skrzydło zwisało do samej ziemi. Beton był usłany fragmentami poszycia i plastikowymi pojemnikami.

– Po nim – zameldował rzeczowo. – Dwa skreślone, jeden leci.

Hideo Nomura drgnął i zeszywniał w fotelu.

– Siedź – warknęła ostrzegawczo Randi, poprawiając karabin na kolanach.

– Nie zastrzelisz mnie tutaj – wychrypiał Nomura. Jego twarz straciła wyraz uprzejmości, sympatii i kosmopolityzmu, który tak zwodniczo pielęgnował przez tyle lat. Była teraz spiętą pełną nienawiści maską, z której biły zło i patologiczny egoizm. – Zginęlibyście razem ze mną.

Wy, Amerykanie, jesteście miękcy. Nie macie duszy prawdziwego wojownika.

Randi posłała mu szyderczy uśmiech.

– Może i nie. Ale te zbiorniki mają samouszczelniające się ścianki, a ty chyba nie.

Sprawdzimy?

Hideo łypnął na nią spode łba i zamilkł.

Jego ojciec uśmiechał się pogodnie, spoglądając przez drzwi. Chore marzenia syna rozpadały się w proch. Hideo zbierał zasłużone żniwo tego, co on wycierpiał przez dwanaście miesięcy okrutnej izolacji w centrum.

Naprowadzony przez Jona Howell skierował śmigłowiec na północny koniec pasa i wziął

kurs na dwa wielkie transportowce i parkujący za nimi mały samolot służbowy. Gdy znaleźli się w zasięgu strzału, Smith ponownie wychylił się przez drzwi i wpakował w nie długą serię, roztrzaskując szyby i wyposażenie kabin.

– Trzeba ściągnąć tu nasze jednostki specjalne i chemiczne. Do tego czasu nikt stąd nie odleci. – Wyjął pusty magazynek i rzucił go na podłogę.

Randi podała mu pełny.

Zataczając wąskie, ciasne kręgi, wchodzili na coraz wyższy pułap. Niespokojnie wypatrywali pierwszego samolotu Nomury, lecz na próżno. Mijały minuty, a niebo wciąż było czyste. I nagle...

– Jest! – krzyknęła Randi. – Tam! – Wysoko nad nimi błyszczał złotawy punkcik. – Tam!

– Wyciągnęła rękę. – Na trzeciej! Leci na zachód!

– Na Stany – mruknął Smith.

– Ściślej mówiąc, na Waszyngton i jego przedmieścia – dodał z drwiącym uśmiechem Hideo Nomura. Śmigłowiec zadygotał i wszedł na równoległy kurs. Howell spojrzał w górę i zrzędała mu mina.

– To cholerstwo jest piekielnie wysoko. Trzy, może trzy tysiące sześćset metrów, i szybko idzie w górę.

– A nasz black hawk? – spytał Jon, przypinając się pasem do fotela. – Jaki ma maksymalny pułap?

– Pięć tysięcy siedemset. Ale na tej wysokości powietrze jest bardzo rozrzedzone. Oby nie za bardzo.

– Spóźniliście się! – wykrzyknął radośnie Hideo z triumfalnym błyskiem w oczach. – Już go nie powstrzymacie! Nanofagi na pokładzie tanatosa zabiją miliony ludzi. Możecie mnie tu więzić, ale wasz chciwy, materialistyczny kraj otrzymał już cios, o którym będą mówić przez stulecia!

Zignorowali go, skupiając się na tanatosie. Wiedzieli, że zaraz znajdzie się poza ich zasięgiem, a wtedy będzie za późno.

Śmigłowiec ponownie zwiększył wysokość z prędkością czterystu pięćdziesięciu metrów na minutę.

Robiło się coraz zimniej, powietrze było coraz rzadsze.

Trzy tysiące sześćset metrów. Dosłownie szczękali zębami, oddychali z coraz większym trudem. Powietrze było tu niemal o połowę rzadsze niż na poziomie morza. Na tej wysokości można było żyć, pracować i jeździć na nartach, ale wymagało to znacznie dłuższej aklimatyzacji.

Groziły im niedotlenienie i choroba wysokościowa.

Tanatos był coraz bliżej, jednak wciąż leciał na wyższym i stale zwiększającym się pułapie. Od czasu do czasu pochylał olbrzymie skrzydła, reagując na polecenia pokładowego komputera, który korygował lot zależnie od prędkości i kierunku wiatru oraz ciśnienia atmosferycznego. I przez cały czas utrzymywał stały kurs, uparcie lecąc do celu. A celem tym była stolica Stanów.

Howell jeszcze bardziej ściągnął na siebie drażek. Bolała go głowa, paliło go w płucach, miał coraz większe trudności z koncentracją. Pogorszyła mu się ostrość wzroku i musiał często mrugać, żeby lepiej widzieć.

Strzałka wysokościomierza powoli przekroczyła cztery tysiące dwieście metrów. Na tej wysokości siła nośna wirników była dużo mniejsza, a prędkość wznoszenia i prędkość pozioma gwałtownie spadały. Cztery tysiące pięćset metrów. Olbrzymi tanatos wisiał tuż nad śmigłowcem. Był zwodniczo blisko, jednak wciąż poza ich zasięgiem.

Minęła kolejna minuta – minuta wzmagającego się zimna i wyczerpania.

Howell po raz setny spojrzał w górę. Pusto. Tanatos zniknął.

– Gdzie jesteś, sukinsynu? Co to za głupie sztuczki? Gdzie się podziałeś?

I nagle...

Na wielkich, wyłożonych bateriami słonecznymi skrzydłach lecącego pod nimi samolotu rozbłysło miliony jaskrawych refleksów.

– Udało się! – zapał z zachwytu Peter i głośno zakaszał, wciągając do nadwężonych płuc haust powietrza. – Teraz szybko, Jon! Nie utrzymam go długo na tej wysokości.

Smith rozpiął pas i położył się na brzuchu przy otwartych drzwiach. Każdy kawałek metalu, którego dotykał, był tak zimny, że parzył niczym ogień. Temperatura musiała spaść dużo poniżej zera.

Szybko pochuchał w dłonie, nie chcąc odmrozić sobie palców, nosa i policzków, a potem wychylił się za burtę śmigłowca, czując, jak pęd mroźnego powietrza targa mu włosy i ubranie.

Zobaczył tanatosa. Samolot leciał mniej więcej sześćdziesiąt metrów pod nimi. Black hawk zwolnił, żeby dostosować do niego prędkość.

Jon zamrugał. Łzawiły mu oczy. Musiał mocno zacisnąć powieki, żeby łzy spłynęły, zanim zdążą zamarznąć. Wycelował. Gigantyczne skrzydła zakołysały się, zafalowały, wreszcie znieruchomiały.

Pociągnął za spust.

Seria pocisków dosięgła celu. W powietrzu zawirowały kawałki roztrzaskanych płytek baterii słonecznych, odłamki szkła i plastiku. Zawirowały i zniknęły w tyle. Skrzydła samolotu wygięły się niebezpiecznie i zadrżały. Tanatos gwałtownie obniżył lot.

Jon wstrzymał oddech. I wtedy zareagował komputer pokładowy: skorygował nagłą utratę mocy, podwyższając obroty silników. Samolot odzyskał równowagę i zaczął się ponownie wspinać.

Jon zaklął i pomacał kieszenie w poszukiwaniu nowego magazynka.

W łoskocie silników, na przeraźliwym zimnie i w mocno rozrzedzonym powietrzu Randi z trudem zachowywała przytomność. Ostry, kłujący ból ręki mieszał się teraz ze straszliwym, pulsującym bólem w skroniach. Zaciśnęła zęby, żeby nie zwymiotować. Głowa bolała ją tak bardzo, że z każdym uderzeniem serca widziała przed oczami wielkie, czerwone plamy.

Opadła jej głowa.

I właśnie wtedy Hideo Nomura zaatakował.

Jedną ręką stracił jej z kolan karabin, drugą uderzył ją w mostek. Mostek pękł jak sucha gałązka.

Randi głucho jęknęła, opadła na oparcie fotela, zgięła się w pół i znieruchomiała. Gdyby nie pasy bezpieczeństwa, zsunęłaby się na podłogę.

Nomura chwycił karabin i przytknął lufę do jej skroni.

Smith spojrział przez ramię, przetoczył się na bok i przemarznięty usiadł, oceniając sytuację.

– Wyrzuć broń za burtę – rozkazał Nomura. Spojrzenie miał zimne i twarde jak lód. –

Wyrzuć albo jej mózg obryzga całą kabinę.

Jon z trudem przełknął ślinę. Popatrzył na Randi. Nie widział jej twarzy.

– Ona już nie żyje – odparł, rozpaczliwie próbując grać na czas.

Nomura wybuchł śmiechem.

– Żyje, jeszcze żyje. Spójrz. – Chwycił ją za włosy, szarpnął do góry i odchylił jej głowę.

Randi cicho jęknęła. Zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy i natychmiast zamknęła. Hideo z pogardą cofnął rękę i jej głowa ponownie opadła na piersi. – Widzisz? A teraz rób, co mówię!

Pokonany Smith rozwarł skostniałe z zimna palce. Karabin przekoziółkował w powietrzu i zniknął.

– Bardzo dobrze – pochwalił go weselo Nomura. – Szybko się uczysz posłuszeństwa. –

Zrobił krok do tyłu i starannie wymierzył w jego głowę. Steżała mu twarz. – A teraz każ mu zawrócić.

– Słyszałeś, Peter?! – krzyknął Smith.

Howell zerknął przez ramię. Oczy miał zimne i bez wyrazu.

– Słyszałem – odparł. – Chyba nie mamy wyboru. Sprawy stoją, jak stoją.

– Właśnie! – odkrzyknął Jon. – Stoją, jak stoją – powtórzył z akcentem na ostatnie słowo i lekko przekrzywił głowę.

Peter puścił do niego oko. A może tylko drgnęła mu powieka, tak leciutko, że prawie niezauważalnie.

– Widzisz, ojcze? – spytał ze śmiechem Hideo. – Ludzie Zachodu są miękczy. Nade wszystko cenią własne życie.

Starzec nie odpowiedział. Pograżony w rozpacz z powodu nagłej zmiany sytuacji siedział w fotelu z kamienną twarzą.

Jon stał przy otwartych drzwiach, czekając w napięciu na ruch Howella.

I wtedy Howell gwałtownym ruchem dźwaka przechylił maszynę w prawo. Nomura stracił

równowagę, runął do tyłu, grzmotnął plecami w ścianę i osunął się na podłogę. Mimowolnie zacisnął na spuście palec i automat wypalił. Trzy pociski przebiły poszycie i odbiły się rykoszetem od wirnika.

Gdy tylko śmigłowiec legł na burcie, Smith rzucił się do przodu, byle dalej od otwartych drzwi. Upadł tuż obok Nomury, wyrwał mu z rąk karabin i odrzucił go na bok. Broń zaklekotała między fotelami.

Black hawk wyrównał lot i zaczął się ponownie wspinać.

Nomura wierzgnął, kopnął i odepchnął Jona do tyłu. Obaj wstali. Japończyk zaatakował

pierwszy, szaleńczo, na oślep, rękami i nogami.

Smith odparował dwa ciosy przedramieniem, trzeci zablokował nogą i uchyliwszy się przed czwartym, przeszedł do kontrataku. Chwycił Nomurę za rękę, grzmotnął go pięścią w twarz i pchnął na drugi koniec kabiny.

Japończyk upadł bezwładnie tuż obok drzwi, lecz choć oszołomiony i zakrwawiony, próbował znowu wstać.

Jon przytrzymał się fotela i ryknął:

– Teraz, Peter! W lewo! W lewo!

Howell szarpnął drążkiem. Śmigłowiec ostro zadarł dziób, legł na lewej burcie i wydawało się, jakby zawisł na chwilę w powietrzu. Nie więcej jak piętnaście metrów niżej ukazał się tanatos, wciąż wykonujący swą ludobójczą misję.

Rozpaczliwym wyrzutem rąk Nomura uchwycił się stalowej podpórki fotela. Jego nogi zawisły w powietrzu, na próżno szukając oparcia, którego po prostu nie było.

Naprężył ramiona i zaczął się powoli podciągać. Z upiornym grymasem na twarzy zadarł głowę i zobaczył swojego ojca.

Jinjiro Nomura patrzył w przepelnione obłędem oczy człowieka, który kiedyś był jego ukochanym synem.

– Nie doceniłeś tych Amerykanów – powiedział cicho i łagodnie. – Tak samo jak nie doceniłeś mnie.

Z tymi słowami starzec pochylił się i kopnął go w kurczowo zaciśnięte ręce.

Z wyrazem bezdennej przerażenia na twarzy, wściekle orząc paznokciami gładką, stalową podłogę, Nomura zsunął się w dół i z rozpaczliwym wyciem pokoziołkował prosto na przelatującego pod śmigłowcem tanatosa.

Wciąż wierzgając i dziko wymachując rękami, człowiek, który zwał się Łazarzem, spadł

na długie, kruche skrzydło. Skrzydło zatrzęsło się i zadygotało. A potem, przeciążony i uszkodzony tanatos złamał się wpół, złożył jak zamykana książka. Łopaty śmigieł, gondole i zerwane pojemniki z nanofagami zawirowały w szybko gęstniejącej chmurze odłamków.

Początkowo powoli, potem coraz szybciej, zmiażdżony, poskręcany wrak samolotu zaczął

się obracać, spadając w otchłań, na której dnie czekały wygłodniałe wody bezkresnego, bezlitosnego oceanu.

Epilog

Początek listopada, Biały Don

Chociaż było dopiero wczesne popołudnie, prezydent Castilla uciekł od gwaru podekscytowanych głosów w korytarzach wokół Ovalnego Gabinetu i ukrył się w swoim wygodnym, zacisznym gabinecie we wschodnim skrzydle domu. Ten pokój należał tylko do niego, dlatego nie wpuścił tu tych wszystkich modnych projektantów i dekoratorów, którzy pod czujnym okiem jego żony zmienili wystrój pozostałych pomieszczeń. Stały tu półki pełne dobrych książek, duża sofa z czarnej skóry, dwa fotele i wielki telewizor, a na wypolerowanej podłodze leżał indiański dywan. Na ścianach wisiały obrazy Fredrica Remingtona i Georgii O’Keeffe oraz zdjęcia surowych gór wokół Santa Fe.

Castilla z uśmiechem zerknął przez ramię. Jego ręka zawisała nad butelką i dwiema szklankami na barku.

– Szkockiej, Fred?

– Chętnie, panie prezydencie – odparł z sofy Klein.

Castilla rozlał whisky do szklanek i podszedł do stolika.

– Caol Ha, ulubiona whisky Jinjiro.

– Bardzo stosownie, bardzo stosownie. – Ruchem głowy Klein wskazał telewizor. –

Powinni zaraz zaczynać.

– Tak. Za nic w świecie nie chciałbym tego przegapić. – Prezydent odstawił szklankę i pstryknął pilotem. Na ekranie ukazała się olbrzymia sala Zgromadzenia Ogólnego ONZ

w Nowym Jorku. Na podium stał samotnie Jinjiro Nomura. Z kamiennym spokojem spoglądał na delegatów i gąszcz kamer, choć dobrze wiedział, że jego słowa trafią za chwilę do miliardów widzów na całym świecie. Twarz miał poważną i wciąż naznaczoną smutkiem po zdradzie występnego syna i rocznym pobycie w podziemiach centrum.

– Oto staję przed wami w imieniu Ruchu Łazarza – zaczął. – Ruchu, którego szlachetne cele i wierni zwolennicy zostali zdradzeni przez jednego niegodziwego człowieka. Żeby pozbyć się założycieli naszej organizacji i podstępnie przejąć władzę, człowiek ten, mój syn Hideo, zamordował moich przyjaciół i kolegów, a mnie uwięził. Potem, podając się za Łazarza, wykorzystał nasz ruch do ukrycia swych okrutnych, ludobójczych celów, celów całkowicie sprzecznych ze wszystkim tym, co zawsze sobą reprezentowaliśmy...

Castilla i Klein słuchali w pełnej zadowolenia ciszy, a Nomura szczegółowo opisywał

zdradziecką działalność Łazarza, ujawniając tajemnicę morderczych nanofagów i jego plany wykorzystania ich do unicestwienia ludzkości oraz zdobycia absolutnej władzy nad tymi, którzy

przeżyliby zagładę. Uprzedzeni i poinformowani przez Jinjiro sojusznicy Stanów Zjednoczonych wracali już do owczarni, wyrażając głęboką ulgę, że ich wcześniejsze podejrzania okazały się bezpodstawne, i chcąc naprawić stosunki z USA, zanim cała prawda wyjdzie na jaw.

Przemówienie w ONZ było tylko pierwszym etapem zdecydowanej kampanii, która miała zdemaskować wywrotową działalność Łazarza i uratować nadszarpniętą reputację Stanów Zjednoczonych.

Castilla i Klein zdawali sobie sprawę, że będzie to wymagało dużo czasu i wysiłku, lecz byli też pewni, że rany zadane przez Hideo Nomurę wkrótce się zagoją. Tak, kilku pojedynczych fanatyków nadal będzie utrzymywało, że wszystkiemu winne są Stany Zjednoczone, lecz większość – przekonana spokojną perswazją i silną osobowością Jinjiro Nomury, ostatniego z założycieli Ruchu Łazarza, oraz dokumentami przechwyconymi w tajnym laboratorium na Azorach – na pewno pogodzi się z prawdą. Natomiast sam ruch już teraz zaczynał chwiać się w posadach po wstrząsie, jakiego doznał na skutek ujawnienia łgarstw i perfidnych knowań Łazarza. Przetrwać mógł, tylko powracając do pierwotnych wizji Jinjiro, w których był

ugrupowaniem walczącym o pokojowe przemiany i reformę systemu ochrony środowiska naturalnego.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Castilla nieco się odprężył. Ameryka i cały świat uniknęły przerażającej katastrofy – uniknęły jej o włos. Prezydent westchnął i spostrzegł, że Klein na niego patrzy.

– Już po wszystkim, Sam – powiedział cicho szef Tajnej Jedyńki.

– Wiem. – Castilla uniósł szklankę jak do toastu. – Za pułkownika Smitha i pozostałych.

– Za Smitha i resztę. – Klein uniósł szklankę. – Slainte.

Waszyngton, Esplanada

Rześki, wymyty jesiennym deszczem wiatr szeleścił liśćmi, które wciąż trzymały się kurczowo gałęzi drzew na obrzeżach Esplanady. Między gałęziami sączyły się promienie słońca, malując na trawie ruchome, czerwono–żółciste cienie.

Smith szedł w kierunku stojącej w zamyśleniu obok parkowej ławki kobiety. Jej krótkie, jasne włosy błyszczały w słońcu jak cenny kruszec. Mimo gipsowego opatrunku na lewej ręce i barku, wciąż była wysmukła i pełna wdzięku.

– Na mnie czekasz? – spytał cicho.

Odwróciła się z lekkim uśmiechem.

– Jeśli to ty zostawiłeś mi na sekretarce zaproszenie na kolację, to chyba tak – odparła kąśliwie. – Jeśli nie, będę musiała zjeść sama.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

– Jak ręka? – spytał.

– Nieźle. Za kilka tygodni zdejmą mi gips, tak mówi lekarz. Zaczekam, aż zrośnie się mostek, trochę poćwiczę, i w teren. Nie mogę się już doczekać. Praca za biurkiem mnie dobija.

– Co słyszeć w Langley? Posprząтали już ten bałagan?

– Tak, trochę się uspokoiło – odparła ostrożnie. – W aktach, które przechwyciliśmy na Azorach, były nazwiska tych z Toksyny. Namierzyliśmy wszystkich, całą grupę. Słyszałeś, że Hanson podaje się do dymisji?

Smith kiwnął głową. Dyrektor CIA nie był bezpośrednio zaangażowany w nielegalne operacje Hala Burke'a i Kit Pierson, jednak nie ulegało wątpliwości, że nie potrafił dobrze ocenić sytuacji i zbyt chętnie przymknął na nią oko. Mógł albo zrezygnować ze stanowiska – „ze względów osobistych” – i uratować twarz, albo z hukiem wylecieć z pracy.

– Peter się odezwał? – spytała.

– W zeszłym tygodniu. Znowu uciekł w góry. Mówi, że tym razem na dobre.

Z powątpiewaniem uniosła brwi.

– Wierzysz w to?

– Nie bardzo – odparł ze śmiechem. – Howell, który siedzi z założonymi rękami na ganku swego zacisznego domku w górach? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– A ty? Dalej szpiegujesz? Dla Kolegium Szefów Sztabów Połączonych? Czy tym razem dla wywiadu wojskowego?

– Nie, wróciłem do Fort Detrick, na dawne stanowisko w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych.

– Znowu grzebiesz w bakteriach?

Pokręcił głową.

– Niezupełnie. Opracowujemy ogólnościowy program kontroli i nadzoru potencjalnie niebezpiecznych badań nanotechnologicznych.

Zmrużyła oczy.

– Powstrzymaliśmy Nomurę – dodał. – Ale duszek uciekł już z butelki i któregoś dnia ktoś inny może

spróbować czegoś podobnego albo jeszcze groźniejszego.

Zadrzała.

– Wolę sobie tego nie wyobrażać.

– Ale tym razem wiemy przynajmniej, czego szukać. Wytwarzanie biologicznie aktywnych produktów nanotechnologicznych wymaga dużych ilości substancji biochemicznych, a te łatwo wytropić.

Westchnęła.

– Może trzeba po prostu zrobić to, czego domagali się ci z Ruchu Łazarza? Zakazać tych badań i już.

Pokręcił głową.

– I zrezygnować z ich dobrodziejstw? Z lekarstwa na raka? Z czystego środowiska naturalnego? – Wzruszył ramionami. – Nanotechnologia to tylko rodzaj technologii, nic więcej.

Jak ją wykorzystamy, dobrze czy źle, zależy tylko od nas.

– Gadasz jak naukowiec.

– Bo jestem naukowcem – odrzekł cicho. – Przede wszystkim.

– Jasne, jasne – mruknęła z drwiącym uśmiechem. – No dobrze. A więc cóż, panie doktorze? Jak tam pańskie zaproszenie? Wciąż aktualne?

Skłonił się lekko i podał jej ramię.

– Jak najbardziej, panno Russell. Niech nikt nie śmie twierdzić, że nie dotrzymuję słowa.

Ja stawiam.

Zaparkował niedaleko i ruszyli w tamtą stronę.

Wiatr rozwiewał ostatnie chmury. Niebo było znowu czyste i błękitne.